CZAS

Dodatek miesięczny.

ROK DRUGI.

Tom VI — Zeszyt 18.

Czerwiec.

KRAKÓW.

CZCIONKAMI I NAKŁADEM DRUKARNI „CZASU“.

Czerwiec — 1857.

O UNII W POLSCE

przez Helleniusa.

Zbawiciel nasz Jezus Chrystus dla odkupienia rodu ludzkiego, swoją boską naturę połączył z ludzką, stał się uczestnikiem cierpień, boleści, śmierci człowieka, aby wzajemnie uczynić go uczestnikiem wiekuistéj chwały, do któréj jedyną drogę zostawił nam w nauce swojéj i prawdzie objawionéj. Zbawiciel dał nam żywot i prawdę niewyłączając nikogo, wszystkich równemi uczestnikami swéj chwały i zbawienia uczynił. Przyrzekłszy nam drugie przyjście swoje w dzień sądu ostatecznego, po dokonanéj ofierze w niewymownéj męce swojéj, do niebios wstąpił; a i w odejściu niezostawił nas sierotami. Wybrał bowiem Apostołów, którym dał nadprzyrodzoną moc, dar Ducha śgo, którego ludzie z natury urodzenia, mocą zdatności, pracy, i cnót nawet, mieć nie mogą. Bo tylko Apostołowie, tym nadprzyrodzonym darem z niebios po Zmartwychwstaniu Pańskiém byli obdarzeni, z mocą przelewania tego daru przez poświęcenie, następcom swoim. Chrystus zaś sam do dnia powtórnego przyjścia swego obecnym jest Osobą swoją w Przenajświętszym Sakramencie. Mocą tego nadprzyrodzonego daru Apostołowie i ich następcy, mając pojęcie wiekui-

stéj prawdy przez Zbawiciela objawionéj, strzegą jéj nieskazitelności, i świętą, niezmienną, taką, jaką Chrystus objawił, chroniąc jéj, udzielają całemu ludzkiemu rodowi. Chrystus jako jest prawdą i żywotem, przeto Apostołowie i ich następcy z daru Ducha śgo rozdzielają żywot ten wiernym, poświęcając chleb i wino, który mocą ich słowa, staje się Przenajświętszym Sakramentem, dusz ludzkich żywotem. Apostołowie i ich następcy tojest biskupi i kapłani, mają moc udzielania prawdziwego światła i pokarmu to jest: słowa Bożego i Przenajświętszego Sakramentu. W nieograniczoném miłosierdziu swojém Zbawiciel nasz Jezus Chrystus, będąc Bogiem i człowiekiem, przeto każdego z nas Stworzycielem, Ojcem, do tego przyjacielem i bratem; udzielił moc odpuszczenia grzechów, i zjednania miłosierdzia Bożego za pośrednictwem ofiary niewymownéj męki Pańskiéj. Tę moc Apostołowie i ich następcy sprawują. Nie dość na tem, zostawił jeszcze tu na ziemi aż do końca wieków, żyjącego namiestnika swego i zastępcę z Apostołów wybranego Piotra i jego duchownych potomków. Piotra i jego następców aż do końca wieków uczynił opoką, fundamentem na którym zbudował kościół swój. Apostołowie i ich następcy biskupi i kapłani obdarzeni przez poświęcenie mocą nadprzyrodzoną Ducha śgo, do spełnienia łask pomienionych; i całe zgromadzenie wiernych stanowi Kościół zbudowany na opoce, która jest: Piotr i jego następcy. Ten Kościół jest powszechny, bo Zbawiciel przyjął naturę ludzką dla zbawienia wszystkich ludzi; jest jeden, jak jeden jest Bóg, jeden Chrystus, jedna prawda. Nie ma przeto kościoła Wschodniego, Zachodniego, tylko jest jeden Kościół Chrystusowy, na Piotrze rzymskim biskupie oparty, i fundowany, chrześciański, powszechny czyli katolicki-rzymski, zarówno na północy, zachodzie, wschodzie, i południu jednocześnie na całéj kuli ziemskiéj rozpo-

starty, opowiadany w Rzymie i Jerozolimie. Ani jednéj z tych prawd wiecznych odmienić nie wolno, a kto ją zmienia, prawda zostaje zawsze w Kościele, a sprzeciwiający się jéj, w upadku. Byli tacy jedności w Chrystusie przeciwnicy, którzy Bóstwu Chrystusowemu zaprzeczyli; byli tacy którzy niewierzyli przytomności jego w Przenajświętszym Sakramencie. Cóż dziwnego że się i tacy znaleźli co pierwszeństwa Piotrowi, opocę Kościoła śgo zaprzeczyli. To sprzeciwienie stało się ich błędem, odszczepieństwem, a Kościoła jednego, prawdziwego, niezmieniło, który stoi na Piotrze i stać będzie na wieki. Uznanie Piotra i biskupów rzymskich jego następców głową Kościoła, nie jest z czasów późniejszych, lecz wprost od Chrystusa Pana pochodzi: „Paś owieczki moje. Ty jesteś opoką, na któréj zbuduję kościół mój, bramy piekielne go nieprzemogą!“ — Jako rzekł, błogosławiąc chleb, „to jest Ciało moje, czyńcie na pamiątkę moją“ — i chleb błogosławiony czasu ofiary staje się Ciałem Jego; tak i słowy Zbawiciela Piotr stał się głową Kościoła i fundamentem wiary. Paweł śty apostoł narodów, który przedstawiał nawrócenie powszechne ludzkości całéj, zawsze był z Piotrem, stał przy nim jako przy fundamencie wiary. Wszędzie czytamy Piotr i Paweł razem umęczeni i pogrzebani. W dziejach apostolskich Rozd. XV zaraz widziemy Piotra głową Kościoła. Gdy były o obrzezanie rozterki, żaden z Apostołów téj trudności rozwiązać nie mógł. A powstawszy Piotr śty (słowa Dziej. Apost.) rzekł: „Mężowie, bracia wy wiecie od dawnych dni, obrał Bóg między nami, aby z ust moich słuchali poganie słowa Ewangelii i uwierzyli.“ „Czemuż — mówi daléj Piotr śty: kusicie Boga chcąc włożyć jarzmo na szyję którego, ani my, ani ojcowie nasi, niemogliśmy nosić. Przez łaskę Jezusa Chrystusa wierzymy że będziemy zbawieni, jako i oni.“ i zamilkło wszystko mnóstwo. W ten sposób

wszyscy poganie, wszystkie narody przez stolicę piotrową zostały nawrócone; przez biskupa rzymskiego śgo Sylwestra, w osobie Konstantyna Wgo, biskup rzymski nawrócił cesarza, z nim całe państwo rzymskie, i wszystkie narody. Religia chrześciańska wyznawana w skrytości, w męczeństwie, stanęła na szczycie stolicy świata całego, mając u stóp swoich najpotężniejszą władzę, ogarniającą całą niemal wówczas znaną społeczność ludzką. Jak Chrystus rzekł Piotrowi: stań się opoką Kościoła mojego, i stało się; jak Piotr rzekł: „obrał mnie Bóg aby poganie z ust moich uwierzyli Ewangelii.“ Stało się z ust następcy jego biskupa rzymskiego śgo Sylwestra; uwierzyło cesarstwo, co znaczyło, wszystek świat wschód i zachód, cały świat starożytny uwierzył. Jeden kapłan, jeden biskup następca Piotra śgo, postawił w szczytnym tryumfie Kościół ś.

W Kościele powszechnym były sobory, złożone z biskupów całego chrześciaństwa, na których pisały się ustawy kościelne, urządzenia prawa, objaśniała się nauka; zasad wiary nietknięto, bo te przez Zbawiciela były objawione. Jakoż sobory te ustanawiać nie mogły, ani tajemnicy Sakramentu, ani przewodnictwa i naczelnictwa Piotrowego, to ustanowił Chrystus tylko, a sobory wyznawały i opisały dla ludu wiarę w prawdy przez Zbawiciela objawione. Sobory te nie mogły być zwoływane tylko przez głowę kościoła, a ustawy jego miały moc, gdy były przez Ojca śgo. zatwierdzone. Byli tacy którzy się bałamucili soborami, przyznając im władzę w kościele. Kościół od Chrystusa pana jest ufundowany i oparty na widomym Jego zastępcy namiestniku, wszystkiemi biskupami i kapłanami rządzącym i strzegącym wiary ich. Ten zastępca daje poświęcenie biskupom, ci kapłanom; on zarządza i zatwierdza ustawy wszelkie kościelne; on obdarzony darem nadprzyrodzonym nieomylności w wierze śtéj. Sobory przeto jako są zgroma-

dzeniem biskupów, winny być zastępcy Chrystusa Pana Piotrowi biskupowi rzymskiemu, Ojcu świętemu, uległe. Nietylko Piotr śty głowa Kościoła biskupstwo w Rzymie fundował, i był pierwszym Ojcem ś. głową Kościoła i biskupem rzymskim, ale i inni Apostołowie także fundowali biskupstwa: Ś. Marek był biskupem alexandryjskim, ś. Jakób jerozolimskim, śty Tomasz założył biskupstwo w Indyach. Sobór w IV wieku dopiero zwołany dla uczczenia pamiątki apostołów, fundatorów biskupstw, mianował ich następców patryarchami. Sobór nicejski ustanowił patryarchów trzech: alexandryjskiego, jerozolimskiego, antyocheńskiego. Ci patryarchowie stanowili tylko stopień wyższy w hierarchii Kościoła na pamiątkę Apostołów, mieli większe prowincye w zarządzie swoim, w Synodzie pierwsze miejsca od innych arcybiskupów i biskupów. Nie stanowili żadnéj przeto wyższéj władzy równie jako i inni biskupi ulegali biskupowi rzymskiemu, głowie Kościoła. On był mianowany tą głową przez Chrystusa; oni przez sobór. Mianowani patryarchami, wyznawali uległość stolicy Piotrowéj, jak świadczą konony tych synodów, zalecające od ich władzy apelować do biskupa rzymskiego, do Ojca śtgo. Bez biskupa rzymskiego, bez głowy Kościoła, Kościół nigdy nie istniał i istnieć nie może. Przez trzy wieki tych patryarchów nie było, dopiero na synodzie nicejskim mianowani. Widzieliśmy że kiedy Iślamizm zniszczył tę stolicę drugich Apostołów, Kościół mimo tego trwał, trwa, rozszerza się, kwitnie w innych częściach świata. Tak samo w wieku piątym biskupstwo konstantynopolskie mianowane patryarchatem, chociaż tam żaden Apostół biskupem nie był. Patryarchaty przeto na pamiątkę innych apostołów, jako wyższebiskupstwa poważane, mogą zniknąć, mogą być nowe ustanowione, bez żadnéj zmiany w Kościele. Nie są bowiem żadne główną wiary zasadą, nie są tym dogmatem, który jak zwierzchność Piotra być musi nie-

tykalnym, niezmiennym i dochowanym na wieki. Papież, biskup rzymski, byłże kiedy posłuszny patryarsze? — Byłże kiedy od patryarchów wschodnich postanowiony, obierany? — Posyłałże kiedy do patryarchy ojciec Ś. w rzeczach wiary o zdanie? — Gdy przyszło w Piśmie ś. tłumaczyć text trudny pytałże się Papież Biskup Rzymski kogo o rozwiązanie? szłaże kiedy apellacya od Ojca Ś ? We wszystkich soborach zasiewano, głoszono: *Prima Sedes a nemine judicetur*. Patryarchowie mieli zarząd nad biskupami, kapłanami i wiernymi w Patryarchacie swoim, synodów zwoływać niemogli, ani rozwięzywać trudności w rozumieniu Pisma ś. Sakrę od Ojców śś. biskupów rzymskich brali podlegli im biskupi i kapłani zawsze do Papieża odwoływać się mogli. Wschód z zachodem miał różne zwyczaje, inne formy zewnętrzne ale wiarę jednę, rząd jeden, naukę i Sakramenta jedne, jak nauczał Paweł ś. lub męczennik pierwszy, Stefan ś. Ojcowie kościoła te wiekopomne nieśmiertelne filary na Zachodzie i na Wschodzie, wielkim gieniuszem swoim i nauką, wspierali wiekuistą prawdę i wszystkie dogmata, do joty w nich niezmieniając. — Śty Bazyli, śty Jan Chryzostom, śty Grzegórz Nazyareński, śty Atanazy wschodni, śty Hieronim, Augustyn, Ambroży, Grzegórz W. zachodni stoją tu na dowód. Dopiero w dziewiątym, nadewszystko w jedenastym wieku biskupi konstantynopolitańscy oderwali się od uległości stolicy apostolskiéj. Niepojąwszy, nieprzyjmując łaski Zbawiciela, który nietylko nam obecność swoją w Przenajświętszym Sakramencie, ale i żyjącego zastępcę zostawił, wielkie Jego dzieło i zbudowanie, zepsuli. Przeto nie są Kościołem wschodnim, lecz społeczeństwem chrześcian oddalonėm od Kościoła. Mają biskupów i kapłanów, Sakramenta, z mocy im udzielonego poświęcenia przez Apostoły i ich następców, ale pełnéj mocy daru Ducha śgo, jaką ma Kościół ś. jeden, prawdziwy katolicki, nie

mają i mieć nie mogą. Wszystkich prawd wiary przez Zbawiciela objawionéj nieuznają; nie są na opoce i fundamencie Kościoła śgo przez Chrystusa położonym, postawieni; przeto nawracać ludów nie mogą, missyj czynić użytecznych i zbawiennych nie są w stanie. Nieposiadają ani doktorów, ani wielkich nauczycieli, ani dzieł znakomitych; słowem walczyć, opierać się, bronić nie są w sile. Społeczeństwo tych Chrześcian o mocy własnéj ostać się nie może, dla tego na władzy świeckiéj, na jéj orężu, na przymusie opiera się. Raz opuszczone od niéj, natychmiastby znikło, albo się w sektach i rozdziałach zgubiło. Jak ujrzemy co się nieustannie między niemi działo i dzieje. Społeczeństwo to nie ma mocy wzbudzić bożych zakonów, udzielać odpustów, ani też wpłynąć nie zdoła na losy społeczeństwa, na jego reformę i zmianę moralną. Zaledwie w pobożności mogą utrzymać pewne indywidua. Społeczeństwo to przejęło się nienawiścią dla Kościoła. Tą nienawiścią i prześladowaniem skaziło drugi dogmat: *miłości* przez Zbawiciela ustanowiony. Sprzeciwili się Kościołowi, na téj zasadzie, jakoby patryarchaty były sobie równe, a Kościół winien być rządzony przez patryarchów sobie równych. Wedle téj zasady nie byłoby dotąd żadnego Kościoła. Chrystus pan wybrał dwunastu apostołów; więc podług téj zasady potrzebaby dwanaście apostolskich stolic, któreby z sobą złączone, Kościołem rządziły. Przyznało sobie społeczeństwo chrześcian carogrodzkich wyższość nawet, z powodu urodzenia się i śmierci Zbawiciela na wschodzie, z powodu liturgii w starożytniejszym języku greckim, jakgdyby Chrystus pan przywiązał pierwszeństwo do miejsca lub do języka? Zbawiciel władzę oddał Piotrowi, który rzekł pierwszy: „Ty jesteś Chrystus Syn Boga żywego“ Cypryan śty mówi: „Kto jedności Kościoła bożego nie „trzyma, rozumie ze trzyma się w wierze? Kto Kościo„łowi bożemu sprzeciwia się, kto stolicy śgo Piotra na

„której Kościół fundowany odstępuje, rozumie że jest „w Kościele bożym? — bynajmniéj.“ To rozdzielenie się i odstąpienie patryarchatu carogrodzkiego od jedności Kościoła, nie poszło z żarliwości religijnéj, lecz z przyczyn politycznych, ziemskich, doczesnych. Religia stała się pozorem. Kościół katolicki założywszy stolicę swoją w Rzymie, rozwinął wpływy na całą ludzkość, zmieniając naturę ducha i stósunków towarzyskich. Do świata pogańskiego wprowadzał cywilizacyą, zmienił władzę panujących jaką mieli cesarze Rzymscy, władzę religijną straszną, na rządy królów uległych Kościołowi, ograniczonych prawami starców, biorących święte namaszczenie; wzbudził stan rycerski zobowiązawszy do bronienia niewinności, do rozlewania jałmużn, i różnych dla bliźnich pomocy, mających udział w prawodawstwie, we władzy krajowéj. Kościół śty wprowadzał nauki, rolnictwo, i dążył do zniesienia osobistéj człowieka niewoli. Tym duchem, temi nowemi prawami zmienił Kościół świat starożytny, jego ducha, jego prawa i stósunki. Wschód lękał się tego ducha europejskiego; to bogactwo możnych, ten nieoceniony skarb posiadania niewolników, chciał uchować. Czynił fanatycznie zaporę duchowi europejskiemu, duchowi chrześciańskiemu katolickiego kościoła, aby utrzymać i zachować wszystkie pogańskie przywileje, i wszelką władzę. Świat starożytny, duch pogański zniknął w Rzymie na zachodzie; na wschodzie pozostał niewzruszonym co do wszystkich przywilejów, śrogości, okrucieństw nad bliźnim, jako co do lenistwa, od którego Kościół katolicki odwodził dla rozlicznych prac w naukach, i rolnictwie. —

Cesarstwo przeto Wschodnie postanowiło się oderwać od Zachodu, od wszelkich stosunków, następnie rozwinęło się dla tych przyczyn odszczepieństwo. Cesarstwo Wschodnie usunąwszy się od Kościoła, od jego wpływów, zabezpieczyło przywileje pogańskiego starożytne-

go ducha, i wszelkie władze. — Chrześciaństwo w Cesarstwie wschodniém było tylko formą, niesięgającą ducha; bez wpływu, na społeczność w jéj władzy i stosunkach. Kościół katolicki moralnie, duchowo zmienił świat zachodni. Pomimo oporu rozlewał wpływy na Wschód, zjednał tylu biskupów, kapłanów, którzy się z Kościołem szczerze, zupełnie zjednoczyli, wracając do pierwszéj nienadwątlonéj za ojców Kościoła jedności; rozsyłał zbrojne rycerstwo, które królestwa zachodnie Latynów w Jerozolimie zakładali; wstępowali do Konstantynopola. — Chrześcianie Grecy woleli muzułmanów niżeli prawdziwych chrześcian katolików. Muzułmanie brali tylko haracz i w poddaństwo brali ich ciała. Chrześcianie katolicy władnęli duchem, w prowadzali braterstwo, naukę, znosili niewolę.

Te fakta nieszczęśliwego oddzielenia się, i odstąpienia Greków od prawdziwego Kościoła, które tyle wpłynęły na losy nasze i nieszczęścia słowiańskie od początku, przejdźmy z uwagą. —

Sobory, jak mówiłem, niemogły być zwołane tylko przez Ojca Św., miały w ówczas moc swoją, gdy ustawy jego przez Papieża były utwierdzone; na ich czynione ustanowienia: *litterae formatae*, *communicatoriae*, *canonicae*, *canones*, w całem chrześciaństwie były ściśle wypełniane. Patryarchowie chociaż mieli rząd w patryarchatach, jak biskupi w Dyecezyach, to zawsze ojcowie śś. Papieże, rozsyłali *stróżów miejsca*, którzy przy każdym Patryarsze, osobę ojca S. przedstawiali, i przezeń jako głowę kościoła, strzegli jedności, nieskazitelności wiary i zachowania kanonów. Tą drogą był rząd Kościoła na każdem miejscu przez Papieża sprawowany. Wszyscy biskupi są członkowie Synodu, każdy z tych Synodów, prezydowany przez stróża miejsca, przez Nuncyusza papiezkiego, po nim koleją zasiadali Patryarchowie w tym porządku: Alexandryjski, Antyocheński,

Jerozolimski. Te Patryarchaty oznaczone były r. 325 na Soborze Nicejskim. Synod Konstantynopolski roku 381, Patryarchat w Konstantynopolu ustanowił, dając mu miejsce co do powagi w Kościele piąte; w zarząd oddano mu Tracyą. Czwarty Synod Chalcedoński r. 451, przydał pod zarząd prowincye Azyi Mniejszéj i Pontu, i Patryarsze konstantynopolskiemu przyznano w Synodach drugie miejsce, które zawsze Alexandryjski zajmował. Uczyniono to dla wpływów wielkich jakie mógł wywierać Carogrodzki biskup na chrześciaństwo, będąc wspierany opieką przebywających tam Cesarzów. Przez ustawy tych wszystkich Soborów, władza biskupa rzymskiego jako głowy Kościoła uznana i zapisana w kanonach. Zawsze się też wszyscy po naukę do Rzymu z całego Wschodu i chrześciaństwa udawali. W 78 roku po Chrystusie Patryarcha wschodni Polikarp chodził do Rzymu do Ojca św. Anakleta, dla naradzenia się względem obchodzenia uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego. Patryarcha alexandryjski Atanazy odwoływał się do Rzymu. Paweł Eparcha antyocheński od Cesarza Aureliusza do sądu biskupa rzymskiego odesłany. W 347 r. Sobor sardyński postanowił aby biskupi od sądów i wyroków na siebie wyznaczonych apellowali do Papieża, aby im naznaczył sędziów; tegóż Soboru, art. (3) aby wszelki biskup dopotąd niezajął stolicy swojéj, dopokąd utwierdzonym przez Ojca św. nie będzie. — Juliusz Papież zwoływał sąd na Atanazego, Innocenty na Chryzostoma Patryarchów konstantynopolitańskich. Cesarze w prawach mających styczność z Kościołem do biskupa rzymskiego się odnosili, głową Kościoła zowiąc go i mianując. R. 379 i 381 w dekretach Gracyana i Walentyniana Cesarzów powiedziano, aby biskupi wschodni, Patryarchowie, odnosili się do Apostolskiej rzymskiej stolicy, jako do głowy Kościoła. W Kodexie też Justyniana zapisano jest:

„Wszyscy duchowni są poddani biskupowi rzymskiemu, głowie świętych sług Boga“. W szóstym wieku, kiedy Jan patryarcha Carogrodzki przybrał tytuł Patryarchy oekumenicznego powszechnego, upominał go Pelagiusz II i Grzegórz zowiąc się nieinaczéj, jak sługą sług bożych: *Servus servorum Dei;* na mocy tych słów Chrystusa: „kto z was jest pierwszym, będzie sługą wszystkich“. Cesarz Fokas wydał rozkaz, aby się tak nie mianował Patryarcha Carogrodzki, bowiem Patryarchą powszechnym jest tylko *jeden,* biskup rzymski, Papież.

Stolica S. Apostolska prócz ustanowionego od Zbawiciela zarządu nad Kościołam, słynęła jeszcze z wielkich cnót Papieżów, których trzydziestu pierwszych, krwią swoją męczeńską, stolicę Apostolską rzymską, po nieskończone wieki uświęciło; z wielkiéj mądrości jaką się odznaczyli inni Patryarchowie i Biskupi, nakoniec z postępów, które za wpływem Apostolskiéj rzymskiéj stolicy czyniło chrześciaństwo w Afryce, w Hiszpanii, Gallii, Sycylii, patryarchaty dla niewiernych odszczepieńczych synów Kościoła, były punktem oparcia i zasadą, na któréj się opierając odstępowali od głowy, tém samem od Kościoła. Patryarchaty zwano też apostolskiemi stolicami, byli tam bowiem pierwszymi biskupami: Marek, Jakób i inni. Biskupi tych apostolskich stolic, Patryarchowie, brali utwierdzenie, sakrę, od Papieża, przez niego byli sądzeni. *Stróże miejsca* (Nuncyusze) ze strony Ojca ś. przysyłani, nieodstępowali patryarchalnych stolic, aby w nich była wiara nieskazitelną. Przez nich to rządzili Patryarchami, jako i wszystkiemi innemi biskupami. Stolice: Alexandryjska, Jerozolimska, Antyocheńska wierne były głowie Kościoła, aż do swego upadku pod mieczem Islamu i odstępstwo Carogrodu postąpiły. Odszczepieństwo, które się aż jedenastego wieku wypełniło, niemoże być nazwane *Wschodniem,* ale li tylko Greckiem, Carogrodzkiem. Patryar-

chat Carogrodzki w lat 500 dopiero po Chrystusie ustanowiony, nazwany nowo wszczepioną winnicą. Żaden Apostoł biskupstwa w Carogrodzie niezałożył. Nowy Eparchat następstwa apostolskiego niemający, tem samem Ducha ś. Apostołów niepodzielał. Duma i hardość miotały nim, kiedy mądrość i męczeństwo uświęcały ś. apostolską rzymską stolicę. Trzydziestu męczenników w nieprzerwanem po sobie następstwie uświęciło ją. Jako Patryarchat Carogrodzki był córką odrodną, Alexandryjski był prawem ramieniem Kościoła. Zasiadali tam Atanazy, którego naukę przyjął Kościół katolicki; Cypryan ś. i mądry Tertulian. Pod naczelnictwem ś. Marka następców, Egipt się i Afryka nawróciły. Kościół ś. i wiara boska, tak się tam rozkwitły i umocniły, że ją klasyczną ziemią Chrześciaństwa nazwano. Inni Patryarchowie w Antyochii, Jeruzalem, Cezarei, niedawali się uwodzić greckiemu odszczepieństwu, uznając zawsze Biskupa rzymskiego głową Kościoła. Piotr Antyocheński w dziele swojém *Monumentum Ecclesiae* tak mówi: „Łaska boża nam ustanowiła ś. rzymską Stolicę głową, opoką i fundamentem Kościoła; pod Jéj zarządem cztery Patryarchaty w świecie całym. Jako ciało człowieka pod rządem głowy którą jest Chrystus i Jego Następca.“ Eparchat Carogrodzki, jak go Teodoret zowie: nowo wszczepiona winnica, oderwał się od Kościoła przez hardość i występki naczelników. By się przy nich swobodnie ostać mogli, odszczepili się od Kościoła od Ojca św. bo ich przez sobory hamował, sądził i karał.

„Rzymska stolica, mówi nasz Skarga w pokoju Boga chwaląca, niezliczeni jéj męczennicy wszystkie najazdy bałwochwalstwa przełamali; rozkoszna córka stolica Carogrodzka, w rozkoszy popędliwa, w próżnowaniu pusta, która nigdy na plac męczeński nie wychodziła, teraz dopiero niewstydzi się panowanie i pierwszeństwo przypisywać, niewstydzi się uwłoczyć matce pracą stra-

pionéj, na służbie Boga zestarzałej, na wojnie Pańskiéj wysilonéj. W lat 500 po Chrystusie postawiona, daleka od zasług Alexandryjskiéj, która w stolicy starożytnych umiejętności nauk, zdołała wyższość światła Chrystusowéj prawdy, utwierdzić, do dziwnéj wzniosła się dumy. Niemając apostolskiego następstwa ani cnót i ducha Bożego, prześladując swoich świątobliwych biskupów, jak Chryzostoma, Bazylego, do nieuznania nad sobą głową Kościoła Ojca ś. dumą, rozwiozłością obyczajów w Carogrodzie panująca nieustannie dążyła".

Rzym pracował nad rozszerzeniem wiary Chrystusa, w Gallii, Hiszpanii, Brytanii, był ochroną ludzkości przeciw barbarzyńcom; cywilizacyą chrześciańską dzikość najezdźców łagodził, narody w ukształcone moralne ludzkie towarzystwa rządzące się prawem, urządzał. W Alexandryi chrześcianie oddając się naukom tam jeszcze kwitnącym, przechowywali i przenosili do umysłów te pomniki starożytnych greckich nauk w portykach Alexandryjskich zebrane. Jak je póżniej Islamizm przez Omara zniszczył i spalił byłyby zaginęły na wieki, gdyby Chrześcianie Aleksandryjscy niezebrali tych pamiątek przenosząc je do Europy, stali się przeto źródłem ukształcenia europejskiego. W samem jednem mieście Alexandryi było 600 Parabolanów czuwających nad choremi, ratujących w cierpieniach. W nowo wszczepionéj stolicy, któréj miejsca zasłużonego z pokorą ustąpiła Alexandrya, to kacerze, to rozwiąźli, w próżnowaniu karmili pychę.

Euzebiusz Nikomedyjski Aryjanów chorąży, bóstwa Chrystusowego bluźnierca, potępił go sobór Nicejski; Macedoniusz Ducha ś. za Boga nie mający—potępił go sobór Konstantynopolski; niecny Demofilas i drugi aryanin Eudoxiusz Nestoryusz który zasadom wiary zaprzeczał, potępiony przez sobór Efezki; Eutyches bóstwu Chrystusowemu zarzucający, przeciw któremu złożony

sobór Chalcedoński; Antynos jak mówi Skarga: Eutychesowego jadu wilk, — przeciw niemu złożony sobór piąty w Konstantynopolu. Eutychius który błędne księgi o zmartwychwstaniu ciał pisał; trzej znowu kacerze, którzy błędy swego metropolity Eutychesa utrzymywali, i złożony przeciw nim sobór szósty. Inni mający na celu osobiste zamysły, przeciw którym zwołano sobór siódmy. Jak więc złem życiem siali błędy, Ojciec śty biskup rzymski, zwoływał Patryarchów ojców Kościoła, biskupów, aby położyć hamulec herezyom, doskonałem oświeceniem ratować chrześcian w wierze, ocalić nieskazitelność prawdy i nauki objawionéj. Wszystkie herezyarchów zamysły gasły bezskutecznie i niknęły, niszczyła je Boska prawica, i Zbawiciel nasz Chrystus Pan, przez Zastępcę swego w Kościele ś.

W Rzymie Juliusz wielkiemi słynął cnotami, Leon IX poświęceniem się powołaniu, Grzegórz i Urban do najwyższego stopnia podnieśli duchowną moc Zbawiciela. Wszystkie narody chrześciańskie były zlane w jednę rodzinę duchem Zbawiciela rządzoną. Jedno słowo Papieża, zrzucało królów, Ojcowie śś. byli patronami sprawiedliwości; hamulcem władzy; czego propaganda, filozofia, uczynić nie mogą. Los najbliższego i spokrewnego narodu jest obojętnym dla drugich. Władza Ojca ś. zwoływała narody, które z najpiękniejszem rycerstwem swojem leciały, oswobadzać chrześciaństwo, zasiewać cywilizacyą. To czuwanie duchowne nad światem całym, ta równowaga względnie uciemiężających i uciśnionych, ten rząd Zbawiciela nad całą ludzkością, sprawowany przez starca bez siły, z mocą tylko Ducha, z mocą od Boga, znalazł fałszerzy, nauczycieli, patronów egoizmu, którzy to potępili.—Stolica Carogrodzka co do losu i szczęścia ludzkiego bezwładna, nawróciła Słowiańszczyznę, to było w czasie gdy rozdzielona z Kościołem nie była. Wlała w Słowian spokojnych, braterskich, ci-

chych, zarzewie swéj niejedności i pychy. Rozpoczęły się przez wieki nieugaszone bratnie słowiańskie nienawiści i wojny, które wzbudziła niejedność Carogrodzka i odszczepienie się od Kościoła.

Opowiedzmy fakt tego rozerwania się, przez Focyusza wykonany, który zawsze był, jak mówiłem, formą tylko. Główną bowiem treścią, źródłem rozdziału był duch, były cele państwa wschodniego, które straciło potęgę, siłę cesarzów rzymskich, stare, acz pogańskie rzymian cnoty. Przewrotność, zbytek, rozpusta, w nim panowały. Niechęć główna do zmiany życia, do prostoty, do obyczajów i uczuć chrześciańskich; niechęć i niemoc. Do tego przy bezsilności pragnienie niezależnéj od Boga władzy zupełnéj nad człowiekiem, aby go utrzymać w ostateczném niewolnictwie i ciemnocie. Ztąd wstręt gwałtowny do Kościoła katolickiego, do jego praw, jego ducha i téj dzielności młodzieńczéj z któréj wytryskał żywot. Cesarstwo służąc rozkoszom, zmysłom i zbytkom, nie mogło być w Kościele i służyć Bogu i działać w Duchu ś. Trwało nie siłą, lecz przewrotnością i okrucieństwem. W Kościele świętym państwa życiem nowem, młodzieńczem, rycerskiem, duchowem, rozwijają się i rosną w czynach. Państwo wschodnie, słabło, gniło, będąc starym pogańskim światem. Patryarchat grecki stał się jakby religią stanu, utrzymywał cesarstwo, i od niego Wschód zależny w stagnacyi, w życiu rozwiozłem, w przywilejach niechrześciańskich, w władzy nieludzkiéj. Odszczepieniem się swojem od Kościoła, uznał pierwszeństwo swoje i niezależność, i cesarstwo wschodnie od życia chrześciańskiego i cywilizacyi odcinał. Przyłożyły się do tego patryarchów występki, co zaraz opowiemy.

Michał III cesarz grecki będąc człowiekiem złych obyczajów, znosić nie mógł patryarchy Ignacego jednego z najcnotliwszych biskupów, zrzucał go samowładnie z dostojeństwa, wtrącał do więzienia. Cywilny człowiek

Focyusz został po nim patryarchą. Przełamawszy kanoniczne prawa przeszedł z świeckiego człowieka przez wszystkie stopnie, subdyakona, dyakona, presbytera, biskupa, tłumacząc się przykładem Atanazego. Ta zachodziła różnica: za czasów Atanazego, był zwyczaj, że lud wybierał biskupów, Atanazy obrany dla świątobliwości, a Focyusz dla pychy sam się mianował. Focyusz godny Eutychesa, Nestoryusza następca od nich baczniejszy, widząc że ci na dostojeństwach utrzymać się nie mogli, gdyż Ojciec ś. ich gromił i odsadzał, postanowił uniknąć ich losu, przez zupełne od stolicy rzymskiéj oderwanie się. Mikołaj Papież do całego Kościoła, do patryarchów: Aleksandryjskiego, Jerozolimskiego rozesłał odezwy, oświadczając że wejście Focyusza na biskupstwo Carogrodzkie jest nieprawne, i przeciwne kanonicznym prawom. Uznał więc rzeczywistym Carogrodzkim patryarchą Ignacego. W odezwie swojej do Focyusza, w wyrazach pełnych umiarkowania i słodyczy mówi: *nie należy samemu nie umiejąc, nauczać.* Posłał więc bullę w któréj uznał nieprawym patryarchą Focyusza, dołączył jednak Ojciec ś. to upomnienie: gdyby Focyusz wszedłszy na dostojeństwo przez nieprawość względnie swego poprzednika, uczynił jaką Kościołowi i chrześciańskiemu usługę, gdyby się odznaczył zabezpieczeniem Kościoła od nowo szerzącéj się sekty Ikonoklastów, tedy Stolica Apostolska przyzna mu biskupstwo Konstantynopolskie. Focyusz nie bacząc na te słowa mądrości i umiarkowania odpowiedział obelgą i groźbą, do czego żadnych praw i władzy nie miał, zwołał synod swój w Bizancyum na którym zniesienie bulli Papieża Mikołaja ogłosił. Ojciec ś. zwołał wówczas sobór powszechny r. 889 z rzędu ósmy, do samegoż Konstantynopola, na który się zjechali biskupi zachodni, Aleksandryjscy i greccy. Sobór ten uznał występek Focyusza, ogłosił go w całym Kościele, jako syzmatyka i

tyrana, cudzołożcę i na zawsze go od Patryarchatu odsunął.

Michał III w tym czasie zamordowany. Bazyli wstąpiwszy na jego miejsce, Focyusza wtrącił do więzienia, uwolnił Ignacego, który objął należące sobie biskupstwo. Bulgarya przyjęła religię chrześciańską z Grecyi. Bogorys król Bulgaryi, od podległości cesarzowi wschodniemu chciał się uwolnić, doznając ucisków i niewoli. Tym końcem wysłał do Rzymu, prosząc o duchownych rzymskich. Ci gdy przybyli, zaczęła się w Bulgaryi krzewić religia obrządku rzymskiego, a wschodni kapłani jednoczyli się z Kościołem. Król bulgarski o oderwaniu się cywilném od poddaństwa cesarstwu zamyślał. Bazyli cesarz oswobodził Focyusza, ten wstąpił znowu na patryarchat, wygnał gwałtem duchownych rzymskich. Cesarz Bazyli, ujął silnie we władzę swoją Bulgaryą. Dla zabezpieczenia wpływów Zachodu oswobadzających prowincye i ludy, nastąpiło przez Focyusza oddzielenie się zwane *Dyzunią*. Po raz pierwszy wykonany czyn ten jest sprzeciwieniem się Chrystusowi, Jego Zastępcy i całemu Kościołowi, tém bardziéj nieprawy, że dla ziemskich w gruncie interesów i celów, że był wykonany przez człowieka, który nie tylko przez Ojca ś. Mikołaja Vgo potępiony, ale że i cały sobór powszechny potępił Focyusza, uznał go i ogłosił w chrześciańskim świecie jako syzmatyka i tyrana.

To rozłączenie się nie było zupełne w dziewiątym wieku, bowiem po śmierci Focyusza patryarchowie inni nie odstępowali od Kościoła. — W jedenastym dopiero wieku stanowczo nastąpiło rozdzielenie się *Dyzunia*. W dziewiątym wieku z Zachodu, z Rzymu przybyli Misyonarze, wpłynąć mogli na oświecenie Bulgaryi i niepodległość téj prowincyi. W jedenastym wieku państwa w Kościele będące, rozwijać zaczęły tak wielką zjednoczoną siłę, że już dążyły do ogarnienia całego Wscho-

du, pod wpływ i moc cywilizacyi chrześciańskiéj. Wtedy zaczęły się wojny rycerskie, wojny krzyżowe. W téj epoce lękając się cesarstwo wschodnie o byt swój, rozwinęło tę nienawiść, ten spór, który odszczepieństwo wykonało. Dyzunia wysypała obronny szaniec przeciwko światłu, duchowi Kościoła, i ramionom bohaterskim rycerskich jego wojowników. Dyzunią grecy popierali na teologicznych sporach i zarzutach katolickiemu Kościołowi. Co do tajemnicy Trójcy ś. psuli dogmat jedności; sprzeciwiwszy się Zastępcy Piotrowi, bluźnili Chrystusowi, dowodząc że Duch ś. nie pochodzi od Syna. Przekonali natychmiast że odejście od Piotra i jego następców, jest odstąpieniem od wiary. Ta kwestya rozstrzygniętą jest przez Ojców Kościoła. Sądzili się być wielkimi obserwantami, zachowując wszystkie posty, jakie były od początku chrześciaństwa. Cóż znaczą ich posty w stosunku do tylu wigilij w kościele katolickim, tylu suchych dni? Jaka różnica zachodzi w adoracyi Przenajświętszego Sakramentu, w cerkwi greckiéj? ołtarz jest stołem, na nim w wielkiéj czci Słowo Boże, Ewangelia. Zbawiciel dał nam światło i żywot, światłem jest słowo Jego, a żywotem ciało i krew Pańska. W kościele przeto katolickim nie jeden jest stół, ale dwa, te dwa złączone stanowią ołtarz. Jeden na którym ewangelia, a drugi z nim złączony na nim ciało Zbawiciela (w Monstrancyi). U nich wszyscy, kapłani nawet raz tylko przystępują na rok do Przenajświętszego Sakramentu, w kościele katolickim nieustannie się Nim wierni pańscy zasilają. Jaka przeto różnica Ducha doskonałości, i w Bogu ćwiczeń? Jaka różnica duszy zostającéj w ciągłém z Chrystusem społeczeństwie, od téj która się ledwo raz na rok zasila? Gdzież te solenne processye i Przenajświętszego Sakramentu wystawienie—Uroczystość Bożego Ciała?— Gdzież w cerkwi dyzunickiéj sobory? poprzestają na tych tylko, które się

w jedności na początku chrześciaństwa wykonały. Gdy przeciwnie Ojciec ś. nie przestawał i nie przestaje zbierać biskupów; sobór florencki, sobór trydencki, jakżeż rozwinęły naukę Kościoła! W dyzunii małżeństwo kapłanów, jest przeszkodą do apostolskich prac, poświęcenia się, przywięzuje sługi boskie do miejsca, czyni je lękliwemi, ostrożnymi, o los ziemski dbałymi. Kapłaństwo na czystości oparte w Kościele katolickim jest jak by aniołem na ziemi. Nie przywiązane do miejsca, ale do Zbawiciela, i do dusz ludzkich. Ztąd tyle w Kościele ś. było wielkich zakonów, tyle missyj, tyle nawróceń narodów, tylu świętych, tyle cudów! Cóż powiedzieć o odpustach, o tych łaskach nadprzyrodzonych z nieba dla dusz w czyszczu, dla zjednania miłosierdzia bożego, o czem dyzunia nie wié, czego niedoświadcza. W dni te, jak wielkie zgromadzenia pobożnego ludu, kapłanów, biskupów; publicznie udzielany, bierzmowania Sakrament; wszyscy kapłani mają msze śś. kazania, nauki, katechizmy, spowiedzie, wszystko się to w solenne dnie spełnia.— W cerkwi dyzunickiéj, ani kazania, ani nauki jedna tylko msza ś., gdyby i najwięcéj było kapłanów. Sądzą się dyzunici być lepszéj obserwancyi, że przyjmują Ciało i Krew Pańską w dwóch postaciach, tak jak na Wieczerzy Pańskiéj Chrystus Pan chleb i wino poświęcił. — W kościele katolickim kapłani pożywają Ciało i Krew we mszy ś., wierni w jednéj tylko postaci; chcąc ułatwić Kościół żeby w każdém miejscu i jako najczęściéj wierni pożywali wiekuisty chleb żywota, postanowił w jednéj postaci udzielać. Albowiem gdzie jest Ciało tam i Krew. Ciało bez krwi być nie może. Kto pożywa Ciało pożywa i Krew. Te różnice zwyczajów nie stanowią różnicy w wierze. — Gdzie się tylko chrześcianie obrządku wschodniego jednoczyli z Kościołem, zwyczaje ich wschodnie, starożytne obserwancye, jako chwalebne, wszędzie były zachowane. Szło

tylko o przyznanie dogmatu doskonałéj jedności z sobą trzech osób Trójcy ś. jednego Boga, o zupełną uległość Piotrowi i Jego Następcom jako głowie, o uczestnictwo łaski Bożéj, od któréj oddalając się, od głowy chrześcianie się usuwali. Nie ustalając swéj wiary na opoce nie mogli być w Kościele. Po przyjęciu tych prawd głównych, wszystkie obrządki święcie zachowano i błogosławiono. — Odprawianie jutrzni ciemnych w nocy w kościołach, przyjmowanie Najświętszego Sakramentu w dwóch postaciach; cóż zarzucić jeszcze mogli naszemu Kościołowi dyzunici?—Czy to że liturgia ich w starożytniejszym języku greckim, że Chrystus Pan się narodził na wschodzie a nie na zachodzie. Jedna tylko prawda jest wyższa od błędu.—Pismo ś., ewangelia jednocześnie była na język grecki i rzymski przełożona. Zresztą czyli Chrystus Pan przyszedł tylko wschód zbawić? — Zbawiciel chciał odkupienia wszystkich ludzi. Piotr jeden najpierwszy pojął prawdę objawionéj łaski dla zbawienia wszystkich ludzi, bez różnicy, bez względu miejsca i narodu. Piotr pierwszy rzekł do Chrystusa: „Ty jesteś Syn Boga żywego". Pierwszy wiarą swoją objawił bóstwo Chrystusa Pana. Opoką Kościoła Chrystus Pan nie uczynił miejsca, ziemi, miasta, ale człowieka, męża, Piotra i jego następców. Zarzucali Kościołowi dyzunici że mają msze czytane, że ofiary sprawują się w miejscach prywatnych—lecz Kościół ś. chcąc jak najwięcéj zbliżyć do uczestnictwa łask w ofierze mszy śś. spływających, dozwolił mszy czytanych, przeto w każdém miejscu gdzie niemasz nawet kościoła, w ubogiéj kapliczce, słuchać mszy śś. katolicy z łatwością możemy.

Cóż mówić o czci Najświętszéj Maryi Panny? Kościół ś. na jéj cześć pości soboty, odśpiewuje loretańskie litanije, odprawia różańce, nowenny; — ustanawia bractw tyle: Szkaplerza ś., Niepokalanego poczęcia. Cóż mówić o uczynkach miłosierdzia, o ratunku ubogich i chorych?

w Kościele katolickim siostry miłosierdzia, i tyle rozmaitych bractw, zakonów, dyzunitom nieznanych.

Po wykonanéj w jedenastym wieku dyzunii greckiéj przez Cerularyusza patryarchę, nie przestawali biskupi rzymscy, czuwać nad niemi. Jeden z Papieżów Grzegórz XIII założył swoim kosztem Kollegium, dla siedmdziesięciu greków w Rzymie, aby uczyć ich wiary katolickiéj, z zachowaniem obrządków wschodnich. Rzekł wtedy jeden kardynał: „dla czego Ojcze, dla tych niewdzięczników tak wielką wyświadczyłeś fundacyą?“ Ojciec ś. mu na to: „możnali aby jedna dusza do sądnego dnia zbawiła się z tego Kollegium?“ Odpowie kardynał: „to pewna że się zbawi i nie jedna“. Ojciec ś. rzecze: „dla téj ja duszy fundowałem Kollegium“.

Dla zjednoczenia greków były zwoływane w późniejszym czasie dwa sobory Lugduński r. 1244, ten do skutku nie przyszedł. Drugi szczęśliwszy uzupełniony r. 1439 za Papieża Eugeniusza IV florencki, w przytomności cesarza greckiego Paleologa, patryarchy greckiego Carogrodzkiego Józefa, metropolitów, biskupów greckich z jednéj strony; pod prezydencyą Nuncyusza rzymskiego Apostolskiéj stolicy, biskupów łacińskich i oświeceńszych duchownych całego chrześciaństwa, spełniony wiekopomny akt *Unii* wiekuistego zjednoczenia pod zarządem głowy Kościoła. Ustawy soboru ósmego uznane; Focyusz ogłoszony powtórnie za syzmatyka i fałszywego patryarchę. Wszystkie kwestye zobopólnie roztrząsane. Zgodzono się i połączono w jedność wiary, różnice obrzędów, zwyczajów, nienaruszające dogmatu, zostały na wschodzie zachowane. Patryarcha Jozef wielkim był promotorem, obrońcą, gorącym wyznawcą *Jedności.* — Po powrocie jednak do Konstantynopola, Marek Efezki podburzył niektórych kapłanów, rozniecił zapał narodowości Greków, którzy wszelkiemu jednoczeniu się z zachodem byli przeciwni. Głos zuchwały burzliwego i za-

ślepionego kapłana, możeż obalać ustawy synodu, zatwierdzone przez Ojca ś., przez prawego patryarchę Carogrodzkiego i biskupów przyjęte?—Sprzeciwienie się swoje Grecy oparli na zasadzie jakoby nie mogło było być w Kościele więcéj soborów tylko siedm, przeto ósmy który potępił Focyusza i florencki, są nieobowięzujące i nieważne.—Nam objawiono jest, iż jest tylko Bóg jeden, Chrystus jeden, Kościół jeden, Zastępca Chrystusa Pana jeden, Sakramentów siedm, a zaś biskupów liczba i soborów, nigdzie nie jest oznaczoną. Bliskie klęski, zwycięztwa Machometa i skutek ich, wzięcie Konstantynopola, nie dozwoliły ustaw Synodu florenckiego wprowadzić w życie, odtąd też chrześcianie greccy rozdzielili się na unitów i dyzunitów. Rozdział ten trwa dotąd. Unici jak zobaczemy, po większéj części byli w Słowiańszczyznie, w Polsce, jak się to niżéj powié. Dyzunici na wschodzie w Grecyi, chociaż i tam była zawsze i jest wielka unitów liczba. Unici mają za sobą jedność w jakiéj od początku chrześciaństwa do Focyusza zostawali. Sobór pierwszy Nicejski, który nawet o patryarchacie Konstantynopolskim nie wspomina, wszystkich chrześcian do jednego załącza Kościoła, w którym głową jest i rządcą biskup rzymski, a cztéréj patryarchowie są w zarządzie Kościoła jego pomocnikami. Sobór drugi co zowie Konstantynopol nowo wszczepioną winnicą; czwarty zaleca Konstantynopolskiemu Eparsze aby wspólnie dla chrześciaństwa pracował, prawdziwą wiarę i zjednoczenie rozszerzał; ósmy potępia Focyusza zowiąc go drugim Judaszem, jako Judasz zerwał jedność apostolską, on jedność, powszechnego, nierozerwanego nigdy Kościoła.—Florencki, który co było zawsze od Chrystusa na wieki zatwierdzające, uznał, i potępił za błąd co przez dwóch patryarchów Focyusza i Cerularyusza było wykonaném. Dyzunici mają za sobą tylko fałszywego patryarchę Focyusza, jego sobór nieprawy

w Bizancyum, i Efezkiego Marka głos, i burzę wznieconą. Ci dyzunici, iż tak powiem drudzy, którzy się zostali po synodzie florenckim, nie tylko jak Focyusz sprzeciwili się Ojcu ś., Piotrowi i jego następcom, ale i własnéj swéj eparchalnéj władzy: Patryarsze Carogrodzkiemu i biskupom greckim którzy ustawy synodalne we Florencyi przyznali, unią wiarę swoją zaprzysięgli i stwierdzili.— Mówi Skarga: „Powiadacie nie potrzeba więcéj soborów jak siedm i więcéj ich być nie może, co za nierozum! Niepotrzebny ósmy, który dyzunią potępia, błędy jéj okazuje, upór nieposłuszeństwa odkrywa. Radby złodziéj aby wójta i burmistrza nie było. Nie wiedzą ci ludzie iż ten jest koniec i potrzeba soborów aby była wykorzeniona herezya, jako złe ziele z ogrodu, z winnicy bożéj była wyplenioną“.

Słowiańszczyzna była początkowo zgodnie żyjącym ludem, rządzącym się w każdéj gromadzie starszemi, żyjącymi w zupełném z sobą braterstwie, od feudalizmu była bezpieczną, to jest urządzała się naturalnie własnem swojem towarzystwem bez napadu i wpływu obcego ludu. W innych europejskich państwach lud obcy, zajechawszy i napłynąwszy zwycięzko mieszkańców rodowych, w poddaństwo, hołdownictwo je obracał, czyniąc siebie stanem pierwszym, panującym. W słowiańszczyznie téj klęski nie było. Inna tylko która też zdziałała skutki swoje na ich losy, na ich rozdział z sobą, napad Skandynawów i Normandów. Był to czas pielgrzymek ludów, hord, orszaków rycerskich, dzielnych, czerstwych, silnych, mężnych, które płynęły na południe, zachód, zajmując kraje, prowincye, w zbytku, w starożytnéj cywilizacyi żyjące. Jak z gór śnieżystych odrywające się szmaty na ziemię spadając, topnieją, tak z północnych ludów żyjących na miejscach skalistych odrywały się to hordy, to indywidua rycerskie i bohaterskie i wpadały na dalekie kraje poludnia i za-

chodu, na Gallią, Hiszpanią spadły obce ludy, na Słowian tylko nieliczny, ale z dzielnych, rycerskich indywiduów skandynawsko - normandzki napad. Ci Normandowie, choć ich było nie wielu, odważni, dzielni, zalękli spokojnych Słowian, przerwali ich życie gromadzkie, pod ojcami jakby patryarchami rządzone, gminne. Przyszli najprzód od północnych Słowian, do osad Zaleskich, do Nowogrodzianów, Pskowianów; rychło stali się ich panami, dali początek rodzinie Ruryków skandynawskiego pochodzenia. Organizując jedynowładny rząd, coraz się daléj posuwając, dążyli do miasta słynącego w słowiańszczyznie bogactwem, handlem, stosunkami z Grecyą, to jest: do Kijowa i założyli tam stolicę.—Nietylko Nowogrodzianie, ale Polanie pod Kijowem, Drewlanie, Dulebi, pod ich mieczem i władzą uklękli. Utworzyło się przeto w słowiańszczyznie państwo wielkie, skupiające z sobą znaczną część Słowian północno - wschodnich; państwo Ruryków, państwo pod władzą książąt skandynawskich, państwo Normańdzko-Słowiańskie, *Rusią* nazwane, państwo, a księstwo Kijowskie.

Przeciwko téj władzy walczyła na zachodzie monarchia narodowa, współcześnie z Skandynawską, Normandzką, Kijowską, utworzona pod przewodnictwem ziomków z własnego ludu wybranych: Piastów, Bolesławów. Dziedzictwo Piasta mając za ojca i króla pszczelnika, od pługa, jęło się oręża i broni, nie lękając się Normandów rycerskich; rosło w odwagę i siłę, z nimi walczyło, i częstokroć ich zwyciężało pod przewodnictwem swoich Bolesławów.—Bolesław w potomności najdalszéj zwany Wielkim, potomek rodzinnéj wiejskiéj gminy, prawnuk pszczelnika, był reprezentantem, obrońcą, pierwotnego słowian braterstwa i wolności. Gminy rodzinne skupił w całość, utworzył państwo które ozdobił i podniósł królewską koroną. On i jego potomkowie: Bole-

sław Śmiały i Krzywousty, rodzinnych Słowian bronili z zachodu od wielkiego Imperyum; ze wschodu od nowego państwa Normandów, które aż do rodzinnéj Polski sięgało. Utworzył się przeto między jednolitą, z rodu, obyczajów i życia, słowiańszczyzną, rozdział na dwie części, od siebie różne i oddalone, charakterem, duchem, i celem swych rządów. Religię chrześciańską obydwa państwa przyjęły, królestwo Bolesławów w rzymsko-katolickim obrządku, Normandzkie Ruryków, z patryarchatu Konstantynopolskiego, a to z powodu stosunków jakie zachodziły między Kijowem, a Carogrodem. Kijów był bowiem osadą grecką. Powtóre stósowniejsza była religia chrześciańska obrządku greckiego, dla natury jedynowładnego rządu w księstwie Ruryków. Nowe to księstwo, nie chciało się poddać moralnéj zwierzchności i władzy, jaką wywierał Kościół katolicki, nad wszystkiemi, mianowicie nowo nawróconemi państwami. Ta różnica obrządku utworzyła wielkie główne rozróżnienie w Słowiańszczyznie jednolitéj, wprowadzając dwie cywilizacye, tworząc z nich dwa przeciwne obozy. Religia chrześciańska na Ruś weszła do Kijowa głównie po Focyuszu, jednak przed zupełném odszczepieństwem, które późniéj za Cerularyusza było wykonaném, oderwanie się Focyusza było chwilowém, gorliwi jeszcze kapłani na wschodzie jedność Kościoła utrzymywali. Takimi byli pierwsi apostołowie Rusi, ś. Cyryl i Metody, postanowili wprowadzić liturgią w miejscowym słowiańskim języku, lecz wzbronił im tego patryarcha grecki, odwołując się do Adryana Papieża. Ten dozwolił księgi, przełożone na język słowiański; w kościele *Stae Mariae pacis* w Rzymie poświęcił, z zezwolenia apostolskiéj rzymskiéj stolicy. Bulla: *Omnis Spiritus laudet Dominum*, wprowadzona na Ruś z wielkim przywilejem jedyném w Kościele ofiary, i zupełnéj chwały, w własném swém narzeczu. Kapłani greccy mocno się temu przeciwili zowiąc

to herezyą, mówiąc: jako Bóg jest we trzech osobach, tak i chwała Jego, w trzech tylko być może językach: hebrajskim, greckim i rzymskim. Na zasadzie téj bulli: *omnis spiritus laudet Dominum*, z łaski Ojca ś. biskupa rzymskiego wprowadzony obrządek słowiański. Przeto Ruś podwójnie się przywiązała do swego obrządku, uczuciem religijném i narodowém. Rozwinęła się w nich ile miłość ku temu obrządkowi, tyle niechęć i bojaźń ku łacinnikom, aby nie odjęli im téj narodowéj ich religii. To jest najgłówniejszy dowód, że Ruś początkowo, chociaż przez jedynowładnych książąt Normandzkich rządzona, złączonych systematem rządu, związkami pokrewieństwa z cesarzami wschodniemi greckimi, następnie większa przychylnością do patryarchatu greckiego jak do katolickiego Kościoła, za staraniem jednak śś. Cyryla i Metodego od stolicy rzymskiéj była pierwotnie namaszczoną. — Drugim dowodem jest wzięcie od Rusi za patrona głównego ś. Mikołaja, który niema takiéj czci w Konstantynopolu i Grecyi. Stolica rzymska po nawróceniu uczyniła go patronem Rusi, a ciało jego złożone jest w Rzymie. Dowód nie mniejszy że pierwsi apostołowie Cyryl i Metody są przez kościół rzymski za świętych uznani, jako też pierwsi umęczeni książęta: Chleb i Borys, równie i wielu pustelników peczerskiéj Ławry. Kościół nie uznaje za świętych tylko tych którzy uznają wszystkie Kościoła katolickiego dogmata, są w posłuszeństwie ś. apostolskiéj rzymskiéj stolicy; przeto Chleb i Borys i pierwsi pustelnicy Ławry uznawali władzę Piotra i jego następców, kiedy przez Kościół katolicki między świętych policzeni zostali. Tak chociaż Normandzcy Rurykowie pragnęli wprowadzić do państwa swego religią grecką od Kościoła oddzieloną, zupełnie taką jak w Carogrodzie i państwie wschodniem, ta jednak wpływem apostołów, w początku swoim, otrzymała w Kijowie, katolickie namaszczenie. Dla tego to Ruś najpierwéj

z Kościołem świętym zjednoczyła się; łatwiéj od całego wschodu weszła w jedność, w jedności téj kwitła, wielkie dawała i wyda dla Kościoła katolickiego owoce, bo w pierwszém namaszczeniu swojém była katolicką, tak dalece, że jeden Ojciec ś. w bulli swojéj zowie ich: *Divi Rutheni per vos totum Orientem convertere speramus.*

Pomimo jednak tego pierwotnego katolickiego przy nawróceniu swojem przez Papieża Adryana i apostołów Cyrylla i Metodego namaszczenia, kiedy w jedynastym wieku nastąpiło zupełne Grecyi odszczepienie się, to odszczepieństwo wciągnęło i Ruś, która w dwunastym i trzynastym wieku aż do Synodu Florenckiego była Dyzunicką. — Po pierwszem swojem namaszczeniu katolickiem, jakże święte wydała owoce! Ławra peczerska zasłynęła bogomyślnymi pustelnikami jak owi: Antoni Teodozy. Brzmiał wpuszczach leśnych dzwon ś. Ławry i niezwykłem uniesieniem się ku Bogu zachwycał. Pierwsze religii chrześciańskiéj wpływy na Rusi, były w życiu pustelniczem. Zagłębienie się w Bogu, w ostrem zamknięciu, w głębokiej pieczarze, nieustanny post i modlitwa. Obrano dobrowolnie życie podziemne, życie w grobie, naśladując pierwszych męczenników, którzy zniewoleni byli wgłębi ziemi ukrywać wyznanie swoje. Pierwsi chrześcianie na Rusi dobrowolnie taki żywot pierwszych męczenników z własnej woli i poświęcenia się wiedli. Podniosło się też w pierwszem katolickiem namaszczeniu i narzecze Rusi; pisać się w niém zaczęły księgi duchowne, świeckie; zasłynął Pra-ojciec kronikarzy i historyków Nestor mnich peczarski.

Nastąpiły w słowiańszczyznie rozdzielonéj na Polską i Ruską dwie wielkie religijne różnice, dwa rozmaite odrębne kolory, dwie barwy. W Polsce katolickiéj biskupi byli to książęta Państwa, obdarzeni wielkiemi dobrami, wpływali na ukształcenie prawodawstwa, mieli stosunek i życie polityczne w Państwie swojem. Wprowadzeni

do życia publicznego, aby w niém dawali przykład i utrzymywali przytomnością swoją, radą, powagą, i aby jako oświeceńsi z powołania swego nauczyć mogli. — Wielki zakon Benedyktynów, oddając się pobożności zakonnéj wpływy swoje i życie miał towarzyskie. Założył szkoły, krzewił nauki, rozwijał i kształcił rolnictwo. W Rusi kijowskiej biskupi od wszelkiego wpływu i udziału w Państwie oddaleni. Szkoły się tam niekrzewiły, pustelnicy tylko wiodąc żywot jakoby pierwszych męczenników, przedstawiali wzory wielkiéj nadludzkiej pokuty. — Gdy po jedenastym wieku Dyzunia i w Rusi się wszczepiła, te owoce pierwotnego katolickiego nawrócenia i namaszczenia ponikły. Zabrakło pustelników i świętych; niestało Nestorów. Tymczasem zamiary książąt Normandzkich Ruryków prędko swój koniec wzięły. Podziały na drobne księstwa osłabiły siłę Wielkiego księstwa Kijowskiego sięgającego od Pskowa i Nowogrodu do Lublina; wojny wzajemne między sobą i kłótnie coraz je rujnowały; przyłączył się zwycięzki oręż królestwa Piastów; wpływy Węgrów, pogromcy oraz Litwy; dotego straszny miecz Tatarów, dotyla to nowe i wielkie Państwo strapiły, iż jako się szybko rozwinęło, tak trwało chwilowo, a między Dnieprem i Bugiem zniknęło zupełnie. Księstwo Bolesława uległo tymże rozdziałom, a z nich prawicą Łokietka do pierwszéj wróciło jedności, i wyrosło w potęgę jednocząc się z Litwą. Książęta Rurykowie w Czerwonéj, Białéj, Czarnéj Rusi i w Kijowie panować przestali. Część więc Rusi od władzy ich oswobodzona stojąc obok nowéj potęgi polsko-litewskiéj z nią się zlała. Wszystkie przywileje służące Polakom Kazimierz W. zapewnił Czerwonéj Rusi, a Władysław Jagiełło krajom Wołynia, i Podola ciągnącym się od Bugu do Dniepru. — Do tego połączenia się wiodło bezpieczeństwo od Tatarów, i wielki nieoszacowany przywiléj szlachectwa polskiego,

do którego Rusini przypuszczeni zostali, tak że dziś połowa rodzin szlacheckich pochodzi z Rusi, przyczem zostawiono im wolność zatrzymania religii i narzecza. Co do praw najmniejszéj między Litwinami, Rusinami, Polakami niebyło różnicy. Z panowaniem książąt Normandzkich i ich system się zakończył. Za czasów Gedymina książęta Kijowscy zginęli w bitwie, *Ultimi principes Ruthenorum;* książęta Rurykowie zostali jednak w Słowiańszczyźnie północnéj za Dnieprem, mieli tam swoje księstwa, swoim systemem rządzone, które w jedno wielkie księstwo połączyli, i tam się nieznacznie umacniali. Można powiedzieć, że na to zawarli się w puszczach północnych Słowian, i otoczyli niewidzialnością dla świata, aby wytrawić w sobie system, pewną zasadę, z którąby przyjść mogli do celów swoich i skuteczniej i trafniéj. Później wystąpili też z jednowładztwem dawném, lecz już bez podziału, z jednowładztwem ukrzepioném pewną religijną potęgą i siłą jakby duchowo-moralną, która przez wieki w wielkiém ich księstwie rozwinęła się w religii. Tymczasem Czerwona, Czarna, Biała Ruś i Kijów, stały się polskiemi. W téj Rusi najpotężniejsi, najdzielniejsi, najbogatsi byli książęta Ostrogscy, rzeczywiści władcy tego kraju, pochodzili bowiem z książąt panujących. Od Kijowa do Lwowa niemal rozciągały się ich dziedziczne włości. Przyjęli przywiléj czyli klejnot szlachectwa. Przywiązali się do praw korony z największém poświęceniem się i zapałem. Książe Ostrogski znak książęcy, ś. Jerzego, wspólny panującym Rurykom, w rodzinie swojéj zniweczył, czém objawił, że jest już tylko polskim szlachcicem. To wcielenie się i przyłączenie książąt Ostrogskich było tryumfem dla Polski, i wcieliło do jéj praw i narodu Ruś całą. Odtąd król polski tytułował się: Wielkim księciem ruskim. Najznamienitsi Rusini: Ostrogscy, Koreccy, Zasławscy, Wiśniowieccy, Zbarazcy, byli to najpierwsi oby-

watele Rzeczypospolitéj, Hetmani wielcy, obrońcy jéj praw, najwaleczniejsi żołnierze. Oni stanowili to nowo wzbudzone rycerstwo, które prześcigło i przerosło rycerstwo koronne i litewskie. Poparci do tego byli sympatyą ludu; walczyli też zacięcie z Księstwem Wielkiém, częstokroć na własne imię. Nie Polacy albo Litwini, ale Rusini polscy byli nieprzyjaciołmi Wielkiego Księstwa; jako: książe Ostrogski pod Orszą, Roman Sanguszko zwycięzca pod Ułą. Z Rusi Czerwonéj wystąpiły i zajęły na świeczniku Rzeczypospolitéj pierwsze miejsca rodziny: Zamojskich, Żołkiewskich, Potockich, Sobieskich i inne. W tem zjednoczeniu się prawodawczem, cywilném, obywatelskiem, była jednak różnica religijna. Cała Ruś polska wyznawała religią grecką w słowiańskim obrządku, dyzunicką pod zwierzchnością Metropolity kijowskiego.

Od początku przyjęcia wiary cała Ruś religijnie była zjednoczoną pod władzą kijowskiego Biskupa, a i Wielkie Księstwo za Dnieprem w zarządzie pod duchowną władzą Metropolity Kijowskiego zostawało. Przez Kazimierza W. to zachowanie całości ich religii i obrządku najsilniéj było zawarowane. W Horodle r. 1413 nastąpił akt zapewniający, iż swoję Dyzunicką wiarę *fidem graecam*, Ruś niezaprzeczenie, niezachwianie mieć będzie. O Unii, Unitach niebyło wówczas wspomnienia, ta Unia bowiem Horodelska uprzedzała Florencki Synod.

Przed powagą jaką nadały prawa, ustawy, powszechnego Synodu, władze krajowe nienaruszały, lecz przeciwnie strzegły całości praw obrządku wschodniego na Rusi. Synod Florencki nastąpił w r. 1439; — był na nim Metropolita całéj Rusi, kijowski Izydor. W jéj imieniu wraz z Patryarchą Unią przyjął i podpisał. Wróciwszy na Ruś krzewić ją silnie rozpoczął.

Bulla Unionis w Sborniku ruskim jest zapisana; później Pociej Metropolita całéj Rusi z tego sbornika dosłownie ją wypisał. Z Rzymu od Stolicy apostolskiéj były pisane listy do króla (które Albertrandy wynalazł w bibliotece Barberynich) *„jako z woli powszechnego Kościoła nastąpiło wiary greckiéj, z prawdziwym katolickim Kościołem zjednoczenie się, przeto odtąd duchowieństwo ruskie zostawać ma pod przewodnictwem jednego Metropolity, ulegając i odnosząc się do głowy Kościoła, z tym Kościołem w jedności zostawać będzie na wieki"*. X. Cypryan Żochowski Metropolita Kijowski, cytuje w Kollegium lubelskiém dokument Izydora Metropolity Kijowskiego do Wojewodów i Starostów z Chełma wydany wzywający ich, aby duchowni od nikogo krzywd niedoznawali. Pismo jego od tych się słów zaczyna „Błogosławieństwo Izydora Metropolity Kijowskiego całéj Rusi od boku Stolicy apostolskiéj Legata — kończy temi słowy: jesteśmy teraz za łaską Bożą zjednoczeni bracia chrześcianie Łacinnicy i Rusini". Unii przyniesionéj z Florencyi wszyscy Rusini nieprzyjęli, odtąd się podzieliła Ruś religijnie na Unitów i Dyzunitów. Unici wybierali Metropolitę, któremu Ojciec św. przysyłał Sakrę; a ci, którzy przy Unii być niechcieli, mieli swego Metropolitę drugiego w Kijowie. Było więc dwóch już w Polsce Metropolitów Kijowskich: Unicki i Dyzunicki. Rozpoczęły się odtąd walki przez duchowne szermierstwa i pisma. Z jednéj strony stawała gorliwość katolicka, a z drugiéj upór Dyzunitów dość silny. Ławra peczerska była jakby węgielnym kamieniem, na którym opierali się Dyzunici. Unici mieli pomoc w świątobliwych ludziach, w wyższéj nauce i doskonałości. — Późniéj utworzone bractwo popierało stale Dyzunią. Unici nigdy do oręża się nieudawali, cierpieli męki, życie tracili, Boską siłą i mocą się krzewili. Wielkie księstwo Moskiewskie, stanowczo ustaw Synodu Florenckiego Unii

św. nieprzyjęło. Odstąpili Metropolity Kijowskiego, a z Dyzunitami polskiemi pod Metropolitą kijowskim związku niemieli; zupełnie się sami u siebie tak w sprawach Państwa, jak i w Religii bezpośrednio rządząc. Od Synodu Florenckiego Ruś religijnie pod jednym zarządem Metropolity Kijowskiego zostająca, rozdzieliła się na trzy części: na Unitów, Dyzunitów, i wyznanie prawosławne, panujące w Moskwie. Starzy polacy, katolicy, nazwali ją syzmą. Wielkie bowiem księstwo zerwało z Patryarchą greckim i Metropolitą kijowskim wszelki związek; zostało bez żadnéj prawéj władzy i zwierzchności duchownéj. Ztąd Rusinów polskich nieprzyjmujących Unii, ale utrzymujących tradycyjnie Metropolitę kijowskiego i odnoszących się do Patryarchy mianowano Dyzunitami, a W. księstwo Moskiewskie Syzmą. W całym kościele i na Wschodzie, kościół miał niezależność, Cesarze greccy i Królowie biskupów niesądzili. Biskupi i kapłani niemieszając się do spraw świeckich, w rzeczach duchownych władzy nieulegali. Biskupi nieraz wzbraniali królom przystępować do najświętszego Sakramentu; wchodząc do kościoła Cesarze odpasywali miecz u drzwi. W wielkiem księstwie po raz pierwszy w chrześciaństwie oddano cześć religijną w obec przenajświętszego Sakramentu, Carowi i Panu. Katolicy przeto zwali ich Syzmą. Synod tedy Florencki odnowił na Rusi pierwsze namaszczenie katolickie udzielone przez śś. Cyrylla i Metoda w nawróceniu. Duch Kościoła katolickiego, powtórnie objawił się w Rusi, przetrwał prześladowania, burze, kwitnął, wydawał wielkie owoce i żyć dziś nieprzestaje i nieprzestanie nigdy do skończenia wieków. Doznawał przeciwności, lecz po każdym ucisku zawsze z większą rozwijał się mocą, z wyższem zwycięstwem.

W archiwum klasztoru ś. Trójcy w Wilnie, znajduje się oryginał po grecku, list po Synodzie Florenckim

Patryarchy greckiego Niphona pisany do Józefa Metropolity kijowskiego. Roku 1494 spytany Patryarcha od Metropolity o Synodzie Florenckim czy ma być obserwowany, tak mu odpisał: „Pragniecie wiedzieć o tym Synodzie, abyście mogli zdać sprawę tym, którzy was przynagabują i was mocno cisną. Niech tedy wam będzie wiadomo, że ten Synod był i zawołany, i wspaniale radością pospolitą stwierdzony, przy obecności oświeconego króla naszego Jana Paleologa, i najświętszego patryarchy Carogrodzkiego błogosławionéj pamięci Józefa, który niedawno był przed nami, przy obecności namiestników braci naszych Patryarchów i innych Arcybiskupów i Książąt, którzy na sobie osobę Wschodniego Kościoła nosili; nadto przy obecności rzymskiego biskupa z swoimi. Jednak niektórzy z narodu naszego, którzy doma zostali niechcieli Unii przyjąć dla nienawiści przeciwko łacinnikom, zamieszanie tedy płuży u nas. Nam powierzone owce, nami którzy zwierzchność mamy, rządzić myślą; im odporu dać niemożemy, a kto wié jeśli nas tak przykro nieskarał i dziś nieskarze Pan Bóg, że świętéj jedności nieprzypuszczamy. Wasza pobożność, nieopieraj się, przyjacielsko obcuj z ojczystą religią (t. j. rzymsko-katolicką). Wszelkie inne zwyczaje Wschodniego kościoła pilnie zachowuj, tak jak zaleciliśmy kapłanom naszym wschodnim na wyspach, pod oświeconym Senatem weneckim, wspólnie z kapłanami łacińskiemi modlitwy i zgromadzenia odprawiać“. Po Unii Horodelskiéj w lat dwadzieścia współcześnie z Synodem Florenckim wydane dwa przywileje dla szlachty ruskiéj r. 1433 przywilej szlachcie ruskiej łacińskiéj; roku 1445 przywiléj szlachcie ruskiéj greckiéj. — Było zatem wielu Rusinów łacinników i zjednoczonych.

Władysław Jagiełło i książe litewski Witold, wielkim był obrońcą religii katolickiéj. W Litwie położyli silny

jéj fundament. Po Synodzie Florenckim biskupa już dyzunickiego ani jednego niebyło. Witold rzekł Metropolicie kijowskiemu Grzegorzowi: Idź do Rzymu przedysputuj Ojca ś. i Jego mędrców, jak nieprzedysputujesz, ja w religii rzymsko-katolickiej lud mój litewski utwierdzać będę. Grzegórz Cemiwlak z Carogrodzkiego Ihumena, wybrany Metropolitą kijowskim r. 1442 z natchnienia Witolda do Rzymu jeździł; powrócił gorącym, żarliwym katolikiem, wjedności świętéj dotrwał do końca dni swoich. Roku 1476 papierz Syxtus IV wydał po całym świecie przypadający 50letni Jubileusz. Niedostało się Rusi tego otrzymać skarbu. *Solenissima Legatio* z książąt i panów ruskich do Ojca ś. wysłana. Otrzymali, i wrócili z Jubileuszem ś. zażyli tego skarbu niebieskiego, który jest tylko w ręku Ojca ś. głowy całego chrześciaństwa. O tem pisze Żóchowski Cypryan metropolita w dziele swojém r. 1680 wydanem. Hippacy Pociéj znalazł rękopism w Nowogrodku opisujący poselstwo z Litwy do tegóż Syxtusa IV w osobie Sołtana i innych z wyznaniem wiary katolickiéj i przyjęciem Unii Florenckiéj przez wyznających religią grecką na Litwie.

Widziémy przeto jak się rozkrzewiła Unija Florencka, popierała ją Ruś, Litwa szczególniéj, kiedy zaraz potem r. 1436, Swidrygiełło biskupa Dyzunickiego z Urzędu oddalił, jako nieprawnie przeciw ustawom powszechnego Kościoła mianowanego.

Królowéj Helenie, żonie Alexandra jako silnie trwającéj w Dyzunii stany odmówiły koronacyi. Dyzunię niknącą zupełnie na Litwie usiłowała Helena utrzymać, cerkiew w Mińsku z gruzów podniosła, mianując Archimandrytę Jonasa Metropolią Dyzunickim Mińskim. —

Nastąpił czas tryumfu wielkiéj dla Kościoła katolickiego potęgi i siły. Czasy Zygmunta III ów wiek Skargi, Hozyusza. Ci wielcy katoliccy mężowie w usilnéj

walce z protestantami, kościół swój chcieli zjednoczyć z Rusią. Łatwo to nastąpiło; sami ruscy biskupi i kapłani przejęci duchem prawdy, sami w tem silnie dopomagali. Najpotężniejszy z książąt Rusinów Samuel Korecki, wyswobodzony z niewoli Turków, odbył pielgrzymkę do Rzymu, przyjął rzymski obrządek i w dziedzicznèm swém mieście Korcu kościół Franciszkanów założył. Za jego przykładem najznakomitsze domy na Rusi, przyjęły obrządek rzymski, poczyniono wielkie katolickie fundacyje, również z zapałem popierana Unia, w któréj się niektórzy pozostawali, chociaż wielu przyjęło obrządek rzymski; a z czasem i wszystka ukształcona i osiadła szlachta. Do zgromadzeń jednak duchownych Ruskich Unickich, rzymscy katolicy wstępowali, we wszystkich nabożeństwach Unitów udział mieli, zarówno będąc dziećmi jednéj matki, jednego Kościoła, w którym różne obrządki rozróżnienia nieczyniły, w tych bowiem różnicach tylko się bardziéj rozkwitała wiara ś. Tu największą pomocą był Skarga, on tę Unią dokonał, doprowadził. On to był nauczycielem ruskiéj Cerkwi, osobne w tém dzieła pisał, oświecał, nauczał, drukował. On zasiadał na Synodzie. Wtedy za Zygmunta III r. 1595 nastąpił sławny Synod Brzeski co przywiódł do skutku Unią Florencką. Skarga tego Synodu jest historykiem, w nim miał niepospolity udział. — Przytoczmy tego Synodu podpisy biskupów i świeckich, abyśmy mogli mieć wyobrażenie o stanie religijnem Rusi, i o téj Unii, która bez przymusu, dobrowolnie, z przekonania przyjęta prawnie; nic jéj niezmuszało do opuszczenia religii greckiéj dyzunickiej, gdyż Unią horodelską, prawami wszystkiemi, była upewnioną. — Najpotężniejszy książe Rusi, najwyższy dygnitarz Rzeczypospolitéj książe Konstanty Ostrogski był jéj wyznawcą i gorącym obrońcą. Przywileje królewskie były zarówne dla szlachty *utriusque ritus*. Wiara tylko prawa, Boska,

jedyna katolicka wiara, jednoczyła. W niéj żywot tylko i prawda; z niéj jednéj płyną sprawy chrześciańskiéj doskonałości; w téj a nie w innéj zbawionym być można. Taką tylko ustanowił Chrystus, i taką utwierdziły Synody święte. — Mówią niektórzy, nawet pisać się ośmielili, że Unija nastąpiła z przymusu, z rozkazu władzy; — tego nigdy nie dowiodą, nigdzie nie znajdą. Unija miała swój żywioł, swe źródło w pierwszem namaszczeniu ś. Cyrylla i Metodego, i w ustawach soboru Florenckiego, w sercu szlachty, biskupów, kapłanów w Polsce ruskich. Krzewiła się jako czyn rozumny, z oświecającéj się woli narodu wynikły, rodzący najlepsze błogie skutki dla dusz zbawienia, dla pomyślności doczesnéj. Dla tego opiszemy tu już tylokrotnie znane wyznania biskupów w Brześciu, abyśmy jasny dowód mieli, że Unia była przyjętą skutkiem doskonałego oświeconego przekonania, wolnéj, nieprzymuszonéj, ochoczéj a gorącéj woli biskupów, kapłanów, i wyznawców téj religii. Dokonała się tak prawnie, tak kanonicznie, jak się dokonywały wszystkie ustawy Kościoła. Stwierdzona przez wszystkich biskupów, przez Ojca ś. osobną Bullą aprobowana, ma moc świętą a nieodmienną, aż dotąd, jako związana przez tych, którzy związania moc od Boga mieli.

AKT BISKUPÓW R. 1594.

„W Imie świętej ożywiającéj nierozdzielnéj Trójcy. „My niżéj podpisani, oznajmujemy wejrzawszy w powinności nasze, abyśmy lud nam powierzony, do zgody i jedności wiedli, jako nas Chrystus pan nauczył. W teraźniejszych czasach tyle się herezyj natworzyło, nie dla czego innego tylko żeśmy będąc jednego Boga, jednéj matki Kościoła katolickiego dziećmi, rozróżnieni

jesteśmy. Lubo ustawicznie pana Boga o zjednoczenie wiary prosimy, ale skutkiem otośmy się nigdy niestarali, poglądając na starszych naszych. Ale że nam prawdziwie w nich nadzieja, im daléj tem więcéj ustaje. Oni w niewoli pogańskiéj będąc choćby i chcieli do tego przyjść, niemogą. Przeto za natchnieniem Ducha św. którego to są sprawy, a nie ludzkie, widząc jak wielkie ludzie przeszkody mają do zbawienia bez jedności, w któréj od Chrystusa pana i apostołów, zawsze byli przodkowie nasi, jednego przełożonego pasterza Perwoprestolnika najświętszego Papieża rzymskiego wyznawali, Jemu posłuszni byli, i słuchali, dopokąd to zgodnie w mocy swéj trwało, wielkie było pomnożenie chwały Boskiéj. Trudno się było Sektom i Heretykom rozkrzewiać. Gdy nastało wielu przełożonych, jasno widzimy do jakiéj niezgody przyszła Boża cerkiew, i heretyckie sekty moc swoją biorą. Niechcac, aby to na sumieniach naszych zostawało, Przodkowie nasi o tém myśleli, ale jakoś do tego nie przyszło. Umyśliliśmy za pomocą Bożą, tym związkiem zobopólnym pobudzić się i utwierdzić do téj świętéj sprawy, abyśmy jako i pierwéj, jednemi usty i jednem sercem wielbić mogli przewielebne i znamienite imię Ojca i Syna i Ducha, św. z bracią naszą miłą pany Rzymiany pod jednym Pasterzem widomym Kościoła, któremu się zwierzchność należała. Obiecując przed panem Bogiem, ilu nas będzie, sercem szczerem i uprzejmem z pilnością wspólnie i każdy z osobna się starać przez środki przyzwoite, i drugą bracią duchowną i lud pospolity do jedności przyprowadzić. Bóg wszechmogący niech będzie wodzem téj sprawy. — Zachowawszy zawsze wszelkie ceremonije i obrzędy chwały Bożéj i śś. Sakramenta według zwyczaju starożytnego oryentalnéj Cerkwi, poprawiwszy tylko artykuły, które przeszkodą jedności były. (podpisani) Michał Metropolita Archiepiskop kijowski Halicki

i całéj Rusi — Hippacy Pociej biskup Włodzimirski — Brzeski; — Karol Terlecki biskup Łucki, Ostrogski Exarcha Metropolii kijowskiéj — Dyonizy Zbiryjski biskup Chełmski — Leonty Pełczycki biskup Piński Turowski — Hrehory Władyka, Połocki, Witepski. Podpisy następują Protopresbyterów i Presbyterów w takichże słowach R. 1595 27 aug." Przysłali akces swój do Unii trzéj biskupi, tenże sam Terlecki i Gedeon Bałaban biskup lwowski, Kopytyński biskup Przemyski R. 1595 dnia 28 stycznia. „My niżéj podpisani za przykładem Pasterzów wszystkiéj Rusi idąc, przełożeni zakonów tę świętą powszechną apostolską rzymską katolicką Cerkiew, od któréj nierozumnie, po powszechném Concilium Florenckim Patryarchowie greccy odstąpili, za prawdziwą, istotną królującą, i władzę nad całym światem mającą wyznawamy, pod utratą zbawienia wiecznego nieodstępować najświętszéj Stolicy i najwyższych ojców Papieżów rzymskich, tym związkim naszym obiecujemy, przysięgamy za nas samych i następców naszych. Jeśliby który z przewrotności serca od téj wiary odstąpił, albo ludziom świeckim radził odstępować, niechaj się wniwecz obróci żywot jego, a biskupstwo jego niech weźmie drugi. Każdy takowy staje się destruktorem Kościoła, jasno-świętną szatę Kościoła od nas utkaną, przykładem szalonego Aryusza rozdziera. Zwierzchności naszéj biskupów prosimy, aby jak najpilniéj rozpoczęte dzieło Unii kończyli, i najświętszemu Papieżowi rzymskiemu donieśli, i błogosławieństwo Jego świątobliwości nam wszystkim otrzymali. (podpisy) Łukasz Metropolita Belhradzki; Nicefor Tur Archimandryta kijowski, Peczerski, Hilaryon Massalski Arch. Supraski Henady Dermański, Bazyli Ichumen Dubieński. Podpis po grecku jednego z biskupów greckich: Sergiusz przełożony Smolnicki; Emilijan Mikolski Protopopa Slucki, Woskreseński, namiestnik Podhajecki; Nikon starzec

Monasteru wydubiskiego w Kijowie; Paweł ksiądz bractwa Brzeskiego; Atanazy Archimandryta ś. góry — (podpis grecki) Zachary Michajłowicz przełożony Miński, Preczystski protopop Ruteński, Prenystski namiestnik Rochatyński".

To cudowna, że się znajdowali biskupi i wyżsi kapłani greccy, którzy się wspólnie z przełożonymi zakonów w Rusi polskiéj podpisywali. Związek ludzi świeckich przyjmujących tę śtą unię w piśmie do króla i do senatu podanem r. 1598, z Łucka był taki: „Za szczęśliwego panowania Waszéj Królewskiéj Mości i za Jego osobliwszém staraniem Bóg zjednoczenie cerkwi greckiéj wschodniéj z Kościołem ś. rzymskim zdarzyć raczył. Za to osobom duchownym, które się o to starały dzięki czynić winniśmy, i dziękujemy, mając ich za prawdziwych chwalców bożych i biskupów naszych. Na ich osoby niektórzy złączywszy się z przeciwnéj wiary ludźmi, niesłusznie są zwaśnieni przeciw téj świątobliwéj sprawie. My jako posłuszni synowie cerkwi bożéj, miłując tę świętą zgodę, jedność, w niéj chcąc trwać, prosimy Waszéj Królewskiéj Mości i wszystkiego senatu, aby ta święta *jedność* nie była w niczem naruszona, przeciwnicy téj świętéj zgody, aby przyjmowani i słuchani nie byli." (podpisy) Stanisław Radziwił, Jerzy Czartoryjski, Michał Myszka kasztelan wołyński, Krzemieniecki starosta, Abraham Myszka owrucki starosta, Tomasz Źórawnicki, Jakób Łysakowski, Jan Hulewicz, Alexander Woronicz, Zacharyasz Jałowicki pisarz Jego królewskiéj Mości, Janusz Koszka Żórowicki, Jan Krajewski, Wojciech Kłosowski, Adam Sopoćko, Krzysztof Tyszkiewicz, Samuel Porszański, Jerzy Muczko, Jan Horaim, Mikołaj Mikolski, Mikołaj Jełowicz, Bukojański, Jan Wołyniec Czerczycki, Teodor Korytyński, Alexander Szyszko, Jan Dzierżek łowczy wołyński, Bazyli Odyniec.

Takowe czyniono związki na różnych miejscach stwierdzane podpisami, z dziękowaniem biskupom odselane do króla i senatu. W Lublinie dnia 13 maja 1603 (podpisali) Teodor Tyszkiewicz wojewoda nowogrodzki, Jerzy książe Czartoryjski z Czartoryska, Fryderyk Tyszkiewicz z Łohojska, Tomasz Żórawiecki, Eustachy Jełowicz, Maliński, Jan Żórawicki, Stanisław Piotrowski, Jan Terlecki, Teodor Jakowicki, Adam Wilatycki pisarz ziemski Piński, Adam Burkacki, Andrzéj Podhorodyński, Jan Nowosielski, Jarosz Tur, Roślan Słownicki, Fryderyk Jakownicki, Jan Hrynicz, Mikołaj Zbaraski, Filon Rusinowicz Berestecki, Mikołaj Zbaraski, Piotr Dowgird, Bylecki, Lepisowicki.

Po tych z sobą umowach, wysłane do Rzymu zostało poselstwo do Klemensa VIII. Pociej i Terlecki byli wyznaczeni. Odezwę podpisali metropolita całéj Rusi i biskupi wszyscy; w niéj się najprzód oświadczyli, że dotąd nic co do jedności nie działali, oglądali się bowiem, na przełożonych swoich patryarchów, gdy ci są w niewoli, i o tém niezamyślają, zatém niemogąc daléj na sumieniu swojém zostawić, spełniają święte na początku od Chrystusa istniejące zjednoczenie. Ubezpieczyli sobie tylko duchowni i biskupi utrzymanie całego dawnego wschodniego obrządku, w tém co nie narusza jedności wiary, a świeccy uprosili sobie zachowanie starego kalendarza, co też i do artykułów wiary nie należy. „My tedy z łaski bożéj będąc w tych krajach pod zwierzchnością hospodara chrześciańskiego Najjaśniejszego Króla Polskiego Wielk. Księcia Litewskiego, ruskiego, pruskiego, żmudzkiego, mazowieckiego, inflandzkiego, i dziedzicznego króla szwedzkiego, na swobodzie i wolności, niechcąc aby na sumieniach naszych ciężka liczba zostawać miała, żeby dusze ludzkie dla niezgody i rozerwania cerkwi bożéj ginąć miały — Wziąwszy Pana Boga na pomoc do zgody i zjednoczenia się którą przedtém Cerkiew wschodnia

z Kościołem ś. rzymskim miała, i którą przodkowie nasi na synodzie florenckim postanowili przystąpić umyśliliśmy. Ażebyśmy jedném sercem jednemi usty chwalić mogli, przechwalebne i wysoce znamienite Imię Ojca, Syna i Ducha śgo. — Z wolą i wiadomością naszego króla najjaśniejszego Zygmunta III. posełamy do Waszéj świątobliwości przenajświętszy Ojcze bracią naszą miłą, Hippacego Pocieja biskupa włodzimirskiego i brzeskiego, Terleckiego Exarchę biskupstwa łuckiego ostrogskiego. Zaleciliśmy im imieniem nas wszystkich archi-episkopa i episkopów wszystkiego duchowieństwa i owieczek nam powierzonych, stolicy Piotra śgo i Waszéj świątobliwości jako najwyższemu pasterzowi Kościoła bożego, posłuszeństwo oddać, i świątobliwości Waszéj jako panu naszemu się pokłonić. Sami z sukcessorami naszymi posłuszni być chcemy. — "

Poselstwo to przybyło w dzień ten, w którym téż byli posłowie od Henryka IV. przynosząc jego zjednoczenie się z Kościołem. Te dwa poselstwa jednocześnie były przyjmowane. Ten dzień liczył się do najpiękniejszych dni Kościoła. Na to ich pismo odpowiedział bullą swoją Klemens VIII. Zlane zostały wielkie łaski na zjednoczonych Rusinów; całą hierarchią jaką mieli, stary kalendarz, i wszystkie obrządki swoje zachowali; — uczestnikami zostali łask i odpustów wszystkich Kościoła rzymskiego. Wprowadzony zaraz został Różaniec, z równemi indulgencyami jak u Dominikanów, święto Bożego Ciała, solenne z przenajświętszym Sakramentem procesye, kazania; wprowadzone również do kościołów ołtarze boczne, msze ciche i wotywy. Carskie wrota zostały otworzone — dwa obrządki zlały się w jedność. Następni papieże Paweł V. Urban VIII. wielkiemi łaskami, przywilejami zaszczycili biskupów unickich i zakon śgo Bazylego. Metropolici otrzymali moc konsekrowania i inwestowania

biskupów. Biskupi uniccy assystować mogli konsekracyi łacińskich i wzajemnie. —

Po téj unii nastąpiły świetne fundacye. Rzeczpospolita nadała Zyrowicy dzierżawy Bułż i Borowiki. Klasztorowi połockiemu: Czerświat i Sudołowicze. W Witebsku na fundacyę Bazylianów Unitów znaczną summę, kilkadziesiąt tysięcy, ofiarował pisarz ziemski Adam Kisiel z Brusiłowa. W województwie brzeskiém Szujski Konstanty chorąży brzeski, założył w Trebieniu dziedzicznéṁ mieście zgromadzenie Bazylianów Unitów. — Domy starożytne ruskie, Kisielów, Szujskich, za Unii Brzeskiéj wcieliły się do religii rzymsko-katolickiéj. Kiedy tak świetne czyny i wielkie stały się w Rusi polskiéj — w Wielkiém Księstwie Moskiewskiém sprawy religijne zupełnie inny obrót brały. W trudném byli tam wszyscy położeniu. Z pierwotnego namaszczenia winni byli biskupi i wszyscy podlegać arcybiskupowi kijowskiemu, metropolicie całéj Rusi, następnie i Wielkie Księstwo Moskiewskie. —

Kiedy metropolita najprzód Izydor, teraz Michał, obaj kanonicznie, prawnie poświęceni, konsekrowani przyjęli unią, złożyli posłuszeństwo Ojcu ś. to zobowięzywało Ruś całą, następnie i wielkie księstwo. Od synodu florenckiego już się od swego metropolity odłączyli, do patryarchy Carogrodzkiego dla stosunków politycznych nieposyłali, nie chcąc mu dawać danin i mieć niebezpieczny z państwem tureckiem związek. — Dyzunici w Polsce dla utrzymania stosunku z pierwszym kościołem po przyłączeniu się arcybiskupa Kijowskiego do Kościoła katolickiego, zaraz wybrali wzajemnie drugiego arcybiskupa Kijowskiego, aby byli pod zwierzchnością, nikogo innego, tylko jak przy pierwszém nawróceniu, arcybiskupa Kijowskiego. Wielkie księstwo i tego arcybiskupa nieprzyjęło. Z tego trudnego położenia wywikłał chwilowo Jeremiasz patryarcha Carogrodzki, który po

Rusi jeździł. Ujrzawszy taką gorliwość katolicką biskupów polskich pojechał do Rosyi i ustanowił Patryarchę w Moskwie. Ten patryarcha zastąpił arcybiskupa Kijowskiego, co do władzy i stopnia duchownego wywyższył go nad metropolitę, czyniąc go od siebie niezależnym, równym sobie patryarchą. Katolicy uważali w tem czyn nieprawy, albowiem patryarchowie, (chociaż bez nich istnieć może Kościół byle miał głowę Piotra, następcó jego biskupów i kapłanów) na pamiątkę innych apostołów, biskupstwa zakładających, stanowieni byli przez sobory. Ojciec ś. mógłby ustanowić patryarchę. Patryarchat zaś Konstantynopolski władzy téj nie miał, ani od Chrystusa, ani od soborów; sam się konsekrował i ustanowił; przeto oddzielił cerkiew Wielkiego Księstwa od patryarchatu i od władzy pierwszéj arcybiskupa kijowskiego. Cokolwiekbądź, utworzyła się przez to zwierzchność duchowna którój przedtém już nie było. Patryarcha otoczył się niezwyczajną okazałością i pychą; był nim Nikon w Moskwie. Działo się to po soborze brzeskim. Nikon wydał pismo w którem dowodził że Kościół prawdziwy jest jeden, rządzony przez pięciu patryarchów, a że rzymski się odszczepił od Kościoła, przeto na jego miejsce Bóg wzbudził nowego patryarchę, patryarchę moskiewskiego, aby prawdziwy Kościół nieustawał. Ten się składa z pięciu apostolskich stolic: Konstantynopolska, Jerozolimska, Antyocheńska, Alexandryjska, Moskiewska, zastępująca odszczepioną rzymską. Że zaś cztery stolice są w tureckiej niewoli, przeto piąta nowo obrana, zastępuje nietylko odszczepioną rzymską, ale i cztery przez niewolę w niemocy złożone. Przeto nowy patryarchat był jedynym i prawdziwym Kościołem. Tą wielką nową, niezależną patryarchalną władzą, zrobił odmianę pewną w księgach w całym porządku cerkiewnym. W monastyrze sołowickiem, gdzie mieszkali bogomyślni, świątobli-

wi, w wielkich postach żyjący, i na całe życie wmurowani zakonnicy, jeden z nich Pilip sprzeciwił się tym odmianom. Za nim poszło bardzo wielu kapłanów, zakonników i wyznawców. Zmiany i nowe urządzenia patryarchy, utrzymywała siłą swą władza rządowa, wtedy bowiem rozpadłaby się Cerkiew w sekty i rozdziały. Utworzyły się odtąd dwa rozdziały religijne, dwa stronnictwa, jedni poszli za Nikonem a drudzy za Pilipem. Pierwsi zowią się *Prawosławiem*, a drudzy *Starowierijem*. Starowierje niedoznając pomocy, a nawet będąc prześladowane, wzniosło się do wyższéj siły moralnéj, za pośrednictwem pobożności, cnót, obyczajów, pracy. Trwało i trwa dotąd własnemi siłami, to jest duchem i poświęceniem się religijnem; pozbawione kapłanów, bo tylko z największą trudnością ukrywa ich. Utrzymuje stare księgi jakie były od początku przy wprowadzeniu chrześciaństwa, uznaje władzę Kościoła duchowną, niepodlega prawom świeckim i wierzy w naczelnictwo religijne pierwszych patryarchów na początku chrześciaństwa istniejących. — Ci starowiercy od Pilipa zwani byli Piliponami. Wielka ich liczba za Piotra W. emigrowała do Polski, i wcieliła się do jej praw i kraju. Byli to najprawsi, najcnotliwsi ludzie. Prócz tego głównego *rozdziału* wiele jeszcze było tak zwanych „pockoлobъ" to jest: odszczepieństwa, sekt, tajnych skrytych. Niejesteśmy z niemi obeznani, bo w Rosyi o tem nie piszą, chociaż to przedmiot godny zastanowienia się. W krajach polskich w religii greckiéj tych sekt nie było; krom unitów i dyzunitów. Unici trzymali się głowy Kościoła, dyzunici carogrodzkiego patryarchy, i po złączeniu się, arcybiskupa kijowskiego, drugiego sobie wybierali, aby utrzymać miejscową władzę jak od początku była założoną, tymczasem w W. Księstwie sekty z każdym dniem się mnożyły.

Zaraz z początku patryarcha Nikon obraził wielkiego księcia i cara, wydając pismo, w którém dowodził że Konstantyn w. Rzym opuścił, aby dwie władze nie były w jednéj stolicy. Wtrącony do więzienia za nieposłuszeństwo i zuchwałość był sądzony i karany. Apellował wówczas do Stolicy ś. rzymskiéj; złożony z dostojeństwa i patryarchat ustał. Sprawy religijne wróciły do dawnego swego stanu. Porządek, karność, i wszelką władzę objął rząd cywilny państwa. Nowy patryarchat nie przyniósł innych owoców tylko rozdział jednéj dotąd cerkwi Wielkiego Księstwa, na starowierców i religią panującą. W téj jednak krótkiéj chwili było wiele pism drukowanych, najwięcéj religijnych rozpraw, które przedtém i potém już miejsca nie miały. Czacki w dziele swojém *O prawach polskich i litewskich*, omylił się wiele, mówiąc: Historya kościoła Rusi jest zbyt złączona z tą historyą carogrodzkiéj stolicy i wielkiego księstwa Moskiewskiego, aby można oddział tych wyznań uczynić i rozróżnić. Te rozdziały były przecież bardzo wyraźne i najjawniéj oznaczone. Wszakżeż unija w Polsce, nie można twierdzić aby synodem brzeskim była zupełnie wykonaną, tylko przywiedzioną była do skutku w większéj części. Z obrachunku uczynionego zaraz po synodzie brzeskim przez Nuncyusza papiezkiego było cerkwi unickich 2169, Dyzunickich 1089. Dwie części przeto poszło za synodem brzeskim, a jedna trzecia za dawną dyzunią. Obrali sobie drugiego arcybiskupa kijowskiego, ten przez Zygmunta III nie mógł być zatwierdzonym. Z dwóch współczesnych metropolitów kijowskich, unicki prawdziwym był w duchownéj sukcessyi poprzedników pierwszych arcybiskupów, całéj Rusi zwierzchnik, metropolitów następcą. Dyzunici żadnych jednak prześladowań niecierpieli, przeciwnie sami ostrzyli słowo swoje bezsilne, nie nawracające ducha, nie ożywiające serca, toporem a potém mieczem. Zaraz po

synodzie r. 1594 i 1598, wyszedł uniwersał Zygmunta III zapisany w metryce koronnéj, w tych słowach: „Jedni biskupi przystąpili do unii, drudzy to mają za rzecz przeciwną swemu przekonaniu, tedy jak są w posessyi i nadal zostawać mają od wszelkiego prześladowania bezpieczni, używać będą opieki prawa“. Dyzunią po synodzie brzeskim utrzymywał X. Konstanty Ostrogski, z osobistéj urazy, lub z przekonań bronił ją swoją powagą. Jednak to na chwałę mu przyznać należy, że dyzunici nie podnosili miecza, nie rozlewali krwi braci swoich, nie obracali w gruzy katolickich kościołów, unickich cerkwi, dopokąd ich X. Ostrogski wspierał. Dyzunici bowiem nie szukali środków duchownych, ale zawsze opierali się na zewnętrznych, potrzebowali ziemskiéj potęgi, oręża, broni, przymusu. Póki tą potęgą był X. Ostrogski, jego cnota, jego prawość chroniła od nadużyć. Potém XX. Ostrogscy stali się gorącymi katolikami, miasto ich zostało stołecznem miastem katolickich na Rusi w Ostrogu fundacyi. Dyzunici sami ostać się nie mogąc od XX. Ostrogskich przenieśli ufność swoją w kozactwo, i wtedy zaczęły się mordy, krwi rozlewy. Dyzunię, która po synodzie brzeskim w trzeciéj się tylko części została, wsparł ją (jak Żochowski metropolita zowie) buncik dwóch biskupów: Bałabana i Kopystyńskiego. Biskup lwowski i przemyski, pomimo kilkokrotnych swoich podpisów, obaj sprzeciwili się unii, raczéj przyjąwszy ją w Brześciu, nie zrywając jednomyślności, po synodzie brzeskim odstąpili. Podporą dyzunii był w Rzeczypospolitéj Kijów, i dwa biskupstwa lwowskie i przemyskie, do tego jeszcze bractwo stauropigialne we Lwowie, i bractwo łuckie. Bractwa były to zgromadzenia religijne drukujące księgi, krzewiące wiarę ś., nabożeństwa. Bractwa katolickie zobowięzywały się do modlitw, do miłosiernych uczynków, do doskonałości, w decyzyje dogmatyczne nieośmielały się

zadawać, te bowiem do biskupów i kapłanów należały. Bractwa dyzunickie po synodzie Brzeskim Stauropigia lwowska, i bractwo łuckie, spór, niejedność rozniecały; miały swój głos, wydawały pisma, unii mocno się przeciwiły.—Oprócz Unii Kijowskiej cała Peczerska Ławra, i Wydubiski klasztór, gorąco przy dyzunii trwały, i przeciw unitom dysputowały namiętnie. Ze strony katolickiéj były bractwa wileńskie Ławicy ruskiéj, bractwa różańskie, połockie witebskie, cała Litwa, Metropolia, biskupstwo Włodzimirskie, Pińskie, Turowskie, najsilniéj unię wiary ś. katolickiéj krzewiły.—Zaraz po Unii brzeskiej r. 1617 metropolita J. Wellamin Rudzki, osobno, bez żadnéj reguły i celów żyjących mnichów, utworzył kongregacyą Bazylianów litewskich pod tytułem ś. Trójcy; prowincyą litewską, pod zarządem prowincyała, zakon ten na wzór zakonów rzymskich, zarządził, zregulował, ukształcił. Do missyi, szkół ich przysposobił, do wzajemnych stosunków z sobą, najużyteczniejszymi Kościołowi uczynił. Papieże Paweł V. Urban VII. wielkiemi łaskami, przywilejami, w osobnych bullach zakon obdarzyli. Mnisi na Wołyniu w Koronie, jeszcze do tego uregulowania się i urządzenia nieprzyszli. Zaraz po Synodzie brzeskim, li na Litwie która w religii katolickiéj, w unii prędzej szła, i większe miała rozwinienie i dawniejsze unickie fundacye i użyteczne zgromadzenia zakonne Bazylianów; nie czyniąc żadnych krzywd pozostałym dyzunitom, duchem, wiarą i prawdą powstawali przeciw ich nierozumnemu oporowi kapłani nasi. Opór ich był szkodliwy, jedność religijną i narodową niweczył, tem samem przeszkadzał postępom miłości braterskiéj, który z jedności religijnéj wynika, postępowi powszechnego oświecenia co znowu jedności narodowéj jest skutkiem. Rząd Rzeczypospolitéj w walce unitów z dyzunitami, nie stanął jako katolicki, silnie, zupełnie na stronie unitów, jak to czyniły i czynią rządy

państw innych, które religią narodową energicznie wspierają. Jeden tylko Zygmunt III który nigdy wiary niepoświęcił dla bezpieczeństwa kraju lub dla przejednania przeciwników, przeciwnie rząd, zawsze był opiekunem stron obydwóch, częstokroć poświęcał unitów, dla dyzunii, dla spokojności ze strony kozactwa. Z mieczem duchownym z słowem Bożem na jednéj stronie stał ś. Józafat jako Szczepan męczennik, a Melecy Smotrycki z strony przeciwnéj jako Szaweł. Melecy, zowiący się na świecie Maxymem Harasymowiczem Smotryckim, największym był dyzunii obrońcą, najsilniejszą jéj oporu po synodzie brzeskim podnietą; potém stał się najgorliwszym Apostołem zjednoczenia. Człowiek, uczony, zdolny, wychowany w Wilnie, ze synem jednego bogatego domu w Polsce podróżował za granicą r. 1610. Odwiedzał akademije: Lipską, Wittemberską. Wróciwszy z za granicy wstąpił do Czerncòw dyzunickich reguły ś. Bazylego, gdzie wziął imię: Melecy. Napisał pierwszą, wydaną kilkakrotnie gramatykę ruską, pod imieniem Teofila Ortologa; pisał księgi dyzunickie: *Lament* wiary greckiéj, gdzie wyznawał że tylko *Fides Graeca* jest czystą Chrystusa nauką i prawowierną. Teofan grek mieniący się być jerozolimskim patryarchą, mianował Melecego biskupem połockim. Bez względu że Bóg wié zkąd i kto rzeczywiście był, bez żadnych na to praw i władzy. Biskupstwo połockie porządkiem praw kanonicznych, i z zupełną formalnością oddane było Józafatowi Koncewiczowi. W téj walce wspierał Józafat, świątobliwy biskup nasz, Kościół ś. katolicki; a dyzunitów, którzy jak mówiłem po synodzie brzeskim byli w trzeciéj części, Melecy, postanowiwszy siłą wysadzić Józafata z Połocka, aby mógł na północy, gdzie najgorliwiéj unia w Połocku i Witebsku utwierdzona, dyzunią krzewić. Okazywał prawo do biskupstwa mianowanym będąc od patryarchy, jakim się uznawał po Polsce tułający się

Teofan. Dyzunici go mianowali patryarchą. Katolicy i unici twierdzą, że nie tylko nie był biskupem, ale nawet kapłanem. Za pobytu swego jako patryarcha biskupów konsekrował, ztąd utrzymują, że między dyzunitami z powodu tego Teofana przerwało się prawo święcenia idące od Apostołów. Owóż Teofan z Melecym wzniecili taki niepokój w Litwie, że Pociéj w Wilnie w czasie processyi utracił dwa palce cięciem. Ś. Józafat okrutnie zamordowany, jako Szczepan pełen wiary i miłości umierał, a Melecy był jako Saul przytomny zamordowaniu. Zbirowie suknie męczennika u nóg jego złożyli. Dręczony zgryzotą sumienia wyszedł Melecy z kraju i udał się do patryarchy carogrodzkiego, zawiedziony niezmiernie, bo mu w Carogrodzie wątpliwości jego w wierze nie rozwiązano. Ujrzał jak niemocnym, bezwładnym, nieczynnym był wódz téj niby apostolskiéj stolicy; nakoniec natuławszy się z łaski Ducha ś. najgorliwiéj z Kościołem katolickim się połączył. Z Saula został Pawłem, zastąpił gorliwością, pracą, poświęceniem się, nauką zamordowanego Józafata. Wielu duchownych, wielu świeckich, szlachty jak i ludu do jedności przywiódł. Unia ma wiele mu do zawdzięczenia. Napisał dzieł kilka, *Paranaesis* odezwa do współbraci odszczepionéj cerkwi i inne, jak *Weryfikacya*, *obrona weryfikacyi*. Metropolita dyzunicki, Job Borecki Melecego potępił.

W roku 1629 był wielki sobór we Lwowie; wtedy już z przeciwników książąt Ostrogskich, Kościół miał najwierniejszych synów, najżarliwszy z katolików, syn księcia Ostrogskiego cierpiał prześladowanie od ojca. Anna Alojzya, była to pani cnót anielskich, pobożna, hojna dla kościołów, świątobliwa. Ostróg stolica dyzunii słynęła wielkiem jezuickiem kollegium. Na tym soborze Unia z przystąpienia najżarliwszego jéj przeciwnika tryumfowała. Nawrócenie się Melecego, krew Jozafata,

wielce tę świętą sprawę podniosły; coraz się szerzyła, coraz szła daléj, coraz gorętszych znajdowała sług swoich, wyznawców i wszelką obronę.

Każda wielka prawda, tak ustanowiono jest od Boga, pisze się w ludzkości krwią i męczeństwem. Co krwią raz zapisano, nie zmaże tego nikt, i trwa na wieki. W Kościele, który z woli i ustanowienia Chrystusa Pana zjednoczyć całą ludzkość powinien, dla widoków ziemskich, świeckiéj pychy rozdzielonym, rozerwanym będąc, prawdę zjednoczenia zapisał krwią swoją Jozafat. Téj prawdy ani stary dawny upór, ani przebiegłość, ani chytrość, ani ucisk, ani miecz, ani krew, zmienić i zmazać nigdy nie podołają. Po tych powodzeniach i pomyślnościach któremi się cieszyła Unja w soborach brzeskim i lwowskim, chciał Bóg spróbować wiernych swoich, chciał też ś. Unii powiększyć siłę. Zmył ją we krwi nie jednego tylko pasterza męczennika, ale we krwi wielu wyznawców, wielu kapłanów.

Po śmierci Zygmunta III już się gotowała burza, która za Jana Kazimierza wybuchnęła, zalała krwią katolicką Ruś całą, obróciła w perzynę ich cerkwie i kościoły, rozproszyła kapłanów. Trwało to dość długo po jéj uspokojeniu, Unia z większą rozlała się siłą, tak że nie dwie części były katolickiemi, ale cały kraj Rusi polskiéj stał się katolickim i unickim. Władysław IV ustanowił Akademią dla dyzunitów w Kijowie, dał kozactwu otuchy wielkie, drugich arcybiskupów kijowskich przez dyzunią wybieranych zatwierdził. Nowi metropolici Kossów, Mohyła, śmiali, groźni, miecz na braci unitów podnieśli. Kozactwo przedtém szczupłe, nieliczne, podniosło głowę, wzmogło się w siłę, religią greckodyzunicką uznało za swoją wiarę narodową, postanowiło unitów wygnać stanowczo z wszelkiéj Ukrainy kijowskiéj i bracławskiéj — bo do czernichowskiéj za Dniepr nie doszła była. Wymagali tego od Rzeczypospolitéj trakta-

tem. Rzeczpospolita zwyciężana przyjmowała ten obowiązek, oddalić współbraci swoich i kapłanów, z ich własnych biskupstw, parafij, prawnie posiadanych, dobrowolnie unickich. Biskup unicki chełmski Susza łżony, ciągany, bity. Katolicy unici, mieli wiarę za matkę, pokój, bezpieczeństwo kraju za córkę. Dyzunici *severitatem* za matkę, a wieżę za córkę. Wołali, żądali od króla i Rzeczypospolitéj aby dla bezpieczeństwa pokoju, pomocy kozackiéj, znieść wiarę. Ś. Jozafat w listach swoich dotąd zachowanych, do kanclerza Lwa Sapiehy, wielkiego męża w mądrości swéj, i czynach, najżarliwszego obrońcy wiary ś. katolickiéj, pisał, na początku panowania Władysława IV. „Jeśli będziecie więcéj cenić pomoc kozacką, niżli wiarę ś. katolicką i unią ufundowaną na soborach, na dobrowolném przyjęciu, na wierze, na ochotném dla niéj poświęceniu się, jeżli kasować będziecie dla pomocy kozaków, od tych kozaków zginiecie.“ — Zygmunt III król nigdy praw Kościoła żadnym ludzkim widokom nie poświęcił, przecie szanowany był i słuchany. Król i mężowie stanu tego głosu ś. Apostoła Rusi nie słuchali, kozactwo rycerstwo zbrojne stanowiąc osobne na porochach towarzystwo, urządzeniu wszelkiemu społecznemu z natury swego bytu, było przeciwne. Przyjmując ludzi różnéj narodowości, stanu, uciekających od kary, szukających wzbogacenia się i szczęścia w świecie bez zasług, z rozkoszą oddawali się tym osobiście prowadzonym przez się wojnom, w celu bogactw które do rąk ich płynęły z Carogrodu i z bogatych domów polskich. Przeto żadnéj władzy wojskowéj tém bardziéj podlegać nie chcieli, ani téż brać na siebie obowiązku stałego straży kraju, i stósowania się do zawartych traktatów; chcieli po prostu być orszakiem wojennym, niepodległym, niezależnym od istniejących państw. Tylko pod dowództwem swego hetmana, radzi byli nawiedzać różne tu i owdzie strony,

zkądby złoto i zdobycz płynęły. Rozkosz tego życia na koniu i czajce, wielu ludzi nie mających nic już na świecie prócz zdrowia i życia nęciła tych, co w niem raz zasmakowawszy, aż do późnéj siwizny nie opuścili konia swego i zawodu kozackiego. Chyba w starości głębokiéj, dzwon na puszczy, skruszył duszę i serce zsiwiałego kozaka; oddał co zebrał, co miał braciom swoim, resztę na cerkiew; kłaniał się głęboko Bogu, i czekał chwili ostatniéj. Życie to choć przez liczny orszak prowadzone i poparte, li tylko było indywidualném, bez żadnych celów zasady, bez żadnéj myśli systematu, ani miało, ani mogło mieć męża, któryby tem zakierował, ku wyższym widokom. Wszelki mąż tam się przejąć musiał tem zaporozkiem uczuciem, tego dzikiego ptaka, tego lotnego orła, co mu szło o to, aby przestronnie i wysoko unosił się i latał po szerokim i dzikim a dalekim stepie, a przytém płynął czajką, szybko po morzu, daleko, gdzie złocą się dachy, gdzie drogie jedwabie, bo zawsze taki przestraszył, zdobył, odebrał, i znowu w jaskinią na sicz uciekał. Ci kozacy przyjęli za swoją główną narodową wiarę grecko-dyzunicką. Wszystkie cerkwie dyzunickie szczególnie bliższe Zaporoża, żadnéj nie miały nad sobą władzy. W artykułach wiary uznawały patryarchę carogrodzkiego. Ta władza była tylko w myśli, nie w czynie. Patryarchat wówczas w silnéj niewoli tureckiéj, żadnéj nad nikim mocy nie miał, i nic nie działał. Jako obcych wyznawców, nie dosięgała ich władza metropolii unickiéj; ani rząd cywilny wielkiego księstwa Moskiewskiego, późniéj cesarstwa, kierować nimi, administrować prawa nie miał. Byli przeto najzupełniéj wolnymi, czynić mogli co tylko zapragnęli, bez żadnéj karności kościelnéj, bez ostrości reguły, bez posłuszeństwa. W małżeństwie żyjąc wszelkiéj majętności bądź z rolnictwa, bądź z ofiar, bądź z rabunków i jakichkolwiek spraw użytecznych, zaży-

wali. Bez żadnego oświecenia, bez jakiéjkolwiek ku temu skłonności i zachęty swobodnie żyli bez żadnéj pracy. Kozacy bowiem wielkie ofiary składali i bogactwa. Mogli się nawet dopuszczać występków i pewno je spełniali. Duchowieństwo każdego wyznania podlegało pracy, posłuszeństwu, ubóstwu nawet osobistemu, żyć musiało z funduszów stałych które były raczéj własnością publiczną niż prywatną. Duchowni lękali się niezmiernie przyjścia Unii któraby ich wzięła w karby porządku, żadne stałe fundusze zastąpićby nie mogły tych bogactw z wojen i napadów kozackich, które zawsze płynęły do cerkwi, do księży. Kozaków przeto błogosławili, w nich mieli ten swój szaniec obronny przeciw wszelkiéj cywilizacyi i odpowiedzialności porządkowi; kozaków jako rycerzy wiary swéj błogosławili. Kozacy chcąc zachować ten stan rzadkiéj, nigdzie w żadném państwie istnieć nie mogącéj niepodległości, bronili go i strzegli wiary ś. dyzunickiéj, która ich błogosławiła i uświęcała. Dyzunia z kozactwem zlała się w jedno, jedno drugie wspierało, jedno z drugiego żyło. Nie miało kozactwo żadnych środków, zasad, do utworzenia stałego, spółecznego przez się bytu. W każdém inném państwie stan takiego wewnętrznego niebezpieczeństwa takiego ognia domowego istnieć nie mógł. Przeto dla utrzymania się swego potrzebowali utrzymać Polskę w osłabieniu, w niemocy. Nie z ucisków religijnych poszły wojny kozackie; sama natura kozactwa i dyzunii, rozwinęła ten fanatyzm, który rozniecał lud i czynił napady. To była wojna o byt i bogactwa, o niezawisłość od porządku, pracy rolniczéj, wszelkich praw urządzonego Państwa i Kościoła — a bynajmniéj nie o wiarę. Wiary nikt im nie odbierał; znali ducha Apostolskiego katolickiego Kościoła i unitów, chcieli przeto aby do nich się nie zbliżyli, a gdzieby byli blisko, aby zostali zniszczeni. Unia bowiem mocą swoją

duchowną i moralną zniszczyłaby kozactwo; barbarzyństwo ustąpićby musiało oświeceniu, cywilizacyi i ludzkości.—Kto mówi: nie należało wprowadzać unii—szalony! to samo jakby mówił nie trzeba było nawracać Litwy i zostawić ją w pogaństwie. Unia była dziełem najczystszego oświecenia, postępem, dobrodziejstwem dla ludu Rusi, drugiem wprowadzeniem religii chrześciańskiéj w te kraje. Chrześciaństwo bowiem, z powodu oddania się swawoli i niepodległości duchowieństwa dyzunickiego, podsycania ochoty do łupieży w kozakach, z wpajania fanatyzmu nienawiści w spokojne, ciche, szlachetne serca słowiańskich gromad, w istocie swojéj zupełnie była znikła, zostały tylko religii chrześciańskiéj zewnętrzne oznaki, które były pobudką i zachętą pożogów i mordów. Na dowód tego porównajmy ostatnich czasów klasztór księży Bazylianów unitów w Humaniu, mający 800 uczniów w szkołach, odprawujący missyc, a o kilka najdaléj kilkanaście mil, klasztorek dyzunicki w Łebedyńskich lasach; porównajmy świątobliwego Apostolskiego męża księdza Kosteckiego z Jaworskim Melchizedechem, w ostatniéj rzezi humańskiéj, co była tak strasznym mordem niewinnych dziatek. Nie stanowiliż z sobą wspólki, doskonałéj jedności, zaporożec Żeleźniak i ksiądz dyzunita z klasztoru motreneńskiego? Ten zapał, ta zobopólna miłość zaporożców kozaków i księży dyzunitów, nie objawiałaż się w Koliszczyznie tak jawnie, oczywiście i widocznie? Taż sama dyzunia przed organizacyą kozactwa trwała kilka wieków, przecież nie prowadziła, nie formowała rzezi; dopiero gdy szło o te wielkie bogactwa któremi się dzielili, gdy szło o niepodległość niezwyczajną w społeczeństwie, dopiero się obudził ten fanatyzm, te wojny straszne. Wszystkie kozackie wojny były tą samą rzezią humańską na większą skalę wykonaną, czas dłuższy trwały, prowadzone i spełniane mieczem, nie nożem, przeto zowiemy je wojnami.

Mówią: przyczyną tych wojen było postawienie Kudaku, zniesienie ich przywilejów przez ustawy sejmu, srogie obejście się z Chmielnickim. A przymierze które na rzeczypospolitéj wymogli w Hadziaczu czy ich uspokoiło? Owa unia Hadziacka w któréj nakazali aby w państwie katolickiém zasiadł ich metropolita w senacie, w którym jakby byli Kościołem albo synodem, postanowili, zadecydowali: że tylko obrządek rzymsko-łaciński i dyzunicki istnieć mogą, a unici powinni wyjść z kraju i oddać cerkwie i kościoły. Ta unia czy ich uspokoiła? Nie— w takiém urządzeniu i duchu żyjąc zaporożcy w żadném państwie istnieć nie mogli. Raz istniejąc, z wszelkim sąsiadem musieli prowadzić wojny.— Zaporożcy nie żyli z rolnictwa ani z pracy, potrzeba im było od czasu do czasu wpadać do miast i do domów zamożnych dla zdobyczy; z łupu bowiem żyli, rabunek był ich rzemiosłem. Utrzymują niektórzy: gdyby się obchodzono łagodnie z Chmielnickim, nie byłoby téj strasznéj wojny—a przed Chmielnickim nie rozpocząłże grasować po kraju Nalewajko? — Mieszkaniec Ostroga, kuśnierz z rzemiosła, lękając się kar i wyroków sądowych za popełnione kradzieże, ucieka z rodzinnego miasta na Sicz, zostaje atamanem i czyni wielkie rozboje, prowadzi wojnę w Polsce pod hasłem obrońcy wiary dyzunickiéj. — Ile to było krwi wylanéj, ile kościołów katolickich i unickich zniszczonych?—ile to złota wysypał z Niemierowa Potocki dla uhamowania téj wojny domowéj, tego nierządu kozackiego? — Żółkiewski pojmał go nakoniec. Kosiński uczczony nawet dumą świetnego naszego poety, szlachcic z Podlasia, po wielu występkach, zniewolony opuścić kraj swój i rodzinę; uchodził na Sicz jako rycerz i obrońca wiary, niszczył dobra książąt Ostrogskich gorliwych dyzunitów, wiele sreber i złota uwiózł z Polski na Zaporoże. — Rzecz dziwna jakby brakowało cnót w dziejach naszych! Poeci chcąc upięknić to życie ko-

zackie, te krwawe zaporożców napady i łupieztwa; każą swój geniusz i talent byroniczną chorobą, upiękniając występki.— Wszelkie czyny anti-społeczne, a temi były kozackie wojny, jakkolwiek spełnione czy pod chmurzystem czy jasnem niebem, na szczytach gór skalistych, lub na rozległym jak morze, niebo, stepie, przy myślach o swoim kurchanie, lub przy śpiewie muzycznéj dumki, pieszo, lub na dzielnym stepowym rumaku, zawsze są faktem względnie Boga i ludzkości sprzecznym—tem samem występnym.—Owe wojny kozackie, jak to jeszcze niżej pokażemy, nietylko zwątliły rzeczpospolitę zniszczyły ją, osłabiły, ale téż przyczyniły się do upadku samej Kozaczyzny. Hetmani ich swoim sposobem rządzenia, swoim duchem, byli wrogami własnéj swéj wojennéj gminy, bo ją bardzo szybko w podaństwo zawiedli. Bronili się od zależności Kościołowi i prawom, a oddali się szybko w zupełne poddaństwo nic z swoich praw nie zachowując, tracąc nawet ślady istnienia swego. Chmielnicki, dość powiedzieć, był pierwotnym sprawcą wszech nieszczęść Rzeczypospolitej i swojéj rodziny. Ten jeden owoc czynów jego pozostał, że się wielka Kozaczyzna, rozdzieliła na Ukrainę zadnieprską i Zaporoże, przeto prędko upadła. Niecny mąż, opilstwem, krwi wylewem żyjący, mniemał że krzywdę wyrządzoną, trzeba ugaszać we krwi tysiąców bliźnich swoich. Sądził że mu wolno wszystko zagrzebać, byleby przy cerkwiach w Kijowie publiczne odebrał pokłony, i wystąpił w szubie bogatéj. Tak nikczemnego buntownika ludzkość jeszcze nie miała. Wydartą majętnością u właścicieli Polski i Rusi, opłacał on tatarów, aby na pobojowisku zarzynali bezbronnych jeńców. Mordując ludzkość niewinną, jeszcze się kłaniał i do nóg chylał królewskich. Są ludzie za krzywdy wyrządzone w zemście swéj straszni, dalecy od podłości przynajmniéj od uniżenia, téj fałszywej pokory, co tylko zbójcom właściwa.

Aby określić charakter Chmielnickiego trzeba serce napełnić wstrętem. Wojna Chmielnickiego była wielką pożogą, wielkiem nieszczęściem dla unii; zasypała gruzami kościoły, Ruś niegdyś kwitnącą. Trwało to nieszczęście około r. 1648, i długo jeszcze potem; ale Kościół katolicki i Unija przeżyły ten chrzest krwawy, tę próbę we krwi własnéj, i w ogniu, nie upadły, owszem podniosły się silniéj. Wystąpili ludzie nowi, mężniejsi, dzielni rycerze duchowni, sprawę pozornie zniszczoną odnowili, odbudowali. Unija się wyjawiła po tych wojnach, nie jak po brzeskim Synodzie w dwóch częściach kraju, ale w całości Rzeczypospolitej, tak dalece że nawet ani jednego biskupa dyzunickiego niestało w jéj granicach. Fundacyje się rozmnożyły, klasztory się powiększyły, missyje nastały, szkoły zostały założone.

Zaraz za panowania Jana III. rozbudzone zostały na nowo starania biskupów, królewskie, szlachty i panów, aby tę część trzecią która nie przyjęła unii, przez oderwanie się dwóch biskupstw: Lwowskiego, Przemyskiego do zjednoczenia stanowczo doprowadzić. W tym celu za uniwersałem króla Jana zwołany synód biskupów i kapłanów, *utriusque ritus* r. 1680. — Przypatrzmy się w nim jaki był stan Unitów w tym czasie, ilu to mieli znakomitych ludzi, ukształconych, doktoryzowanych w Rzymie i teologów biegłych w nauce Kościoła? Za czasów Jana III. opór Dyzunii był biernym, raz, ze stanowiska duchownego nie mieli żadnego znakomitego męża; powtóre, kozactwo z miastem Kijowém już było pod władzą silnego państwa północnego. Metropolita kijowski zaląkł się téj nowéj silnéj organicznéj władzy i opuścił swoją dyecezyę; kozactwo nieprowadziło wojny na wielką skalę, chociaż miało swoje przywileje pewne swego Hetmana za Dnieprem, ale było pod opieką pod grozą Wielkich Xiążąt. — Zaporoże robiło nie tak wielkie wycieczki sięgające niedaléj jak dyecezyi Kijowskiéj, rabu-

jąc i zabierając na swoją własność dobra biskupów kijowskich, chirastowskie. — Tureckie tylko jarzmo rozciągnęło się na wielką część Podola. Wielkie prześladowanie kozackie trwało przez lat 85. mówiąc słowy Żochowskiego: „tem prześladowaniem unija nie mogła być obalona, ubłogosławił ją Piotr śty, kamień wiary; wszystkie, co ciskali żelaza, kamienie na Unią śtą, wszystko się to na tysiąc sztuk rozpadło; a ten kamień wiary Piotra śgo dla osobliwszéj nad nami protekcyi, i Boskiéj najsłodszéj Opatrzności nigdy nieskruszonéj. Podnosili wojnę o wiarę, a burzyli kościoły katolickie, przeto się w niwecz ich starania obróciły.“ —

Nieoszacowany mamy dokument list śgo Józafata do kanclerza Lwa Sapiehy, znajdujący się w sapieżyńskim archiwum; to cośmy mówili o Kozakach, zupełne potwierdzenie znajduje w tém piśmie. Posłuchajmy słów biskupa i świętego. „Żebym kiedy kogo gwałtem na unią przymuszał, to się nie pokaże nigdy. Zwykła moja przysięga episkopalna praw, moich cerkiewnych, gdy na nie gwałtem następują, przymusza mnie bronić, co jednak skromnie i uważnie czynię, nieodstępując przykładów śgo Ambrożego i śgo Chryzostoma. Ci święci na tak wielką krzywdę Bożą patrzali, na jaką ja tu patrzę w Połocku, gdzie chłopstwo grube, a tak wiele dziatek bez Chrztu, wiele dorosłych bez Spowiedzi, i używania śś. Sakramentów, umierało. Było ich wiele co na żywy Bóg potrzebowali kapłana przy śmierci; buntownicy gromili ich z tego i strzegli aby bez Spowiedzi umierali. Przed urzędem Nerona, Dyoklecyana, tobyśmy czynili w on czas wierni boży, ale mieszkamy pod Panem świątobliwym katolikiem gorącym, ogrodzone jest zdrowie i wolność nasza prawem pospolitem, jak i wszystkich innych obywatelów, dla czegóż nie mamy zażywać prawnych dobrodziejstw ku obronie zdrowia i wolności naszych? Powiadają: wszystkie

wnętrzne niezgody domowe, hałasy sejmowe z nas i unii pochodzą, czego dowieść nie mogą. Skromność nasza wiadoma jest wszystkim. Dyzunia to broi niemając praw starożytnych jakie my mamy, hałasami je chcą wystraszyć, tembardziéj gdy im pobłażają. Nie znajdzie się na nas żadna przyczyna zajątrzenia, tylko żeśmy są w łódce Chrystusowéj, pod sprawowaniem najwyższego żeglarza Namiestnika Chrystusowego, bez szturmu nigdy ta łódka nie była, i być nie może, przy nas i bez nas. Jeśli się zda komu, że te nawałności szumią dla jakich excessów naszych, niech nas każą pozwać, prawem pokonać, potem z Jonaszem z téj łódki wyrzucą. Syzmatycy biją i płaczą; na nas z krzykiem i wrzaskiem wszystkie winy kładą; katolicy niektórzy dla samych wrzasków tłumić nas pomagają. Chcecie zawrzeć z Kozactwem pokój — czy taki to pokój jak Chrystus mówił: pokój mój daję wam. Jestże jaki związek światłości z ciemnością, prawdy z błędem? Maż takiemu pokojowi Bóg który się z zagniewaniem Jego kleci, błogosławić? Więc i ojczyzna ta jakie sobie obiecywać może bezpieczeństwo, gdy nad wszelką sprawiedliwość, kozakom i pseudo-biskupom pozwolicie czego się domagają? Żeby stolice nasze biskupie bezprawnie osiedli i carogrodzkiemu patryarsze podlegali, i z państwem potężném nieprzyjacielskiém związek mieli? Zabronić nie będzie wolno wchodzenia Grekom ba i szpiegom pod formą i postacią kapłana od patryarchy przysłanego. Zabronić im tego nie można, bo się Kozacy gniewać będą. Królowie: Kazimierz i Alexander po opanowaniu Carogrodu przez Turka, nie chcieli mieć innego metropolity tylko tego, coby Papieżowi ulegał. Był metropolitą Hrehory, którego Pius ś. Papież na metropolitę święcił, taki był Mizael Czerejski, Makary Józef Sołtan, święcenie w Rzymie brali, przez Papieża konsekrowani, Stolicy śtéj ulegali, byli

w jedności. Helena królowa będąc wdową wyrobiła u Zygmunta Starego, by pozwolił jéj posłać po Sakrę do Carogrodu metropolicie prezentowanemu przez nią Jonie; odtąd ten zwyczaj trwał, do odnowienia unii. Dyzunici łączyli się i bratali z Heretykami (Protestantami) za naszéj pamięci uczynili konfederacyą, w któréj zaprzysięgli stać jeden przy drugim. Grecy przychodzący dopomagali i pomagać będą. Nicefor greczyn przed odnowieniem jedności taki w Wołoszech czynił związek, w państwie Jego król. Mości zwodził Heretyków z Syzmatykami, zjazdy bywały w Ostrogu, Łucku, w Brześciu. Heretycy (Protestanci) wysyłali nawet do Jeremiasza patryarchy poselstwo. Wszystko to było nie dla dobra Rzeczypospolitéj. — Z tèj to kuźni tego związku w Ostrogu powstał i Nalewajko, i wielkie szkody Rzeczypospolitéj czynił. Unija tedy na początku r. 1596 obwołana temu wszystkiemu zabiegła. Bóg pobłogosławił początkom, skoro się nasi z Rzymu z unią wrócili; wszystko się to uspokoiło. Kozacy unii jako dzieła Bożego ustraszywszy się z Nalewajką pod Łubnami od naszych na głowę cudownie są porażeni. Nalewajkę żywcem wzięto, potém Nicefora autora tych sedycyj. Powstało potém niemało Potentatów (W.W. MPanu dobrze znajomych) przeciw tego dzieła Bożego sprawie, które Bóg uczynił za dni ich, nic niedokazawszy porwani są do sądu Bożego. Chcieli się gromadą rokoszowce pokusić, inni o potłumienie téj sprawy świątobliwéj; przecie ten zamysł ich z hańbą się skończył. Pewni jesteśmy że Bóg temu dziełu pobłogosławi, wszelką przeszkodę nietylko kozacką, ale i szatańską obali i zwalczy bez szkody, owszem z przymnożeniem jéj duchowych uciech. Kozacką posługę, jeśliby nad unią štą przełożono, i onych woli (mimo woli Bożéj) uczyniono, obawiać się aby tenże Bóg sprawiedliwy sądem swoim nie skarał téj ojczyzny miłéj, a to przez tychże

Kozaków, jako niegdy lud Boży przez Filistynów. Kozacka swawola tem się *nie zwiąże*, ale *rozwiąże*, obawiać się trzeba konfederacyi, nowéj Syzmy z rozmajtemi sektami, jakie się przed wznowieniem Unii wszczynały, jak to się na Szlązku dzieje. Kozacy większych rzeczy ważyć się będą, jak się ważył Nalewajko. Dziś nam już cztery główne monastery odjęli zmówiwszy się z Czerncami w Kijowie: śgo Michała złotowierzchnego, śgo Nikoły Pustyńskiego, śgo Kieryla i Meżychorski. Głosy one: „wolemy z Turkiem żyć," zniesieniem unii się niezatłumią ale przymnożą. Z natury to ma Dyzunia, woli się bratać z Turkiem, niżli z katolikami. Jako np: Emanuel Comnenus, wojska katolickie, francuzkie które mu dopomagały w odzyskaniu ziemi śtéj truł, mieszając wapno z mąką, a czynił z Turkiem przymierze, zmówił się na Łacinniki i chcąc ich wyniszczyć zajrząc im aby potęgą swoją nieodzyskali Palestyny, na on czas będącéj pod Turkiem. Karnościąby od takich głosów odstraszyć, a nie wolnością. Po otrzymaniu dekretu Jego król. Mości, przyznającym cerkiew mochilewską Unii, dopuściłem po dekrecie pół roku nabożeństwo dyzunitom odprawiać, chcąc ich tą ludzkością ku dobremu przywieść. Gdym obaczył że się tym postępkiem korzeni ich upór, odebrałem je i podałem kapłanom dobrym katolikom, niechże się w nich modlą, niech chcą tylko być nabożnymi. Pozwalać zaś na bluźnienie Boga tych cerkwi, sumienie nie pozwala. Zechcą mi ich, li gwałtownie, bezprawnie odebrać, bronić; nie przemogę — do sądu straszliwego boskiego apelować muszę. To wszystko jako sługa Boży, niegodny syn ojczyzny, wierny, piszę WWM. Panu, abyś po staremu mnie miłościwym panem i protektorem być raczył, którego się ja łasce jak najpilniéj oddaję. 22 Aprila 1622 r. Polock. Jozafat Koncewicz."

Wiemy że w tym roku, acz po synodzie Brzeskim, Unija jeszcze uzupełnioną nie była, dwa biskupstwa lwowskie i przemyskie odstąpiły; była trzecia część dyzunitów. Jako to wykazałem, Kozacy dyzunią wspierali; spory były nietylko o wiarę, ale i o miejsca, fundusze, cerkwie. — Kozacy sprowadzali kapłanów greków niby patryarchów, którzy na biskupstwa pomimo prezenty i przywilejów królewskich innych naznaczali. Ztąd były procesa, i przywilejem królewskim, prawami rzeczypospolitéj, były oznaczone wyraźnie które cerkwie, biskupstwa, do Unii należą.

Roku panowania trzeciego, za Władysława IV na sejmie koronnym w Warszawie r. 1635, oznaczone dla Unii wszystkie dobra metropolitalne (chociaż dyzunici także metropolitę kijowskiego wybierali, ale dobra metropolitalne posiadał unicki metropolita) „Arcybiskupstwo połockie, włodzimirskie, pińskie, chełmskie, smoleńskie, z monasterami, cerkwiami i funduszami do nich należącemi, zawsze przy unitach zostać mają. Klasztór wileński śtéj Trójcy z bractwem, z cerkwią ś. Piątnicy z funduszami do nich należącymi, grodziński, żydyczyński, mochilewski, miński, nowogrodzki, onufryjowski, mścisławski, pustyński, leszczyński, połocki, bracławski, które teraz *in posessione* są potomnemi czasy, przy unitach zostawać mają. W Witebsku, Połocku, Nowogrodku, nigdy żadnéj cerkwi nieunici mieć nie będą. Warując to za nas i najjaśniejszych sukcessorów naszych iż tego biskupstwa, archimandryctwa, i ihumeństwa nikomu innemu konferować sukcessorowie nasi nie będą, tylko zakonnikom zasłużonym w jedności reguły śgo Bazylego będącym, których teraźniejszy ojciec metropolita Unii, i sukcessorowie jego Unici proponować nam i sukcesorom naszym będą. Na co się podpisujemy ręką własną: *Władysław IV król.*“ Na tym przywileju podpisał się referendarz Tryzna, kanclerz Ossoliński, sekretarz Tomasz Ujejski.—

Na wezwanie króla Jana III gorliwego wielce o wiarę ś. katolicką zjechało się duchowieństwo Unitów i Dyzunitów. Wysłani na ten cel komisarze królewscy: Jan Kopeć kasztelan Trocki najżarliwszy katolik, przychylny dla Unii, najzasłużeńszy w téj ś. sprawie i Jerzy Wielohorski kasztelan Bracławski. Wtedy żadnéj Cerkwi już Unici w Lublinie niemieli, z paktów Hadziackich Dyzunici odebrali; przeto biskupi Unici swego domu niemając w pałacu księcia Dymitra Korybuta, na Zbarazie, Ostrogu, Wiśniowcu i Zasławcu Wiśniowieckiego, byli przyjmowani. Ten potomek książąt Ostrogskich, wiarą swoją katolicką wspierał Uniją ś. Ten pan katolicki dał jedności świętéj przytulenie. — Ze strony Unii byli: Metropolita całéj Rusi ksiądz Żochowski Cypryan, Leon Załęski B. Brzeski, ks. Drucki Sokoliński arcybiskup Smoleński, ks. Jakób Susza biskup Chełmski, Marcin Białozor biskup Piński i Turowski, Jan Małachowski biskup Przemyski i Samborski do tego jenerał XX. Bazylianów teolog rzymski, i zakonnicy przełożeni, klasztorów konsultorowie, wszyscy doktorowani w Rzymie. Już w tym roku 1680 pomimo tylu prześladowań było na tym zjezdzie rzymskich teologów tylu: Przełożony Supraski, Miński, Żyrowicki, Czerejski, Rożański, Polocki, ośmiu przełożonych razem konsultorów zakonnych i teologów rzymskich. Jeden ks. Ochilewicz doktor ś. Teologii w Rzymie, sekretarz zakonu Bazylianin, teolog rzymski, kaznodzieja Żyrowicki, Prokonsultor zakonu Bazylianów teolog, officyał Dyecezyi chełmskiéj teolog rzymski, Szymon Kozioł teolog rzymski kaznodzieja, — kaznodzieja metropolitalny teolog rzymski. Wszyscy ci Teologowie byli Bazylianie prowincyi litewskiéj, którzy już od r. 1616 byli urządzeni, i na tym zjeździe mieli kilkunastu uczniów rzymskich teologów, przełożonych klasztorów swoich, konsultorów prowincyi, prócz tego kilku sławnych kaznodziei szcze-

40

gólniéj z Żyrowicy. Tam był najznakomitszy na Litwie klasztor, największa fundacya, wielki cudowny obraz Matki Boskiéj na Jaspisie. Z tej świetnéj w zakonie i Unii Żyrowicy, było kilku Bazylianów. W Koronie, na Wołyniu, jeszcze Bazylianie nie byli na ówczas urządzeni. Zwali się od przełożonego Ihumena humennymi mnichami. Niemieli swojéj prowincyi, zwierzchności zakonnéj, ani tego urządzenia jakiém się Litwa cieszyła od r. 1616. W imieniu tych Monasterów wołyńskich był tylko jeden na zjeździe tym X. Korytyński kaznodzieja metropolitański także teolog. Prócz tego byli już nie teologowie przełożeni: Nowogrodzki, Włodzimirski, Wolneński, Archidyakon metropolitalny i nakoniec X. spowiednik żyrowicki. W takim stanie była już hierarchia unicka, szczególniéj zgromadzenie zakonu XX. Bazylianów litewskich. Mieli dwudziestu mężów doskonale w teologii w Rzymie ukształconych, rządzących do tego wielkiemi klasztorami, i oświecających radą swoją całą prowincyą. Każdy z biskupów miał w assystencyi czterech Archipresbyterów z kleru świeckiego. Prócz tego z bractwa głównego Wileńskiego, Ławicy ruskiéj, Jerzy Pawłowicz burmistrz miasta, człowiek *de Unione S. meritissimus*, najzasłużeńszy. — Ze strony Dyzunitów X. Józef Szumlański biskup lwowski z całą Dyecezyą swoją, z przełożonemi Ihumenami: Krechowskim i Skitskim; prócz tego X. Wołczuski namiestnik klasztoru Mohilewskiego z Ihumenami, i dwa bractwa: Stauropigia lwowska i Bractwo szczególnie Łuckie. Dla przybyłych tylu osób wiele się ludu z okolic dla nabożeństwa zbierało. Piękne były celebry w Kościołach katolickich Metropolity i biskupów. W Kościele XX. Jezuitów Metropolita celebrował, wszyscy biskupi Uniccy, Archimandryci pontyfikalnie ubrani assystowali, nawet i X. biskup lwowski w dyzunii będący; teologowie rzymscy z kazaniami występowali, na text: *Pater sancte serva eos ut*

sint unum sicut et nos. Cała młodzież Jezuicka występowała w ślicznym orszaku składając cześć swoją i życzenia. X. Jezuita Retoryk piękną mową wielkie zjednoczenie witał, w imieniu Kościoła katolickiego pozdrawiał. X. Żochowski Metropolita uniesiony był tym widokiem jezuickiej szkolnéj młodzi, zebranéj z synów najdostojniejszych panów Korony, mówiąc temi słowy: „Obaczyłbyś Ateny greckie, Areopagi, Parnasy, ustępowaćby musiały takiemu ukształceniu, takiéj nauce tak pięknym obyczajem kwitnącéj młodości Soc. Jesu“. — Na święto gromniczéj Matki Boskiéj, okazała była celebra Unicka w Kościele XX. Karmelitów. Wszyscy kolejno Jezuici, Dominikanie, Karmelici i kościół farny przyjmowali Metropolitę, biskupów na celebry zapraszali z wystawieniem N. Sakramentu i z wielkiemi processyami. Wszędzie kazania mieli Bazylianie z Żyrowicy Teologowie rzymscy, nieustępując ani Jezuitom ani Dominikanom. Już się tak u prostych niegdy Mnichów, rozwinęła i ukształciła Teologia i wymowa kaznodziejska. Na zjeździe publicznym w obec najznakomitszych katolickich zakonów stanęli na świeczniku, i pierwsze miejsce jako sobie należące słusznie zajęli.

W tem Metropolita otrzymał pismo od Króla Jana III. w którem zawiadomił król całe zgromadzenie, że otrzymał poselstwo od bractwa Łuckiego z prośbą, aby ten zjazd odłożonym został, bo niemogą nic decydować, póki się niezniosą z Patryarchami Wschodniemi. Przeto król wszystkich prosił do Warszawy. „Pewni jesteśmy, że tu zdanie każdego i wolność tak będzie bezpieczném, jak dobrą mamy intencyą dobrowolnie do zgody i zjednoczenia powszechnego prowadzić wszystkich, spokój i jedność Chrześciańską kochających“. — Jak widziemy zdanie królewskie było pośrednikiem tylko; zarówno się opiekowali królowie Dyzunitami, którzy doznawali opieki prawa i bezpieczeństwa osób swoich. Sądzili

wszyscy, że bractwo Łuckie przybyło tylko dla pobożności, tymczasem tem skrytem poselstwem zerwało działania lubelskiego zjazdu. Do Warszawy niemogli się wszyscy wybrać, było trudno w téj porze. Dalej umawiać się o jedność w Lublinie niepodobna było, bo się Bractwo Łuckie i Dyzunici składali zwołaniem zjazdu do Warszawy i potrzebą zapytania i zgłoszenia się do Patryarchów. Przeto się wszystko tylko na nabożeństwie solennóm, i na kazaniach, skończyło. Ale tu się objawiła publicznie wyższość nauki, i dar zdolności kapłanów Unickich Bazylianów litewskich, kaznodziei żyrowickich, cnota i gorącość serca księdza Cypryana, Żochowskiego Metropolity, który przytym zjeździe wiele mówił i pisał do odszczepnéj jeszcze Rusi. — Katoliccy biskupi, kapłani zgorszeni byli zuchwałością i zręcznością Bractw greckich, dyzunickich. W kościele katolickim najsilniéj jest przestrzeganem, aby ludzie świeccy czy to indywidualnie, czy społecznie w bractwach, niemieli władzy żadnéj w Kościele, niedecydowali w rzeczach wiary. Bractwo Dyzunickie stauropigia we Lwowie i Łuckie, szczycąc się ustanowieniem swojém wprost od Patryarchów, przywłaszczały sobie władzę nieprzyjętą nigdy w Kościele, nietylko rozprawiania na Synodach, co tylko do biskupów należy, ale i znoszenia się wprost z Patryarchą. W Lublinie kiedy biskupi Dyzuniccy się nieprzeciwili, Bractwo Łuckie zerwało ten Synod, wysłało posłów do króla i postanowiło się odnieść do Patryarchów. — W Kościele katolickim zawsze były Bractwa i zaraz w Unii po jéj wznowieniu r. 1595, wiele ich istniało; najgłówniejsze Wileńskie, potem Połockie, Witebskie, Różańskie. — Bractwo jest to połączenie się ludzi świeckich w stanie męzkim bądź niewieścim, pod tytułem Święta uroczystego, lub pod innym jakim znakiem zbawiennym, w tym celu tylko, aby zyskać większą łatwość w pełnieniu pobożnych uczyn-

ków, aby wynagrodzić Panu Bogu większem swojém nabożeństwem opuszczenie się lub bezbożność braci swoich, aby przejednać łaskę obrażonego za grzechy nasze Zbawiciela; takie bractwa zostają pod władzą swego Pasterza, często odprawiają spowiedzi ś. i kommunije; mają Dyrektora sumienia approbowanego od Pasterza, który ich posila słowem Bożem; za radą spowiednika czynią pewne mortyfikacyje; składają pobożne legata, czynią jałmużny i sami niemi szafują. Wszystko to podlega juryzdykcyi, rozkazowi biskupiemu; rachunki z wydatków swoich czynić powinni — Bractwa cokolwiek między sobą postanowią ku dobremu porządkowi, ich statuta najprzód podlegają rozwadze spowiednika ordynaryusza, wyznaczonego przez biskupa, dopiero oddane są do approbaty biskupowi. Takie są i były bractwa w katolickim Kościele. — W Dyzunii bractwa ludzi świeckich były przez Patryarchów stanowione a szczególniej Stauropigia; niepodlegały całkiem biskupom; wydawały, drukowały pisma; odwoływały się wprost do Patryarchy; one więcéj utrzymywały Dyzunię, niżli biskupi i kapłani. To była prawdziwa herezya, nadanie ludziom świeckim niezależności od biskupów w sprawach duchownych, i prawa dyskutowania, i drukowania w rzeczach wiary. Dla tego Dyecezya Lwowska dłużéj nad inne w Dyzunii trwała, że miała we Lwowie stauropigią. Bractwa katolickie rozwijały ducha pokory, rozlewały miłość, szerzyły się przez miłosierdzie; a Dyzunickie Stauropigie wzniecały niezgody, czyniąc to, co dzisiejsi europejscy pisarze. Co zrobiła literatura i Filozofia ośmnasego wieku. Ludzie świeccy, nieuczeni, nieświadomi, w życiu dowolni, niewydoskonaleni praktycznie w karności cnót i doskonałości życia, traktowali dowolnie kwestye główne, teologiczne, religijne, Boskie, i pisząc o nich natworzyli tyle bezbożnych wyobrażeń, które do dziś dnia zwyciężone być niemogą. — Wpływem to tych

bractw zjazd r. 1680 nieprzyszedł do skutku i Dyecezya lwowska, kilka monasterów Mochilewskich i bractwo Łuckie w Dyzunii zostały. Nie mówię o mieście Kijowie i kraju kozaków zadnieprskich, tam Unija nigdy niedoszła. Na tym zjeździe w Lublinie z Kijowa nikt niebył.

Powtórzmy kilka słów pobożnych księdza Metropolity na zjeździe, dla zachowania pamiątki po tym mężu tak pracowitym w Kościole i wiernie swój lud nauczającym. W jedném z pism swoich mówi o grekach w wydanem przez siebie *Colloquium* cytując objawienie ś. Brygidy: „Grekowie, którzy niechcą podlegać Kościołowi, głowie Kościoła dla hardości, dla rozpusty cielesnéj, dla chciwości, lub jakich innych własnych, lub czyichkolwiek widoków ziemskich doczesnych, tacy są niegodni aby dostąpili odpuszczenia i miłosierdzia. Drudzy zaś Grecy: luboby chcieli, ale niemogą zrozumieć wiary katolickiéj rzymskiéj. Ci jednak według sumienia swego i stanu, w stanie i wierze swéj w któréj żyją od grzechów się powściągają i żyją nabożnie. Takowym po ich śmierci miłosierdzie wyświadczam. Niech i to wiedzą Grekowie, że póty cierpieć będą nieszczęścia, uciski od nieprzyjaciół dopóki się z prawdziwą pokorą i miłością niepoddadzą Kościołowi i wierze rzymskiéj“. *Revelatio s. Brigitae L. 7. C. 19.* — Słowa zaś X. Żochowskiego w kazaniach miane i w mowach do odszczepnéj Rusi: „Trzymam się nóg Twoich Ojcze najświętszy, radości osobliwa, zbawienie widome dusz naszych, z Tobą i godności i życie nasze — bez Ciebie jako bez Chrystusa, którego namiestnikiem i rybitwem jesteś nic niepoczniemy. Przez Twoje oczy patrzy Duch św. na świat cały; na kogo się zapatrzeć każe, z tym miłosierdzie Boże; od kogo odwracasz oczy ten nieogląda twarzy Odkupiciela swego. O gdybyś narodzie mój ruski poznał dobroć, świątobliwość łaskawość, najświętszego

Ojca Innocentego XI osobliwie przychylnego naszemu narodowi, któregom znał i widział, gdy przy znamienitych jałmużnach we dni męki Zbawiciela piątkowe, bardzo rano wstawszy chodził boso po Rzymie *ad scalas sanctas*, po których Zbawiciela do Piłata prowadzono, nawiedzał słup bitego Zbawcę naszego. Tam Innocenty XI bogactw i dziedzicznych wygód obfitość, Watykańskiego domu wielkość na stronę uchyliwszy, łzami polewał te marmury święte krwią Zbawiciela najdroższego ulane. — Czas jest, abyś narodzie Ruski przyszedł do sławy i sukienki pierwszéj, z któréj przez błędy zastarzałe odarty jesteś, a to się stanie przez Ojca ś., o Matko! syn twój jest głową Kościoła swego widomego, a ty szyją tegoż Kościoła. Mogąż być influencye z głowy do całego ciała, jeśli nie przez szyję dro ocennemi perłami, milionami śś. kłaniających się Tobie otoczoną? Zachowaj głowy i karki, narodu ruskiego dla oddania pokłonu namiestnikowi Syna twego, najświętszemu Papieżowi. Dość głów i karków ruskich poszło na stronę a co gorsza pod tęż szablę, pod którą Grecya jęcząc ogląda się na tę i owę stronę mówiąc; Gdzież jest ten co nas nieszczęśliwych uwolni? Uczyń to najsłodsza pociecho nasza, smaku niewymownego pokarmie od Salomona chwalony. Jednymeśmy głosem wołali po wszystkich kościołach: *Pater sancte serva eos ut sint unum sicut et nos* na co cierpliwie wyglądając coraz stawić będziemy przed ołtarzem Baranka zabitego i krew Jozafata ś. za jedność wylaną. Oby ta krew skutek swój wzięła, nawrócenia nietylko całego Witebska, jako się już stało, ale i całego narodu ruskiego. Kładziemy tę nieomylną nadzieję na kamieniu jaspisie, Częstochowy litewskiéj Żyrowickim obrazie. Cudowny kawałek jaspisu znać z fundamentalnych kamieni niebieskiéj szczęśliwości miasta spuszczony z nieba do Żyrowic. Na nim obraz Matki Boskiéj wyryty, aby naród ruski uczył się wiarę na ka-

mieniu Piotra ś. fundować, jako Matka Boska Żyrowicka majestat swój na kamieniu jaspisie założyła."

Te są słowa godne pamięci z lubelskiego zjazdu zachowane.

Za tego Metropolity Żochowskiego jego staraniem jest święto Józafata po całęj Rusi a szczególniéj w Połocku obchodzone dnia 12 listopada; przeniesiony na 26 września za łaską i zezwoleniem Innocentego XI. S. Józafat męczennik, kanonizowany dekretem Urbana VIII r 1642 naznaczony dzień Jego święta 12 listopada i ustanowione osobne officium. Dla trudności drogi w tych miejscach szczególnie u'rudniała r.eka Dzwina przeprawę w téj porze; przeto za Metropolii Żochowskiego jest ten przeniesiony. Imię Jozafata było niezmierną mocą dla katolickiego Kościoła, dla Unii, równo po śmierci jak i za życia. Przeciwnicy gdy go zgładzili nie odjęli mu siły, owszem po śmierci świętém wspomnieniem wszystkich jednoczył w najgorętszéj wierze, wzmacniał dusze wierne, poił cudowną wonią, — przerażał przeciwników; imię Jego, już znaczyło to co Unija. Kto uciekał od Unii, kto ją niszczył, najprzód zaląkł się Jozafata. Ileż to razy imie Jego i relikwije święte przez Dyzunią były znieważone. Dyzunici i Syzma w nieuznaniu prawd Kościoła Bożego zdobywają się na argumenta, na duchowne szermierstwa i sprzeczki. Wspomnieć im tylko imię Józefata natychmiast truchleją, bledną, tracą nad sobą moc; już się wyjawia ten duch zły, nie z Nieba płynący który niemi kieruje; gotowi są do bluźnierstwa do zapalczywych uniesień, jakby szatani, którzy się tak słodkiego imienia Jezus wzdrygają. Taką cudowną mocą obdarzył Bóg Jozafata. Przeszedł on wszystkich śś. mężów naszego Kościoła. Co za niezrównane poświęcenie się praca we dnie i w nocy! Sam w nieustannych postach, modlitwach, dyscyplinach ze snu się zrywał wo-

łając do Nieba, świętym pełnym uniesień głosem: *Boże daj jedność.* —

Ś. Jozafat zbliżył się do pierwszych Apostołów, nawracając ludu swego wielkie tłumy. Kazał nie w Kościołach, ale pod Niebem, w obec niezliczonéj liczby ludu; jednym tchem nawracał ciągnął za sobą od miejsca do miejsca; na drodze się zatrzymywał, słuchał spowiedzi i kazał. Od czasów Apostolskich tak cudownego niewidziano człowieka, nazywano go: *porywaczem dusz ludzkich.* Unosił zachwycał, porywał, wzmacniał, rozrzewniał Mąż najostrzejszéj pokuty, najpotężniejszy słowem i czynem. Apostoł, spowiednik działalny, doskonale rządzący biskup, męczennik. Żył w epoce wyższego świata, wobec tylu znamienitych mężów, wśród panowania Zygmunta III. — Za owych to Hozyuszów, Skargów i tylu innych, przecież mu nikt niewyrównał, nikt niedosięgł tego lauru męczeństwa, nikt się tak jasno w chwale Bożéj nieopromienił. Ani ów anioł dziecina, Stanisław Kostka, ani ów jakby drugi Franciszek ś. w morowem powietrzu konających sługa niezmordowany; Szymon z Lipnicy, ani nawet męczennik Bobola. — Ś. Jozafat wykonał, spełnił wielkie dzieło w Kościele Bożym, nietylko zjednoczył naród swój niemal cały w czasie swoim, ale Unii ś. węgielny położył kamień w przyszłości dla wszéj Rusi i całego nawet Wschodu. Imię Jego święte napełnia zachwytem duszę, i niewymownie słodką nadzieją. Ciało ś. Jozafata złożone w Archikatedrze Połockiéj, w trumnie kosztownéj srebrnéj fundowanéj przez Lwa Sapiehę.

Synod o którym pisałem r. 1680 nieprzywiódł do zupełnego zjednoczenia pozostałych Dyzunitów, starania króla Jana i Metropolity Żochowskiego zupełnie pomyślnym skutkiem niebyły jeszcze uwieńczone; iż chwała ś. Jozafata przez starania tego Metropolity wprowadzo-

na, coraz więcéj ku temu celowi zbliżała. Panowanie Jana III było pomyślną dla religii katolickiéj epoką.

Teraz odstąpmy na chwilę od dziejów Kościoła a spojrzyjmy na zmiany i koleje, różne wypadki, które w słowiańskiéj dokonały się ziemi, po śmierci Jana III August II mąż dzielny, odważny, sprężysty, nieugiętéj woli, gdy wstąpił po sławnym poprzedniku zamyślił dawną wznieść potęgę. Po szczęśliwem zakończeniu z Turkami, odebraniem Kamieńca sławą okryty, na Inflanty się rzucił. Tą wyprawą tym rygorem królewskim, w jakim wszystkich utrzymywać umiał, zdawał się w początku przypominać Batorego. Te świetne początki wzbudziły wojny, wstrząsające całą północą, które się niestety kosztem Rzeczypospolitéj skończyły, przynosząc w owocu wielkie jéj osłabienie, stawiąc ją w niższem Państw Europy położeniu. Wtedy to i kozactwo tak straszne Unii, zalewające krwią ziemię polską, już osłabione, za Jana III, będące pod władzą Wielkich książąt ostatecznie upadło. Kozactwo w dziejach naszych w dziejach Kościoła, jest to przedmiot najbardziéj żywy i interesujący, jest to bowiem rózga, którą Bóg karał, a która potem została spaloną. — Mówiłem pierwéj o kozactwie opierając sąd mój na zdaniu ś. Jozafata, z punktu szczero-katolickiego, widząc w tem fakt anty-socyalny. Spojrzyjmy na Kozaków z lepszéj strony, z tego co było w nich dobrem i chwalebnem. Duch niepodległości braterstwa bez różnicy stanów, zupełne oswobodzenie ludu od wszelkiego poddaństwa, było celem południowych słowian od Dniepru do Donu żyjących. Duch ten miał początek w pierwotnem słowiańskiem *hromadzkiem* życiu, które li tylko w téj krainie przechowało się. Ztąd gorące przywiązanie zostało się do osobistéj wolności, i do rządu tylko przez jednego z Hromady swojéj ojca Batka *attamana*, tak jak było w słowiańszczyznie na początku. Słowianie rozdzielili się na dwie części, dwa

działy wielkie, dwa obozy. Monarchia Normandzka północna przelana i zmieniona w Cesarstwo silne i Królestwo narodowe, w Rzpltą koronowaną. W jednem i drugiem, gruntem, zasadą bytu była miłość Ojczyzny: a w słowiańszczyznie kozackiej, w Kozactwie miłość, wolności osobistéj. Kozactwo niewzniosło się do siły, do treści Państwa, niepojęło bowiem tej wyższéj miłości, która się opiera na pewnéj ofierze. Ta ofiara jest moralnym gruntem wyższego i silnego związku, który stwarza Państwo i naród. Rzeczpospolita stała na szlachectwie, szlachectwo miało za cel w naturze swojéj, nie używanie wolności, ale poświęcenie się dla Wiary, dla Boskiej chwały. Rozlewać tę Boską chwalę było celem rycerstwa, ozdobić ją doskonałością i wykonaniem wielu obowiązków trudnych, kosztem życia dla zachowania nieskazitelności szlacheckiego klejnotu! Utrzymanie tego zdobytego moralnego stanowiska krwią i pracą (na którem silnie stojąc wspierali Kościół ś. i wiarę, a zdobywali dla siebie najdroższy skarb ziemski. — Sławę, niedbając o bogactwa, rozdając je drugim uważając je za przydatek) stanowiło, wzbudzało, uczucie wyższe, które wiązało w silny związek, spojnią tworzącą Państwo, Ojczyznę. W północnem księstwie, w Cesarstwie, posłuszeństwo najpilniejsze i gorąca wiara w swego Cara i Pana z zrzeczeniem się siebie, znosząc najsroższe kary z pewną rozkoszą, czcią, ofiarując życie własne z uniesieniem, niepochodziło li z bojaźni tylko i przestrachu, ale z téj wyższéj miłości narodu swego, którego król, cesarz był obroną i potęgą. Fanatyczne uniesienie się, dla podniesienia ojczyzny swojéj, była to straszna bojaźń, ale i miłość, wyższa ofiara, która stała się gruntem, zasadą państwa ojczyzny, Narodu. — Południowa Słowiańszczyzna miala miłość wolności osobistéj, bez żadnego celu, li tylko dla miłego używania. Był to pierwotny stan słowiański, miły, najpowabniejszy dla

prostych nieukształconych mieszkańców. Stan taki niemiał w sobie siły ani moralnéj potęgi, przeto niemógł zwyciężyć tamtych dwóch Państw, moralnie, duchowo silniejszych, ale od jednego z nich które zasadę swoją rozwijało dzielniéj, musiał być zwyciężonym.. Kozak znaczy wolny. Kozactwo to jest nic więcéj tylko wolność każdego człowieka na Ukrainie, wolność całego ludu. Kozacy nie lgnęli do Rzeczypospolitéj, nielubili jéj, pojmować niechcieli tych ostrych, surowych obowiązków honoru, tej wielkiej wrodzinach karności moralnéj, życia pod wpływem nauki umysłowéj, pracy, ani też wiary, poddaństwa królowi jakie było w Moskwie; nieposiadali jéj i niechcieli posiadać. — Wolność taka będąc ideałem, niemogła być zrealizowaną. Wolność tylko tam być może, gdzie jest prawdziwa wiara katolicka, nie w wyznaniu, ale w obyczajach, wgrunie ducha myśli, i w życiu, gdzie jest karność rodzicielska, domowa, karność moralna. Gdzie niema prawdziwéj religii jak to było w Kozactwie, tam musi być karność cywilna i rządowa. Narody jak przedtem i dziś, mają duże dla siebie do obrania drogi: albo mieć wielką karność religijną, moralną, mieć prawa, wiarę wyznawaną z gorącością ducha i spełnianą wprowadzoną w obyczaje, albo, poddać się muszą karności jedynowładnéj silnego cywilnego rządu. — Kozacy miłowali wolność, a przeciwnikami byli religii katolickiéj; a ta jedna mogłaby ich ocalić i utrzymać. W słowiańszczyznie podzielonéj na dwa królestwa, dwa Państwa, dwie cywilizacyje, był trzeci naród od Dniepru do Donu. Kozacki, bez różnicy stanów, pragnący oswobodzenia ludu, gdzieby byli wszyscy równi, wolni pod zwierzchnością wybieranego z gromady, *Attamana*, Batka. Niechcieli i nienawidzili téj różnicy stanów jak w Polsce gdzie był stan szlachecki i lud w poddaństwie; nienawidzili jedynowładnéj Monarchii, jaka była w Cesarstwie, w Ro-

syi. Najczystszy duch pierwotny słowiański tu jedynie tylko dochowany. Zepsuli przecież swój stan cichy, gminny, słowiański jaki był pierwotnie wojskiem swojém Zaporoskiem, do którego z całego świata ludzi szukających awanturniczego życia przyjmowali. Popełniali przeto niesprawiedliwości, rozboje; wkradla się chciwość bogactw i łupów łatwo zdobywanych, rozwinęła się ta nieuhamowana już w człowieku passya, gdy się w bogactwach rozmiluje, gdy już życie dla ich uchwycenia poświęci. Ich kapłani tę namiętność podsycali. Dla tego wszystkie zwycięztwa na nic się nieprzydały, niebyło myśli, gruntownéj i stałéj zasady, planu oznaczonego; niebyło mężów stanu, którzyby do czegoś stałego zdążyć mogli. Nieostał się przeto naród ten przy swojém narodowém słowiańskiem pierwotném hromadzkiem jestestwie, które się w Słowiańszczyźnie zmieniło, w inną cywilizacyę przelało, a w południowéj Rusi w Kozactwie, istniało tak silnie. Kozactwo to znaczyło i znaczy dotąd wolność ludu, ale nie tę wolność jak w Europie gdzie człowiek wolnym jest osobiście bez własności lub jest najemnikiem płatnym, albo płaci czynsz królowi lub panu, ale wolność dziedziczna, ziemi swojéj. Kozak znaczy wolny i dziedzic całéj ukraińskiéj ziemi; gotów syna i brata oddać do wojska byle to wojsko zawsze mu było w oczach jego, aby wojskowy był w rodzinnéj wiosce swojéj. To był pierwszy lud w Europie, lud ukraiński, lud południowych słowian od Dniepru do Donu, który się uzbroił i wiódł wojnę w celu swego usamowolnienia. Gdyby była Rzeczpospolita zrzekła się własności wszelkich na Ukrainie, a cały naród przyjął wiarę katolicką Unią, toby może co silnego utworzyło się z téj kozaczyzny. — Lecz trudna była, niepodobna zgoda między Polską a kozactwem, choć były traktaty, umowy, ale obydwie strony niebyły zadowolnione i zrywać je koniecznie musiały. Nie szlo tyle o

liczbę żołnierza kozackiego; Rzeczpospolita zezwalała na dwadzieścia tysięcy; ci chcieli czterdzieści. Ale kozacy niechcieli być pod zwierzchnością wojskową władzy polskiéj; a czyż Państwo na to zgodzić się mogło aby w niem było wojsko niezależne od wojennéj, naczelnej w kraju władzy? Kozacy chcieli traktować li z Królem; przeto złamać trzeba było całą ustawę krajową, w któréj Rzeczpospolita składała się z stanów. — Polski naród był katolickim, rozlał wiarę swoją w Litewski naród, który był mu obcym, nienależał do jego grona; mógłże naród utrzymać rozlanie się tej katolickiéj wiary, która z natury swojéj jest powszechna i apostolska? Mógłże jéj nierozwijać drogą przekonania i wiary w własnych prowincyach swoich, kiedy ją w obcym wzbudził narodzie? Mógłże niedziałać tego co było w jego wierze doczesnem, wiekuistem, nieomylnem dobrem? — Kozacy żądali aby to Apostolstwo było wstrzymane; chcieli aby tam gdzie już została przyjęta zniesioną była Unija i Religia katolicka. Zgoda z Kozactwem przeto, rujnującem kardynalne prawa polskie nie mogła się ostać. Do tego przyłączyła się kwestya drażliwa, zniesienie poddaństwa. — Wolność ludu była hasłem kozactwa, i w tém mieli niejaką wyższość nad Polską, która jak mówiono, będąc Rzeczypospolitą, cierpiała poddaństwo w Polsce. W prawdzie jeden tylko stan używał prerogatyw; lecz stan szlachecki był nieograniczonym, coraz się zwiększał; lud przeto stopniowo wpływał do tego przywileju. Poddaństwo niebyło niewolą, lud prosty, kmiecie od służby wojennéj byli wolni; wśród największych niebezpieczeństw ze strony Tatarów, Turków stan szlachecki zasłaniał lud cały krwią swoją. Obdarzeni byli ziemią i taką własnością jaką użyć mogli wedle sił swoich i środków. Dowodzą wszystkie Inwentarze, powinności były w pieniądzach, w naturze, tak szczupłe, że istotnie oznaczały tylko trzecią część dochodu

z posiadanéj przez lud ziemi. Stan szlachecki sprawował rząd krajowy, utrzymywał porządek, karność w gminach wiejskich; niebyło bowiem płatnych urzędników; i brał odpowiedzialność na siebie co do majątku i dobra włościan. W starości, w chorobie, w klęskach, stan szlachecki mający dziedzictwo ziemi, miał obowiązek opatrywać lud prosty. W takiem przeto urządzeniu zabiegało się nędzy i występkom do których ubóstwo i rozpacz wiodą nieraz. — Widzimy w Europie, że są wolni ludzie bez własności, bez pomocy w nieszczęściu, przeto urządzone są szpitale, domy ubogich. W dawnem urządzeniu każdy z ludu miał dom własny, posiadłość ziemi i pomoc dziedzica w potrzebach swoich. Takiego przeto urządzenia chociaż zdawało się być niewolą, Polacy odstąpić niechcieli. W duchu praw tylko przez uszlachcenie, mogli oswobadzać; uwalniając człowieka chcieli być o niego bezpiecznymi. Kiedy się stał szlachcicem już była pewność, że nieodstąpi praw zacności i honoru. To był obowiązek w krew wszczepiony; nieszło o wolność, ale o udoskonalenie człowieczeństwa. — Do szlachectwa były trzy drogi: przez poświęcenie życia w obronie kraju, zasługę w wojnie, przez wyższe udoskonalenie w naukach i kunsztach, i przez przyjęcie wiary katolickiéj. Żadna protekcya niemogła udzielić tego przywileju. Król miał wszystkie łaski w ręku swem a jednego szlachectwa nadać niemógł. Indygenat był udzielany przez całą Rzeczpospolitą. Gdy przedstawiono kogo do szlachectwa, uwiadamiano wszystkie sejmiki, a jeśli niebyło na nim skazy, wtedy nie król ale cała Rzeczpospolita czyniła go szlachcicem. Poddaństwo niebyło niewolą, strzegło i zapewniało ludowi byt dobry nie było tylko równością. Tę równość stanowiło szlachectwo, przeto byli przeciwni Polacy oswobodzeniu dyktowanemu od Kozaków, boby się tem wszelkich praw kardynalnych wyparli i swojéj własnéj religii. Chyba

wypadało się zwrócić do pierwotnéj słowiańskiéj gminy którą Kozactwo reprezentowało, ale gminy skażonéj już zapalczywością, mordem, łakomstwem, nieznanym pierwszym Słowionom. Kozacy niemal w swém ręku mieli kolebkę wiary ś. — Kijów. W ich to ziemicy dochowana pierwotna pieśń słowiańska, owa czarująca i rzewna *dumka*, w zaranku wieków. Bojan, jako Homer drugi rozsławił swą ziemię pieśniami. Te pieśni w Ukrainie w sercach i głosie ludu zostały; nadały południowym Słowianom tę cechę poetyczną, tę dumkę rzewną, nią jeszcze więcéj jak bogactwem, jak wolnością, Kozactwo ku sobie nęciło. I wielu takich, którzy na serdeczny ukraińskiej piosnki powab do Kozaków się zbiegali, Ukrainie się oddali — Ukrainę odbijali.

W kozaczyznie brakowało znakomitych ludzi; ostatni hetman Mazepa był między niemi najznamienitszy; ale przewrotnego charakteru, nie kochający ludzi, chociaż z wrodzonym geniuszem i siłą umysłu niepospolitą. Miał środki zorganizować coś pewnego, stałego urządzić; w niepomyślnéj tylko żył epoce. On chciał i myślał wydźwignąć kozactwo, przywieść do potęgi i osobnego bytu, ale ani Kozaków ani ludu nie miał po sobie.

W téj epoce wystąpiło na scenę świata, czterech ludzi, zdolnościami wielkich: Piotr W., Karol XII., Mazepa, August II. — August II. zamyślał sformować samowładne dla siebie państwo z całéj Polski, Inflant, Kurlandyi. Karol XII. powodowany żywością młodzieńczéj duszy, z nadzwyczajném osobistém męztwem, niezmiernym zapałem, wytrwałością nadludzką, kochający się w rycerskich wojennych niewygodach i pracach, nieznoszący żadnéj przeciwności, najsamowładniejszy z królów, bez stałego zamysłu i planu, to jako chrześciańskich pierwszych wieków rycerz, chciał być świata podziwem, pamięć Alexandra W. myślił wzbudzać; to znowu wszystkich Protestantów skupić na nowo, być ich mieczem

i Rzym zwyciężyć; straszny w zemście, naturalnych nieprzyjaciół swoich Piotra i Augusta postanowił być postrachem.

Piotr W. głęboki pomysłem, energiczną żelazną niechwiejącą się i najwyższemi niepowodzeniami niepokonaną wolą, wspartą na surowym charakterze, tworzył ideę wielkiéj monarchii, powrotu nad słowiańszczyzną władzy Włodzimierza i Jarosława, rozciągnienia jéj od brzegów Skandynawii do morza Czarnego, tłumił przeszkody od postronnych państw, które lub zagarnąć lub osłabić postanowił. — Mazepa znowu zamyślał pokonać niesforność i koczownicze życie Kozaków, zmienić je w organiczne silne dla siebie państwo, któreby korzystając z bojujących ze sobą tych strasznych przeciwników, skleić i ustalić mogło, zwłaszcza, że stojąc na boku, myślał tam się przerzucić, gdzieby zwycięstwo było niepłonne. Wszyscy czterech z wielkiemi siłami ducha, z osobistą znakomitych, niepospolitych i gienialnych ludzi potęgą, wystąpili jako lwy zażarte; szło o całe ich życie, o całe jestestwo. Dziwną treścią tego dramatu była walka dwóch Atletów: Piotra i Karola XII. — Polska miała w ówczas dość szczęśliwe położenie będąc połączona wieczystym aliansem z Turcyą i Szwecyą. — Rosya odstępstwem, skrytą chęcią oderwania się Mazepy rozdzielona między Szwecyą a Polską (po wygaśnięciu familii Wazów ustały powody nieprzyjaźni) a Piotra Karol XII był naturalnym nieprzyjacielem. — W tém położeniu Polska mogła się była utrzymać na stanowisku pośrednictwa i powagi i rozkwitnąć w stałym pokoju, tak jak później w wojnie siedmioletniéj ten pokój utrzymać umiała. — August II był cudzoziemcem, nie był kochającym królem; przeciw Pactom Conventom wbrew Rzeczypospolitéj jéj prawom, przysięgom, traktatom, wkroczył do Inflant i Polskę wywiódł z tego stanowiska, robiąc z niéj teatr wojny. Nadomiar nieszczęścia kraj

się rozdzielił na dwie partye: polską i szwedzką. Król nie był z narodem który doskonale pojmował położenie swoje i zaczepce Karola XII niezmiernie był przeciwnym. August II. uwikłał Polskę w trudne i najnieszczęśliwsze położenie, było dziwne od Boga zrządzenie, który równie na ludzkość jako na ludzi prywatnych zsyła niedolę, dla spełnienia w przyszłości wielkich celów swoich. Rzeczpospolita mając tak pomyślne dla siebie położenie, uwikłała się w długie cierpienia i nieszczęścia, z środków przyszłéj potęgi rozwinęła bliski czekający ją upadek. Piotr który tyle miał przeciwności, Szwecyą i Turcyą, naturalnych dwóch nieprzyjaciół, choć jestestwo i duch tych obu narodów żądały jego upadku, zwyciężył. Tyle czyni wola stała, niezłomna, i niestarta jednego nawet człowieka. Ten mocarz potężny, wódz waleczny, sam majtek, żołnierz i cieśla pod Pułtawą roztrzaskał o ziemię zegarek, mówiąc: już mi jest niepotrzebny, godzina zwycięztw dla Rosyi wybiła! Tą jedną bitwą August II stracił Inflanty, Kurlandyą; Szwecya liczne nadmorskie prowincye, i spadła do niewydźwignionego podrzędnego stanowiska. Kozactwo które chciał oderwać Mazepa dopomagając Karolowi, stanowczo zniszczone, znikło bez śladu. Bitwa pod Pułtawą była końcem kozaczyzny, Mazepa ostatnim jéj hetmanem. Znalazł się jeszcze potem w kozactwie mąż, co był ostatniem słowem swéj gminy, swojéj narodowości, praw nieszczęśliwym obrońcą, szlachetny Połubotok Paweł. On stojąc na miejscu Mazepy i w jego czasie, byłby zapewne zbawił swój lud, obronił prawa jego, bo używał wielkiéj sympatyi i ufności, wszyscyby z nim do boju wyszli Kozacy, a bitwa pod Pułtawą inne miałaby powodzenie. Mazepa miał tylko partyą swoją, ale brakowało mu uczucia, ufności, wiary całego narodu. Ztąd Karol XII zawiódł się na tém kozackiém powstaniu, i został zwyciężon. — Gdy Bóg chce naród ukarać albo spełnić

jemu tylko wiadome zamiary swoje i cele, gieniusze, cnotliwe męże któreby zbawić mogły usuwa od rządu; w tłumie niepojęci i nierozeznani, słów ich zbawienia i prawdy nikt nieuważa. — Późniejsze groźne i śmiałe do Piotra W. za kozackiemi przywilejami Pawła Połubotka odezwy i groźby, ściągnęły tylko na niego męczeństwo. Wielki zwycięzca utworzył rząd swój i siłę jako granit, skupiając cały swój kraj, i kozactwo w jednolitą i tąż samą całość rządu, kierowaną jedną li wolą, jednym tylko przenikliwym, przezornym rozumem, i srogą karą. Każdy w wielkiém jego państwie, z ochotą przyjmował karę jako dar z drogiéj ręki, każdy karę tę kochał, niszczyła bowiem rozum i wolę człowieka, ale wznosiła coraz wyżéj potęgę narodu. Każdy z ran, blizn swoich się chlubił, w bojaźni przestrachu napawał się słodyczą, czując się być męczennikiem, ofiarą osobistą, dla dobra swojéj wielkiéj coraz wyższéj całości. Jedni tylko Kozacy płakali, jedni Kozacy w cichości jęczęli tęskniąc za swojem hromadzkiém pod hetmanami życiem; za tą swoją wolnością, dla któréj nieumieli czcić prawéj i śtéj religii, i przelali tyle krwi niewinnéj. Kozactwo tedy wcieloném zostało stanowczo; Paweł Połubotok zginął w więzieniu. — Uszanował cnotę jego Piotr W. przyszedł sam do więzienia, do złożonego ciężką chorobą, prosił go aby dał się ratować i leczyć. „O nie; niezdołasz wrócić mi życia któreś mi wydarł, ale zbliża się chwila w któréj Piotr i Paweł staną przed Bogiem obadwaj i Bóg ich życie osądzi.“ —

Rzeczpospolita została się w ówczas, po pułtawskiém zwycięstwie w granicach swoich, poniosła tylko klęsk wiele, oprócz tyle krwi w bitwach i wojnach wylanych, w które bez żadnéj potrzeby dla osobistéj dumy August II ją uwikłał. — Wielu bardzo stronników Leszczyńskiego uprowadzono w Syberyą, zkąd nigdy już niewrócili; wiele wsi przepędzono z Ukrainy za Dniepr, zabierano

cerkwie na wozy, a gromady z rodzinami, dziećmi pieszo szły do Rosyi. Na Ukrainie dotąd pamiętają te przenosiny zowiąc je *Perehonem*. Skutkiem téj wojny, pomimo tych *Perehonów* zaludniło się puste Podole i Ukraina, Polska kijowska między Dnieprem i Donem. Teatrem wojny było Mazowsze, Kaliskie, Litwa i Podlasie. Około Prypeci przeprawiał się Karol XII szedł do Pułtawy. Tłumami rozmaita ludność polska, poleska przechodziła do południowych stron Polski, które od niebezpieczeństwa przez czas kilkodziesiątoletniego panowania tureckiego, ostatecznie spustoszały. — Zwycięstwo pod Pułtawą miało pomyślne skutki dla całéj Europy, nawet dla Kościoła katolickiego. Karol XII po zwycię-żeniu Piotra W. zamyślał na nowo podnieść burzę trzydziestoletniéj wojny już uspokojoną. Skupiał wszystkich Protestantów niemieckich, strasznym był dla całéj Europy katolickiéj, groził nawet Rzymowi. On przedstawiał orężnie protestantyzm. Była to burza niebezpieczna dla Kościoła, dla Europy, któréj skutki nie mogły być przewidziane i obliczone. Po tém zwycięstwie, uspokojonych wojnach, gdy i Piotra W. z kolei spotkała klęska nad Prutem, skutkiem traktatu tam zawartego wojska jego ustąpiły z granic Rzeczypospolitéj. Krótka domowa konfederatów tarnogrodzkich wojenka, wygnała Sasów, co mieli wprowadzić rząd dziedziczny i absolutny dynastyi Augusta II. Polska zaczęła zażywać najsłodszego pokoju, którego jéj Bóg z miłosierdzia swego na lat kilkadziesiąt niemal przed nowemi kolejami jakie ją czekały udzielił. Wprawdzie nieużyła pokoju tego dla powiększenia wojsk swoich, dla zebrania publicznego skarbu, ale zajęła się chwałą Boską. W tych latach pokoju rozmnożyły się fundacye, podniosła się niezliczona liczba kościołów, szkół, wysyłano missye, w całéj Koronie i Litwie odbyły się najsolenniejsze Matki Boskiéj koronacye, solenna, wielka, i okazała była chwała Bo-

ska publicznie w całym narodzie wykonana. Był to wprawdzie zachód życia Rzeczypospolitéj, wieczór, ale świetny, pogodny, złocisto od wiekuistego słońca chwały Bożéj opromieniony.— Wtedy to i Unia stanowczo i ostatecznie dopełniła się. — Dyzunici bowiem jak mówiłem opierali się zawsze na jakiejś potędze ziemskiéj, bo sił ducha wewnętrznych aby walczyć z Unią nie mieli. Po klęsce nad Prutem cesarstwo w sprawy Rzeczypospolitéj się nie wdawało, kozactwo zupełnie upadło; jeszcze istniejące Zaporoże małym było tylko wojennym oddziałem. Przeto rok 1720 nastąpił, a z nim Synod Zamojski, w Zamościu; tam się wszyscy biskupi zebrali i jednomyślnie Unija została przyjętą; biskupi przemyski, lwowski przystąpili do niéj. Biskup smoleński nawet przysłał swój akces, i bractwa wszystkie. — Odkąd Kościół rozpoczął usiłowania swoje o zjednoczenie, i od trzynastego wieku zwoływał synody odbywane nawet i w Polsce, żaden nie był tak stanowczym tak jednomyślnym jak w Zamościu. W każdym bowiem synodzie choć w daleko mniejszéj liczbie, znalazła się zawsze opozycya, burząca i psująca to wielkie dzieło. — Teraz wszyscy się zgodzili, wszyscy stali się jednym duchem, jedném ciałem. Nieszczęścia 85 lat prześladowania kozackiego, zginęły bez śladu, albowiem odtąd Unija rozwijać się zaczęła, w instytucyach swoich, w nauce, w missyach, w ukształconych kapłanach i zakonnikach. Przewodniczył temu synodowi Hieronim Grymaldi przysłany od Klemensa XI Nuncyusz; zasiadali: Leo Kiszka metropolita kijowski, X. Wchorowski biskup łucki, X. Lewicki biskup chełmski, X. Ustrzycki biskup przemyski, X. Atanazy Szeptycki biskup lwowski; trwał niedziel siedm. Na tym synodzie dopełniona unija Ormian; przebywał tam X. Jan Augustynowicz arcybiskup ormiański lwowski. Po téj Unii Dyzunici tylko zostali w mieście Słucku, mieli jedną cerkiew w Wilnie śgo Ducha, i kilka kla-

sztorków około Zaporoża nad Dnieprem. Nawet biskupa dyzunickiego nie było już w Rzeczypospolitéj, drobną garstką Dyzunitów polskich zarządał biskup Pereasławski za Dnieprem.—

Zaraz po tym synodzie, najprzód opat unijowski, a potém biskup lwowski X. Atanazy Szeptycki został metropolitą całéj Rusi. Ten zacny pasterz przez swoje cnoty apostolskie najwięcéj do uzupełnienia Unii się przyłożył, nigdzie ani jeden głos przeciwny nie powstał, wszyscy się garnęli, lgnęli całem sercem i przekonaniem. Szlachta przyjmowała nawet obrządek rzymski; ale wspólnie z ludem; wszystkie święta, nabożeństwa, obrządkiem wschodnim obchodziła, miłowano się w Unii ś.—Rzymskiego obrzędu łacinnicy obchodzili dwunastoma dniami przedtém (pierwéj) święta uroczyste, lud unicki je święcił, i wzajemnie, tak więc po dwakroć oddawano cześć Narodzeniu i Zmartwychwstaniu Zbawiciela.—Ile się przyczynił X. Atanazy Szeptycki do uzupełnienia Unii, świadczy bulla Benedykta XIII która oznacza i wzmiankuje jego zasługi. On to mnichów Czernców Ihumennych oddzielnie żyjących, li tylko na modlitwie, już urządzonych w Litwie od dawna, ale w Koronie zaniedbanych zupełnie, zgromadził w jednę kongregacyą zakonną r. 1739, na mocy dekretu synodu Zamojskiego. Odtąd nazwali się Bazylianami, prowincyą koronną pod tytułem Opieki Najświętszéj Maryi Panny. Dwie prowincye litewską ś. Trójcy, i nową, koronną, Opieki Matki Boskiéj, połączył z sobą na zawsze na kapitule jeneralnéj z dekretu Apostolskiéj Stolicy w przytomności Nuncyusza. Odtąd Bazylianie przemienili się w zakon użyteczny krajowi, zostający pod rządem Jenerała i Prowincyałów; zajął się missyami dla ludu, szkołami dla świeckich panów i szlachty; regułę swoją kształcił na ciągłych, następujących co trzy lata po sobie kongresach, w doskonałości się pomnażali w kilku

miejscach; w Poczajowie, Żyrowicy; najuroczyściéj w całéj Koronie i Litwie utrzymywali chwałę Boską, z taką świetnością, z taką pobożnością, z taką okazałością, i niezmiernym kosztem, że się inne Zgromadzenia pochlubić tém nie mogą. Lud z całéj Litwy do Żyrowic; z całéj Rusi, z dalekiéj Rosyi dążył do Poczajowa. Doznawano szczególnego zachwytu i uniesienia w tych wielkich Bazyliańskich bazylikach przy cudownym obrazie Matki Boskiéj. Kiedy po zniesieniu Jezuitów Akademia Krakowska podołać potrzebie edukacyjnéj nie mogła, kraj się strwożył; utworzono Komisyą edukacyjną, XXi Bazylianie sami się oświadczyli że zastąpią Jezuitów, wszystkie szkoły opuszczone utrzymają. Nad powszechne spodziewanie świetnie téj pracy, tego trudu i zajęcia dopełnili. Tyle to zrobiła Unija po synodzie zamojskim dopełniona. Najwyborniejszym tego synodu owocem było utworzenie, ukształcenie Bazylianów prowincyi koronnéj, do czego się przyłożył X. Atanazy Szeptycki. Uregulował kler świecki, dawne starożytne ubiory zamienił na inne nowe, wzorowane od X. Józafata Szumlańskiego lwowskiego biskupa. *Non facit habitus Monachum, sed Monachus habitum.* Temi ubiorami wiele na ducha wpłynął; zupełnie zbliżył kapłanów swoich do księży rzymskiego Kościoła. Unici zbliżyli się do ukształconego towarzystwa, przedtém tylko zamknięci w celach, lub z prostym ludem obcujący. Zaczęli uczęszczać do rzymskich kościołów na odpusty, odznaczali się kazaniami, wzajemnie sobie z łacińskiemi kapłanami towarzyszyli; przeto brali ukształcenie i naukę, do któréj za dyzunii żadnego sposobu nie mieli; grecy ich niczego nie uczyli, a światła bronili brać od łacinników.

Dyzuniccy przeto kapłani dochodzili do zupełnego barbarzyństwa, sprostaczenia nałogów, zapalczywości, nie kształcili ludu, ale mu we wszystkich jego nałogach, namiętnościach wtórowali, tak dalece, że to dostojne

miano kapłan, ksiądz, zmieniono u XX. Dyzunitów na słowo Pop, które było rodzajem obelgi. Ztąd Popi nie mając powagi, światła, nauki, obyczajów, chociaż od prawa i urzędu krajowego nie cierpieli, ale mogli szczegółowo doznać jakiéj zniewagi, jakiéj swawoli. Protestanccy pastorowie więcéj mieli ukształcenia moralnego i szlachetniejszych byli obyczajów. Unija temu wszystkiemu dawała radę, chociaż trudno było na wyższém stanowisku umysłowém, moralném utrzymać parochów świeckich, którzy się żenili, byli kapłanami nie z powołania ale z urodzenia, i trudnili się rolą; duchowieństwo, kapłaństwo, kształciła, doskonaliła Unija w zgromadzeniu zakonném Bazylianów. Kto był zdolniejszym zostawiano go w zakonie, nawet powagę, znaczenie swoich biskupów, opatów do tego stopnia podnieśli, że się szlachta znamienitsza rzymskiego obrządku do ich zakonu garnęła. Trudno mówię, było wynieść parochów wiejskich, ale jakaż ich była wyższość od dyzunickich popów? — Przecież ci parochowie w ukształconych towarzystwach bywać mogli, i żyć w społeczności oświeconych duchownych rzymskich; wszyscy też z nich do szkół chodzili, czego śladu widać nie było na księżach dyzunitach w Polsce. Nie różniąc się niczem od ukraińskich chłopów, mieli krom tego wady których nasz prosty, otwarty, lud ukraiński daleki od chciwości, nie miał. Chciwość popów dyzunitów poszła prawie w przysłowie, i równéj sobie nie ma przykładu. X. Atanazy Szeptycki był wielkim reformatorem, uregulowanie Bazylianów przez niego wykonane, nazwane reformą zakonu; wpłynął on na nieszczęśliwy, upośledzony kler świecki. Pamięć potomnych dochowała jego zasługi położone w Kościele; młódź uboga brała kosztem jego nauki, ubogi, schorzały, znalazł u niego wsparcie; użyteczne zakłady miały w nim swego opiekuna, szkoły gorliwego nadzorcę. Swoim kosztem wzniósł wspaniały gmach ś. Jura we Lwowie,

zostawił następcy swemu Leonowi Szeptyckiemu 150000 złpol. Co ten zacny pasterz poczynił dobrego, wyczytać można w aktach Bazyliańskich klasztorów we wielu księgach ówcześnie pisanych. Staraniem jego po dokonanéj ostatecznie i zupełnie w Polsce i Litwie Unii, urządzona hierarchia Kościoła Rusi katolickiéj, składała się z metropolii jednéj Wszéj Rusi kijowskiéj, i trzech arcybractw: połockiego, smoleńskiego i mohilewskiego; to ostatnie będąc w granicach Rosyi do Unii przyłączyć się nie mogło, i biskupstw: lwowskiego, łuckiego, włodzimirskiego, pińskiego, turowskiego. Opactw mieli 16 podobnie jak biskupstwa uposażonych, — parafij po synodzie zamojskim do 10,000; potem przybyło więcéj klasztorów. W prowincyi koronnéj, bazyliańskich 66, tyleż w litewskiéj, ogółem do 120 bazyliańskich klasztorów; mniéj więcéj przeto tyle szkół parafialnych, a wiele z nich były równe w stopniu wojewódzkim późniejszym gimnazyom, przytem wszystkie spełniały misye tak zbawienne dla ludu.

Cóż czyniła dyzunia? oto nigdy najmniejszego nie dała owocu! Naprzykład w Carogrodzie samym, w co się obrócił ten świetny kościół który miał iść o pierwszeństwo z kościołem Salomona? został świątynią Mahometa. Przez kościół katolicki w pierwszém nawróceniu wzniesione narzecze ruskie, które wydało tyle pism w początku chrześciaństwa, był językiem prawa, językiem urzędowym w Litwie.—Czy dyzunia go utrzymała? w co się obrócił? nie zniknął, nie zostałże li tylko w ewangelii, w śpiewie? nie straciłaż tego życia nadanego sobie z łaski Stolicy Apostolskiéj? — Naprzykład owa pyszna Ławra nie byłaż tylko żywym grobem? byłże tam w dawnych wiekach jaki mąż święty, jaki mowca, jaka nauka? Oprócz chóru i śpiewów, co wyszło z Ławry? Za takie dary cóż lud wzajemnie odbierał?— Co powiedzieć o Lwowie dopokąd trwał w dyzunii, a

trwał najdłużéj — jakie tam były uposażenia, jakie fundacye przez starożytnych książąt Rusi dyzunitów? Naprzykład cerkiew wołoska, Bractwo stauropigialne z przywileju patryarchy Jeremiasza ufundowane. Konstanty Korniakt wyłożył na nie milionowe wszystkie fundusze swoje i bogactwa. Monastyr ś. Onufrego założony przez księcia Lwa, ubogacony przez księcia Konstantego Ostrogskiego; Tomża hospodar wołoski, cały swój zapisał majątek, bogactwa niezliczone klasztorowi oddał. Miałyż one przez czas dyzunii jaką szkołę? wysyłałyż missye, lub też utworzyły jaką dobroczynną instytucyą? zgromadzałyż do siebie lud z dalekich o mil 50, 100, okolic? czy do ich świątyń szedł lud aż z dalekiéj Rosyi? — Nic nie wykonały, nic nie spełniły. Przez wieki formowałyż spowiedników, misyonarzy, kaznodziei? — dałyż takich biskupów jak Cypryan Żochowski i inni? — kształciłyż za granicą uczniów w akademiach najzawołańszych? — Jeden malutki unicki klasztorek unitów Bazylianów w Tryhurach, w Krzemieńcu, Barze, Humaniu, wykonał więcéj w przeciągu lat dwudziestu, niżeli te wielkie dyzunickie zakłady w przeciągu kilku wieków. — W wieku szesnastym gdy nie była upowszechniona Unija na Rusi, pomimo kwitnących nauk w Polsce, pomimo tak zwanego złotego wieku, pomimo opieki królów i tylu sprzyjających okoliczności, przecież te wpływy, Rusi tak bliskiéj, do jedności kraju należącéj, nie dosięgały. Ruś odszczepna i duchowieństwo dyzunickie pozostały zupełnie obce temu prądowi cywilizacyjnemu. Gdy przyjętą została Unija zupełnie, w czasach gdy nie było już takiego zapału, gdy usnęła Akademia krakowska, i nawykniono już do makaronizmów, do języka popstrzonego łaciną, duchowieństwo, Ruś unicka, tak się w ukształceniu rozwinęła, że nie tylko się duchowni z tego stanu ciemnoty podnieśli sami, ale i drugich uczyli. Gasnącą oświatę w Polsce Unija do ostatniéj chwili żywiła; po

jéj nowém zajaśnieniu silnie wspierała, będąc prawem ramieniem publicznéj narodowéj edukacyi, tak jak Kościół wschodni, gdy jest zjednoczony, jest prawem ramieniem jednego, prawdziwego Kościoła. — Ci Czerncy dyżuniccy których się lękać było potrzeba, u których w ustach ponura modlitwa, a w sercu nieprzyjazne zamiary i straszne knowania, zmienili się w Bazylianów, w nauczycieli szlacheckiéj młodzi i missyonarzy, niespracowanych ludzi. Z pięknem szlachetném usiłowaniem, aż do upadku kraju, i potem jeszcze kształcili ciągle siebie i uczyli młodzież krajową. Ofiarowali na ten cel własne fundusze swoje, nic od kraju nie żądając. W téj chwili kiedy Akademia krakowska nie mogła dosięgnąć wpływem swoim dalszych krańców kraju, ustanowiona Magistratura Komissyi edukacyjnéj znalazła Bazylianów gotowymi do téj ważnéj sprawy. Między szkołami pod zarządem Komissyi, Bazyliańskie były najliczniejsze i niemal najlepsze. Za rządu Czackiego i Uniwersytetu wileńskiego, Bazylianie wysyłali zakonników swoich na Uniwersytet wileński, szkół nie opuścili, ale je znacznie wznieśli. Formując dobrych nauczycieli, współubieganiem się szlachetném między sobą i z świeckiemi szkołami na zawsze w pamięci i szacunku narodu zostali. Nie widzieliśmy u nich górujących i znacznych talentów, ale przy gorliwości, przy zamiłowaniu powołania, przy czujności na obyczaje, na wiarę dawną, starą ojców pobożność, więcéj do prawdziwego udoskonalenia się przyczynili, jak szkoły świeckie mające wiele świetnych talentów, ale i wiele egoizmu, obojętności na serce i charakter młodzieży. XX. Bazylianie w dalszéj Rusi i Litwie w ostatnich chwilach Rzeczypospolitéj, czynili to co na początku Benedyktyni: zastępowali brak publicznych instytucyj. Jeśli w szkołach ich nie nabywało się zupełnego ukształcenia naukowego, to jednak wzbudzili zachętę i gorliwość, przez

co utrzymywało się w kraju światło, zasycane własnem usiłowaniem i pracą. Bazylianie po najdalszych kątach kraju, niecili uśpioną i miłość i chęć do nauk. Rozbudziły się przeto wrodzone siły, któremi polacy zasłynęli wśród najoświeceńszych narodów, pomimo nieszczęść i upadku, świetne zajmując miejsce.—Szkoły Bazyliańskie miały przytém swój osobny charakter który dochowały jeszcze lat trzydzieści pięć, po ostatnim rozbiorze kraju. Była to pewna żarliwość ducha, obyczajów czystość i niewinność, w modlitwach i śpiewach ochota i usposobienie; żarliwość ducha nadawała moc duszom, zapał, przywiązanie do kraju, co lepsze było od umiejętności, od języków, chemii i matematyki. Uczyli historyi powszechnéj i własnéj z czego wyrastał zapał w młodych ludziach do wiary, do kraju, nadewszystko zdobiła pewna bojaźliwość, niewinność; dla tego ojcowie nasi kochali się w szkołach duchownych, lubili oddawać synów swoich do księży. Późniéj po urządzeniu jednostajném, szkół wszystkich przez Komissyą edukacyjną nie można było rozróżnić szkół duchownych od świeckich, bo we wszystkich były jednostajne przepisy, ma się rozumieć do nauk, ale zawsze w duchownych była wyższość przez nadanie żarliwości, umocnienia ducha, i większą obyczajów czystość i pewien wdzięk moralny. Unija przeto kształciła duchownych, a duchowni cały naród w szkołach i missyach. Usiłowaniem wspólném, ukształcenie umysłowe, cywilizacya, narodowość, rozlewały się po Rusi. Obrządek grecko-unicki stał się tak miły narodowi, że równie jakby w swoich kościołach wszelkie modlitwy, wszelkie odbierali błogosławieństwa i Sakramenta, łączyli się z poddanym swoim przez wspólną wiarę i modlitwy w jednę rodzinę. Tych którzy z sobą walczyli Unija bratała, szczerze zupełnie jednając z sobą; Unija była jak rzekłem, drugiem do wiary Chrystusa nawróceniem.

Najświetniejsza epoka Unii jest od synodu zamojskiego lat niemal sto. Historya tego okresu szczegółowa, wzbogaciłaby dzieje naszego Kościoła, ja tu dałem tylko rys ogólny, więcéj zaś szczegółów dam, mówiąc o Bazylianach, o jednym klasztorku, aby wzbudzić w którym z ziomków chęć do napisania rozleglejszych dziejów, korzystając z materyałów, archiwów zakonnych, których my już nie mamy, a obfituje w nie dyecezya lwowska. Unija i w téj świetnéj epoce i w tém rozkwitnieniu nie dosięgła daléj jak Kaniowa i Humania. Słaby oddział Zaporoża jednak stawił opór, i w bliskości zaporożców, w pośród parafij unickich były maluchne klasztorki dyzunitów. Z tych iskier niestety rozniecił się płomień krwawy i męczeńskie próby, od których się rozpoczęło po spokojności i tryumfie prześladowanie i niszczenie Unii. Po kilkumiesięcznym mordzie wzbudzonym przez Jaworskiego rządzącego klasztorkami dyzunickiemi, znowu wszystko do dawnego porządku i stanu wróciło nie naruszając w niczem instytucyi Unii, jéj szkół i fundacyj aż do roku 1795. W tém rozpoczęło się prześladowanie przez Sadkowskiego archimandrytę dyzunickiego Słuckiego. Ta nowa epoka dziś się toczy i płynie, dla opisania jéj, potrzeba obszernego wielkiego dzieła. Tych zdarzeń, wypadków niegodny jestem w księdze dziejów zapisywać. Z woli ojca ś. Grzegorza XVI były opisywane niektóre szczegóły. Pismo zaś moje tak kończę:

Widzieliśmy nieustannie walczącą Uniją z dyzunią, z tą różnicą że dyzunia wspierała się zawsze na władzy doczesnéj, na sile świata, przeto los jéj i tryumf zależał od kolei, jaką przechodziły potęgi świeckie wspierające ją. Bez téj dźwigni na drodze przekonań i potęgi niezawisłéj ducha, ostaćby się nie mogła przed światłem, miłością Unii musiałaby się kruszyć. Ilekroć Unija była stłumioną, zaraz w następnym wieku budziła się silnie i rozwijała. Zaczęła się Unija od śś. Cyrylla

i Metodego — wnet po niéj dyzunija. — Po jéj tryumfie, Hrehory, Józef Sołtan, unici. Potem zaraz z Joną dyzunitą, Helena; po tém nowém dyzunii wzbudzeniu — następuje czas Zygmunta III. — Unija Brzeska — Unija za Zygmunta III daleko silniejsza jak przedtém. Tu następuje Kossów, Mohyła, prześladowanie trwające 85 lat, po którém znowu Unija wzbudzona rozleglejsza, z większym tryumfem jak brzeska. Po téj epoce znowu ucisk Unii, zniesienie prowincyi Koronnéj, potém Litewskiéj, Białoruskiéj. Przeto wniosek ten naturalny z doświadczenia historycznego, z stosunku wypadków i faktów wypływa, że po tém stłumieniu i prześladowaniu nastąpi jéj wzbudzenie; a jako zamojska Unija była silniejszą od brzeskiéj, bo 85 lat prześladowania kozackiego rozwinęły moc i wigor ducha, tak po prześladowaniu nowém i sroższém, nastąpi wyższe, zupełne, i ostateczne jéj rozwinięcie. Ten fakt jakby z rachunku w stósowaniu do siebie zdarzeń historycznych, wypada; ale wiara nasza silniejszym tu gruntem, niż rachuba.

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

II.

Bocian biały (Jundz.) *Ciconia alba* (Linn.)
Der weisse Storch. La cigogne blanche.
(Buff.) gminnie: *Bociuś, Bociek.*

Ptak żałobny, czarny z białem, któż go nie zna? Dziób długi, silny, koniczny, nogi czerwone; rozumny, pełen zastanowienia, nie zna pośpiechu oprócz do ucieczki; smętny i zawsze dumający; kocha namiętnie, lecz li samiczkę swoją; dzieci wychowuje troskliwie, lecz bez czułości, postępuje z niemi jak ojczym lub opiekun; nie zna słabości, surowy nad miarę w nauczaniu ich czystości na gnieździe a szczególniéj w wypędzaniu na zarobek i we wprawianiu ich do górnego lotu. Bo młode bocianki już rozumne ptaki: długo udają niedorostków, niby to zlecieć nie mogą z gniazda i dobrze z tą wygodą pasibrzuchom; matka pobłaża i broni ich, bo to wszędzie to samo; lecz ojciec to jednego szturchnie, to dzióbem

---

Patrz zeszyt majowy.

podniesie, tego znowu trąci, tamtego na kraniec gniazda wypchnie; nareszcie gdy już sama samiczka się przekona, że piecuchów wychowała, nie broni samcowi dokończenia wychowania. On też zaraz jedno strąci, wszystkie się za nim podnoszą, stary im towarzyszy latając pod niemi i prowadzi ich na pierwszą lepszą łąkę lub nizinne pola; wszyscy siadają i tym wymierzonym znanym nam krokiem, jak urzędnicy co niby to, do bióra się spieszą, postępuje cała rodzina, on naprzód z głową spuszczoną, dziób pionowo ku ziemi wymierzony; młodzi go naśladują, samiczka pełna radości, o żerowaniu już zapomniała, głowę z karkiem przewraca na grzbiet zakłapie dzióbem, opuści skrzydełka, chodzi pełna radości koło swych dzieci, dumna że wydała takie boćki na świat! Bo to dorodne, laskonogie, dziób doskonały, jednego piórka nie brakuje! Samiec utopiony w swych obowiązkach, nie doznaje żadnego roztargnienia; tu im pokazuje glistę, tam żuka, tu znowu robaczka lub żabkę; młode łapią, wydzierają sobie, gonią się swawolnie, a jak znajdą węża, piskorza, jaszczórkę lub szczura, wtedy ojciec zabija, podnosi jak gdyby ich chciał z tym oswoić, rzuca o ziemię, podziubie na kotlety i faworytowi wolno ten przysmaczek zjeść, jeżeli mu drugi kawałka nie urwie... Po godzinie téj pierwszéj nauki, samiec z samiczką spędzają do kupy rozigraną dziatwę, i przymuszają do podlotu. Źle to idzie z początku, lecz biada temu któryby nie chciał podlecieć, bo ojciec się do niego spuści i tak dzióbem wyszturcha że zapomni o wygodach. Lecą nisko, radeby usiąść, — lecz tego nie wolno; za przykładem rodziców podlatują coraz wyżéj i wyżéj, dopiero gdy wiatr mają pod sobą, zaczynają za samcem koła toczyć pod obłokami. Ta gymnastyka trwa nie dlugo, spuszczają się wszyscy, bo zjeść coś trzeba i na gniazdo powrócić przed wieczorem. To się powtarza co dzień przez 8 dni; po którym czasie już

na gniazdo nie wracają, bo się młodzież rozrosła i miejsca już za mało. Więc czasem rodzice sami, czasem z ulubioném dzieckiem nocują, a reszta po pobliskich dachach lub staropiennych drzewach umieszczać się musi, bo to już sierpień, podróż uciążliwą niebawem rozpocząć wypadnie. Co wszystko widzieć może badacz między 15 lipca a połową sierpnia każdego roku, a tu umieszczę krótki opis lęgu i wędrówek bocianów.

Bociany dają nam jak najoczywistszy dowód, że nasz klimat się corocznie zimniejszym staje, a szczególniéj, że co roku wiosna bywa późniejszą i niepewniejszą; co znaczy, mówiąc wyraźniéj, że nas wiosna oszukuje i bałamuci; bo tak jak dawniéj tak i teraz ku końcu marca lub na początku kwietnia słońce przygrzewa i skowronki unosząc się pod obłoki, śpiewają nam wiosnę, lecz następujące śniegi, deszcze i przymrozki przekonują, że w Polsce wiosna, to pora oryginalna, mieszaniec zimy i lata z akompaniamentem bezdennego błota, pora od kilku lat najszkodliwsza dla ogrodników i gospodarzy, najniebezpieczniejsza dla wędrujących ptaków. Od lat 17 utrzymuję sumiennie dziennik przylotu i odlotu ptaków, jeżeli się tak wyrazić mogę kalendarz ornitologiczny. W tym spisie każdy gatunek ptaka ma zapisany dzień przylotu, dzień w którym zaśpiewał, zaczął słać gniazdeczko, zniósł jaja, wychował pisklęta i dzień w którym odleciał. Dziennik ten wiele mnie nauczył jako ornitologa; lecz i gospodarzowi jest dziś pomocnym, gdyż często nadzwyczajne zmiany atmosfery w adnotacyach umieszczane bywały. Na tym moim kalendarzyku i na ciągu spóźnionym *i teraz już mniéj uregulowanym ptaków*, opieram twierdzenie wyżéj wyrażone, że po prostu mówiąc, wiosna jest od kilku lat nieznośną i pewnieby żadnego poetę nie zachwyciła i gdyby taką dawniéj bywała jak teraz nie mielibyśmy tak rozkosznych jéj opisów.

Otóż przed laty dziesięciu, termin przylotu bocianów był między 24 marca i 4 kwietnia i sumiennie terminu dotrzymywały, wprawdzie nieraz przypruszone śniegiem i ostremi wiosennemi krupkami. Od roku 1847 czytam w moim kalendarzu corocznie do 20 kwietnia zimno i śnieg; w roku 1852 śnieg padał trzy dni pierwsze maja; w roku 1856, 20 kwietnia był mróz na 6 stopni po którym śnieg spadł na pół łokcia; nareszcie tego roku w maju śnieg leżał trzy dni w lesie i na polu. Nie dziw że nam się to sprzykrzyło, kiedy ród bocianów po niezliczonych nieszczęściach przerzedzony (bo śmiało twierdzę że od dwóch lat jest o połowę mniéj bocianów, jak pierwéj, taka ich ilość zginęła głodową śmiercią) naradziwszy się nad tą co roku powtarzającą się rewolucyą atmosferyczną, już tego roku spóźnił przylot.

Trzeba wiedzieć że awangarda bocianów, złożona ze starych samców, między które miesza się czasem doskonała *(adult)* samiczka, lub też druga nader czuła, niechcąca opuścić ukochanego małżonka, przylatuje tydzień pierwéj do nas, na wiosnę, rekognoskuje miejscowość, stan wegetacyi, ilość żeru i stopień ciepła. Jeżeli znajdzie tego dnia wszystko podług ich potrzeb, rozlatują się po gniazdach i czekają na główne stada złożone z samiczek i przeszłorocznych ptaków. Aryergarda znowu spóźniona o dni kilka, składa się z najsłabszych bocianów. Pierwsze stada nieliczne po 15 — 20 — 30 bocianów, drugie po kilkaset i kilka tysięcy; lecą podług wiatru, który zawsze mieć muszą za sobą i nieco pod sobą wiejący w pierze; w wysokości czasem okiem niedościgłéj, częściéj zaś widziane. Gdy nad ojczystém miejscem przelatują, opuszczają główne stado, te które poznały rodzinne miejsce czasem dwa, pięć, siedm, dziesięć bocianów. Korpus główny leci daléj, coraz się szczuplejszym stając.

Lat ostatnich trzy, uważałem nieraz krążącą awan-

gardę w czasie terminu przylotu nad ziemią śniegiem okrytą i niespuszczającą się wcale. Zdaje się, że rozumne ptaki spostrzegły zimę w Polsce zamiast wiosny, odleciały napowrót, aby przestrzedz główny korpus kochanek że się wstrzymać jeszcze trzeba. Mimo całego ich rozumu tryb lęgowy, instynktowa potrzeba rozpoczęcia wędrówki naraża ich na wielkie niebezpieczeństwa. I tak roku 1855 i 1856 większa część awangard zginęła, w górach z zimna, u nas z głodu; gdyż przelatując przez pasma gór naszych, jak śnieg gęsty zaczął sypać, nie mieli siły do dalszego lotu i zniesienia coraz powiększającego się mokrego ciężaru na pierzu spuszczając się coraz niżéj, aż zalecieli do wysokści drzew, gdzie już niemając siły do podlotu, ginęli marnie setkami. Przyleciawszy do nas równa ilość ich zginęła; z początku główne pożywienie znajdowali w żabach, lecz gdy mróz wodę ścisnął i ziemię, ani żaby ani myszki złowić nie byli w stanie; obrywali listki szuwarów i innych zielonych roślin na bagnach, lecz to pożywienie ledwie dni kilka przy życiu utrzymać ich może, a gdy wiosenna zima trwa tydzień, zdychają z głodu, bo głód przy zimnie to straszliwa trucizna. Najciekawsze były dla mnie spostrzeżenia, gdy odkryć mogłem odznaczające się zdolności w ptakach tego samego gatunku. Naprzykład pamięć, wysoki stopień przywiązania, zastanowienie i doświadczenie, to są zalety które u pojedynczych ptaków napotykamy jak u ludzi i to jest rozum. Zaś praktyczne zastósowanie się do potrzeb, radzenie i pomaganie sobie wzajemne, to są zbiorowe zdolności wszystkim właściwe i wrodzone i te rozróżniamy od odznaczających się zalet pojedynczych to jest *instynkt.* Lecz i w instynktach są niektóre odznaczające się, i tak naprzykład: gdy w roku 1852 śnieg w maju począł padać, już niektóre samiczki na jajach siedziały. Pierwsze dni cierpliwie przetrzymały; samce mozolnie dono-

sili żer. Lecz późniéj opuścić musiały gniazda; błąkały się biedne ptaki po calej okolicy; szukały w pośród zabudowań schronienia, i wiele ich zginęło. W jednéj z moich wsi, zbiegło się dziesięć nieszczęśliwych bocianów na błonie. Biegały, radziły, w kupce dla ciepła się trzymając. W tém przelatuje bocian, chwilkę z niemi pogawędził, całe stadko się zerwało i znikło mi z oczów. Jakie było moje zadziwienie, gdy po obiedzie jadąc na folwark, spostrzegłem moich 11 bocianów w głębokiéj trzcinie nad cieplicą zielonym szuwarem obrosłą ciasno skupionych dla ciepła, żywiących się tam roślinami i skorupiakami! W tym obozie przetrwały dni trzy; biéda minęła i wszyscy na gniazdo wrócili. Jaja były zaziębione, gniazdo mokre. Trzeba było jaja wyrzucać, gniazdo reparować, świeże znosić, z czego się samce mimo biedy cieszyły, bo mocno kłapały, i samiczki to familijne nieszczęście zniosły filozoficznie, dowodem tego że w tydzień późniéj znowu każda na świeżych jajach siedziała. Czy ten wypadek nie dowodzi jasno, iż bocian odkrywszy żerną zaciszę, zawołał towarzyszy i to rozumne stadko w tym obozie przed śmiercią jaka innych trafiła, ocalone zostało. A że to okolica bogata w stawy i okiem nieprzejrzane przestrzenie trzciny, wszystkie mogły sobie podobne obozy porobić, lecz nie wszystkie miały ten rozum.

Te wzajemne usługi oddawane co do żeru, kryjówek, w napominaniu wzajemném do bacznéj ostrożności, przestrzegania przed niebezpieczeństwem, często bardzo widzieć można niemal w każdym gatunku, oprócz u drapieżnych ptaków pełnych sobkostwa (i to sępy wyjątek stanowią wspomagając się wzajemnie). Szczególniéj częste są zaś te cnoty u ptaków gromadnie żyjących. U nich jako u nas, są to tak nazwane dobrze, dobroczynne dusze, pełne poświęcenia, zawsze gotowe do świadczenia usług; żałuję bardzo że nie mogę powiedzieć czy to

poświęcenie większe u samic jak u samców. Otóż roku 1855—1856 większa część awangard zginęła; przez tę stratę, ilość bocianów zmniejszoną została. W tych dwóch latach niemal każda samiczka z synem lub młodym jednorocznym samczykiem pobrać się musiała; wdówek było wiele bardzo, ale się niebawem pocieszyły z młodszemi i jak się zdaje już o stracie mężów zapomniały, mimo to znaczna część gniazd dotąd pustych stoi. Tego roku doświadczeniem smutném nauczone bociany przyleciały w awangardzie dopiero 11 i 12 kwietnia, główne korpusy 20 i 22 kwietnia.

Roku przeszłego cieszyły mię niezmiernie listy, które od znajomych z różnych odbierałem stron z zapytaniem: dla czego bocianów niema, co się z niemi zrobiło? Cieszyło mnie że za naszemi bocianami tęsknił szlachcic, tęsknił i wieśniak; radowałem się gdy chłopek smutnie spoglądał na opuszczone gniazdo na swojéj stodole i mówił mi: Panie, będzie źle bocianów niema! nie jeden się markocił, że ma puste gniazdo, bał się ognia i gradobicia. O, to dobrze, że my jeszcze tęskniemy za bocianami jak tęsknili dziady i ojcowie nasi, bo bociany to słowiańskie ptaki, to nasi sielscy opiekunowie, to dla rolników zwiastuny wiosny. O, nie opuszczajcie nas! któż za wami w Europie tęskni, kto was szanuje, któż się z waszego przybycia tak raduje jak słowiańskie ludy!... Wy powinni opuścić cywilizowane Niemcy, zadymioną Belgią i hałaśliwą Francyą, zlecieć do nas na obszerne łąki i bagna, opuścić te kraje niby to postępu, gdzie za trzy krajcary *Büchsenszpanery, Waldjungi* i *Hejdelaufery* was strzelają niemiłosiernie; gdzie obsuszyli łąki i jak gdyby z was żartowali, zalewają je znowu wodą. Was te irrygacye nie oszukają, wy wiecie że to nie bagna prawdziwe! Co tam dla was za żer być może, gdzie z pod nosa wam żaby wyłapują i zjadają; gdzie na was obelgi rzucają, że wy lasom szkodzicie,

że tępicie zwierzynę, a pożytek co im dajecie, o tym chciwi ludzie milczą. Wy rozumne i nam sympatyczne ptaki, wy już wiedzieć powinniście że tam przyroda przed sztuką ginie, jak indyanin przed anglikiem, że tam człowiek naturę przekształca, że tam dla was już niema swobody i bezpieczeństwa, i dla nas równie co przyrodę miłujemy nad wszystko, lecz tę przyrodę co Bóg stworzył, a nie tę co ludzie rozumem przerobili. O wróćcie licznie do nas słowiańskie ptaki, wy się może trwożycie przed latającą po kraju maszyną dymiącą, która wam wrogów przywiezie? Nie bójcie się, u nas ona wszędzie ani biegać ani też dymić nie będzie; nasz kraj duży a sąsiednie jeszcze większe, tu przez długi szereg lat będą obszerne mokre łąki, z obfitemi żabkami; łany szerokie, zaludnione myszami, a co żuków, co pędraków i co chrząszczy, które nam takie szkody robią, wy tego wyjeść nie możecie, a bądźcie pewni że dopóki ta sama krew w naszych żyłach płynąć będzie, dopóki szanować będziemy dawne pamiątki i zwyczaje, dopóki w kraju wychowywać się będziem, dopóty was pewnie szanować nie zapomniemy; za wami każdéj wiosny zatęskniemy a każdéj jesieni smutnie przy odlocie was pożegnamy; a ja co wasze życie poznałem, który podziwiam wasz rozum, waszą pamięć, doświadczenie, wasze szczytne małżeńskie przywiązanie, wasz pociąg do nas i zaufanie, ja was śpiewać nie będę bo nie jestem poetą, lecz co odkryje to opowiem, aby was daléj kochano jak dotąd i szanowano, bo wy nasze boćki!..

W naszym kraju w pierwszéj połowie maja już wyreparowane gniazdo bocianie i w niem leży 3 do 5 jaj zupełnie białych, lecz to liczba wyjątkowa, najczęściéj bywa ich cztery, które samica w czterech tygodniach bez pomocy samca wysiaduje, on zaś czuły małżonek donosi pożywienie, szuka dla niéj przysmaczków, powiększa gniazdo, podnosi jego krańce dla bezpieczeń-

stwa, czasem przyniesie trochę kłaków, szmatkę, mchu kawałek, zatka dziurę, położy jéj poduszeczkę aby sparła sobie zmęczoną główkę i cały czas rozlicznemi usługami daje dowody nieustającéj pamięci. Po 30 dniach wykluwają się pisklęta, ohydnéj brzydoty, lecz to zawsze dzieci, więc radość wielka, a gdy ostatnie się wykluje, podnosi się samica w południe gdy ciepło, część skorupek zjada, resztę potłucze i wyrzuci; staje na gnieździe prostuje skurczone członki po miesiącu bez najmniejszego ruchu; poczem jak gdyby nam wszystkim ogłosić chciała szczęśliwie odbyty połóg — nie mając armat do hałasu, głośno zakłapie dzióbem. Samiec zwabiony tym znanym głosem (bo to śpiew bociana), siada na gnieździe przypatrzy się chwilkę ruszającym się poczwarom, zakłapie z radości i dopiero oboje wtórują sobie kłapaniem, to raz wydają grubszy głos kłapiąc dzióbem horyzontalnie trzymanym, to znowu przewróciwszy dziób z karkiem na grzbiet kłapie donośnie minut kilka; tym koncertem uwiadamiają nas i sąsiednich bocianów, że się rodzina powiększyła. Czy to nie przypomina inseratów w gazetach pruskich położnic tamtejszych?

W pierwszym tygodniu donosi samiec robaki, drobne żabki, pijawki, węże i piskorze, które przed niemi kawałkuje, chrząszcze i ślimaki bezskorupne lub z miękką skorupą, a samica li w południowe godziny na żer odlatuje i wtedy samiec ją zastępuje; w innych godzinach siedzi przy nich lub na nich, aby delikatne pisklęta nie zaziębić, które rosną jak baby na drożdżach. W pierwszych dniach lipca siedzą już młode upierzone bociany; w połowie tego miesiąca już opuszczają gniazdo; na ś. Annę niemal już wszystkie latają. Bocian zabawnie uczy pisklęta aby na gniazdo nie łajniły jak tylko podrosną, póki zaś młode dopóty często samica dzióbem wyrzuca, lecz tam wielkiéj czystości przecie niema, bo to młode żarłoki. Późniéj podnosi dzióbem pisklęta ku

krańcu gniazda i przymusza do odbycia potrzeby po za kraj kolebki, a gdy pisklęciu przypadek się zdarzy, ona go za karę wyszturcha. Kto téj oryginalnéj dresurze miał sposobność się przypatrzyć, ten sobie musiał przypominać mamki i piastunki na spacerach publicznych. Te ptaki się tak całem swem życiem od innych różnią, że w głównych jak i w najdrobniejszych zwyczajach bocian do żadnego innego ptaka nie jest podobnym. Tak samiec jak i samica ustawicznie reperują gniazdo i powiększają go. Jak głód zaspokojony, on znosi materyały i budują przez cały czas lęgu. Lecz co dziwniejszém jeszcze jest spostrzeżeniem, że kiedy inne ptaki raz opuściwszy gniazdo, już się nie troszczą i do niego w tym roku nie powracają, bociany do ostatniéj chwili utrzymują porządek i w zupełnie dobrym stanie opuszczają w jesieni gniazdo, jak gdyby mieli istotnie myśl o powrocie na rok przyszły i pamiętali że to mało czasu zostaje do wiosny na reparacye. Przy budowie i reparacyach ciągłych zachodzą jak najzabawniejsze sprzeczki. Ileż to razy widziałem jak samiec gałązkę, lub inny kawałek wbudował, a ona wyjęła i gdzieindziéj włożyła, lub też gdy on obstawał przy swoim planie a ona przy swoim, trzymały oboje ten materyał i wydzierały sobie wzajemnie, aż nareszcie jedno przemogło. Często bardzo samiec przyniesie i ułoży, ona niby to posłuszna małżona temu się nie sprzeciwia, a jak odleci, samiczka zaraz wyjmie i ułoży podług swojéj woli, i znowu spokojnie siedzi, kontenta że na swoim postawiła. Te sprzeczki a czasem kłótnie przypominały mi nieraz małżeńskie rozprawy o ustawieniu mebli w salonie. U nas się tak samo dzieje, bocianica to w pierzu kobieta!

Roku 1854 na gniazdo méj stodoły, przyniósł bocian dużą szmatkę, zdziwiona samica podniosła się, wzięła dzióbem za jeden koniec, on trzymał za drugi i jak

gdyby gazetę czytali, chwilkę postali, dumając co z tym materyałem zrobić, rzucili nareszcie na kraniec gniazda, samiec dzióbem zwinął szmatkę i z pomocą samiczki w krawędź gniazda wpakowali i znowu spokojnie daléj siedziała. W tych sprzeczkach o urządzeniu sypialni i dzieciarni tyle widać życia, że oka oderwać nie można, bo to i zastanowienie jest i dyskusya a próby i dopasowania bez końca. Jak łatwo spostrzedz można, kiedy zadowolniona samiczka z przyniesionego daru odbiera go, dzióbem pieszcząc samca, jak znowu łatwo widzieć gdy obojętnie spojrzy i nie raczy nawet dotknąć co przyniesionego kawałka materyału lub pożywienia.

Bociany różnią się jeszcze swą wędrówką od innych pokrewnionych gatunków. Najczęściéj wędrują one w dzień kiedy większa część ptaków wędruje w nocy. Wieczorem zasiadają szukając żeru; później umieszczają się po budynkach, grubopniowych drzewach, a jak niema tego nocują na ziemi. Dopiero gdy pora późna, lub wiatr pomyślny, wtedy lecą dzień i noc niespoczywając, jak przez czas potrzebny do zaspokojenia głodu i dla odpoczynku. Nasze bociany nie spieszą się w wędrówce, będąc już na zbiorowych miejscach, gdy jest obfity żer i tydzień cały bawią, poczem się skupiają i znowu na oznaczone miejsce lecą, aby kilka dni wypocząć i pożerować; z północy zaś lecące bociany ku końcu sierpnia i na początku września z wielkim pośpiechem lecą i ledwie chwilkę odpoczywają.

Gdy w połowie sierpnia zaczynają się u nas gromadzić bociany, wtedy są najciekawsze do obserwowania. Na wielu gniazdach dorosłe już bocianki, przez tydzień cały próbują skrzydełek, śmieszne są zaiste te ewolucye; czworo boćków rozpościera skrzydła a niemając dosyć miejsca na gnieździe trącają się i spychają wzajemnie; gdy niebezpieczeństwo się wzmaga spadnięcia, każdy szuka równowagi i spokojność na chwilkę przywrócona,

lecz niebawem najstarszy próbuje jedno skrzydło, które swą nogą rozpycha jak tylko najwięcéj może, tak dalece, że nakrywa braci i siostry, potemu tak samo postępuje z drugiém; rodzeństwo zazdrośne, naśladuje starszego i znowu equilibrium stracone. Jak skrzydła już dobrze wypróbowane a rodzice przez dni kilka nad gniazdem dla przykładu i zachęcenia toczą koła powietrzne i próżniakom młodym już pożywienia nie przynoszą, aby ich do lotu żmusić, wtedy podrywając się bocianki na kilka stóp w górę i spadają na gniazdo i to jeden po drugim; później podnoszą się na kilka łokci, aż nareszcie najodważniejszy puści się lotem na sąsiedzi budynek; za nim puszcza się drugi i całe rodzeństwo a spróbowawszy jeszcze raz skrzydeł, czy się na nie spuścić można, bo to zawsze rozważne ptaki, podlatują nareszcie ku samiczce kołującéj nad niemi i wszyscy razem koła toczą i powracają spocząć jak już wyżéj opisałem. Młode bociany zawsze rozróżnić można od doskonałych ptaków; są mniéjszych rozmiarów, dziób ciemny i nogi od łajna gniazdowego skalane, mimo surowości rodziców co do czystości, a to wapniste łajno tak jest jadowite, że się wgryza w obuwie nóg i parę tygodni tej farby zetrzeć nie mogą.

Zdarza się często, że najmłodsze piskle wyklute o 5 do 8 dni później, istna sierotka na gnieździe zostaje, niespokojne, smutne z opuszczonemi skrzydłami przez rodziców zaniedbane i głodzone, stoi czasem i ośm dni na gnieździe. Wnioskuję, że to są poźniejsze męczenniki które gromady bocianów egzekwują na śmierć uznając ich za niezdolnych do wytrzymania podróży. Pojedyncze bociany widziane u nas późniéj jak pierwszych dni września, są to te Beniaminy, które uszły egzekucyi i albo uzyskawszy dosyć sił przyłączają się do późniéj przybywających bocianów z północy lub też na pierwszych mrozach giną.

Te sierotki pochodzą z późno zapłodzonych ostatnich jaj, jednem słowem z excessu małżeńskiego; a że późniéj starsi mu niemal całe pożywienie siłą wydzierają, rodzice zaś donoszeniem żeru i wychowaniem zatrudnieni, niemogą dosyć pamiętać o sierotce, istnego kopciuszka w familii bocianów, zostaje on najczęściéj mizerną ptaszyną, którą ubiją bociany, lub z zimna i głodu w jesieni zginie a w najlepszym razie przez człowieka przezimowaną zostanie.

Ośm do 14 dni, pojedyncze familije ten sam tryb życia prowadzą, oddani wyłącznie kółku familijnemu, a gdy już młodzież doskonale krąży i zręcznie czyli z pożytkiem żeruje, wtedy jak gdyby na umówione miejsca lecą *i tam w tym samym czasie z innemi rodzinami się spotykają.* Widziemy najpierwéj 12 późniéj 18, 24, 30 it.d. prawie zawsze szóstkami przybywają; dwoje starych, czworo młodych; rano zabierają się znajomości, młodzież osobno, starsi w innéj stronie, jedni drugim się przypatrują, jak my na widowiskach publicznych, a gdy już pobratanie nastąpiło, wtedy te liczne rodziny, poważnym krokiem przemierzają pola, szukając pożywienia. Ku wieczorowi, wznosi się do lotu całe towarzystwo, krąży coraz wyżéj aż nareszcie pod obłokami wydają nam się jak ptaki wielkości wrony i znikają z widnokręgu. —

Niechże nikt nie myśli, że to już odlot, bo tak nie jest, każde grono familijne po tych przygotowawczych manewrach powraca jak na ostatnie pożegnanie do gniazda; tam wszyscy wieczór i rano chórem zakłapią, bo młode bociany dotąd nie kłapały z niewykształconym dzióbem. U młodych, kłapanie znaczy termin ich usamowolnienia; wtedy gdy silnie wraz z rodzicami zakłapią, dopiero są uznani za pełnoletnich! Rano spieszą na zbiorowe *rendez vous*, czyli staw się, i to trwa dni kilka; w czasie tych cząstkowych zbiorów już się zda-

rzają pojedyncze egzekucye, prześladowanie niedorodków, stronienie od tych nieszczęśliwych pariów i dopiero po ćwiczeniu jak codzień odbytem, wznosi się gromada złożona z 20 — 30 — 40 bocianów podług tego jak licznie w bliskiéj okolicy się gnieździli i znowu jak gdyby na umówione miejsce lecą i zastają jedne lub dwie gromady równie liczne. Na tych liczniejszych zborach odbywają się ceremonie, znajomości, ćwiczenia powietrzne, a jeżeli się już uznają za skompletowany korpus wtedy wybierają się w podróż lub też ciągną na miejsca większych towarzystw, bo pewna liczba jak się zdaje jest potrzebną, aby rozpocząć wędrówkę, zupełnie jak furmani, którzy najpierwéj wszystkie miejsca powozu obsadzić muszą nim z miejsca ruszą. Na tych sejmikach, musztrują się wzajemnie, próbują w powietrzu sił swoich i to widocznie stare bociany są nauczycielami; widać ich, jak się nasamprzód podnoszą, kołując w powietrzu górują nad innemi wznoszą się pod błękit nieba, przywołując młodzież do tych ćwiczeń potrzebnych niezbędnie, aby odbyć przyszłą podróż. Na tych ogólnych miejscach zgromadzenia, najczęściéj na bagnistych łąkach, mokrych stepach, lub nadrzecznych płaszczyznach, bawią dni kilka, radzą, sejmikują, dzielą się na partye, każdego z osobna egzaminują, jednych zabiją, drugich odgonią, aż nareszcie w nocy lub do dnia bez hałasu znikają a to tak cicho, że nigdy chwili téj zajmującéj upatrzeć nie mogłem, mimo że późno wieczór temu zgromadzeniu byłem przytomnym.

Otoż znowu trzeci arkusz zapełniony, a ja byłem obiecał spisać tu fakta z życia bocianów *(des faits accomplis)* a ja piszę i piszę, rezonuję, a historyek obiecanych nie opowiedziałem! Przebrzydłe pióro z którego się leją litery i słowa bez końca! To nasze nieszczęście, że każdy z nas rezonować tak lubi; ale ja w przy-

szłym artykule treściwie pisać zamierzam, same fakta u mnie zanotowane spisać obiecuję, więc się jeszcze z niecierpliwością zatrzymajcie i wybaczcie szlachcicowi gadule, który z druku korzysta zamiast nudzić swych domowników.

Wolica 17 maja 1857.

Kazimierz Wodzicki.

ZŁOTY CIELEC.

Arcykapłan.

Oto jest Bóg wasz! Mógł być wołem z pola,
Albo téż krową w oborze,—
Być jednak Cielcem święta jego wola—
Uczcij go każdy, kto może.

Zbór wiernych.

Cześć tobie Boże, równie dziś jak pierwéj,
Coś mógł być wołem lub krową,
A wolisz cielcem, byś mógł ssać bez przerwy,
Co jest zyskownie i zdrowo.

Arcykapłan.

Patrzcie, jak błyszczy, i jakie ma rogi
Bóstwo przychylne bogaczom!
A blask ten bóstwa dziwnie bo jest błogi,
Rogi do oczu aż skaczą!

głupie wiersze

Zbór wiernych.

Chwała wam rogi i blasku uroczy!
Któż waszą wielkość wypowie?
Bodajto błyszczeć i kłóć wszystkich w oczy—
Choćby rogami na głowie!

Arcykapłan.

Dźwięk jego wdzięczny — wdzięk — dźwięk, — moc ta brzmiąca
Na wieki wieków nie skona,
I brzmi w nim zewsząd gdzie się tylko trąca:
Z nóg, z rogów, jak i z ogona.

Zbór wiernych.

Błogosławionyś brzęku tajemniczy!
Daj niech nam słuch nie osłabnie;
Wół niechaj stęka, krowa niechaj ryczy,
Cielec niech brzęczy powabnie.

Arcykapłan.

Wy to już z dawna wiecie moi wierni,
Lecz niech się dowie hołota:
On nie pleśnieje, ani rdzą się czerni,
On ze szczerego jest złota.

Zbór wiernych.

Niech żyje szczerość! Gdzie przewrotnych mnóstwo
Szczerość tam rzadko już gości.
Musimy sobie poobkrawać bóstwo,
Żeby mieć próbkę szczerości.

Arcykapłan.

Módlcie się jemu, w jego ręku: kocze,
Loterya, zyski najwziętsze,

Salony, bale, kobiety urocze,
I loże na pierwszém piętrze.

Zbór wiernych.

O! daj nam Panie stanowisko w świecie,
Pieniądzy nadzwyczaj wiele,
A zwłaszcza dobra,—niech też sobie przecię
Będziemy obywatele.

Arcykapłan.

A teraz wierni dajcie co wam k'woli—
Oto ofiarna jest taca...

Wierni.

Czyś ty oszalał? Myśmy srodze goli!
Jemu się we łbie przewraca.

Arcykapłan.

Będę się za was modlił w każdéj dobie—
Dajcie choć miedź lub żelazo...

Wierni.

Cóż chcesz? nie mamy pieniędzy przy sobie,
Damy ci za inną razą.

Arcykapłan.

Co mnie dajecie — Bóstwu pożyczacie;
Nie bądźcież Żydy lub Chamy...

Wierni.

Mybyśmy chętnie dali ci mój bracie,
Cóż, kiedy drobnych nie mamy.

Arcykapłan.

To dajcie grube, — wszak grubą zapłatą
I wdzięczność tyje wspanialéj...

Wierni.

Dajże nam pokój! Chcesz, byśmy cię za to
Grubijaninem nazwali?

Arcykapłan.

A więc najmilsi wzajem na przemiany
Przebaczmy sobie wykręty:
Bożek wasz nie jest ze złota ulany,
Tylko złocony i dęty.

Wierni.

Toś ty nas okradł,—niech cię gromy zgniotą!
Niech cię choroby nie miną!...

Arcykapłan.

Wyście się sami okradli — bo złoto
Było pół z miedzią, pół z cyną.

Głos wyroczni z ust Cielca.

Jam jest kapitał martwy wart nie wiele,—
Dopiero, gdy ruchu siłą
Pchną go....

Wierni, rozchodząc się niezadowoleni.

Tyś tylko martwe sobie cielę,
Które ogonem ruszyło.—

AFRODYTE ANADYOMENE.

Świetli się tkanka perłowych przeźroczy
W tła z tęcz i złotych promieni,
Mgli się różowo, błękitnawo mroczy,
I gra, i śniegiem się pieni.

Patrzcie! śnieg pęka, fala się roztrąca,
I ot — przez szkliste głębinie,
Wśród dwóch szafirów w lotnéj łodzi mknąca,
Jakaż to postać tu płynie?

Czy bóstwo nowe, czy też nowe zorze,
Czy szczęście nowe zesłano?
Niebo, czy piękność imię jéj? lub może
Miłość jest słodkie jéj miano?

Jak, gdy zgarniając gwiazdy nad swą głową
Noc świt różowy odchyli,
Spłakane kwiaty śmieją się tęczowo,
By rój kwitnących motyli,—

Tak gdy wiatr wonny włos jej odwiał z czoła,
Jutrzenka w licach jej wschodzi,
I zewsząd tęcze rozigrane w koła,
Tańczą w przejrzystej powodzi.

Iskrzącem srebrem droga się jej ściele,
Od szat jej śnieg się rozproszy,
Do nóg jej nagich, grające topiele
Garną się szemrząc z rozkoszy.

A ona—pani— pokorne odmęty
Jarzmem swej stopy nadepce.
Łódka jej—niby muszli wdzięcznie zgiętej,
Niby podobna kolebce.

Dumna, że zewsząd wzdęte wód kryształy
Pryskają w krople perłowe,
Ster koralowy dzierży w dłoni białej,
Szatę unosi nad głowę.

Jej wzrok—dwie gwiazdy, na modre niebiosa
Swieżo z wód wzeszłe kąpieli,
Światlejszy promień, kiedy od jej włosa
Nazad ku słońcu odstrzeli.

I wiatr weselszy, ilekroć zachwyci
Tchnienia co z ust jéj ulata,
I blask, ilekroć spięta u kibici
Od piersi pierzchnie jéj szata.

Bo jak w źwierciedle toni co najgładszéj
   Kiedy jej wiatr nie kolebie,
Pierś jej tchnie niebem, z oczu niebo patrzy,
   Usta jej mówią o niebie.

Spojrzyj młodzieńcze zamyślony łzawo,
   Wszak to ta sama — spojrz przecię —
Którą marzyłeś snem i złotą jawą
   Widm tęsknych pieszczone dziecię.

Którą kochałeś, nie wiedząc, że błogą
   Miłością, tchniesz z głębi łona,
Którą kochałeś, sam nie wiedząc kogo...
   To ona — wierz mi — to ona! —

KOCHANKA KRÓLA CEFRENA.

Miał król potężny Cefren mniejsza jaki,
Dynastyi mniejsza też której,
Nil, obeliski, sfinksy, święte ptaki,
Kamienne z piramid góry,

I jeszcze także, dusza wielce tkliwa,
Miał dla miłosnej swej biedy
Kochankę — piękną, jak to zwykle bywa,
Młodą — jak także niekiedy.

W ustach jej uśmiech świeży nieskończenie,
W czarnych jéj oczach żar płonie...
Jakżeś ją kochał potężny Cefrenie,
Niemałych cnót Faraonie!

Gdy w wzroku twoim utkwiwszy spojrzenie,
Do twéj się piersi przytuli,
Niceś jéj nie mógł odmówić Cefrenie,
Potężny królu nad króli!

W tem — śmierć wypłoszy z oczu jej płomienie,
Z ust, świeżość równą poziomce...
Jakżeś jej płakał potężny Cefrenie,
Pogromco po nad pogromce!

Skoro minęły pierwsze smutku chwile,
Rzuciwszy niewczesne żale,
Wszakżeś ją kazał, jeśli się nie mylę,
Nabalsamować wspaniale?

Tak jest istotnie. Więc, przez kunszt nie nowy,
Bo o nim z dawna już wiecie,
Nasamprzód mózg jej wydłubano z głowy,
Serce rzucono na śmiecie.

W czaszkę zaś wonność włożywszy obfitą,
W piersi, rumianek i miętę,
Członki dziewczyny starannie spowito
W paski balsamem przejęte.

Kruczych jej splotów zwitych w koło skroni
Nie tkną grzebieniem ni szpilką,
A wzrok jej zgasły powieka osłoni —
Że zda się, dziewczę śpi tylko.

Zbladłe jej usta, uśmiechu ponęty,
Tak sztucznie krwią napuścili,
Że były, jakby tylko co uszczknięty
Granat rozkwitły w tej chwili.

Pierś jéj przedziwnie złocona, gdy splotem
    Kwiatów się świeżych opasze,
Przypominała płynnem wzdęte złotem
    Wśród róż biesiadne dwie czasze.

A gdy złożono w krzyż jéj ręce obie,
    To razem, postać jéj cała,
Urokiem wdzięków wabiąc wzrok ku sobie,
    Powagą swą przerażała.

Więc widząc że się zrobiło już tyle,
    Jeszcze kapłani ją sami
Pomalowali: w węże, krokodyle,
    Bogi z rogami, z dzióbami.

Toż w psy z ubraniem na głowie wysokiem,
    W ptaki skaczące po ziemi,
I w rzędy ludzi ustawionych bokiem
    Z nogami spowiniętemi.

Kiedy skończono, w pałacowe progi
    Wwiodły ją dziewic orszaki....
Jakże się wdzięcznie cieszył Cefren srogi,
    Niepomnę który i jaki!

Kazał ją w własnéj ustawić komnacie,
    I rzekł jéj:—Luba! bądź ze mną...
Niech znów jak wprzódy ciągle patrzę na cię
    W dzień jasny, i też w noc ciemną.—

Mówił zaś, ile razy coraz łzawsze
Spojrzenia ku niéj wysyła:
— Ona jest taką, jak i była zawsze —
Śmierć nic w niéj nie odmieniła! —

Próżno chcąc ludzie przekonać Mocarza,
Słów różnych prawią mu siła,
Król nic nie słucha tylko wciąż powtarza:
— Ona jest taką, jak była! —

— Słuchaj — to dziewczę — ktoś mu nawet powie,
(Niewiem czy wróg czy szyderca),
— W miejsce rozumu ma kadzidła w głowie,
Pęk zielska na miejscu serca. —

— Słuchaj — przyjacioł prawi mu gromada:
— Toż tylko zimna jest bryła — . . .
Król jak się uparł, tak wciąż swoje gada:
— Ona jest taką jak była! —

Więc grożny Cefren, Mocarz nad Mocarze,
Piramidalnéj pamięci,
Kochał tak mocno (iż się wprost wyrażę)
Jak niepodobna zawzięciéj.

Felicyan.

POKUCIE

przez

AUGUSTA BIELOWSKIEGO.

I.

Położenie i fizyonomia kraju.

Między ziemiami dawnéj Polski Pokucie ma swój odrębny typ, jak osobne swoje nazwanie. Oddzielone Dniestrem od reszty ziem Rzeczypospolitéj, w stronie północnéj, a z innych stron górami zasłonione, stanowiło jakby ostatni jéj kąt, głęboko w stronę południową pomknięty. Zamyka go we wschodniopołudniowéj stronie Czarnagóra, samém pograniczem węgierskiém dwie do trzech mil ciągnąca się, formując jakby ścianę wielkiéj twierdzy. Dwa jéj wierzchołki wznoszą się nad inne, jakby narożniki, w stronach przeciwnych: Pop Iwan od wschodu, a od zachodu Howerla. Ten ostatni sięga nad

powierzchnią morza do 7,200 stóp *) Uderza też swoim osobliwym kształtem tak zwana Stocha, góra formę stogu mająca, a o pół mili przed Czarnągórą położona, łysa u wierzchu, i nastręczająca rozległy widok na całą okolicę. U stoków zachodnich Czarnogóry bierze między innemi źródła swoje Prut, najpiękniejsza z rzek Pokuckich; w kilkomilowéj zaś odległości od niéj na wschód wypływa z pod góry Petenicy Czeremosz czarny, a w pół mili daléj z pod góry Hnetysy biały Czeremosz, który rozgranicza Pokucie od Wołoszczyzny.

Kraj ten w dolnych swoich okolicach do najżyźniejszych należący, ma w podgórzu swojém szereg hut i warzelni solnych które ludności uboższéj łatwy sposób zarobkowania nastręczają. Banie te były tu w czasach dawnych nierównie liczniejsze, i jedne z nich stanowiły dochód dóbr królewskich, drugie były w majątkach prywatnych. Ziemia w górach tutejszych dostarcza wybornych pastwisk dla licznych trzód owiec i bydła, a zbiór siana jest tak znaczny, że mieszkańcy odleglejszych nawet równin zwykle bydło swoje w góry na zimowlę oddają. Lasy pokrywają tu jeszcze ogromne przestrzenie, nie tylko w górach niedostępnych, ale i po równinach. Do pierwszych należy głównie tak zwany Czarnylas między Bystrzycą Sołotwińską a Oporem. Jestto puszcza, lasami pierwotnemi okryta, która w całéj swéj rozcią-

*) Ta część Karpat polskich jest dotąd we względzie naukowym bardzo niedokładnie poznana. Tak wymiary wierzchołków gór jak i odległości ich i położenie, podane są fałszywie w dziełach dotychczas drukowanych, i źle na mapach oznaczone. Zwrócił na to uwagę moją profesor Jacek Łobarzewski, który w roku 1853 podróż naukową w tę stronę Karpat zrobiwszy, przekonał się o tém dowodnie. Jakkolwiek historya naturalna była głównym badań jego przedmiotem, zastanawiał on się jednak uważnie nad ludem samym i krajem, i wiele szczegółów tak w jednym jak i drugim względzie które tu zamieściłem zawdzięczam jego uczynności.

głości po jednéj i drugiéj stronie Karpat kilkadziesiąt mil kwadratowych obejmuje. W dolnych znowu okolicach zasługuje na bliższą uwagę las zwany Chorosna. Poczyna on się tylko o parę mil od Kołomyi, i ciągnie ku Dniestrowi z małemi przerwami na przestrzeni kilkunastomilowéj. Bagna jego i trzęsawiska odwieczne pochłonęły niegdyś resztki niedotłuczonych bożyszcz Pokucia, o których jakaś wieść głucha jeszcze po dziśdzień przechowuje się u ludu. Opowiada Stanisław Duńczewski w kalendarzu swoim na rok 1767, że jadąc Pokuciem ze Stanisławowa do Śniatyna na Kamionkę, dają się widzieć kamienie, z których jeden wystawia dwie osoby, inny trzy chleby. Przed trzema dziesiątkami lat zwrócił był uwagę swoją na te pomniki były właściciel miasta Kamionka Wielka, Ludwik hr. Kalinowski, i posąg bożyszcza przy kopaniu rowu w dawném stawisku znaleziony, zamierzał umieścić w swoim ogrodzie na podstawie z granitu, sprowadzonego wielkim kosztem z nad brzegów Dniestru. Posąg ten byłto kamień z rzędu szutrowych, niezwyczajnéj wielkości, bo pięć łokci wysokości mający; bardzo mało tknięty ręką rzeźbiarza, w egipskim sposobie, jedynie tylko co do najgrubszych rysów. Wklęsłość jego u góry zagłębiona dłutem widocznie; w całéj reszcie nie można było prawie dośledzić ręki kamieniarza, prócz jednego rysu środkowego, rozdzielającego dwie osoby. Gabryel Hohendorf, który kamień ten na miejscu oglądał, domyślał się, że to będzie prawdopodobnie posąg Lela i Polela, a nie od rzeczy będzie zrobić tu uwagę, że według podania Karaitów halickich, które rabin ich, Leonowicz, ze staréj pergaminowéj książki wypisał, miały się znachodzić w Haliczu ślady bożnicy pogańskiéj Lela i Polela, jeszcze około roku 1246. Ludzie prości, mówi daléj Hohendorf, zowią dotąd bożkiem swym ów kamień, i biegają do Kamion-

ki strugać go na różne zabobonne lekarstwa *). Piękny zamiar Kalinowskiego, aby pomnik ten od zagłady zabezpieczyć, nie przyszedł za jego życia do skutku, a po śmierci jego zarzucono znowu ów kamień, i bogdaj czy nie został już roztłuczony.

Okolice Pokucia należą do najpiękniejszych w naszéj ziemi. Przejeżdżając niemi w kierunku ku wschodowi otwiera się po lewéj stronie rozległy widok na urodzajne obszary łanów i łąk naddniestrzańskich; na prawo zaś wznoszące się stopniami pasma gór tuowdzie bezleśnych, indziéj gęstym lasem okrytych cieniują w nieskończoną rozmaitość łamiące się światło dzienne, i oko widza ku sobie pociągają. Razporaz wbiegają głęboko pomiędzy prostopadłe niemal stojące naprzeciw siebie wierzchołki gór, prześliczne doliny, spadającemi zewsząd potokami ożywione. Wszystkie rzeki Pokucia, w ogromnych wyżynach źródła swe biorąc, przedzierają się przez wielkie pokłady skał, i tworzą częstokroć zachwycające wodospady. Najsławniejsze z nich są: wodospad Prutu pod Dorą, i wodospad Maniawki pod wsią Maniawą, oba w uroczéj okolicy, i licznie przez udających się w te strony na kąpiele gości odwidzane.

Skit. Za Zygmunta III Jan Kniehynicki syn zamożnego szlachcica z Tyśmienicy odznaczał się w szkołach niepospolitemi zdolnościami. Młodzież szlachecką w Polsce po ukończeniu nauk szkolnych oddawano zwykle na dwory możnych panów, gdzie się do rozmaitych posług obywatelskich zaprawiała. Kniehynicki był przez lat kilka na dworze Piotra starosty Śmiedyńskiego, i dał się poznać Wasylowi xięciu Ostrogskiemu. Posłany od niego do góry Athos, aby złożył w imieniu jego bogate upominki do tamecznych monastyrów, przyjęty był z wielką czcią od mnichów, którzy mu z największą uprzejmością

*) Ob. Czasopism Nauk. 1828 zesz. 4 str. 88.

pokazywali wszelkie osobliwości klasztorne, i o szczegółach życia zakonnego rozpowiadali. Zrobiło to na młodym jego umyśle takie wrażenie, iż zaledwie wywiązawszy się z poruczonego sobie poselstwa, wrócił do Athos, i w monastyrze zwanym Watoped postrzygł się na mnicha, zamieniając świeckie swoje imię Jana, na zakonne Ezechiela. Po niejakim czasie wrócił do swojéj ojczyzny, i zmienił prosty habit, na ostrą włosiennicę. Jako schimnik, najsurowszym ślubem zakonnym związany, przezwał się Jobem, czyli według wymowy starosławiańskiéj, Jowem, i bawił na Pokuciu zrazu u rodzeństwa swego w Tyśmienicy, późniéj w Uhornikach, gdzie mu przełożeństwo nad nowo wzniesionym monastyrem oddano. Wkrótce złożył on je w ręce hierodyakona Herasyma, a sam szukał dzikiéj jakiéj ustroni, gdzieby mógł wzorem starych patryarchów, resztę dni swoich pustelniczo przepędzić. Był pod ówczas na Pokuciu jednym z zamożniejszych obywateli Piotr Lachowicz. Trzymał on dzierżawą banie od Włodka, ówczesnego starosty Halickiego, i poznawszy bliżéj naszego Jowa, wielce go sobie dla jego światła i cnót zakonnych polubił. Jako najlepiéj świadomy miejscowości oprowadzał Jowa po rozmaitych ustroniach. Puściwszy się razu jednego w górę ponad wybrzeża Maniawy, ujrzeli w głuchem zaciszu między skałami piękne samotne wzgórze nad potokiem zwanym Batrasów. Podobało się ono wielce naszemu zakonnikowi, a było to właśnie pole należące do Lachowicza. Tu uklecił sobie Jow na prędce szałas i zaczął wieść życie samotne. Lachowicz pośpieszył zbudować mu tu porządną celę zakonną, i od czasu do czasu zaopatrywał go w niezbędne potrzeby do życia. Nie mało osób ze szlachty okolicznéj, z duchownych i z ludu udawało się do ustroni tego pobożnego zakonnika zasięgając jego rad, lub modlitwom się jego polecając. Zgłaszali się też do niego różnemi czasy mnisi z pobliskich monastyrów i dawni towarzy

sze jego, chcąc razem z nim wieść życie milczące w tejże ustroni. Po niejakim czasie, za życia jeszcze Jowa stanął tu pierwszy monastyr, nakładem Piotra Lachowicza wzniesiony, który dnia 13 września 1612 roku uroczyście poświęcono. Z powodu odludnego pustelniczego życia Jowa, które wzorem i regułą dla przyszłych zakonników być miało, nazwano go Skitem. Skromna jego zrazu budowa przerabiana była późniéj kilkakrotnie według coraz nowych potrzeb, i wzrosła w krótkim czasie do takiego ogromu, że już około roku 1640 mogło się w niéj mieścić wygodnie 200 zakonników *) Byłto tedy jeden z największych i najbogatszych w Polsce monastyrów. Skasowano go dopiero w roku 1786 za Józefa cesarza. Zwidzającym piękny wodospad Maniawki dają się widzieć w odległości kilku staj ogromne rozwaliny Skitu, z resztkami malowideł po ścianach, pod któremi można dziś jeszcze wyczytać imię Jowa i Teodozego, dwóch pierwszych igumenów tego monastyru. **) Potok otaczający te wzgórza, zwany niegdyś Batrasów, otrzymał późniéj nazwisko od tych spaniałych murów, i po dziśdzień Skitcem go zowią ***).

---

*) Pójdź na Pokucie do Skitu, tam aniołów w ciele ludzkim żyjących do dwóchset w kupie, onych dawnych pustelników życie naśladujących, znajdziesz. Mówi Piotr Mohiła w dziele swoim „Litos" wydanem w Kijowie roku 1644 na str. 367.

**) Obacz książeczkę: Monastyr Skit w Maniawie przez D. J. Wagilewicza, z dwiema rycinami. Lwów 1848.

***) W przejażdżkach moich po kraju natrafiłem na parę rękopismów pierwotnie z monastyru Skickiego pochodzących, i nabyłem je wraz z kilkunastu innemi xięgami. Jeden z nich zawiera między innemi żywot dokładny Jowa, pierwszego założyciela Skitu, skreślony przez spółczesnego mnicha, Ihnatija, który go osobiście znał i z nim rozmawiał. Rękopism ten jest tym cenniejszy, że cały pisan jest ręką Doroteja trzeciego z kolei igumena Skickiego. Z téj to xiążki podałem tu kilka szczegółów o Janie Kniehynickim. Zgodne są one z listami patryarchów carogrodzkich pisanemi w różnych

II.

Osadnictwo.

Okolice górskie nie wiele mają pociągu dla stałych osadników, już przez samą ostrość powietrza i niedostateczność wyżywienia. I Pokucie też zaludnione zostało nierównie później niż inne części naszéj ojczyzny. W czasach dawnych, kiedy jeszcze kolonie greckie przy ujściach Dniestru kwitnęły, rozpowiadano, że rzeka ta wypływa z wielkiego jeziora, które Skitów bądź to od Neurów bądź od Agatyrsów oddziela (Herod. IV 51 cf. 100); a za największą kraju tego osobliwość wskazywano dwułokciową stopę Heraklesa w jednéj ze skał naddniestrzańskich wytłoczoną. Wieść o wielkim u źródeł Dniestru jeziorze wygląda jak gdyby bajeczna, chociaż ją podaje poważny Herodot, chybabyśmy przypuścili ogromną jakąś zmianę w teraźniejszéj tych okolic powierzchni. Mogły dać powód téj wieści wylewy Dniestru i tworzące się ztąd bagna rozległe w okolicach Koniuszek i Dołobowa; ależ wylewy te bywają tylko w niektórych porach, a same źródła Dniestru daleko jeszcze za Koniuszki sięgają. Być jednakże może i to, że w owych czasach brano za główne koryto Dniestru rzékę Stryj, która przy swojem ujściu do Dniestru większa się od niego wydaje, i przeźroczystością swéj wody jest dla oka nierównie powabniejsza. Ta bowiem rzeka w okolicach Sinowódzka wyżniego, zkąd już nie daleko są jéj źródła, okazuje w łożu swojem ogromy skał porozrywane, a mieszkańcy poblizkiéj wsi Między-

---

czasach do tutejszego duchowieństwa, i mogę upewnić, że tak to co podaje Franciszek Siarczyński, jakoby Skit założony był przez mnichów z Mołdawii, jakoteż odnoszenie początków monastyru tego do czasów Włodzimierza wielkiego, lub bliskich mu xiążąt, jest bajką.

brody rozpowiadają, że niegdyś było tam wielkie jezioro, od którego sinych wód miała powstać i sama nazwa dolnego i górnego Sinowódzka. To zdanie uważa za prawdopodobniejsze Jan Wagilewicz, który niemałe robił studya nad etnografią naszą ojczystą.

Nie wiemy jaki rodzaj życia wiodły ludy, o których pobycie w tych stronach zalatywały do kolonij greckich pogłoski; to wszakże pewna, że gdy u źródeł Bugu i Styru od dawna już rozpierano się orężem o posiadanie urodzajnych ziem, i grodów czerwieńskich, Pokucie wraz z Wołoszczyzną widziało długo jeszcze u siebie koczowniczo wałęsające się hordy Pieczyngów, które tu liczne trzody swoje wypasały. Przedzielały ich naokoło od ich sąsiadów rozległe puszcze, niekiedy kilka dni drogi wynoszące, przez które cichaczem przebierając się, napadały z orężem sąsiednie kraje, i były wzajem napadane. Bolesław Chrobry umiał ich sobie stale pozyskać do swych zamiarów. We wszystkich niemal jego ruchach wojennych widzimy ich bądź w jego obozie, bądź robiących odwet w kraju nieprzyjaciela, który najechał Polski granice. To wszakże nieprzeszkadzało bynajmniéj królowi temu być surowym na ich wykroczenia, i gdy raz około roku 1013 wszczęli rozruch w jego obozie, cały ich półk w pień wyciął. — Wnuk jego Kazimierz I zaszedł w scisłe stosunki z Jarosławem wielkim, a potomstwo jego było już bardzo blisko z książętami ruskiemi spokrewnione. Właśnie za czasów tego potomstwa posuwają się od strony grodów czerwieńskich coraz więcéj ku Karpatom stałe osady. Na wzgórzach świeżo z lasów wytrzebionych powstawały włości, najczęściéj jeńcami wojennymi zaludnione. W drugiéj połowie jedynastego wieku odsłania się tu najpierw Trembowla; znacznie późniéj Halicz nad Dniestrem. Nazwa jego miała wziąść swój początek od Haliczyny mogiły, jak powiada kronikarz wołyński, albo

jak mówi Długosz od góry Halicza; wszakże podobnegoż imienia gród na stronie południowéj Karpat wzmiankowany jest w dziejach Polski już od wieku dziesiątego, i dał niejednokrotnie powód pisarzom późniejszym do mieszania zdarzeń i miejsc różnych od siebie.

Syn córki Włodzimierza wielkiego i xiężniczki ruskiéj mąż, Bolesław śmiały, tulił około siebie licznych krewnych i obcych xiążąt, co się do jego spaniałomyślności udawali. Sam znakomity wieku swego wojownik lubił otwierać pole popisom waleczności, wiódł ich do utraconych ziem, lub wypuszczał im własne zamki w dzierżawę. Wewnątrz posuwał na najwyższe stopnie duchowne samych tylko rodaków; zewnątrz odnowił na około granice walecznego swego pradziada, opierając je ku południowi aż o góry Karyntyi, a przez ścisłe z Grzegorzem VII Papieżem porozumienie, bronił zwycięsko praw swojéj korony przeciw wdzierstwom Henryka, i w walce o inwestyturę był główną Papieżowi podporą. Domowe z łacińskiem duchowieństwem zajście i zaszłe wkrótce wypadki, były nie bez ogromnéj klęski dla Rzymu, a Polskę wystawiły na największe napaści. Mógł im w części zaradzić Mieczysław, Śmiałego syn, młodzieniec pełen szlachetności i od narodu lubiony; ale okrutne strucie jego wraz z żoną Eudoxyą przez pewne stronnictwo, przejęło do ostatka goryczą spokrewnionych z otrutymi ruskich xiążąt, i do krwawéj zemsty zapalało. Jeden z tych xiążąt zwoływał dzikie hordy Torków, Berendejów, Pieczyngów. Na odgłos, że już idą ku niemu mówił w swojéj hardości: „Zimą wystąpię, latem zawojuję Polskę i zemszczę się za Ruś. Nie bogata jest w lud nasza ziemia, pójdę na dunajskich Bołgarów, i jeńcami ich zaludnię jej pustynie“. Byłto Wasilko Rościsławicz xiążę Trembowelski, któremu, nim owej zemsty dokonał, oczy wyłupiono. Słowa jego malują, w jakim stanie znajdował

się w owych czasach ten kraj, i jakiemi środkami ludność się jego wzmagała. Spomniani tu Pieczyngowie byli to tylko ostatki téj hordy, między Siedmiogrodem, Pokuciem i Wołoszczyzną wałęsające się; główna bowiem ich siła pobita już była wtedy przez Kumanów. Pozostałki te przez jakiś czas jeszcze do rozmaitych najazdów używane, stały się wkrótce same pastwą swoich sąsiadów; a jedyny dziś ślad ich na Pokuciu przechowuje się w nazwie miasteczka Peczeniżyna.

Osadnictwo w górach szło nadzwyczaj powoli. Przez bardzo znaczny przeciąg czasu niesłychać tu o żadnych włościach znaczniejszych, a rzeki pomniejsze zdają się niemieć stałych nazw. Nie łatwo znajdziesz o nich wzmiankę, choćby tylko pobieżną w dokładnych skądinnąd ruskich latopisach. Długosz co z taką starannością, znakomite na swój czas dzieło, chorografię Polski układał, zaledwie umie nazwać parę rzek, co z prawéj strony do Dniestru wpadają. Inaczéj ma się rzecz z tem, co koczowniczemu i pasterskiemu życiu przysłużało. Wierzchołki połonin i rozciągające się między niemi kotliny mają odrębne swoje imioniska, które chociaż powszechnie przez ludność dzisiejszą powtarzane, w bardzo znacznéj jednakże części, nie mają z językiem jej nic spólnego, i zdają się sięgać czasów koczowniczéj jeszcze włóczęgi. Z nazwiskami takiemi spotykasz się raz po raz przez cały łańcuch pokuckich gór. Jeden np. z czubów Czarnogóry, a zarazem kotlina pod nim, zowie się Dżymbronia, inny Howerla. Daléj Bałtaguł, Retunduł, Bałtasina, Czurus, Furatyk, Czymbłysz, Fewresok, Grofa, Pietrosy, Żurapel, Gorgon, Gurgułat, Pianuła, Niagra, Żełemin, Pikuj, itd. itd., wszystko to zarywa obcemi po większéj części dla słowianina pierwiastkami.

Z pozostałków rozmaitych hord koczowniczych, z jeńców nad Dunajem i w innych stronach zabieranych, i

z ludzi, co w czasie napadów zewnętrznych lub domowych zamieszek w krajach sąsiednich, dobrowolnie się do ustronnych i mniej przystępnych siedzib udawali, formowała się najwcześniejsza ludność wiejska Pokucia, a następnie osadnictwem porządnem za królów polskich wzrastała. W trzynastym wieku, kiedy jarzmo Mogołów nad krajami Rusi ciężyło, siedziała w Marmaroszu na Węgrzech znaczna ludność wołochów: w rodowości swéj zdradzała jakieś szczątki rzymskich kolonij, a wiodła żywot pasterski, najodleglejszych obszarów, ku wypasom bydła służących dobrze świadoma. Skoro w wieku następnym Gedymin przełamał potęgę Mogołów, i zdobył Kijów, a zięć jego Kazimierz wielki zajął tak zwane ziemie czerwieńskie, uciszyło się znacznie w tych stronach i bezpieczeństwo na około wzrastało. Wtenczas to wołosi, z bujnością ziemi Mołdawskiéj od dawna obznajomieni, ruszyli z Marmaroszu gromadnie, i stałe siedliska w mało zaludnionéj dotąd Mołdawii zajęli. (Długosz Hist. IX 1122 Twrocz. Chron. Hung. III 37.)

Część jakaś téjże samèj, jak się zdaje, ludności, dostała się w czasach niewiadomych na Pokucie, a chociaż zupełnemu już przenarodowieniu uległa, ślady jéj jednak rozpoznać się dają między tutejszymi mieszkańcami po dziś dzień.

III.

Huculy a Bojki.

Na nizinach pokuckich włościanin nie różni się niczém prawie od włościanów Podola, którego część właściwie stanowi Pokucie; górale mają odrębne swoje znamiona, i wyróżniają się dobitnie dwa ich rodzaje. Od wschodu znaczną przestrzeń gór zamieszkują Huculi: takie miano

dają im na około sąsiedzi, i sami się do niego przyznają. Nie tak się rzecz ma z ich zachodnimi sąsiadami, co począwszy od Czarnego lasu, i od rzeki Łomnicy aż ku źródłom Dniestru się rozciągają. Zapytani o właściwe swe miano, zowią się po prostu werchowińcami, góralami, podgórzanami, itp.; tymczasem tak mieszkańcy nizin, jak i sąsiedzi ich Huculi, nazywają ich Bojkami. Jest to wyraźnie wzgardliwe tylko nazwisko, znaczące jakoby zbójów. Czują oni w niem wzgardę, i dla tego stale go się zapierają. Xiądz Antoni Pietruszewicz, znany ze swoich obszernych wiadomości, jest tego mniemania, że nazwa Hucuł ma takież same znaczenie co Bojko; w języku bowiem wołoskim *choc* czyli *hoc* zowie się zbój, końcówka zaś *ul* wyraża tylko, jak wiadomo, rodzaj męzki, odpowiadając zaimkowi łacińskiemu *ille*. O góralach powiedzieć można w ogolności, że jestto lud dorodny i hoży. Silna budowa ciała, swoboda ruchów, zwykle mieszkańcom gór właściwa, wreszcie odwaga i zręczność spólne są tak Hucułom jak Bojkom; atoli te same przymioty cieniują się w nich bardzo rozmaicie, i znaczną dostrzeżesz między nimi różnicę, tak w postawie i rysach zewnętrznych, jak umysłowych usposobieniach, w zwyczajach i obyczajach.

Zamierzywszy sobie podać tu nieco z tych rysów, winienem oznajmić, że szedłem w nich głównie za skazówkami Jana Wagilewicza, który we wsi Jasieniu, na samém pograniczu Hucułów i Bojków urodzony, i przez bardzo długi czas tamże zamieszkały, miał najlepszą sposobność przypatrzeć się im dokładnie, i poznać ich zwyczaje i obyczaje *).

*) Obacz rozprawy jego o Hucułach i Bojkach, z polskiego na język czeski przełożone i drukowane w czasopisie Muzejnym pragskim w latach 1838 i następnych. Nowemi postrzeżeniami pomnożone znajdują się one w rękopiśmie u autora, który mi ich do przejrzenia udzielał.

Wzrost częściéj ogromny niż mierny, cera smagła, oczy czarne, nos orli, czarny długi włos i wąs zakręcony, jest najpospolitszy u Hucuła; Bojko jest cery białéj, oczu najczęściéj siwych, rusawych włosów, smukły acz nie uderzający ogromem, natomiast lżejszy i ruchawszy. Przy długich, niekiedy podgolonych włosach wąsów lub wcale nie zapuszcza, lub je przystrzyga.

Strój Hucuła w ogólności schludny, u bogatszych trąci niekiedy wytwornością. Kapelusz czyli tak zwane *kresanie*, formy stożkowatéj, lub z główką okrągłą, a szerokiemi brzegami, ma w koło szeroką blaszkę lub wstążkę, częstokroć pierścieniami, kółkami i innemi błyskotkami nawieszaną, z za któréj pióro pawie powiewa. Gunia krótka, z grubego sukna, bronzowego, miodowego, niekiedy ponsowego koloru; bierze ją najczęściéj na opaszki, spinając pod szyją pętlicami. Pod nią widać *kiptar* (kożuszek bez rękawów) jedwabiem wyszywany, przez ramię przewieszona dziobeńka w kratki, lub tobolec guzikami błyszczący, a koszula suto na ramionach we wzory tureckie wyszywana. Szeroki, rzemienny pas z mnóstwem guzików, kółek, pierścieni itp. Przy pasie między innemi nóż w pochwie, a para pistoletów za pasem. Spodnie szerokie sukienne, czerwonego, miodowego lub granatowego koloru; na nogach chodaki gładko włokami włóczkowemi przeplecione; w ręku toporek pisany. Zimą wdziewa kożuch krótki, czapkę lisią, zwaną *klepanie*, i guglę czyli dżuglę zwaną także manta, która jest rodzajem płaszcza z sukna białego, a zrobiona tak, że z tyłu naturalny kaptur formuje. Ubierają się w nią i kobiety.

Ubiór zwyczajny Bojka stanowi czarny sierak powyżéj kolan; pod nim bunda z wyszyciem włóczkowém, koszula, na ramionach wązką mereżką ozdobiona. Przez plecy tobolec czyli tajstra skórzana, bez ozdób. Pas rzemienny nie tyle błyskotkami ile potrzebnemi narzę-

dziami opatrzony. Spodnie białe obcisłe, chodaki rzemykami przeplecione. Na głowie zimą kuczma wysoka, barania, w formie głowy cukru uciętéj, albo szłyk; latem zaś czarny, niski z szerokiemi krysami kapelusz; w ręku kij nasiekany.

Hucułki są zazwyczaj smukłe i urodziwe. Na głowie u mężatek ujrzysz biały cienki rąbek. Ramiączka u ich koszul wyszywane ozdobniéj niż u mężczyzn. Na koszuli duszka czyli gorset materyalny, najczęściéj czerwony. Dwie zapaski wełniane, pstrego koloru, zwane fotami obwiązują w koło siebie z dwóch stron, przepasując je pasem z kałamajki. Świtkę czarną wdziewają na wierzch; na nogi zgrabne chodaki a niekiedy buty czerwone. Dziewki splatają najczęściéj włosy we dwa warkocze, i takowe na głowie we wieniec ułożywszy mnóstwem świecideł i piórem pawiem ozdabiają. Bogatsze zawieszają u szyi srebrne i złote monety, a spodnice ich w dzień świąteczny przywdziane, połyskują srebrnemi i złotemi galonami.

Żona Bojka obwija głowę zawojką, a niekiedy nią i większą część twarzy zakrywa. Odzieniem jéj biała, płócienna świtka, spodnica w kwiaty, a na niéj pstra, wełniana zapaska; na nogach chodaki lub buty. Dziewki splatają włosy w jeden warkocz, i takowy kwiatami i wstążkami ozdobiony, wolno po ramionach puszczają.

W długich a wązkich dolinach popod ściany gór, lub na mniéj nagłych ich pochyłościach ciągną się osady huculskie, u wschodu począwszy od Białego Czeremosza i potoka Putyły, aż do Łomnicy na zachód. W nazwiskach tych wsi uderzy cię nierzadko dźwięk obcy: Brustury, Akreszory, Szeszory, Ryngury, podobnie jak i w samym języku hucuła. Syna zawoła ci niekiedy stary ojciec: *filine;* zamiast rozprawiać wiele, powie *werberowaty,* a duchów leśnych nazwie *silwaticzi.* W podobnejże co i hucuł miejscowości rozsiedlony Bojko od Porohów

i Jabłonki, ostatnich wsi Huculskich nad Bystrzycą Sołotwińską, aż po źródła Dniestru, mówi językiem czystosłowiańskim, i takim ponazywał wsie swoje, a wyraz niezrozumiały i obcy, znajdzie się u niego zaledwie do którego wierzchołka gór przyczepiony.

Wsie huculskie są powszechnie wielkie, chyża czyli chata od chaty daleko, zwykle sadem, łąką lub lasem rozdzielona. Hucuł kocha się w sadach. Skoro ma kawałek ziemi po temu, pielęgnuje szlachetniejsze owoce. Prócz jabłek wyśmienitych i gruszek, znajdziesz u niego tarnośliwy, czereszcie, wiśnie i czerechy, któreto ostatnie są np. w Szeszorach nie tylko tegoż gatunku, co sławne Kleparowskie czerechy, ale nawet od nich dorodniejsze. Chata drewniana, zwykle z dwoma ku wschodowi oknami, pobita jest dranicami dość nisko. Koło niéj stajnia, śpichlerz, kawał ogródka i pasieka; woza, pługu ni stodoły nie ujrzysz.

Nie tak rozległe wsie Bojków ciągną się brzegiem potoków i rzek, obsiadają żyźniejszą kotlinę lub górę lasem u wierzchu ocienioną. Chaty najczęściéj gromadkami rzucone, stoją dość blisko jedna przy drugiéj. Budowa ich ma w sobie coś oryginalnego. Wysoki ostry dach, spoczywa zwykle na kolumnadzie słupów drewnianych, połączonych takiemiż kabłąkami, formując na około rodzaj krużganku. Wśród tèj kolumnady siedzi chata jak skrzynia: okna jéj ku południowi obrócone; na dachu obok pobicia u dołu dranicami, obaczysz niekiedy wierzchem i słomę. Drzewa zielenią się przy chacie, ale owocowych albo rzadko, albo wcale nie ujrzysz. Natomiast obok stajni i obory jest i stodoła, a oraz wóz, pług i inne narzędzia gospodarskie. Bojko bowiem jest rolnik. Mimo niewdzięcznéj gleby, którą zamieszkuje, sięga pługiem i rydlem wszędy, gdzie tylko kawał ziemi z pod lasu i kamieni wydostać może, i zasiéwa ją owsem, lnem, niekiedy jęczmieniem i żytem.

jarem, lub téż kartoflami zasadza. Nie zraża się w usiłowaniach swoich tém, że mu zboża na pniu zwierz psuje, i śniegi wczeéne przyprószają. Rozpala nocą ognie przy owsach dla postrachu niedźwiedzi, i przy nich noce przepędza.

Hucuł przeciwnie jest pasterz. Na przedgórzu uprawia on ziemię, ale tylko sposobem ogrodowym. Lubi też i hoduje pasieki; ale główny skarb jego jest w bydle i owcach. Owca, według przysłowia huculskiego, daje odzież, opatruje nabiałem, i łąki gnojem użyznia. Dzień też, w którym trzody swe na połonińską paszę wypędzają, obchodzony jest u Hucułów z największą uroczystością.

Co atoli nadewszystko charakteryzuje Hucuła, to jego zamiłowanie w koniach. Bojko chowa zwykle bydło rogate; konia u niego albo zgoła nie widać, albo tylko bardzo rzadko. Przeciwnie Hucuł nadewszystko przekłada konie, których osobną, nigdzie indziej nieznaną rasę pielęgnuje. Koń huculski jest drobny, najczęściéj maści czarnokasztanowatéj lub karéj, głowy kształtnéj, długiéj grzywy, mocnych i pewnych nóg; płochliwy, do pociągu nie zdatny; ale wyśmienity do jazdy wierzchowéj. Jest on dumą hucuła i nieodstępnym jego towarzyszem; dosiada go tak sam, jak i żona i córka, ku czemu foty ich, z dwóch odrębnych sztuk składające się, zdają się, jakby umyślnie urządzone. Siedzą na koniu z taką pewnością, że jazda nie przeszkadza im prząść kądziel z wełną, którą na koniu mają za pasem. Widząc całe takie karawany obojéj płci hucułów, jak od Żabiego i Mikuliczyna za różnemi potrzebami konno ku dołom postępują, zdaje ci się, że jesteś w kraju nomadów, i oglądasz pierwiastki zawiązującéj się społeczności.

Dnia 13 czerwca odbywa się u hucułów tak zwane *mieszanie*, uroczystość, któréj zwykle muzyka i tańce towarzyszą. Na otworzyste polany spędzają z różnych

stron owce: tam mają się połączyć w turmy po dwa tysiące i więcéj sztuk liczące, które spólnie obrany watażka (pasterz główny) przy pomocy butejów (pastuchów podrzędnych) i owcarzyków w połoniny pożenie. Wyganianiu owiec na polanę towarzyszy zwykle gospodarz z całą rodziną. Obok bogacza kilkaset sztuk pędzącego, spieszy tam biedak z kilgorgiem swoich owiec; spieszy i sierota i wdowa: niema ona i jednéj sztuki do wypędzenia, ale idzie gdzie idą drudzy, aby w swojém ubóstwie pokrzepić się nieco na duchu widokiem powszechnéj wesołości.

Na polanie doją kolejno każdy przygnany oddział. Mierzy mleko watażka, i oznacza, ile któremu bundza przypadnie. Przy maciorach i jarkach podskakują młode jagnięta, watażko pozna wnet, iż to lub owo na połoniny nie dojdzie; rozdają więc je darem między biedaków i sieroty, aby je sobie wyplekali. Cały ten charakterystyczny obrzęd huculski kończy się wesołą ucztą i tańcami.

Rozpoczyna się pochód ku połoninom. Postępują zwolna przed turmami przodownicy; owcarze w czarnych, w tłuszczu umaczanych koszulach, w myckach wełnianych na głowie, zabiegają z boków i z tyłu, otoczeni zgrają psów, na których znaczna część bezpieczeństwa trzody polega. Najprzykrzejsze wzgórza, najdziksze wertepy, wszystko to nie kładzie tamy pochodowi, bo pastuchom mimo słot i upałów, na które są wystawieni, mimo owadów dokuczających, nie zbywa na wesołości, i skocznie odzywa się dźwięczne huculskie *frelo* (rodzaj fletu) i surma. Tu więc na górach rozwija się przed twojem okiem prawdziwy obraz życia koczowego. Na wskazanéj przez watażka polanie ogradzają koszarę dla owiec i stawiają koliby, w których skład nabiałów i mieszkanie owcarzy. W nich z mleka wydajanego wywarzają bezustannie bundze, z których bije się bryndza,

zbierają z żętycy urdę, która główną omastę góralską stanowi.

Raz po raz nadjeżdża do kolib właściciel owiec jeden po drugim; zdejmuje terch z konia, to jest bordiuki ze skóry koziéj i berbenice drewniane; dobywa z nich żywność dla owcarzów swoich przywiezioną, a odebrawszy swoją część bundza, nabija w nie bryndzę, i ku domowi pospiesza. Z powrotem jego otrzymują sąsiedzi wiadomość w którą stronę, i kiedy udawać się mają do kolib. Cały bowiem ten tabor w ciągłym jest ruchu. Skoro polany, na których stanął, są wypasione, przenosi się ze wszystkiemi zapasami na dalszą połoninę, gdzie grodzą nową koszarę, i nowy szałas stawiają.

Atoli jak Bojka rolnictwo, tak Hucuła częstokroć pasterstwo jego zawodzi, i na opędzenie koniecznych potrzeb życia nie wystarcza, a tu uwydatnia się obu charakter. Bojko rozwija nadzwyczajną czynność w swym niedostatku, rzuca się na wszelkie przedsiebierstwa, kupczy drobnemi towarami, winogronami, orzechami włoskiemi, śliwkami węgierskiemi, przebywa ogromne przestrzenie kraju, utrzymując bezustanny związek między Węgrami a Polską. Zwykle pod jesień z domu wyszedłszy, nie wraca doń aż na wiosnę. Niema téj obrotności hucuł, i cały jego przemysł ogranicza się na sprzedaży lichych wyrobów swoich wełnianych, bryndzy i naczyń drobnych, z któremi konno do miast bliższych: Kosowa, Delatyna, Nadworny i Kut, lub najdaléj do Kołomyi, Zaleszczyk i Horodeńki podróżuje. W nowszych dopiero czasach, odkąd go zawodzą kartofle, udaje on się za robotą ku dołom; dawniéj wolał gnuśnieć w swym domu, a niedostatek pokrywać środkami niegodziwemi. Ztąd też sławne były między Hucułami rozboje, a przy zagęszczoném hultajstwie zdarzało się, że i sąsiedzi ich Bojki chętnie się z nimi łączyli, lub też na własną rękę rozbijali.

Powiada Franciszek Siarczyński w swoim słowniku historyczno-statystyczno-geograficznym królestwa Galicyi *) że Huculowie pochodzą z rodu Wołochów, którzy w zaburzeniach ojczyzny swojéj schronili się w góry Pokucia, zmieszali z tutejszymi krajowcami, i utworzyli odrębny poniekąd lud, który się tak postacią jak i obyczajami od innych górali wyróżnia. To samo spostrzeżenie zrobił teraz profesor Łobarzewski, który się z bliska tak Hucułom jak Bojkom przypatrywał.

Jest zresztą lud ten mocno przywiązany do swoich siedzib, i mnóstwo możnaby wskazać przykładów, w których się to przywiązanie jego z dziecinną naiwnością maluje.

Byłto podobno Józef Potocki, właściciel Stanisławowa, Halicki, Śniatyński itd. starosta, który w ścisłych stosunkach ze Stanisławem Leszczyńskim i dworem francuzkim zostając, posłał raz do Paryża swego ulubionego kozaka nadwornego, rodem z Pokucia, zaopatrzywszy go dostatecznie na drogę. Sprawił się on tam jak należało, a gdy wrócił, rad mu był bardzo starosta, i zapuściwszy się z nim w poufalszą rozmowę, chciał się dowiedzieć, jak mu się też życie w Paryżu, owéj stolicy świata podobało. „*Lipsze pane w Kołomyi*“ odpowiedział dobrodusznie Pokuciak.

„Idąc na Czarnogórę (opowiada profesor Łobarzewski) miałem z sobą kilku przewodników, z którymi przez drogę rozmawiałem. Wskazali mi oni między sobą jako osobliwość jednego, który nie mało świata widział, był bowiem (co się rzadko między Hucułami zdarza) nawet we Lwowie. Zbliżyłem się do niego, i o różnych rzeczach rozmawiając, spytałem w końcu, jak mu się też

---

*) **Dzieło to trzy tomowe, bardzo pracowicie ułożone, jest dotąd w rękopiśmie i znajduje się u znanego naszego bibliografa Stanisława Przyłęckiego.**

podobał Lwów? Zastanowiwszy się nieco, rzekł: Miasto niczego, duże i ładne; ale nasz Kosów, (dodał z pewnym rodzajem zadowolnienia, które się w iskrzących oczach jego malowało) nasz Kosów taki ładniejszy. W Kosowie wszystkiego a wszystkiego dostanie.“—Kosów ten, owe Eldorado Hucuła jestto licha żydowska mieścina, w któréj prócz kilku kramików i szynków, ledwie co więcéj obaczysz.

IV.

Wypadki polityczne.

Pokucie ma swoje wielkie historyczne spomnienia, swoje zwycięztwa świetne, któremi się jego, mało znane przedtém, grody rozsławiły. W nich brała żywy udział ludność tutejsza. Zwabiona gospodarnemi rządami Kazimierza wielkiego i jego następców *), lub téż z miejscowéj rozmnożona, i swobodami od nich nadana, stawała dzielnie w obronie tychże, i przeważnie na los ojczyzny wpływała. Spomnę tu o niektórych główniejszych zdarzeniach.

Hołd wołoski. W drugiéj połowie piętnastego wieku panował w Multanach i Wołoszczyznie Stefan, najznakomitszy z książąt wołoskich. Byłto jeden z pierwszych bohatyrów swego czasu. Pokonał on dwóch przeciwników swoich, hospodarów Multańskich Radulę i Włada IV, i w ciągłych zapasach z Tatarami, Węgrami i Turkami, odnosił nad wszystkimi sławne zwycięztwa. W ciągu tych

---

*) Jak liczne powstawały osady na Podgórzu karpackiém za królów polskich, widzieć to można między innemi z tych przywilejów, które Alexander hr. Stadnicki przytacza lub powołuje w swojéj gruntownie napisanéj rozprawie „O wsiach tak zwanych wołoskich“ Lwów 1848—1853.

walk porozumiewał się z Kazimierzem Jagiellończykiem, królem polskim, oświadczając gotowość swoją złożenia mu hołdu, jako swemu zwierzchnikowi. Roku 1484 Bajazet II sułtan turecki postanowił zemścić się nad Stefanem za klęski ojcu swemu Mahometowi II zadane. Wkroczył więc z ogromnem wojskiem do Bessarabii, zdobył porty warowne Kilię i Białogród, ten na ujściu Dniestru, tamten na ujściu Dunaju, i ścisnął wołochów ze wszech stron. Ustępował Stefan przed przeważnemi siłami Turków w lasy i miejsca górzyste, a tymczasem wysłał posłów do króla polskiego, ostrzegając go o niebezpieczeństwie spólném, i prosząc, aby z wojskiem polskiem zbliżył się ku granicom, gdzie mu dawno przyrzeczony hołd chce złożyć.

Wdzięcznie przyjął poselstwo król; wydano rozkazy, iżby cała Polska stanęła pod bronią. Rycerstwu województwa krakowskiego, sądomirskiego, i dalszych polecono, iżby w zupełnéj do boju gotowości dalszych rozkazów oczekiwało, król zaś w towarzystwie dwóch synów: Olbrachta i Zygmunta, przybył na początku jesieni 1485 roku do Lwowa, zkąd niebawem na czele dwudziestotysiącznego orszaku ze szlachty ziem ruskich i podolskich złożonego, wyruszywszy, przebył Dniestr pod Haliczem, i stanął na Pokuciu. Byłoto dnia 15go września 1485. Na polach kołomyjskich rozbito królewski namiot i tron spaniały wystawiono. Zasiadł na nim w całéj okazałości Kazimierz, mając po bokach królewiców. Otoczyli tron senatorowie. Było około południa. Stefan od posłów królewskich uwiadomiony, nadjechał z swoim hufcem, liczącym około trzech tysięcy ludzi, których całem uzbrojeniem był łuk, kołczan strzałami napełniony, tarcza, kopia i miecz. Siedział na dzielnym rumaku Stefan, obok niego jechał chorąży, trzymając w ręku rozwinięty wielki jedwabny sztandar koloru czerwonego, na którym powiewał herb złocisty

ziemi mołdawskiéj. Otaczali go przedniejsi bojarowie z małemi w ręku chorągwiami. Jazda wołoska zatrzymana została w pewnéj odległości; sam tylko Stefan z bojarami, hufcem polskim otoczony, zbliżał się ku namiotowi, przy odgłosie polskich i wołoskich trębaczy. Skoro zsiadł z konia, wyszli na powitanie jego senatorowie przedniejsi; on wziąwszy sztandar od chorążego, szedł prosto przed tron, na którym siedział Kazimierz, i z głową odkrytą ukląkł, chorągiew aż do nóg królewskich nachylając. Toż samo uczynili bojarowie z swemi chorągiewkami, podczas gdy król nieporuszony siedział, a senatorowie stali.

Oznajmił najpierw Stefan w głos, iż ze wszystkim narodem swoim i ziemiami oddaje się jako hołdownik królowi, prosząc o opiekę nad sobą i zachowanie go w swoich prawach i godnościach. Potém z głową ciągle pochyloną dotknął prawą ręką krzyża ś., i poprzysiągł według podanéj mu roty, że wiernie i bez żadnéj obłudy królowi, następcom jego i całéj koronie polskiéj ze wszystkiemi ziemiami swemi, bojarami i ludem posłusznym będzie.

Na to odezwał się siedzący na tronie król, że zwierzchnictwo nad nim, nad narodem wszystkim i ziemiami jego przyjmuje, i zostawia go jako wojewodę swego przy prawach jego i godnościach. Co wyrzekłszy powstał z tronu, ucałował Stefana, i chorągiew od niego wziąwszy oddał marszałkowi koronnemu. W téj chwili bojarowie rzucili królowi pod nogi swoje chorągwie, które wnet przez dworzan królewskich pozbierane i oddane zostały temuż marszałkowi, dla przechowania w skarbcu królewskim. Król zająwszy znowu miejsce swoje na tronie, posadził nieopodal od siebie Stefana jako przyjaciela swego i hołdownika, a bojarowie wołoscy podniósłszy ręce, i krzyża się dotykając wykonali taką samą niemal rotą przysięgę wierności

królowi polskiemu, jego następcom i koronie polskiéj. Był téż wygotowany i dyplom, w którym wyłuszczono obszernie stosunek wojewody tego do króla polskiego i jego zobowiązania. Opatrzyli go Stefan i czternastu bojarów wołoskich swemi pieczęciami, i złożyli do metryk koronnych, gdzie go Kromer jeszcze oglądał. Zaproszono Stefana wraz z bojarami do stołu królewskiego, i hojnie ich częstowano. Stefan złożył wtedy w darze Kazimierzowi tudzież synom jego bogate namioty, i nawzajem otrzymał od nich bogate upominki; a oraz trzy tysiące jazdy dzielnéj ze wszystkich pułków dobranéj, pod dowództwem biegłego wojownika Jana Karnkowskiego, zwanego Polakiem. Te szczupłe co do liczby posiłki oddały wtedy Stefanowi wielkie usługi. Wyruszywszy z niemi przeciw Turkom, rozpoczął wojnę podjazdową, bitwy walnéj unikając. Jazda polska składała się z dobrze uzbrojonego i wyćwiczonego żołnierza; wołosi przeciwnie mieli lekko zbrojne pułki nakształt kozaków. Ilekroć tedy pułki wołoskie porażone były przez Turków, cofały się one tak, iż ścigającego ich nieprzyjaciela pod hufce polskie zwabiali, gdzie bitwę odnowiwszy, spólnemi siłami klęskę mu zadawano. Tym sposobem wojując, i mając w odwodzie uzbrojoną Polskę, któréj samo imię wówczas Muzułmanów trwożyło, zmusił wkrótce Turków do opuszczenia Wołoszczyzny.

W czterdzieści kilka lat późniéj zaszło tu inne niemniéj świetne zdarzenie.

Hospodar Wołoski Piotr bez uprzedniego wypowiedzenia wojny wtargnął na Pokucie zimową porą, pod sam koniec roku 1530: zajął Gwoździec, Śniatyn, Kołomyję i Tyśmienicę, uprowadzając ludność, i kraj aż do Halicza pustosząc. Odparcie téj napaści poruczył król Zygmunt I Janowi Tarnowskiemu, hetmanowi. Kazał hetman spisywać czemprędzéj wojsko, po różnych miejscach, aby się nieprzyjaciel o prawdziwéj liczbie

jego nie dowiedział. Stanęło w pogotowiu pięć do sześciu tysięcy. Byłato sama prawie jazda; piechoty nie więcéj nad 300 ludzi liczono. Są Wołosi w ogólności dzielni i dobrze się potykają; konie mieli mierne ale rącze. Rzadko używali zbroi. Tarcze ich były proste, nie powłóczone, a bez proporców kopije; sprawnie jednak niemi robili. Od roli wzięty chłop rychło nawykał do bojowego szyku, i w wojnie sobie podobał. Ujrzałbyś tam nie rzadko, jak jeździec o strzemionach dębowych, siodle bez pokrycia, u łęku bryndzę i chléb w koziéj skórze mający, zadziwiał swoją zręcznością. Ulubioną niegdyś ich bronią była osęka, rodzaj kopii, w któréj u wierzchu znajdował się grot do pchnięcia i hak do przyciągania. Puszczając się w największym pędzie popod hufce nieprzyjacielskie, zrywali jeźdźców z koni, i wielką szkodę w ludziach działali.

Takiego przeciwnika w bardzo przeważającéj liczbie mając przed sobą Tarnowski, postanowił młodego po większéj części żołnierza swego zaprawić pierwéj do boju małemi utarczkami, i ośmielić na nieprzyjaciela, nimby się z nim w walnéj bitwie mógł zmierzyć. Wysłał przodem mało co więcéj nad dwa tysiące ludzi, dając im rozkaz, iżby przebywszy Dniestr, z różnych stron na załogi Wołoskie uderzyli. Byłoto ostatnich dni lipca 1531. Rozkazy jego wykonano tak zręcznie, iż po kilkunastu drobnych spotkaniach na różnych miejscach, zostało w dwóch dniach oczyszczone z Wołochów całe Pokucie prócz Gwoźdźca, gdzie nieprzyjaciel w twierdzy się zamknąwszy, uporczywie się bronił. Oblężony jednak poddał się wkrótce, a hetman kazał osadzić wojskiem polskiem zamek, obronę jego Włodkowi powierzając.

Na wieść o porażce swoich biegł na Pokucie sam Piotr wiodąc dwadzieścia kilka tysięcy wojska świeżego. Sześć tysięcy rzucił on przodem przed sobą, i ka-

zał im napowrót Gwoździec zdobywać. Uwiadomiony o tém Tarnowski, ruszył na pomoc oblężonym, z całą swą siłą. Ztoczono bitwę dnia 19 sierpnia, i Wołosi zostali na głowę porażeni. Wielu z nich padło, więcéj nierównie, a między temi nie mało osób znakomitych dostało się do niewoli, reszta pierzchła. Dwaj dowódzcy, którzy się ratowali ucieczką, donieśli Piotrowi o klęsce; rozgniewany, kazał im głowy poucinać, jak to zwykle w takich razach u Wołochów bywało; na silne jednak prośby niektórych panów darował im życie, lecz kazał zakuć w kajdany.

Po odsieczy Gwoździca cofał się Tarnowski w głąb kraju, i stanął był pod Obertynem, gdy go doszła wieść że Piotr z całą swą siłą wprost ku niemu zmierza. Byli tacy, którzy wielkość i dobór wojska nieprzyjacielskiego zważając, radzili hetmanowi, iżby działa zostawiwszy do Halicza pospieszał.— „Tu nam umrzeć, lub wygrać“ odrzekł hetman, i kazał obóz umacniać.

Tak stanowcza odpowiedź wodza podniosła ducha w wojsku. Rzucono się do robienia okopów, spinano łańcuchami wozy; ustanowił hetman za wozami piechotę, wytknął działom miejsce po rogach, jazdę ciężką i lekką śród obozu szykował. Ledwie to wszystko ukończono, już był nieprzyjaciel przed nimi. Nocą pod obóz polski nadciągnął, a uważano nie bez trwogi, jak ze szczególnym połyskiem roztrząsała światło swoje tejże nocy kometa, która już od trzech tygodni na niebie ukazawszy się, to się kryła, to znowu wyjawiała. Ranek dnia 22 sierpnia odsłonił na polach obertyńskich obóz Wołoski. Po wzgórzach rozstawił go Piotr, aby Polacy wielość hufców i zapasów wojennych zważając, na duchu upadali. Główna jego troska była w tém, iżby mu hetman z wojskiem swojem nie umknął, dla tego otoczył go ze wszech stron swemi hufcami. Poczęły się niebawem alarmy: najeżdżał na obóz polski liczny

harcownik, krzykiem, drwinami i łajaniem do boju wyzywając. Milczkiem podsuwała się zrusznicami polska piechota, i jednego po drugim sprzątywała. Wnet przystąpiono do bitwy. Pięćdziesiąt wielkich dział skierowało swe strzały na obóz polski, miotając bezustannie pociski. Straszny ten ogień okazał się jednak nie tyle szkodliwym, bądź z powodu złych prochów, bądź z powodu niewielkiéj biegłości strzelających. Odpowiadali im puszkarze polscy, nad którymi był przełożony Staszkowski. Szczuplejsi co do liczby kierowali swe strzały tak, iż raz wraz widać było luki w szykach nieprzyjaciela, i wojska jego chwiać się poczynały. Trwał ogień taki blisko pięć godzin, hetman bowiem zalecił swoim jak najmocniéj, iżby z miejsca się nie ruszając, cierpliwie oczekiwali na atak. Nie bez fortelu rozpoczął go Wołoszyn. Ujrzawszy w przedniéj bramie sprawność szyków i dobór żołnierza, kazał uderzyć na obóz polski od strony przeciwnéj, gdzie pośledniejsze hufce znaleźć spodziewał się. Stali tam przed innemi rotmistrzami Balicki i Trojanowski, ten ostatni z młodym żołnierzem; Balicki wiekiem podeszły ale pełen odwagi pomknął się pierwszy z hufcem swoim, i mężnie się potykał. Natarcie Wołochów było potężne, towarzysze w hufcu Balickiego jeden po drugim padali. Przemaganym od liczniejszego nieprzyjaciela skoczyli w pomoc Sieniawski Mikołaj i Włodek ze swemi hufcami, i bitwę walną zawiązali. Gdy już czas jakiś uporczywie walczono, a Wołoszyn skupiał siły w tym punkcie, dał rozkaz hetman Prokopowi i Alexandrowi Sieniawskim, stojącym aż dotąd w bramie pierwszéj, iżby z rotami swemi w pole wyszedłszy, w bok nieprzyjaciela uderzyli. Sprawili się według rozkazu, a bitwa stawała się coraz krwawszą. Hetman z obozu walczących uważając, rozsyłał w jedną i drugą stronę gęste posiłki. Po półtoragodzinnéj walce, gdy już ostatnie z obozu posiłki pod

nieprzyjaciela podemkniono, i dogrzano mu ogniem z dział przełamane hufce jego zaczęły z pola ustępować, a wnet poszły w rozsypkę. Stał na pagórku opodal Piotr, końca bitwy wyglądając: ujrzawszy, że wojsko jego cofa się, i hamować się w biegu nie daje, jął i sam uciekać. Ścigali nasi przez półtoréj mili uciekających. Sam hospodar został dwukrotnie raniony. Cały obóz dostał się w ręce zwycięzcom. Pięćdziesiąt wielkich dział śpiżowych, prócz pomniejszych, wszystkie hakownice żelazne, których miał mnóstwo nieprzyjaciel, konie, wozy z wszelkiemi zapasami, i przeszło tysiąc jeńca: te były zdobycze pamiętnego owego zwycięztwa.

Groźniejszym nierównie w owe czasy nieprzyjacielem Polski byli Tatarzy. Napady ich raz poraz się powtarzały. Jeden z głównych ich szlaków, tak zwany szlak wołoski, szedł właśnie przez Pokucie, które jak nie mało doznawało klęsk od nich, tak też było niejednokrotnie widownią sławnych ich pogromów.

Jeden z nich, który tu za opisami spółczesnemi powtórzę był następujący.

Pogrom tatarski. W roku 1624 Alexander Koniecpolski podówczas hetman polny koronny, któremu straż granic wschodnich była powierzona, powziął wiadomość od szpiegów, iż Tatarzy z Budziaku (dzisiejszéj Bessarabii) ruszywszy się, zmierzają przez Wołoszczyznę do Polski. Było to w same zielone świątki. Rozesłał on niezwłocznie uniwersały po województwach: Podolskiem, Wołyńskiem, Bełskiem itd., aż do Biecza i Przemyśla ostrzegając o niebespieczeństwie; wezwał obywateli pobliskich ziem aby się z wojskiem łączyli; rotom zaś husarskiem rozkazał, aby bez wielkich ciężarów i bez kopij, we zbrojach z muszkietami tylko, jak najprędzéj pod Kamieniec zdążały. Nadciągały do wojska zaciężnego dość liczne hufce ochotników ze wszech stron, jako to: Sobieski Jakub i Zborowski Alexander z obywatelami powiatu

Trembowelskiego, Bałaban Alexander, starosta Rohatyński z obywatelami Pokuckiemi, Strus Mikołaj starosta halicki i inni. Liczba ich wraz z tymi, co jeszcze nie zdążyli do obozu, wynosiła przeszło pięć tysięcy. Dnia 5 czerwca, gdy zaledwie połowa wojska była zebrana, dano znać, że Tatarzy już są pod Stepanowcami, dziesięć mil tylko od polskiego obozu. Było ich według podania jednych 30 tysięcy, według drugich 60 tysięcy, a dowodził nimi Kantemir basza. Jak zwykle, tak i teraz dawali za powód wtargnięcia swego w kraje Rzeczypospolitéj wycieczki kozakow dnieprowych w kraje tureckie. Niezbywało Koniecpolskiemu na ochocie zastąpienia drogi nadchodzącemu nieprzyjacielowi i stoczenia z nim walnéj bitwy, uwaga jednak, że wojsko jego nie zupełne, a na przypadek przegranéj wystawiłby na największe niebezpieczeństwo kraje koronne, wstrzymała go od tego. Postanowił więc przepuścić Tatarów, a na powracających uderzyć. Ratowano się zwykle przed napadami tatarskiemi sposobem tym, że na pierwszą wieść o nich udawała się ludność wraz z dobytkiem swoim do zamków i miejsc obronnych, jakie umyślnie na ten cel w każdej okolicy były wzniesione. Omijali je zwykle Tatarzy, bo wszelka pomyślność ich wypraw na niespodziance i pośpiechu zależała. Skoro tedy hetman powziął powyższy zamiar, rozesłał jeszcze raz gońców aż do Przemyśla, Jarosławia, Rzeszowa i Biecza, ostrzegając ludność przed niebezpieczeństwem; sam zaś zaraz po przejściu Tatarów kazał zasiekać lasy Bednarowskie, któremi mieli powracać, i obrał z wojskiem swojem stanowisko takie, iż mu się wymknąć nie mogli. Wysłany od niego w 200 koni Jan Odrzywolski szedł w ślad za Tatarami od pierwszego ich w granice Polski wkroczenia, donosząc o wszystkich ich ruchach hetmanowi. Stał właśnie hetman od trzech już dni pod Świstelnikami, gdy doniósł Odrzy-

wolski, że już tymże szlakiem horda powraca. Podemknął się więc z wojskiem swojem pod Martynów nad Dniestrem, dwie mile wyżéj Halicza, i stanął w obozie ściśnionym, wszystkie wozy cięższe do zamków poodsyławszy. Nazajutrz przyszła horda. Stanęła koszem po prawéj stronie Dniestru, dwie mile od Martynowa, a kilkaset Tatarów podemknęło się pod obóz polski dla harcu. Nasi w ściśnionym taborze stojąc, wydali się tak drobną garstką, że Tatarzy pewni swego zwycięztwa z drwinami przez Dniestr do nich wołali: „jutro, jutro się nacieszycie“.

Była obawa, iżby nieprzyjaciel nie zechciał samym tylko harcem wojsko polskie zabawiać, a ze zdobyczą poza góry umykać. Mając to na uwadze hetman i chcąc aby illuzya nieprzyjaciela o małości wojsk jego była tem zupełniejsza, zmyśla ucieczkę. Każe zaraz z wieczora przygasić ognie w obozie, puszcza się na całą noc w pochód, rozrzuca po drodze niby w popłochu odbieżane kolasy z beczkami i szmatami, i o świcie staje na polach Popławnickich między Haliczem a Bołszowcem.

Rankiem podstąpił Kantemir-basza w 15 tysięcy pod Martynów. Nie zastawszy wojska polskiego i ślad niewielkiego obozu ujrzawszy, frasował się bardzo, iż mu się hetman wyśliznął. Puścił się więc w pogoń za nim, i z wielką zapalczywością przypadł nań pod Popławnikami. Było wszystko gotowe do jego przyjęcia. Na prawem skrzydle, w które najprzód uderzył, ztarli się z nim mężnie Potocki Stanisław, Łahodowski, Grusiecki i Mikuliński, a gdy im inni rotmistrze w pomoc przybyli, cofał się nieprzyjaciel, odwrót swój harcownikami zasłaniajac. Wnet uderzył powtórnie, i starał się środek wojska przełamać; ale i tu został odparty, a za cofającym się postępowało krok w krok wojsko porządnie uszykowane z całym taborem, aż na szerokiem po-

lu w milę od pierwszego spotkania stanęło. Tu ściągnął hetman harcownika i trzymał wojsko w kupie na atak oczekując. Jakoż pokusił się raz jeszcze o zwycięztwo Kantemir. Hetman zalecił swoim, aby sieczną bronią walczyli, muszkiety i łuki na ostatnią potrzebę zachowując. Uderzył odważnie na wojsko polskie Basza całą swoją potęgą. Dawali mu dzielny odpór dwaj Sieniawscy. Strus Mikołaj i Herburt, którzy sam środek, gdzie właśnie nieprzyjaciel głównie pęd swój wymierzył, zajmowali; zaś z boku Koniecpolski, wojewodzic Sieradzki, Bogusz i Odrzywolski, wziąwszy nieprzyjaciela szablami, śród zamieszania i kurzawy przez wielką godzinę z nim się rąbali. Tymczasem hetman opasał taborem wojsko, rogi taborowe z czołom wojska z nieprzyjacielem zmieszanego zrównawszy. Z dwóch stron ustawione działa rozwinęły straszny ogień. Strzały ich robiły nie małe drogi w hufcach tatarskich.

Widząc ogromne straty swoje nieprzyjaciel, rozpoczął odwrót zupełny. Hetman ostrzegł hufce, iżby harcami uwodzić się nie dając, nacierali odważnie na Kantemira zdążającego ku przeprawie przez Dniestr, gdzie największą ponieść miał klęskę. Rzuciły się więc obces na niego z prawego i lewego skrzydła chorągwie i przez wielką milę podolską go pędząc wparli w Dniestr z wysokich brzegów. Na przeprawiające się przez rzekę pogaństwo wypuszczono teraz gęsty ogień z rusznic i łuków. Ginęli jedni od strzałów, drudzy od nurtów wezbranych, ciężarem koni swoich przywaleni. Mnóstwo kołpaków i innych rzeczy po wodzie pływało. Postrzelono w Dniestrze samego Kantemira, i konia pod nim ubito.

Ta część nieprzyjaciela, której Dniestr przebyć powiodło się, nie oparła się, aż w pół mili za rzeką. Tuż za nią nadbiegała przednia straż polska, i w szyku porządnym stanąwszy, raziła ich strzelbą, posiłków ocze-

kując. Kazał hetman nie czekając taboru ani armaty, prędko następować konnicy, puściwszy przodem Stefana Chmieleckiego, do którego przyłączył się Tyszkiewicz z własnéj ochoty. Sam też przebył szybko Dniestr z resztą wojska. Ścigano więc nieprzyjaciela nie dając mu wytchnąć, przez Czew i Łukiew, bystre rzeki, które właśnie były wezbrały, i woda w nich była wtedy tak wielka jak w Dniestrze. Szła pogoń krok w krok za uciekającymi przez góry, jary, przykre wertepy i gęste lasy, więcéj niż dwie godziny w późną noc.

O milę na południe Dniestru natrafiono na kosz tatarski. Rzewna tu nastąpiła scena. W okolicach Krosna i Przemyśla udało się było Tatarom nabrać jeńców i zdobyczy nie mało. Gdy więc hufce polskie na kark im wsiadłszy wpadły za nimi do kosza, zastały tu mnóstwo ludzi obojéj płci, oraz bydła, koni, stada owiec, które na gospodarstwo do Krymu pędzili. Jeńce owi nie spodziewali się już więcéj oglądać swojéj ojczyzny. Gdy nagle obaczyli się wolnymi, wydało im się, jakoby się drugi raz na świat porodzili. Rzucali się do nóg swoim wybawcom, i z serca błogosławili im. Tatarzyn klęską swoją i hańbą do wściekłości przyprowadzony, zostawiał tu owdzie ślady niesłychanego okrucieństwa, ścinając bezbronnych, których uprowadzić nie mógł. Pełno było po polach dzieci i niemowląt odbieżanych, po które wysłał hetman kilkadziesiąt wozów, aby je do miast pobliskich zwożono. Klęska wszakże Tatarów największa była w lasach Bednarowskich. Przed niemi na przestrzeni kilkumilowéj rozrzucał on sprzęty domowe, aparaty kościelne, i tym podobne rzeczy w Polsce zrabowane; wpadłszy zaś w tych lasach na zasieki, a okrzyk pogoni za sobą usłyszawszy, rzucał z siebie własną odzież, kazany, opończe, kulbaki, porzucał nawet konie, z któremi przez gęstwę przedrzeć się nie mógł, i uciekał piechotą. Rozsypanych po lesie otaczali

chłopi i zabijali. Kantemir trzykroć postrzelony, (raz w łeb) dwadzieścia tylko konnych przy sobie mając uszedł wązką jakąś ścieżką osobną. Drugi po nim wódz Kulim Bej został jak powiadano ubity. Ciało jego unosili z sobą Tatarzy w kilimach aż do Bednarowskiego lasu; lecz tam na zasieki wpadłszy porzucili. Zaszła ta bitwa z Tatarami dnia 20 czerwca. Ścigano jeszcze uciekających przez ośm mil, a nazajutrz rano pod Chocimirzem padł ostatek tego pogaństwa *).

Częste napady nieprzyjacioł na te ziemie wywoływały potrzebę stawiania tu coraz obronniejszych twierdz. Wznosiły się one nie tylko w miastach główniejszych Pokucia: Kołomyi, Haliczu, ale i w miastach podrzędnych: Gwoźdźcu, Śniatynie, Kosowie, Nadwórnie, Żórawnie; a nawet i we wsiach. W roku 1630 Bronisław Gruszecki wymurował zamek ku obronie okolicy, we wsi Hołoskowie nad potokiem Bobrówką, niedaleko miasteczka Otynii. Około tegoż czasu inna wieś, nie opodal ztąd położona, zasłynęła nierównie obronniejszemi murami, a wkrótce stała się najznakomitszem miastem Pokucia. Stanisław Rewera Potocki, później hetman wielki koronny upatrzył dogodne miejsce na twierdzę we wsi swojéj Zabłocie zwanéj, a leżącéj między dwiema Bystrzycami, które opodal do Worony wpadają. Począł więc wznosić tu mury, sypać wały obronne, i wieś przeistaczać na miasto **). Nazwał je Stanisławowem od swego imienia. Jako miasto nadane ono zostało prawem Magdeburgskiem, jakiem się zwykle miasta

---

*) Spółczesne, tak przez naocznych świadków, jako też przez samego hetmana skreślone opisy tego pogromu Tatarskiego znajdują się w Pamiętnikach o Koniecpolskich wydanych przez Stanisława Przyłęckiego. Lwów 1842 str. 250 i dalsze.

**) Byłoto roku 1624 jak utrzymuje Siarczyński w swoim słowniku; zaś według wydawców Polski starożytnej dopiero około roku 1654.

w Polsce rządziły, i od tego czasu burmistrze tutejsi dwojga narodów: polskiego i ormiańskiego (bo tak w ówczas ludność tutejszą rozróżniano) w przytomności delegatów zamkowych, sądzili wraz z ławnikami bardzo ważne sprawy, od których częstokroć bezpieczeństwo całego Pokucia zależało.

Starszy syn Stanisława, Jędrzéj, Pan na Stanisławowie, kasztelan krakowski a hetman polny koronny, dołożył starań ze swojéj strony, aby tak miasto jak i warownię doprowadzić do stanu jak najbardziéj kwitnącego. Jak dalece to mu się powiodło, świadczy spółczesny *Dallerac* francuz, Jana III dworzanin, który po Polsce przejeżdzając się, i na Pokucie przybywszy, Stanisławów tak opisuje. „Jest to jedno z największych i najporządniejszych miast, w pięknéj równinie o dwie mile od Dniestru leżące. Obwarowane jest porządnym wałem w sposób nowy, i zamkiem murowanym ozdobnie i na wielkie rozmiary. Jego rynek, jego kamienice jego mieszkańcy i zbrojownia odznaczają je nad wszystkie miasta Rusi. Ludność jego składa się z Ormian i Wołochów bardzo zamożnych. Widząc stroje mężczyzn i kobiet tutejszych, jarmarki które się tu odbywają, towary, których tu takie mnóstwo jak we Lwowie lub Warszawie, zdaje ci się, że jesteś w stolicy królestwa, chociaż okolica tutejsza jest wielce zniszczona“.

Kreślił to *Dallerac* pod koniec panowania Jana III, kiedy na Pokuciu świeże były ślady kilkakrotnie ponawianych wojen tureckich.

Właśnie w tych wojnach i bezustannych od r. 1666 zapasach z Turkami i Tatarami oddała ważne Rzeczypospolitéj usługi ta nowo założona twierdza. Na sejmie koronacyjnym roku 1676 przyznano, że Stanisławów i Brzeżany zachowały od ostatniéj zguby kraje Pokuckie zlecono więc hetmanom, aby mieli o tych twierdzach osobliwsze staranie.

Obrona Żurawna. W tymże jeszcze roku nastąpiła sławna obrona Żórawna przez Jana III. Doświadczony wódz turecki Ibrahim pasza, zwany Szejtanem czyli dyabłem, uprzedził zamysły króla, gotującego się z wyprawą nową na Turków; i wtargnął do Polski w 80 tysięcy tureckiego, a 130 tysięcy tatarskiego wojska, podczas kiedy król zaledwie kilka tysięcy miał przy sobie.

Tak licznemu i we wszystkie potrzeby zaopatrzonemu nieprzyjacielowi nie długo stawiać mogły opór polskie zamki. Buczacz wraz z Podzameczkiem już w roku 1672 wjednéj części murów swoich uszkodzony, został teraz zburzony ze szczętem. Oblężony Stanisławów był w niebezpieczeństwie, i król z tem wojskiem jakie przy sobie miał puścił się dnia 19 wrześcia zpode Lwowa ku Dniestrowi dla dania mu odsieczy. Dnia 23 spalili Turcy miasto Halicz i ścisnęli zamek, który nazajutrz poddał się. Jednocześnie zajęli miasto Wojniłów nad rzeką Siwką i zamek oblegli. Stanął był właśnie król pod wsią Dolhe, gdy go wieść o tem doszła; posłany przez niego Lubomirski zadał klęskę Turkom pod zamkiem Wojniłowskim dnia 24 września, i z miasta ich wypędził. Teraz obrócił się Ibrahim z całą potęgą przeciw królowi, który w siedm tysięcy wojska polskiego a trzy tysiące litewskiego zajął stanowisko pod Żórawnem, mając przed sobą na prawo Stanisławów, a na lewo Brzeżany. Ibrahim mimo tak ogromnych sił swoich nie potrafił przeszkodzić królowi ani w porozumiewaniu się z dowódzcami twierdz, ani w ściąganiu posiłków. Szły one na Chodorostaw miasteczko o półtory mili od Żórawna położone, zkąd wolna była komunikacya z obozem polskim przez most na Dniestrze rzucony. Ze Stanisławowa przebierał się tędy Denemark z pięcią chorągwi polskich i dwoma pułkami kozackiemi. Ze Lwowa Gniński Jan, wojewoda Chełmiński nadciągał z ośmią huzarskich chorągwi i tyląż kozackich.

Istotna jednak siła królewska po otrzymaniu posiłków nie przenosiła trzynastu tysięcy, i z temi niweczył on wszystkie usiłowania Turków w szturmowaniu polskiego obozu, do którego przeszło 3000 kul działowych i granatów wrzucili.

Liczył nie mało na to król, że wody górskie wezbiorą jesiennemi słotami, i nieprzyjacielowi komunikacye poprzecinają; ale nadzieja go zawiodła. Mimo dość późnéj pory jesiennéj, rzeki były tak małe, że Swicę i Dniestr w bród Turcy przechodzili, a młyny Żórawińskie dla braku wody stanęły: co się dotkliwie czuć dawało w obozie. Trapiły téż naszych i inne niedostatki. Wszystko to jednak pokryła determinacya wodza i bitność wojska, którego część tylko dnia 10 października przeciw połączonym turecko-tatarskim siłom wystąpiwszy, nie tylko odparła atak na siebie wymierzony, ale przeraziła sam obóz nieprzyjacielski taką trwogą, iż na niektórych miejscach zbierano już namioty, a janczarowie działa z jednéj reduty cofnęli. Wytrwałością tedy swoją doprowadził król do tego, że po trzech tygodniach nadaremnych usiłowań nastawał sam Ibrahim na zawarcie pokoju, który stanął istotnie dnia 17 października, i był, jak na ówczesne stósunki kraju, wcale zaszczytny.

Stanisławów został późniéj jeszcze wzmocniony i upiększony przez Józefa Potockiego, wojewodę kijowskiego, syna Jędrzeja Warownię przerobiono ściśle według systemu Vaubana. W rynku wymurowano ratusz z wieżą kształtną, i całe miasto wybrukowano: wszystko to nakładem wojewody. Był ten pan, (jak już nadmieniłem wyżéj) gorliwym stronnikiem Leszczyńskiego, i sprawę jego wszystkiemi siłami popierał. Z tąd też, gdy po przegranéj pod Pułtawą August II otrzymał w Polsce stałą przewagę, a Potocki trwał przy Leszczyńskim, Sieniawski, hetman koronny, obległ Stanisławów, i sztur-

mami zmusił do poddania się tę twierdzę. Było to roku 1712.

V.

Jak to było przed stem lat?

Rys główniejszych zdarzeń politycznych na Pokuciu, który tu pobieżnie skreśliłem, możnaby ze znanych historycznych źródeł naszych o wiele jeszcze rozszerzyć. Nie tyle atoli zamożni jesteśmy w szczegóły wewnętrznego, domowego życia w tych stronach z czasów dawniejszych. Nie mamy pamiętników, któreby nas z panującemi w każdym wieku wyobrażeniami i przesądami tak wyższych klas jak i ludu samego w tym mianowicie zakątku naszéj ojczyzny obznajomiły. Z analogii, z rozpatrywania się jak się to w innych niektórych stronach podówczas działo, moglibyśmy zaledwie słabe, a w części mylne powziąść w téj mierze wyobrażenie, bo sama miejscowość i skład inny stósunków jest tu najważniejszym może czynnikiem. Aby jednak dać czytelnikom jakie takie wyobrażenie o życiu domowém w tych czasach, na których właśnie stanąłem, podam tu szereg miejscowych przygód z początku wieku ośmnastego. Przygody, te, jakkolwiek się z sobą w jeden obraz nie wiążą, zawierają jednak nierzadko szczegóły, w których się duch czasu i panujące w nim wyobrażenia wybitnie odmalowały. Żródło, które mi ku temu posłużyło, jest bardzo poważne. Są to dwie xięgi aktów dawnego stanisławowskiego sądu karnego, które za pośrednictwem jednego z szanownych ziomków naszych dla biblioteki Zakładu Ossolińskich nabyłem. Pierwsza z nich obejmuje czynności od roku 1703 do roku 1723, druga od roku 1738 do 1751.

Wiek siedmnasty, jak i początek ośmnastego, był po większéj części wiekiem barbarzyństwa i ciemnoty w całéj Europie. Długie i okropnie wyniszczające wojny nie dozwoliły dźwignąć się oświacie, i spowodowały w rządach pewien rodzaj rozprzężenia. Nie byłoto wcale rzadkością, że w samym środku Europy, po gościńcach głównych rozbijano, a kto chciał bezpiecznie w ówczas podróżować, brał od miasta do miasta konwoje. W rzeczach wiary panował dziki fanatyzm: w prawodawstwie zamiast sprawiedliwości częstokroć okrucieństwo i najnaiwniejsze przesądy. Postępowanie ze zbrodniarzem, rozpoczynała zwykle tortura, a kończyło łamanie kołem, snowanie kiszek lub ćwiertowanie. Karano surowo nietylko zbrodnię istotną, ale i zbrodnię urojoną. Do tych ostatnich należały głównie wszelkie porozumiewania się z nieczystemi duchami, czarodziejstwa i czarownice. Był ten przesąd mocno w całéj Europie rozpowszechniony, a wszędzie ztwierdzany urzędową powagą. Sławne też odbywały się tego rodzaju we wszystkich krajach exekucye. W Wircburgu, na przykład od roku 1627 do 1629 w przeciągu lat trzech spalono publicznie 157 czarownic. Najżwawiéj zawinęli się ciż Niemcy około czarownic w kilkadziesiąt lat późniéj, i w jednym tylko 1659 roku w Frankonii, mianowicie zaś w biskupstwach Wircburskiém i Bamberskiém spalono tysiąc czarownic. W Szwecyi, roku 1670 spalono 72 kobiet i dzieci za czarodziejstwo. Widziano jeszcze publicznie płonące na stosach czarownice roku 1750 w Kwedlinburgu, roku 1780 w Glaronie stolicy jednego z kantonów Szwajcaryi, a w Wircburgu roku 1789.

Śród takich panujących wyobrażeń w całéj Europie nie podobna jest żądać iżby ich w którymkolwiek kraju lub narodzie w owym wieku zgoła nie było, a zawsze będzie rzeczą godną człowieka myślącego wiedzieć, jak się te wyobrażenia i wypływające z nich skutki według

różnych miejscowości i dzikszego lub też łagodniejszego charakteru narodu rozmaicie modyfikowały.

Z prawem magdeburskiém weszły u nas w urzędowe używanie rozmaite zwyczaje średniowieczne. Tak więc w Stanisławowie jak i w innych miastach Polski znana była tortura. Miała tu ona trzy stopnie. W pierwszym przymocowanego do deski zbrodniarza ciągniono żelaznemi kruczkami za palce. W drugim przy mocniejszym kruczków pociągnieniu przypiekano świecami; a w trzecim szyną rozpaloną. Innych wymysłów, jakich w niektórych krajach używano, jako to, lania octu lub oleju wrzącego w gardło, smarowania siarką lub smołą gorącą, przykładania na pępek myszy, szerszeni it.p., nie znachodzimy śladu żadnego. Straszono torturą w wielu zbrodniach; ale tylko w rozbojach wielkich, grożących zachwianiem bezpieczeństwa publicznego, widzimy ją istotnie używaną. Złodziejów bez nadziei poprawy, i bluźnierców przeciw religii chrześciańskiéj kautoryzowano, to jest: wypalano im pod pręgierzem piętno na czole, szpecono nadcięciem nosa, lub oderznięciem ucha dla przestrogi publicznéj. Karą zwykłą za mniejsze kradzieże i rozpustę były tak zwane grzywny cielesne: najczęściéj sto bykowców „nie nieopustnych“ wyliczonych pod ratuszem, lub tyleż różek, i z miasta wygnaniem. Wzgląd na małżeństwo bywał niekiedy bardzo ważnym powodem do złagodzenia kary, lub całkowitego jéj darowania. Prowadzonego na śmierć złoczyńcę ułaskawiano, jeśli dziewczyna oznajmiła publicznie, że gotowa jest pójść za niego. Nawzajem też łagodzono zbrodniarce karę, jeśli się trafiał taki, co gotów był pojąć ją w małżeństwo. Innych zresztą osobliwości nie dostrzegam.

W Bełejowie pod Bolechowem służył u pana Borawskiego, skarbnika Bilskiego, Andruś Zachodnik. Chłopak to był dość ladaco. Ukarany od pana raz i drugi, oba

razy uciekał, a przez ojca znowu był do dworu oddawany. Martwiło to starego Stefana, że syn jego nie umiał sobie pańskich względów pozyskać. Na to dała mu radę znajoma jego w Bolechowie, Olena Bojczycha. Wyniosła mu ona z komory proszku czyli glinki, w szmatce z odzienia umarłego udartéj, kazała mu jeszcze wystarać się o kostkę z umarłego, i poleciła, aby wszystko to nosił Andruś przy sobie, upewniając, że jak umarły, z którego jest ta szmatka i kostka nie wstanie już więcéj, tak też zamrze odtąd wszelka niełaska pańska przeciw jego synowi. Miałam ja sama (mówiła) brata na służbie, na którego był złéj woli pan jego; a jak tylko środka tego użyłam, pozyskał sobie pańską przychylność. Usłuchał rady Stefan, dał synowi te amulety, i nosił on je przy sobie dość długo. Razu jednego zwijał z drugim chłopcem motki, i zepsuła im się samotoczka; a że przez to robota dalsza ustawała, powiedziała Andrusiowi pani Borawska, aby poszukał koło siebie nożyka i samotoczkę naprawił. Upewniał Andruś że nożyka nie ma przy sobie. Dla przekonania się, czy to jest prawda, lub też tylko wybieg lenistwa, sięgnęła sama pani do jego kieszeni, i zamiast nożyka wyciągnęła proszek w szmatce i kostkę, owe *corpus delicti* czarodziejstwa.

Pani skarbnikowa równie jak i sam pan skarbnik wierzyli w czary, bo któż w nie wtenczas nie wierzył? Zapytany chłopiec zkąd to ma, i na jaki cel chowa? odpowiedział, że mu to dał ojciec, aby łaskę pańską pozyskać. Rzecz byłaby już może skończona, bo nie było w tém wszystkiém złego zamiaru. Ale zapytany Stefan zaparł wszystko, przez co sprawa ta stała się tém podejrzańszą, i ściągnęła karę na syna. Postraszony rózgami powiada, że ojciec kazał mu położyć kostkę w łóżko pana, a od tego miał umrzeć; proszek zaś ze szmatką zakopać pod węgłem domu, aby czart ten dom owładnął.

Strach przejął wszystkich mieszkańców domu na to

wyznanie. Napróżno przyznawał teraz Stefan, że on sam dał to wszystko chłopcu, ale bez złego zamiaru. Że to, co chłopiec powiada jest bajką. Nie dawano mu już wiary; obwiniono o czary obydwóch, i do sądu, czyli jak wtenczas mówiono do sekwestru Stanisławowskiego odesłano. Nalegania były wielkie ze strony skarbniko stwa, aby występek ten surowo ukarano. Dwa razy odnawiano tę sprawę; ale sąd oba razy winy nie znalazł, i obwinionych wypuścił.

Anna popadia ze wsi Olszanicy niedaleko Halicza pokłóciła się z swoim mężem. Było to jakoś po nieszporach. Rozgniewany małżonek zamachnął się na nią z polanem. Zręczniejsza Anna wyrwała mu je z rąk, palnęła nim męża raz i drugi, i umknęła. Xiądz podjadł sobie, przespał się; po chwili wstał z łóżka, układł się na ziemię i umarł. Zaskarżona więc przed sąd o zabójstwo. Instygatorem był Wasyl Popowicz, zmarłego brat, a popierał go Józef Karśnicki, cześnik Owrucki. Było wiele okoliczności łagodzących w téj sprawie. Rozważył je sąd należycie, i istotę czynu trafnie ocenił. Atoli między powodami, dla których karę śmierci na łagodniejszą zamienił, znajdował się jeden, którego moc tylko w owym wieku dokładnie pojmowano. Oto małżonkowie ci mieli dziesięcioro dzieci, z których czworo różnemi czasy pomarło: oczywista więc, iż miejsce, na którém znajdował się ich dom, było *nieczyste*, czyli, wyraźniéj mówiąc, przez czarta zamieszkane. Wyrok tedy zamykał się w tych słowoch: Prawda że Anna zasłużyła, i godna jest śmiertelnéj kary, i to jeszcze dwojakiéj, bowiem i męża i duchownego zabiła. Ale że niema słusznego dowodu, czy go *tirannice* czy też *primo motu* zabiła; że to bicie było obojgu pijanych; że dom nieczysty..... it.d., zaczém prawą rękę ma jéj odjąć exekutor w piątek przyszły.

Niejaka Zwioszczeńka bawiła się od wielu lat czarami i rozpustą. Oddana pod sąd, skazana była na grzywny cielesne (to jest, rózgi) i z miasta wypędzona. Po niejakim czasie pokazała się ona znowu w Stanisławowie, i znowu ją pod sąd oddano. Postąpił on z nią teraz surowiéj, i skazał ją na śmierć. Na wstawienie się jednak ludzi godnych, i na uroczyste przyrzeczenie jéj, iż się poprawi, ułaskawiono ją, z tém jednak wyraźnem zastrzeżeniem, że jeśli się i teraz nie poprawi, i wróci do miasta, natenczas będzie spalona. Gdy więc sposobu życia nie odmieniła, i znowu się w mieście pokazała, wydał sąd na nią dnia 18 sierpnia 1719 roku wyrok, w stylizacyi wprawdzie nie tęgi, i trochę poplątany, ale co do treści swojéj taki, że robi zaszczyt umiarkowaniu sędziów w owym wieku, w którym zwykle czarodziejstwa z największą zaciętością ścigano: „Wyrozumiawszy różne allegacye i kontrowersye obwinionéj Zwioszczeńki czarownicy i nierządnicy, a do saméj świątéj sprawiedliwości adresując się, decydujemy. Ponieważ się okazało przez słuszne i dokumentalne, oczywiste i rzetelne dokumenta, że ta obwiniona, nie mając przed oczyma bojaźni bożéj, i nie lękając się surowości praw, przez tak wiele lat bawiła się czarami, a przy nich i wszeteczeństwem, a lubo za to już była osądzona *criminaliter* i karana, jednak się nie poprawiła, i owszem złość do złości, niecnotę do niecnoty przyczyniając, jako się teraz w świeżych pokazało inkwizycyach i dokumentach poprzysiężonych, że wiele ludzi poczarowała, i o utratę zdrowia przyprawiła; więc według prawa Majdeburskiego, które expresse uczy, aby każdy winowajca za swoje złe uczynki popełnione słuszne odebrał karanie; więc na pokajanie inszych takich występców i powściągnienie onych, ex voto zwierzchności zamkowéj una cum toto magistratu obojga nacyej decydujemy: Pereat mundus fiat justitia, iż luboby majori powinna być penowana

karą, to jest: żywo spalona; ale gratia juris, gdzie każdy sędzia ma mieć simpatyą z łaskawością, zaczem ma być żelazem po szyi karana, a potem spalona."

Prócz téj jedynéj sprawy, która co do czarów była zapewne urojeniem, ale obejmowała w sobie inne istotnie karygodne i udowodnione występki nie znachodzę żadnego wyroku więcéj na czarownice w aktach Stanisławowskich z kilkudziesięciu lat.

Alexander Tyrański z Halicza doskwierał ludziom biednym najzuchwalszą kradzieżą. Główném rzemiosłem jego było wydzieranie pasiek. Sąd gajny obopólnych urzędów miejskich stanisławowskich, i zacnie sławetny urząd delegowany miasta Halicza zapatrzywszy się na paragrafy odpowiednie prawa Magdeburgskiego, wydali wyrok, zalecający się niepospolitą obrazowością. „Ponieważ Alexander Tyrański przykazanie boskie przestąpił, i ubogim ludziom krzywdę czynił kradzieżą swoją, a najbardziéj, że się rzucił do kradzenia pszczół, ma być tyrannie karany. Nakazujemy więc, aby miał pępek wyrznięty, i jako pszczółka mizerna sobą snuje to w zad to w przód, powinien koło ula lub drzewa wnętrznościami swemi osnować, po osnowaniu powinien być przez mistrza Michała Kozłowskiego publicznie ścięty i pod szubienicą pochowany."

Ledwie atoli wyrok ten zapadł, już byli wielebni ojcowie Trynitarze w pogotowiu z prożbami. Zamieniono go więc na prostą karę śmierci przez zadzierzgnienie postronkiem.

Lejba Gamryłowicz, żyd z Otynii, dopuszczał się bluźnierstw przeciwko religii chrześciańskiéj. Czynił to wielokrotnie i z rozmysłem przed ludem prostym, który tym sposobem do zgorszenia prowadził. Skazany został na rózgi pod pręgierzem; poczem nadérznięciem nosa i urznięciem ucha prawego kautoryzowany, i wypędzony z miasta; a kahał żydowski za nie trzymanie w karno-

ści ludzi swoich, musiał dać do kościoła Otynijskiego kamień wosku, dwa kamienie łoju, i mistrzowi na drogę złotych ośm.

Michał Sagan popełnił wiele kradzieży. Z młodych lat umiał on klucz robić z wieprzowéj sierści do otwierania zamków. Przebierał się za dziada, aby pod pozorem chodzenia za jałmużną przypatrywać się, gdzie co wziąść można. Namawiał do takichże uczynków młodych parobków i sam im dopomagał. Sąd Stanisławowski skazał go na utratę życia przez zadzierzgnienie postronkiem. Na prożby jednak Ojców Trynitarzy darowano go życiem pod warunkiem poprawy, którą rozpoczął usługą Panu Bogu leżąc krzyżem przez dwa dni przy passyi.

W maju, roku 1721 jechał sobie wózkiem do Maniawy Jankiel dzierżawca. Powoził go Tymko Zala pobereżnik z Markowéj. Ujrzeli niedaleko przed sobą palący się ogień, i zwolna się ku niemu zbliżali. Ledwie jednakże na to miejsce nadjechali, ogień zgasł nagle, i śladu po nim nie było. W dzisiejszych czasach, gdzie niestety wszystko pod analizę rozumu podciągamy, zjawisko to nasunęłoby widzowi niemało wątpliwości; nie mieli jéj Tymko i Jankel; spojrzeli tylko po sobie, i od razu wszystko odgadli. Było to w nocy, o pierwszych kurach, a wtedy zwykle pieniądze palą się. Wrócili wkrótce do domu na spoczynek, ale sen się ich głowy nie czepiał; jeden i drugi przemyśliwał nad tém, jakby wydobyć skarb, a nie być od nikogo postrzeżonym. W planach które sobie tajemnie układali, Tymkowi stał ciągle, jak zły duch, na przeszkodzie pejsaty Jankiel; Janklowi ciągle wstręt robił goj Tymko. Mimo to nie ustawali w swojéj czynności.

Ledwie się na dzień zabierało, widziano Tymka, jak szedł z intencyą pobożną do Skitu. Pomodliwszy się w Skickim monastyrze, przebierał się manowcami co tchu ku onemu miejscu, gdzie pieniądze gorzały. Nie-

wiadomo jakim inspiracyom oddawał się Jankel, dość że gdy Tymko po za krzaki już już na owo miejsce dochodził, spotkał się nagle twarz w twarz z swoim dzierżawcą, który tam zdążył drogą prościejszą.

Jak niespodziane było spotkanie, tak téż i rozmowa niedługa. „*Cy tu horiły hroszi?* zapytał niby od niechcenia Jankiel. „Tu!“ odpowiedział Tymko; i nie tracąc czasu przeżegnał miejsce i chciał robić znak. Janklowi, który na to miał zapewne inne przy sobie amulety, zabrakło już cierpliwości. Cofnąwszy się więc o pół kroku, przybrał minę urzędową i rzekł: „Pójdź precz s. . . synu! nie rób żadnego znaku, niechaj to tak przepada.“ Na tem skończyły się dnia tego poszukiwania.

Tymczasem gruchnęła po Markowéj wieść, że Jankiel z Tymkiem wiedzą o zakopanych pieniądzach. Zrobiło to nie małe wrażenie między Markowianami. Jeden nad drugiego sadził się, aby zasięgnąć coś pewnego o miejscu. Do dzierżawy Jankla nie tak łatwy był przystęp; szturmowano więc dzień i noc o to do pobereżnika.

Był w Markowéj podówczas na karczmie ze Sołotwiny arędarz Jankiel, imiennik tylko dzierżawcy; ten najgruntowniéj zabrał się do téj kwerendy. Nie miał on żadnych antinarodowych uprzedzeń, i goja, który mógł mieć pieniądze, pokochał tak jak brata. Dla usunięcia wszelkich podejrzeń i pozyskania wzajemności, dobył z szafki dziesięcioro przykazań, i nie wahał się na nie przysięgać, a wódka, którą szynkował, dokonała reszty, otwierając mu drogę do najskrytszych tajemnic.

Nie powiadał Tymko o odkryciu swojem nikomu, nawet matce rodzonéj, ale Jankla argumentom oprzeć się nie mógł. Przyszedł on jednéj nocy do niego, niosąc całą kwartę wódki pod pachą. Zdaje się, że te odwiedziny nie były niespodziewane, Tymko bowiem spał sam, na dworze, aby go domownicy nie podsłuchali. Przywitanie było tak serdeczne, że sam Jankiel widział

potrzebę hamować entuzyazm swego przyjaciela, przypominając mu, że matka jego, która śpi w chacie, zbudzić się może i ich podsłuchać. Wkrótce zabrali się i poszli. Robotę około wykopywania skarbu wziął sam Tymko na siebie. Odległość była dość znaczna i droga monotonna. Urozmaicał ją sobie jak mógł Tymko, zaglądając do flaszki. Gdy stanęli na miejscu był już tak zcięty, że nie mógł się na nogach utrzymać: padł więc na ziemię jak długi, i chrapał do dnia białego.

Postrzegł Jankiel że trochę przebrał miarę w swojéj hojności; nie tracił wszakże nadziei, że się to da powetować. Wziął więc żwawo do ręki ryskal, i nie psując wczasu przyjacielowi, chciał go we wszystkiem wyręczyć. Ale wkrótce pokazało się, że jego wiadomości nie są dostateczne ku tak ważnemu przedsięwzięciu. Nakopawszy się więc i tu i owdzie, i o samem wskazaném miejscu powziąwszy niejakie wątpliwości, wrócił w nienajlepszym sosie do domu.

Tak więc i ta wyprawa, acz pod najlepszemi aspektami rozpoczęta, skończyła się na niczém.

Pierwszem teraz staraniem Jankla było uzupełnić swe wiadomości co do sposobu, jakim się skarby wykopują. Nauka ta była na dość kwitnącym stopniu w Markowéj. Odznaczał się w niéj przed innymi Seńko Popowicz. Byłto człowiek wiekowy, i dość liczną rodzinę mający, którą robieniem siana i uprawianiem nie wielkiéj roli swojéj utrzymywał, zaciągając częstokroć w zimie pożyczkę na to, co lato miało urodzić. Chociaż atoli skarbów żadnych nie posiadał, znał się jednak doskonale na ich wykopywaniu, jak o tém cała okolica mogła poświadczyć. Do niego zwrócił teraz Jankiel swój afekt, i zdybawszy go na drodze do Sołotwiny, gdzie właśnie szedł zaciągnąć dłużek na mające się robić kopice siana, pytał o radę. Gdy mu rzecz całą opowiadał, słuchał Seńko uważnie wstrząsając niekiedy głową, i da-

jąc do poznania, że w samym już początku popełniono błędów nie mało. Trzeba bowiem wiedzieć, że zachowanie się względem zakopanego skarbu, aby go skutecznie osiągnąć; ma swój odrębny kodex, którego przepisów nie wolno jest przekraczać nikomu bezkarnie. A najprzód, jest to rzecz doświadczeniem wszystkich poszukiwaczy skarbów stwierdzona, że czart ludziom nie tylko zbawienia, ale i pieniędzy zazdrości. Czuwa on nad wszelkiemi zakopanemi w ziemi skarbami, aby nie tak łatwo było sięgnąć po nie lada komu łopatą. Jeśli tedy człek mądry ujrzy palące się pieniądze, rzuca jak najspieszniéj znak na to miejsce, w którém się palą. Wtedy pieniądze zatrzymują się już na tém miejscu; w przeciwnym razie mógłby ich dyabeł Bóg wie gdzie zanieść. Ale i w tém rzuceniu znaku, acz drobnéj na pozór czynności, potrzeba nie lada dowcipu, aby fortelów czarta uniknąć, bo gdy już człowiekowi skarbu wydrzeć nie może, toć przynajmniéj dobywanie jego srodze utrudzi. I tak, jeśliby np. partacz jaki, palące się pieniądze ujrzawszy, rzucił na znak swą czapkę, wtedy czart posuwa w ziemię pieniądze tak głęboko, jak wysoko była czapka nad ziemią. Jeśli rzuci pas lub rękawicę na znak, wtedy posuwa je w głąb na pół chłopa. Prawdziwy więc mędrzec i mistrz w téj sztuce zzuwa jak najprędzéj w takim razie but z nogi i wiecheć z niego wyjąwszy, rzuca na znak, a pieniądze podsuwają się wtenczas tak wysoko, że je tylko warstwa ziemi, jak podeszwa cienka od powierzchni oddziela. Z tego, oczywista, jest czart bardzo niekontent, i z furyą wyrzuca na wierzch kilka pieniążków. Wszakże złość jego jest już wtedy bezsilna; a mędrzec korzysta nawet i z tego, bo zaraz rozpoznać może, czy skarb składa się z pieniędzy złotych, srebrnych, lub też miedzianych. Téj to, jak upewniają, mądrości oddał cześć należną sam nawet prawodawca Saxonu, gdy bowiem

artykułem 35 xięgi pierwszéj rozporządził, że „skarby wszystkie podziemne, *głębiéj niż pług zakroić może leżące*, majestatowi królewskiemu należą“ obciążył tém widocznie tylko partaczów, a mistrzowi zostawił wolność zupełną zabierania skarbu dobytego z szponów dyabelskich swoim geniuszem.

Tego wszystkiego nie powiadał Seńko niewiernemu Janklowi. Wysłuchawszy go tylko do końca, rzekł, iż trzeba przedewszystkiém jak najdokładniéj miejsce rozpoznać. Kazał więc żydowi postarać się o rożen, (narzędzie do takich poszukiwań uprzywilejowane) „a i dwa drążki, (dodał z powagą) niech będą w pogotowiu“. Niebawem wszystko było gotowe.

Rozpoznanie miejsca, jako czynność największéj wagi, która miała oraz i błędy popełnione naprawić, odbywało się dość długo. Zwykle rozpoczynało się od kieliszka, a kończyło najlepszemi aspektami na dzień jutrzejszy. Seńko, Jankiel i Tymko byli z sobą w najlepszéj harmonii. Jako ludzie uczciwi postanowili zaraz na początku między sobą, iżby żaden z nich, bez dwóch drugich, do owego się miejsca nie zbliżał. Cichaczem więc, o godzinach umówionych zchodziła się co dzień ta trójka. Miejscem zebrania ich były zwykle chaszcze *na Równem*, dokąd wychodzili pojedyńczo z swych domów; a ztamtąd dopiero udawali się razem do skarbu, i znowu po tém pojedyńczo do dom wracali. Właśnie gdy owe rozpoznanie już się do kresu zbliżało, a i rożen i drążki miejsce ukrytego skarbu niewątpliwie wskazywały, zaczęła na raz psuć się owa harmonia, Jankiel jakoś mykicił; na terminach nie stawał, a gdy go o przyczynę pytano, podawał takie okoliczności, które, jak się później okazało, były zupełnie zmyślone. „Ho! ho! wiem ja co to się święci, mówił raz Seńko do swego zturbowanego kolegi: figle to są dyabła; bo przeczuwa on że skarb za lada chwilę z rąk mu się wypsnie“. Tak się

czas jakiś pocieszali. Gdy nakoniec niesłownością i matactwem Jankla znużeni poszli sami skarb wykopywać, postrzegli, o zgrozo! w tem samem miejscu jamę ogromną, a pieniądze co do grosza zabrane. Była ich tam wielka kupa, jak widoczne ślady ukazywały. Jama bowiem, choć zasypana już w części, była jeszcze wyżéj kolan głęboka, i dość obszerna. Nie długo potrzebowali zastanawiać się nad tém, aby wykryć sprawcę tego uczynku. „To żyd wykopał!“ rzekł Seńko — „a jużci żyd“ odpowiedział Tymko, i zaczęli sobie oba przypominać, jak ich raz i drugi okłamywał. Jakkolwiek był ten uczynek wielce oburzający, Seńko jednak okazał tu godne filozofa umiarkowanie. Przyszedł on do Jankla i żądał w dobry sposób, aby mu ze skarbu wykopanego tylko dziesięć złotych wyliczył. Gdy zaś i tego Jankiel uczynić nie chciał, poszli obaj z Tymkiem wprost do Sądu Stanisławowskiego, opowiedzieli rzecz jak się stała i zaprzysięgli: Tymko że widział na własne oczy jak się pieniądze paliły; Seńko, że według niezawodnych skazówek, których mu umiejętność jego dostarczyła, znajdowały się właśnie w tém miejscu, gdzie jama; a obaj upewnili, że wykopał je nie kto inny jak tylko żyd Jankiel.

Dnia 19 maja 1721 zasiadł Sąd do rozstrzygania téj sprawy. Zebranie było bardzo liczne, i natężona wszystkich ciekawość. Protokół ówczesny, który mamy przed sobą, zaczyna się od tych słów.

„Przed Jmcią panem Alexandrem Wolańskim, gubernatorem klucza Łysieckiego, ze zwierzchności zamkowéj urzędom przydanego, tudzież przed sławetnymi pany obopólnych urzędów, panem Kazimierzem Krzyżanowskim, wójtem nacyej polskiéj, panem Torosem Bogdanowiczem, subdelegatem wójtowskim nacyej ormieńskiéj, panem Stanisławem Pupczyńskim, Sołtanem Apkarowiczem, Hryhorem Fiałkowskim Łantwójtem, cum ceteris

Rajcami; panem Jędrzejem Kijanicą, panem Donikiem Mikołajewiczem cum aliis przysiężnymi tego prawa". Tu następują świadków zeznania, których szczegóły już są wiadome czytelnikom.

Obżałowany Jankiel Abramowicz, arędarz, stanął przed sądem dnia 21 maja. Obrona jego którą wniósł do protokółu, ma coś z mądrości owego żydka, który przestrzeżony od rodziców, iżby się do niczego nie przyznawał, na zapytanie sędzie o gdzie się rodził? odpowiedział, że się nie rodził. Jankla obrona opiewa dosłownie tak:

„Moi łaskawi panowie Sądowi! Ja nie wiem ni o czém cokolwiek ci ludzie na mnie powiadają, gdyżem ani skarb jaki wykopał, anim znalazł, anim kogo sprowadzał, ani podmawiał kogo, anim dawał rożna dla próbowania miejsca jakiego, anim wódką poił."

Tak nie zręczną obroną podał się Jankiel w niemałe niebezpieczeństwo. Prawdziwość bowiem wielu z okoliczności tych, które zapierał nie ulegała żadnéj wątpliwości, a w takim razie prawo nakazywało użyć tortury. Jakoż zakonkludował sąd, że Jankiel ma być na torturę wzięty. Byłato jednak tylko pogróżka. Chociaż bowiem ów wniosek do protokółu wciągnięto, a Stanisław Pokutyński, ekonom wojewody kijowskiego w dobrach Pokuckich, widział nawet potrzebę dodać, w własnoręcznym przypisku, iżby torturę zaostrzono, Sąd jednakże jak widać za mało przywiązywał do tego wagi i wiary, i nie znachodzimy więcéj żadnego śladu o téj sprawie w dalszych protokółach.

Martyn ze wsi Radczy, Hrehora Jewkowego syn, wdawał się z ludźmi swywolnymi. Należał do rabunku żydów Buczackich pod Zawałowem, i schwytany razem z sześcią żydami, którzy do téjże zbrodni należeli, skazany został na gardło. Prowadzono go na śmierć. Z pomiędzy tłumów przeciska się ku skazanemu dziewczyna,

rzuca nań chustkę, oznajmując, że gotowa jest pójść za niego. I darowano mu życie. Ożenił się z nią, osiadł w Radczy, i gospodarował. Po niejakim czasie znalazły się u niego byki kradzione; wzięty więc znowu do stanisławowskiego sekwestru, gdzie z nim surowe śledztwo przedsiębrano. Wina jego okazała się nie wielka, a gdy gromada wsi Radczy dała porękę za jego dalsze sprawowanie się, skazano go, aby przez rok jeden czyścił rynek Stanisławowski w kajdanach, i pogrożono ucięciem ucha prawego, skoroby dalszem postępowaniem swojem ściągnął na siebie najmniejsze podejrzenie. W śledztwie, które z nim przeprowadzono, znachodzą się ciekawe niektóre ustępy. Ojciec jego Hryhor Jewków jest zawołany w całej okolicy wróżbit i czarownik. Zeznaje Pańko Iwaniszyn, że gdy mu ukradziono woły, poszedł do Hryhora po radę. „Przyjął on mię (powiada) w swoim domu po ludzku, i chlebem pokarmiwszy, wziął obrazek ze ściany, a szelągi do niego poprzylepiawszy, rzekł: poczekaj, wywołam ja ci twoje woły. Z którym obrazkiem poszedł na dwór, i obszedłszy chałupę wszedł nazad i powiedział: Idź po twoje woły na Wołoszczyznę.“ Zapytany Martyn, ażali wie o czarach ojca swojego, Hryhora, odpowiedział, że ojciec mój niektórym ludziom pomaga. Sam też Hryhor nie robił z tego najmniejszej tajemnicy. Przyszedł on nazajutrz do Sądu i między innemi rzekł: „Ponieważ na mnie Pańko Iwaniszyn wynurzył jakobym ja znał wróżyć na obrazku, prawda żem mu kazał: połóż groszy cztery. Z pomiędzy czterech jeden grosz według umysłu mego postawiłem na obrazku, tedy obaczyłem, że ten grosz na ziemię upadł. Bo komu nie upadnie przed moją wróżbą na ziemię ten już chudoby swojej nie odszuka; a jeśli będzie jeszcze chodził za nią, to w biedę wpadnie.“ Rozpowiadał dalej Hryhor, że u niego czasem po sto ludzi z różnych wsi i miast bywa, a on im udziela rad;

dodał jednak, że to robi „przez boskie siły; bo na to od Boga jest nauczony.“ Tu nasunęła się sędziom niejaka wątpliwość, i „na dokument tego, że on ma tę naukę od Bóstwa świętego“ kazali, aby ich zainformował, „czy nauczony jest od *kapłana*, czy też od jakiego *inspektora*?“ Na to subtelne zapytanie odrzekł, że mu to „Duch święty dał“. To wszakże zapewnienie nie bardzo jakoś rymowało z dalszém jego opowiadaniem. Chciano się bowiem dowiedzieć, od jak dawnego czasu bawi się on wróżbami; więc opowiadał, z całą naiwnością: że bawi się tém już piętnaście lat, że przed piętnastą laty był wprawdzie w błędzie, ale tylko przez jeden rok. Wtenczas był on z dyabłem na bardzo dobréj stopie: przychodził dyabeł często do niego, i bywało, się z sobą borykają. A że już dawno, bo przed piętnastą laty była ta poufałość z dyabłem, a teraz już z Duchem świętym ma do czynienia, spominając więc o nim teraz Hryhor, zowie go nieboszczykiem. „Nie dajeć on mi wprawdzie czasem i teraz jeszcze pokoju; ale jak przyjdzie, to ja się z nim poborę, i on sobie znów pójdzie.“ Wówczas, kiedy to z nieboszczykiem swoim był dobrze, wpadł był na jego pieniądze; a i teraz bierze sobie pieniędzy u niego, jako dawnego znajomego, ale tylko sposobem pożyczki.

Wszystko to opowiadał Hryhor dnia 19 lutego 1723 roku przed Sądem Stanisławowskim. Słuchali go z podziwieniem Sędziowie, ale użytku z tego nie zrobili.

VI.

Opryszki.

Najdotkliwszą na Pokuciu klęską byli opryszki. Rzadki mieszkaniec, któryby o nich nie słyszał. Rozpowiadają o

tak zwanych watahach, czyli wodzach opryszków, o rozbojach dokonanych za czasów dawnych, i pieśni o nich spiewają; i w czasach nowych, w czasach oświaty i kwitnącego do koła pokoju, przy zupełnie innym składzie społeczeństwa, ledwieśmy nie własnymi oczyma na nie patrzali. Pamiętam z jakiem przerażeniem słyszałem, jak starsza siostra rozpowiadała, że ojca naszego, jadącego do Krzyworówni, napadli byli opryszki. Straż tylko, w którą przez góry jadąc zaopatrzył się, i rączy konik huculski, uratowały go od nieszczęścia. Późniéj w Mołodyłowie, po lasach Chorośniańskich biegając, przysłuchiwałem się, z ciekawością, jak pobereżnicy, których tam smolakami nazywają, opowiadali, że w głębi boru natrafili na jamę, która mała i niepozorna zewnątrz, mieściła w sobie obszerne i wygodne na kilkunastu ludzi mieszkanie, w którem kawałki zwierciadeł i inne rzeczy do użytku codziennego służące znajdowali. Wykopali ją za dawnych czasów opryszki, którym za schronienie służyła; a i wtedy jeszcze jeden lub drugi rekrut kryjący się przed branką nie rzadko do niéj zagościł.

Dwie głównie okoliczności sprawiały, że zbrodnia ta, w czasach dawnych, na Pokuciu więcéj niż gdzie indziéj była zagęszczona: ustronne, od stolicy i miast wielkich dalekie położenie, i barbarzyńskie do koła sąsiedztwo. Pokucie pełne lasów i gór, i już samo z siebie, jak wszelkie pogranicze, ku bezprawiom podatniejsze, ma z jednéj strony Wołoszczyznę, gdzie bezustanne były rozboje, z drugiéj głuchy kąt Węgier, i skały Siedmiogrodzia w pobliżu, najbespieczniejsze zbójów kryjówki. Za owych czasów każdy z tych krajów zostawał pod innym rządem, między któremi zajścia wzajemne były dość częste, a zawsze trudne, do spólnego, skoncentrowanego działania porozumienie. Wszystko to sprzyjało niesłychanie rzemiosłu opryszków, i robiło niepodobném

prawie zupełne jego wykorzenienie. Watah, który zamach zbójecki na Pokuciu wykonał, przez władzę miejscową ścigany i rozbity, cofał się ku Wołoszczyznie, skąd mu drugi takiż watah a jego pobratym, z nową bandą opryszków w pomoc nadchodził. Jeśli i tę rozbić się jéj powiodło, cofali się temże pograniczem ku swoim pobratymom na Węgrzech, gdzie takoż nie rzadko pomoc, a w każdym razie bezpieczny przytułek dla się znachodzili.

W tym samym czasie, kiedy między opryszkami na Pokuciu nabierał coraz większego rozgłosu Jwan Pискliwy, głośny był z rozbojów swoich na Węgrzech, watah Pinta, obaj dobrze sobie znajomi i pobratymy. Rozbijał Piskliwy i na Wołoszczyznie i w Węgrzech; rozbijał Pinta i w Węgrzech i na Pokuciu, a w czeredzie jego, którą roku 1704 na Kosów prowadził, znajdowali się i Wołosi i sam Piskliwy z Bojkami i Hucułami.

Pod takiemi zewnątrz wpływami wyrabiał się dziko i sam miejscowy charakter mieszkańców, zwłaszcza wschodnich pokuckich górali, w których, jak to wyżéj już nadmieniłem, są ślady widoczne wołoskiego pierwotnie pochodzenia. Okazywali oni zawsze szczególny jakiś pociąg do rozbojów, w których poniekąd nie zbrodnię boskiemi i ludzkiemi prawami potępioną, ale raczéj jakoby rodzaj jakiś chluby i odznaczenia się upatrywali. Ledwie znalazłeś Huculа któryby za młodu nie kosztował chleba hajdamackiego, a poważni ojcowie, tacy nawet, co do dobrych i zamożnych gospodarzy się liczyli, nie tylko chętki do rozbojów w synach swoich surowo nie potępiali, ale nie wahali się częstokroć i sami należeć do napadu, skoro się podała ku temu dobra sposobność. Ów słynny watah opryszków, Dobosz Olexa, widziany był przez majętnych Hucułów dość niechętnie. Poglądali oni nań z góry nie dla tego, iżby się postępkami jego brzydzili; lecz że charłak jakiś, Wasyla ubo-

giego syn, mieszał się im w ich rzemiosło, i imię rozgłośniejsze sobie zdobywał. Właśnie odznaczył się już był kilkoma śmiałemi napadami, a hultajstwo zaczynało się garnąć ku niemu. Stefan Droniów, z Maniawy, chcąc się do opryszków dostać, zapytał Olexę Tymofeja o młodego Dobosza. „A na co ci Doboszczuka? (odrzekł mu tenże z pewnym rodzajem wzgardy). Ta kiedy ty czujesz o jakiéj zdobyczy, to ja tobie zciągnę nie takich łeginiów, ale słusznych gospodarskich synów; to już ty sam możesz sobie i doma siedzieć, twoja cząstka dojdzie cię niezawodnie“.

Można sobie wystawić, że przy takiém usposobieniu ludu, położenie dobrze myślących i oświeceńszych mieszkańców było bardzo krytyczne. Musieli oni albo usuwać się ile możności z tamtych stron, przezco korzystne niektóre dzierżawy w ręce żydowskie przechodziły; albo też postępować sobie z największem pobłażaniem, stosując się niejako do powszechnych nałogów. W tym ostatnim względzie znachodzimy niektóre uderzające przykłady. Między różnemi klasami panuje tu dziwna harmonia. Podstarościowie, jak ich podówczas nazywano, czyli ekonomowie z Osławów, Muszyński i Łątecki piją w polu z opryskami; podstarości z Peczeniżyna otrzymuje od nich w darze rządzik na konia, a podstarości Osławski tabakierę. Popadia z Sapohowa jest ich podskarbinią, przechowuje im różne kosztowności, i zastawia im stoły z przekąskami. Panna Michałowska otrzymuje w darze od wataha opryszków pereł garść i sznurków dziesięć; pani Michałowska dziesięć sznurków korali, a pan Michałowski, nakrapiany, gronastajami podszyty kontusz, i rulonik dukatów. Pan Cieszanowski nakoniec występuje jako rozjemca między opryszkami a Szają, żydem z Kołomyi, którego chcą porąbać; i uwolniony zostaje żyd za złożeniem 20 talarów.

Po zrabowaniu dworu Michała Piotrowskiego w Żywaczowie, poszli opryszki za Sołotwinę, i w Zwiniackim zapuście śród lasów gęstych pajowali się, to jest, zdobycz między siebie dzielili. Łupy były wcale nie szpetne. Piotrowski człek silny i odważny, (a jak opryszki powiadali „twardy“ i dla tego doradzali niektórzy, aby go związanego przypiec) miał broni nie mało. Zabrali mu więc: obuszki, dwie parze pistoletów, szable, ładownicę, zgoła mnóstwo rozmaitych rzeczy, a nawet kwefy i wstążki. Przy owym tedy paju zachodziły niejakie między opryszkami nieporozumienia. Gdy się sprzeczają, naraz odzywa się trąbka pod bokiem. Przelękli się myśląc, że już będą schwytani. Polował tam Makarowicz z Krzywcza, a miał i ludzi przy sobie. Człek niepewny i w najlepszym razie, mogący ich wydać. Wszakże mimo to bardzo rychło nastąpiła między niemi harmonia, która nawet na korzyść im wyszła. Makarowicz bowiem aczkolwiek mało im znany, pogodził ich, podzielił, a nawet kupca na rzeczy im przyprowadził; i dostał za to w darze buty czerwone i kwef.

Uzbrojenie wataha opryszków było następujące: rusznica przez plecy, przy boku pałasz, za pasem toporzec i dwie pary pistoletów, w ręku rohatyna; u pasa wisiał zwykle nóż, czyli tak zwany czepełyk. Uzbrojenie prostych opryszków różniło się od uzbrojenia wataha tém, że mieli tylko po parze pistoletów, a pałaszów zgoła nie mieli *).

Większe napady, na przykład, na miasto jakie w czasie jarmarku lub hucznego wesela, robili z pewnem obrachowaniem. Zwykle posyłał watah trzech lub więcéj pobratymów, którzy między tłumy nieznacznie wmie-

*) Tak uzbrojeni byli dwaj Dobosze, gdy w towarzystwie czterech pobratymów swoich do rodziców przychodzili. Opowiadał to Olexa Zołob, dobry ich znajomy.

szawszy się, wszystko bacznem okiem przeglądali. Mieli oni obowiązek ostrzedz, jeśliby napadowi zagrażać mogło jakie niebezpieczeństwo. Sam napad uskuteczniano najczęściej ku wieczorowi, gdy ucztujący lub jarmarkujący podpiwszy sobie, ku domom się rozjeżdżali. Za podstąpieniem pod miasto głównéj bandy opryszków rozpoczynali zwykle rozbój ci, co byli tamże od rana. Część jakąś zostawiał watah na straży po gościńcach głównych, która miała dawać znać wystrzałem, jeśliby zkąd smolaki lub gromady uzbrojone w pomoc miastu nadbiegały, resztę wiódł na te domy i miejsca, które miał sobie już wcześnie przez pobratymów wskazane.

Watah, który się już odznaczył jednym lub drugim śmiałym napadem w pewnéj okolicy, potrzebował tylko posłać do dworu lub któregokolwiek z bogatszych mieszkańców rusznicę swoją, rohatynę lub też czepełyk, a najczęściéj dano mu dobrowolnie wszystkiego, czego zażądał. W razie bowiem przeciwnym można było być pewnym najsroższéj zemsty.

Mieli opryszki stanowiska swoje w różnych okolicach, gdzie ich tak zwani pobratymi zaopatrywali w żywność i wszelkie potrzeby, a niekiedy nawet pokaléczonych i słabych u siebie przechowywali. Ten ostatni wypadek zdarzał się rzadko, opryszki bowiem nie mieli żadnego skrupułu zabić swego chorego pobratyma, lub pokaléczonego dobić, aby schwytany, sprawek ich i kryjówek władzy nie wydał. Taką gospodę na początku ośmnastego wieku, mieli opryszki w Myszynie, niedaleko Peczeniżyna, u Jura arędarza. Znali go oni swoim pobratymem. A w Sapohowie był takimże ich pobratymem Abramko Mettercyus, którego stósunki ze zbójami rozciągały się aż do lasów Chorosny. Dostarczali im ci żydzi bukłagami gorzałki, legumin, prochu, ołowiu na kule, toporców, strzelb, zgoła wszystkiego i wiedzieli częstokroć naprzód o ich wyprawach, a nie-

kiedy sami poniekąd niemi kierowali. Najgłówniejszem atoli w owym czasie stanowiskiem i niejako gniazdem opryszków był Kluczów wyżni, który w kilkadziesiąt lat później opiewał tak czule Karpiński w swojéj sielance *) Owa dąbrowa, w któréj nasz poeta żegnał się z Lindorą była miejscem wypoczynku opryszków i schadzek umówionych Hucułów z Wołochami. W samym Kluczowie była ich gospoda u Sawki, u starego Zeczka i syna jego Fedora, u którego żony składał łańcuszki złote, perły i różne kosztowności Fed' Zołoba, jeden z głównych opryszków; nakoniec u Filipa. Wszystko to byli zamożni i osiedli na miejscu gospodarze, a pobratymy opryszków. Ztąd też to pochodziło, że podobne osady zbójeckie mocno były niekiedy losem jednego lub drugiego ze złapanych opryszków interesowane, i nasyłały z pomiędzy siebie takich, którzy ich w drodze ścinali, aby żywcem nie zawieziono ich do sądu.

Do poskromienia rozbojów nie zaniechywano żadnego środka, i sprężyście przeciw opryszkom działano. Chwytano ich najczęściéj na gorącym uczynku i sądzono doraźnie. Na ten cel utrzymywany był na Pokuciu osobny rodzaj milicyi zwany Smolakami. Dobierano ich z ludzi miejscowych, i dobrze ze wszystkiemi kryjówkami opryszków obznajomionych, którzy pod naczelnictwem oficera z twierdzy stanisławowskiéj odkomenderowanego zostając, całą okolicę w dłuż i szerz przebiegali. Było między niemi niemało takich, co sami niegdyś do rozbojów należeli. Opryszki bowiem nie zawsze mieli z sobą samych tylko ochotników, lecz gdy widzieli kogo, coby się im nadał do rozbojów, a pod-

---

*) Pójdźmy na koniec smutnego Kluczowa,
Tam ją śród łąki będziemy żegnali,
I choć przed okiem naszem las ją schowa....

mówić go z sobą dobrowolnie nie mogli, zmuszali go przemocą i groźbami do swego rzemiosła. Taki czyhał tylko na sposobność ucieczki, a gdy mu się ta nawinęła, zaciągał się najczęściéj do Smolaków, i był im najpomocniejszy, wydając im kryjówki zbójów i wszystkie ich tajemnice. Najtrudniejsza do przebycia była dla opryszków zima, wtedy ich najwięcéj łapano; skoro się zaś lasy na wiosnę rozwinęły, trzeba było wielkiéj zręczności i znajomości miejsca, iżby ich wyśledzić i schwytać. Ku temu poruszano w razach niebezpieczeństwa całe gromady uzbrojone.

W śledztwach przedsiębranych z opryszkami używano tortury, która w tym razie najwięcéj jeszcze usprawiedliwiać się dawała; wszakże dziki i nieludzki ten środek okazywał się i tu częstokroć bezskutecznym. Mało było wypadków, w którychby opryszek wyjawił na torturach co więcéj niż to, co dobrowolnie zeznawał a zdarzało się że zbój, który dobrowolnie nie jeden szczegół wyjawił, na torturę wzięty zaparł wszystko, i słowa więcéj nie puścił.

Samą zbrodnię karano surowo, wszakże w surowości bynajmniéj nie zbytkowano. W wyrokach z kilkudziesięciu lat, które mamy przed sobą, nie widać ani jednego, któryby tchnął dzikością i okrucieństwem, gdzieindziej w owym wieku tak zwyczajnem. Zwykle karano i najgłówniejszego nawet opryszka ścięciem lub szubienicą, a największe zaostrzenie kary było w tém, że po ścięciu pokrajano nieżywy kadłub na części, i takowe wbijano na pal po głównych miejscach rozboju dla postrachu i pokajania złoczyńcom. W wyrokach na szubienicę dodawano też niekiedy, iż ciało nie ma być zdejmowane, lecz wisieć między niebem a ziemią, na pożarcie ptastwu drapieżnemu. Zaostrzenia te robiono osobliwie w tych czasach, gdy się rozboje zagęszczały.

Takiemi były pierwsze lata wieku ośmnastego i ostatnie jego połowy.

Piskliwy. W roku 1703 uderzyli opryszki na Ottyniję i żydów zrabowali. W Berezowie napadli na dwór i Hołyńskiego zabili. W Mikuliczynie zabili atamana tamtejszego Ihnata i pokaleczeli sługę jego Mykitę Tymszaka. Pokazywały się jednocześnie mniejsze rozboje w różnych stronach, mianowicie w Niezwiskach i w Woronie, w którejto ostatniej wsi opryszki zrabowali Wasila Mielnika, a Kostia Korkowicza podpalili i piekli, ale się wymknął. Przewodniczył po większéj części w tych rozbojach Iwan Piskliwy, rodem z Douhopola, który miał główne swoje stanowisko w Chorośnie; a brali w nich udział Wołosi i Bojki od Perehińska i Huculi, nad któremi rej wodził Fed' Zołob. Tego wkrótce zabito. Sam Piskliwy daleko później został zchwytany.

W tym roku napadnięto na Zabłotów. Prokop Kiełbasa, który miał udział w tym napadzie zchwytany był razem z innymi i oddany do Sądu. Zeznania jego są dość ciekawe. Był rodem z Cucyłowa, zkąd, jak powiadał, uszedł do Wierbiąża podczas zagonu Tatarskiego pode Lwów. Tymczasem ojciec jego wyznał, że Prokop, rozgniewawszy się na niego podpalił go i uciekł. „W Wierbiążu (mówił Prokop) ożeniłem się, i mam wołów cztéry, krów pięć, i inne domowe sprzęty gospodarskie należyte. Namówił mię Abramko żyd, arędarz Sapohowski do nabijania séra w berbenice w Chorośnie, wedle Rakowczyka, gdzie przebywszy trzy niedziele, opryszki mię namówili z sobą na rozbój. Byli to Mikulaki: Semań, Iwan i Herasym. Abramko ustawicznie z nimi przestawał, i zmowy miewał, i wiedział gdzie pójść mają na rozbój. Dodawał on im bukłagami gorzałki, leguminy co potrzeba było; prochu funtów dziesięć dał, ołowiu na kule i sukna; każdy z nich miał

47*

toporzec i strzelbę, bo ten żyd dodawał im wszystkiego. Przy tych Mikulakach byli i Charabaraki, z Dziadkowiec poddani. Piskliwy Iwan miał z sobą piętnastu ludzi; między tymi Bojkowie od Perehińska: Iwan, Wasil, Fedor, i inni z gór. Byli także z Rangor Zołobiakowie: Hryń, Iwaś, Fedor, także parobek z Kluczowa wyżniego, nie wiem, jako się zowie. Był między nimi Dmitro z Dziadkowiec, ten, który się najął do kośby; Iwan od opryszków postrzelony; Fedor z Kluczowa niżniego, co ze mną w więzieniu jest tu; i z Jamnéj, zięć Szepetczyków, którego nazwiska nie wiem. Było nas trzydziestu z rusznicami i toporcami, a mnie przymusili związawszy, abym także z nimi poszedł, bo się obawiali, abym ich nie wydał, gdyż wiedziałem ich tajemne rady. Skupiwszy się wszyscy podeszliśmy pod Kołomyję wieczorem. Chcieli na miasto uderzyć, i na Mendlu krzywdy swojéj zemścić się, ale od tego jam ich odwodził, i Abramko, żyd nie kazał im. Z tamtąd, z pod Kołomyi napadliśmy nocą na Zabłotów, i wyrabowali domów żydowskich, jak wiele? nie wiem. Fanty tylko, nie pieniądze pobraliśmy. Pajowaliśmy się w lesie pod Dobesławcami. Z tego podziału mnie się dostało kontuszów żydowskich dwa, koszula i insze drobiazgi, za które Abramko dał mi złotych dwadzieścia, i od tamtych wszystkich pokupował, i dał około złotych sto. Tenże żyd pytał nas o pieniądze, a gdyśmy powiedzieli, że nie mamy, rzekł na to: „*Lichoste szukali, kiedyście hroszy nie brali*“.

Zeznawali i inni podobne rzeczy na Abramka, w gruncie jednak był on mniéj winnym, niżliby się zdawało. Trwożliwy żyd robił wiele ze strachu i dla ratowania siebie, a gdzie mógł złe powstrzymać, powstrzymywał. Są nawet ślady, że wydawał zbójów w ręce sprawiedliwości.

Pinta. Dobra Kossów trzymał podówczas żyd Gdala. Miał on arendę i w Kutach i w Jabłonowie, a dzieci jego w dnie świąteczne błyszczały bogactwami. Nie uszły one uwagi opryszków, i w roku 1704 wykonali oni napad, jeden z najśmielszych. Sprawiał Gdala jednemu z dzieci swoich huczne wesele. Cisnęły się tłumy ciekawe pospólstwa przypatrując się ile możności z bliska i strojom i obrzędowi. Przyszli też rankiem na te oględziny Fed' Zołob, i Charabar z Szeszor i Makowéj z Peczeniżyna, i jako ludzie z tłumu, skromnie a ciekawie wszystkiemu się w domu Gdala przypatrywali. Sprosił był Gdala z pobliskich miast licznych swoich znajomych, którzy też jak najstrojniéj na tę uroczystość wystąpili. Bardzo ładnie, i z zadowolnieniem wszystkich odbywały się cały dzień ceremonie przez gapiące się pospólstwo podziwiane; aż pod wieczór okazało się, że inni jeszcze goście na tęż uroczystość ku miastu pospieszają. Byłto watah Pinta, Iwan Piskliwy, i inni Fedia Zołoba towarzysze, którzy aż od granic węgierskich na te gody kwapiąc się, wypoczęli byli sobie troche w Myszynie, gdzie Jur arędarz, a ich pobratym, raczył ich ze zwykłą sobie gościnnością, i świeżo nalanemi bokłagami wódki pokrzepieni wchodzili już do miasta. Uczuł teraz potrzebę wystąpić z pomiędzy tłumu, i zaprezentować państwu młodym godność swoją Fed' Zołob, i ze zdumieniem wszystkich zaczęły zlatywać do jego tajstry łańcuszki złote, perły, korale i bogate zausznice z szyj i głów wystrojonych dam, a mężczyzn pasy srebrzyste, żupany i katanasze ze złotemi guzami. Nie przestał jednak na fantach, ale zaglądnął i do skrzyń, gdzie znalazł grube pieniądze. Wielka część gości znajdowała się w szkole żydowskiéj. Wpadli tam natychmiast Maruściak i Hryć Koczerzak i strzelać poczęli, postawiwszy w bramie na straży z pistoletem Iwana Teruнciaka. Na alarm w mieście zrobiony,

nadbiegła uzbrojona gromada i rozpoczął się bój. Banda opryszków była wielka, samych Węgrów ośmdziesięciu liczono. Siedmnaście osób ubito. Dwóch opryszków postrzelonych towarzysze ich do Pistyni odnieśli. Jakkolwiek gromada przerwała opryszkom ich zabawę, wyszli oni jednak z niej nie bez znacznych obłowów, a za doznaną przeszkodę o zemście zamyślali. Cofnęli się w dąbrowę nad Kluczowem, gdzie przenocowawszy, dzielili się łupami, na Wołochów, którzy im w pomoc przybyć mieli, oczekując; ale ci niebespieczeństwo zmiarkowawszy, nie przybyli. Sami nie mieli już odwagi próbować szczęścia, i po małych w okolicy excesach uchodzili do Węgier, gdzie ich na drodze rozbito.

Po tych wypadkach podwojona była usilność rządu, aby rozboje powściągnąć. Opryszki częścią połapani a częścią przepłoszeni wynosili się za granicę, a jeden lub drugi cichaczem do dom wróciwszy, przycupnął, i wziął się do gospodarstwa. Z pochwytanymi przeprowadzono surowe śledztwa i karano ich, najwięcéj ścięciem, a potem wbijano cząstki rozćwiertowane na pale, po głównych miejscach rozboju wystawione. Uciszyło się znacznie na Pokuciu, i w przeciągu kilkudziesięciu następnych lat ledwie znachodzim ślady o pojedynczych rozbojach. Około roku 1712 Iwan Panczyszyn w towarzystwie dwóch Wołochów i sześciu Huculów wpadł nocą do Kołomyi, i zrabował żyda Majorka. Miał ich namówić ku temu Abramko, arędarz z Sadzawki. Wszakże natychmiast obskoczył ich z smolakami Sosnowski, połapał opryszków, i zrabowane rzeczy zwrócił właścicielowi. W śledztwach z nimi przedsiębranych odbijają się imiona wataha Werba w okolicach Kut goszczącego Szpuhrura z Dekuczy, Tuciaków z Douhopola itd.; zdaje się jednak, że to wszystko hula gdzieś na Wołoszczyznie; w kraju bowiem nie słychać na nich żadnych skarg, i prócz głuchej wieści nie wiedzą o nich nic pe-

wnego. Zchwytany też przez smolaków i do sądu oddany Iwan Pískliwy, ledwie się do niektórych sprawek swoich przyznawał. Powiadał, że jest rodem z Douhopola ruskiego, i tam ma żonę. Gdy był jeszcze nie ożeniony, młody, miało go podmówić trzech: Mielnik z Douhopola, Diduszko i Koczuba do rozboju kupców ormiańskich na Soczawie, i zabili trzech ormian. „Ale ta sprawa (powiada) była uspokojona przez ojca mego, a potém temem się nie bawił“. Do napadu na Kossów miał go namówić watah Pinta. Wyznaje, że ich była kupa wielka, że 80 było z samych Wegier, ale Huculów tylko sześciu wymienia. Ludzi według niego zabito bardzo mało w Kossowie, dwóch albo trzech może więcéj. Tymczasem dobrze świadomy tego wypadku Gdala oznajmił sądowi o siedmnastu zabitych. „Ztamtąd (mówi Piskliwy) poszliśmy na Węgierszczyznę, a jak nas na drodze rozbito, rozeszliśmy się każdy w swą drogę. Wróciwszy do domu ożeniłem się i dotąd statkowałem, siedząc na swojéj ojczyznie. A jak teraz smolaki przyszli, jam sobie dawne swoje uczynki wspomniał, poszedłem z domu, gdzie mię idącego o ćwierć mili wzięto, i tu oddano“. Pytany o zabicie dwojga dzieci w Zwierzchosławiu, powiedział, że o tém nic nie wie, bo był natenczas w Ardelu (Siedmiogrodzie). Pytany o opryszka Onufrego, upewniał, że z nim nigdy pobratymstwa nie miewał, i że się już nie bawił rozbojami.

Nakoniec w roku 1719 wytoczył Michał Piotrowski z Zywaczowa sprawę swoją, o której wiedzą już czytelnicy, przeciw Łeskowi z gór i jego pobratymom, którzy go nocą napadłszy związali, i zrabowali, a dom jego podpalili. Schwytani opryszkowie byli należycie ukarani.

Rozboje te w następnych latach coraz rzadsze, popełniane były po większéj części przez ludzi, którzy się

obok tego innym zatrudnieniom oddawali. W kilkadziesiąt lat późniéj wystąpił między Huculami nowy w téj mierze zapaśnik, który zbójectwo zrobił wyłącznem swojem rzemiosłem, a wykonywał je niekiedy z widoczną pretensyą do wspaniałomyślności, na sposób włoskich bandytów.

Doboszowie. Mieszkał pod ówczas w Peczeniżynie Wasyl Dobosz, człowiek ubogi, który jak wieść niesie, służył niegdyś w wojsku za dobosza, i ztąd miał imię. Jest podobieństwo, iż za młodszych lat swoich kosztował on sam chleba hajdamackiego; to wszakże pewna, że do niego nie miał najmniejszego wstrętu. W roku 1739 już jako starzec i ojciec kilkorga dzieci dorosłych zostawał z żoną swoją w komornem u Hawryły Twerdiuka, a całem mieniem jego była pewna liczba owiec, które Olexa Zołob wraz z swemi i brata swego owcami, oraz z trzodą gromadzką wsi Markówki w jednéj turmie wypasał. Właśnie jakoś w pierwszych tygodniach wypasu przypadała na niego czerha, czyli koléj pobierania nabiałów, co wymagało częstéj jego obecności w szałasie. Zaglądali tam nierzadko i jego synowie Olexa i Iwan, którzy małoco przed tem burd w Peczeniżynie narobiwszy, rzucili dom, a Olexa nawet i żonę; puścili się w opryszki, i po drogach i lasach rozbijali. Pierwsze powodzenia zachęciły do coraz zuchwalszych przedsięwzięć, a imię ich stało się wkrótce postrachem całéj okolicy. Jednym z najwcześniejszych był ich napad na Osław czarny, wieś niedaleko Łanczyna. Gdy się zbliżali do dworu, gospodarz, czy o przybyciu ich wcześniéj uwiadomiony, czy też przypadkiem sam ich z daleka rozpoznawszy, ratował się przytomnością umysłu. Krzyknął na domowników, aby co tylko jest z potraw i przekąsek zastawili na stół, sam zaś butel spory w rękę porwawszy, przypił zdrowiem do wchodzącego na próg Olexy Dobosza. Ujęło to młodego wataha tak, iż odwróciwszy

się do swoich dał znak, aby się jak najskromniéj zachowali. Najadłszy się więc i napiwszy do woli, odeszli sobie w spokoju. Nie byli tyle szczęśliwi inni mieszkańcy Osławscy. Pouciekali oni w las na widok zbliżającéj się bandy, zostawiwszy w chatach same tylko żony i dzieci. Uderzyli więc na nie opryszki, i cztéry chaty zrabowali. Z Osławu ruszyli do Łuczek małych. Prowadził ich do téj wsi rodowity Łuczanin, który pokłóciwszy się z trzema braćmi swoimi uniósł się do tego stopnia gniewem, że podmówił na nich opryszków, i sam z nimi braci rabował.

Wiedział dobrze o tych sprawkach synów swoich stary Wasyl, a sprawiło mu to nie małą przyjemność, gdy jednego ranka ujrzał, jak arędarz z Łuczy, Joś, wchodził do szałasu jego z miną pokorną, kłaniając się po kilkakrotnie, i wielki butel wódki do łaskawego przyjęcia nadstawiając. Prożba Josia, którą tak wymownym dowodem popierał, zawierała się w krótkich słowach: Panie Wasylu! powiedźcie swoim synom, aby mnie nie rabowali. — Przyjął Wasyl z powagą butel, wziął się pod boki, i rzekł: „Nie bój się! tylko jak oni do ciebie przyjdą, daj im jeść i pić, a potém jeśliby chcieli jaką swywolę czynić, ty z groźna na nich ofuknij się, to ci dadzą pokój.“ Uradowany Joś takiem zapewnieniem ukłonił się raz jeszcze i odszedł. Wasyl nie omieszkał i późniéj korzystać z swojéj powagi, którą mu synowie jego zjednali. Jakoż w tydzień po tém zdarzeniu przywołał on owcarza swego Olexę Zołoba, i rzekł. „Weź tę rohatynę pójdź do Josia, niech da gorzałki. Tylko mu rohatynę pokaż, i powiedz, że ja, ojciec Doboszczuków posyłam cię, a rohatynę daję na znak.“ Zołob sprawił się według rozkazania, a Joś nalał skwapliwie w butel trzy kwarty wódki, i dodał dwa bochny chleba, nie biorąc ani rohatyny ani pieniędzy.

Trwało jakiś czas dość jawne porozumiewanie się synów z rodzicami. Przychodzili czasem w nocy z czterema pobratymami swymi do Peczeniżyna, zapukali w okna rodzicielskiego mieszkania, i wychodziła do nich matka, po kilka godzin z nimi rozmawiając. Widziano nawet, jak niezamożnym w pieniądze rodzicom swoim wyliczali niekiedy szostakami na wódkę. Używano zrazu wszelkich środków łagodnych, aby ich odwieść od rozbojów. Stanisław Krzywokolski, łowczy nurski, a ówczesny komisarz dóbr pokuckich, zjechawszy do Peczeniżyna, przywołał starego Wasyla, i rzekł: „Niech synowie twoi porzucą rozboje, niech mieszkają w domu, i niczego się nie boją.“ Z równą wyrozumiałością postępował sobie ówczesny podstarości peczeniżyński, Ruszel. Życie jednakże hajdamackie zanadto miało powabu dla młodych Doboszów, aby je na pracowity stan kmiecy zamieniali. Wszakże nie wiele jakoś brakowało do tego, iżby w samych początkach swego zawodu popadli w ręce sprawiedliwości. Byłoto w sobotę wielkanocną, roku, ile się zdaje 1739. Przyszli do Peczeniżyna, i kazali sobie dawać w karczmie gorzałki. Popili się okropnie; zaczęli się najprzód kłócić, a potem bić. Bojka była tak żwawa, iż jednego z towarzyszów swoich na śmierć porąbali; na koniec Iwan Dobosz ciął brata swego Olexę, toporkiem w nogę, i mocno go skaleczył. Popici leżeli czas jakiś bez przytomności. Wtedy szepnęła żydówka przejeżdżającemu tamtędy podstarościemu Ruszlowi, że teraz i dziecko mogłoby ich powiązać. Bojaźnią czy przezornością powodowany podstarości, odpowiedział: Za cóż mam ich wiązać, kiedy mi nic nie winni.

Odtąd Olexa nalegał ciągle na nogę *), a Iwan stronił od niego; przynajmniéj nie znachodzimy żadnego śladu,

---

*) O naleganiu Olexy na nogę w czasie nawet ostatniego napadu jego na dom Dzwinki w Kosmaczu spomina pieśń gminna:

iżby razem do któregokolwiek z dalszych napadów należeli. Owszem są wyraźne skazówki, że bracia ci rozeszli się w strony przeciwne: Olexa rozbijał na Huculszczynie i w Chorośnie; Iwan udał się między Bojków; tam od Bolechowa zalatywały wieści o jego rozbojach, a we wsi Beniowa, ziemi Samborskiéj, oddał, umierając, do cerkwi swój rzezak, czyli nóż zbójecki **) którym krew niewinna przelewał.

Od łagodnych upomnień postępowano do środków coraz ostrzejszych. Domownicy Twerdiuka pociągnieni zostali do śledztwa. Wasyl Dobosz wyrzekł się synów i zakazał, iżby ani w domu, ani w szałasie jego nie bywali. Zaczynały się w ówczas coraz bardziéj mnożyć na Pokuciu rozboje. W niewielkim przeciągu czasu zabito w Dekuczy Łoszaka, urzędnika, i papiery jego spalono. W Łęczynie zabito żupnika i żyda zrabowano.

„Oj popid haj zełeneńki
Chodyl Dobosz mołodeńki,
Taj na niżku nalehaje,
Topircem sia pidperaje“ it.d.

**) Ten dość ciekawy pomnik znajduje się teraz u p. Jana Towarnickiego, obywatela lwowskiego. Jest to rodzaj sztyletu, prostą robotą z rzezaka wykrojony; szeroki, i niezbyt kończasty, z krótką rączką i oprawą mosiężną, w kształcie kopytek końskich zakończoną. Po jednéj stronie jego wyżłobiony jest niezgrabnie napis taki:

„Iwan Doboszczuk sławny zboinyk
Horski pered smertio smertio (tak) swoio
Złożył toi Ryzak w cerkwi Beniaszki“

po drugiéj stronie te słowa:

Od toho Ryzaka zahib z ruk Do(boszcz)uka

. . . .

Dalszy wiersz, zawierający imię téj ofiary, wytarty jest tak, iż ledwie jakiś cień liter, zupełnie nieczytelnych, pozostał.

Z wielu innych miejsc, jakoto z Utropu, Tłumaczyka, Dobrotowa, Ustyryk, Jasienia i Perehińska zalatywały jednocześnie prawie o rozbojach pogłoski. Olexa Dobosz uderzył z Węgrami na wieś Mołothów i zrabował ją. Podobnież wpadł z Węgrami i Hucałami do Wierbiąża i zrabował Dobrosielskiego. Z przybocznych i najzaufańszych jego pobratymów byli tam dwaj Dżemidżuki, którzy mieli osobisty gniew do Dobrosielskiego, i w napadzie tym réj wodzili. Był Wasyl Palejów, który rozgniewał się na ojca swego że mu nie chciał łazów wydzielić przystał więc do Dobosza i służył mu najwierniéj. Był nakoniec Śrebrnarczuk z Jasienowa, a z Mikuliczyna Fedor Nikorak. Zabrali tam i pieniądze i rzeczy, ale nikogo nie zabijali. Z tymiż samymi niemal bobratymami uderzył Dobosz na Okresińce, i zrabował Ruszczyca. Łupy tu zabrane były dość znaczne, a między innemi rusznice, szable, pancerze, prochu i ołowiu nie mało. Cząstka tych łupów dostała się nawet do Skitu. Była to wielka misa cynowa, którą Wasyl Palejów, uczestnik tego rabunku, ze szczególnéj jakiejś intencyi do monastyru darował. Zupełnie przypadkowe, jak sam upewnia, było jego z zakonnikami tego monastyru poznanie, i najobojętniejszy w świecie stósunek. Po lesie, niedaleko klasztoru chodził sobie poważny czerniec w pobożnych kontemplacyach zatopiony, żadnéj z ziemskich przygód nie przeczuwając. Nagle postrzega koło siebie twarze, których rysy i gesta bynajmniéj idealne nie były. Byłto Dobosz przeciągający właśnie tamtędy z swymi pobratymami. Nim się czerniec z dumań swoich ocknął i niebezpieczeństwo zmiarkował, już było za późno. Uciekać nawetby nie potrafił, i więcejby jeszcze tém sobie zaszkodził. Złożył więc ręce, zaczął się trząść i płakać. Uboga odzież jego wcale do łupieży nie zachęcała. Mało też na co przydać się im mogła postać jego nie męzka i postami znękana; przecież jeden lub

drugi hultaj mógł go dla saméj psoty potrącić lub skrzywdzić. Skinął więc Dobosz, i czterech opryszków odprowadziło go do monastyru.

Na pierwszy odgłos o tych rabunkach wysłano za Doboszem smolaków. Kierował ich ruchami półkownik Przyłuski, zająwszy główne stanowisko w Przerośli. Śledził on opryszków z niezmordowaną czujnością, chwytał ich najczęściéj na gorącym uczynku, a niekiedy ich zamysły uprzedzał. Wypatrzywszy tajne miejsce ich zebrania na górze Stoha, gdzie Dobosz miał robić ich przegląd spadł na nich nocą, gdy się go najmniéj spodziewali, i jednych połapał drugich na miejscu ubił. Późniéj złapał za jednym zachodem czterdziestu opryszków, i skrępowanych do Kut odstawił. Podwajał ze swojéj strony i Dobosz środki ostrożności na takie przeciw niemu usiłowania. Zmieniał raz po raz miejsce. Przebywał to w Czarnym lesie, to na Wołoszczyznie i w Węgrzech, to w Chorośnie, pochody swoje i wyszukiwanie żywności w cieniach nocy ukrywając. Ilekroć stawał z towarzyszami swymi na spoczynek, nigdy razem z nimi nie nocował, lecz wyszukiwał sobie opodal miejsce, z którém się i najszczerszemu pobratymowi swemu nie zwierzał. Ztąd, chociaż banda jego kilkakrotnie była rozbita, i najzaufańsi jego pobratymi, jak Śrebrnarczuk, Fedor, Palejów i inni schwytani zostali; sam Dobosz zawsze się wymknął, i o miejscu pobytu jego małoco powiedzieć umiano. W dzień obierał sobie stanowiska takie, zkądby w każdéj stronie zdaleka mógł dojrzeć uganiających się za nim smolaków. Fedor Palejów podaje w téj mierze szczegół ciekawy. Byłoto w połoninach *na Bukowcu*, roku ile się zdaje 1740. Ujrzał Dobosz jak smolacy szli; kazał więc swoim pobratymom, aby z rusznicami na nich zasiedli. Gdy się zbliżyli, i już każdy swego smolaka brał na cel, dał rozkaz aby nie

strzelali; żal mu bowiem było, tyle żon i dzieci naraz osierocić.

Banda Doboszowa zmieniała ustawicznie swych ludzi, a składała się częścią z ochotników, częścią zaś z towarzyszów takich, którzy werbowani, i nieraz przymusem byli wciągani. W roku 1740 zajmował się sam Dobosz takiemi zaciągami. Wasyl Mielnik, jeden z jego pobratymów tak opowiada swoje z nim poznanie: „Na zielone swięta przyszedłszy do mnie do Rosztoku Olexa Doboszczuk, począł mię pytać, co ty tu robisz? czy masz żonę? Odpowiedziałem że nie mam, tylko służę u atamana przy młynie. Pytał mię zkądeś zaszedł tu? Odpowiedziałem, że ja ze wsi Szeszorów. Począł mię namawiać: chodź ze mną, nie masz tu ni braci, ani żony, a potém powrócisz ze zdobyczą, będą rozumieli ludzie żeś ty u braci był. I dałem się podmówić w same zielone święta. I tak poszedłszy ja z nim, przyszliśmy w las do Rokitni, a było przy nim dwóch: jeden przezwiskiem Dryśluk, a drugi Semeń, ze wsi Jasienowa obydwaj. Jak tam przyszliśmy do tego lasu Rokitni zastajemy jeszcze ośmiu, i tak się nas uczyniło dwunastu. Był między nimi jeden, którego nazywano Smykajło; znowu dwóch braci rodzonych ze wsi Jaworowa, nazwiskiem Dziamedżuki, znowu dwóch ze wsi Horoszowa, imion ich, ani nazwiska nie wiem. W lesie Rokitni siedząc, poszło dwóch, Smykajło i drugi z nim, i przyprowadzili jałowicę. I zabiwszy tę jałowicę nakładli dwa ognie, i porąbawszy to mięso, jedno pozatykaliśmy na pieczenie, a drugie gotowaliśmy w kotle. A tymczasem poszedł Doboszczuk w górę i postrzegł Ormian, i skoro przypadł, poszepnął to Smykajłowi, to innym. Pobrawszy swoje oręże, pistolety, topory, skoczyli, a mnie z chłopcem Doboszczukowym zostawili przy pieczeniach. I bawili do zachodu słońca.“

Ormianie o których tu mowa, byli to kupcy z Kut. Mieli przy sobie ludzi z Mikuliczyna, i dzielnie się bronili. Dwóch opryszków, jednego Wasyła z Niezawizowa, drugiego Wołocha z Putyły na miejscu trupem położyli; innych pokaleczyli; ale ulegli przemocy opryszków, których tam było do dwódziestu trzech, jak powiada Fedor Palejów, świadek i uczestnik tego rozboju.

„Jak powrócili od owych Ormian (mówi daléj Wasyl Mielników) zaraz pozabierali pieczenie i warzone mięso w tajstry, w burdiuki, i skoczyli wszyscy razem aż ku Mikuliczynom lasami, dolinami, i tak zaraz uderzyli się do komor, poczęli rabować. I tak porabowali cztery komory. I kazał mi Doboszczuk białogłowę wiązać, aby nie krzyczała. Ale ją inny związał. I takeśmy poszli z tej wsi już nad świtaniem; tam mi Doboszczuk rzucił trzy smuszki, które zdobył w Mikuliczynach. I uszedłszy więcéj jak milę, stanęliśmy odpoczywać. Tylkośmy poligali, aż zaraz nadbiegła gromada z Mikuliczan za nami. I zaraz na nas uderzyli Mikuliczanie gromada. I tak uderzywszy na nas, zaraz mię w łeb uderzono, żem bez pamięci leżał. I złowili mię, a drugiego postrzelili, który umarł w Jamnie tegoż dnia.“

Prócz naszego opowiadacza złapano tam i innych opryszków, mianowicie ze wsi Choroszowa. Złożono na nich sąd doraźny, i natychmiast ich w Kutach stracono. Odgrażali się ich pobratymy, że na czterech rogach miasto Kuty podpalą; ale na to nie zważano, i codzień sprowadzały gromady i smolaki nowoschwytanych winowajców, którzy po osądzeniu odnosili karę należną.

Inny pobratym, Andrzéj Ławrów, tak opowiada poznanie się z Doboszem i swoje przygody: „Gnałem owce już ku wieczorowi na odoje. Dobosz mię zdybał, i owce wziął, i mnie wziął siłą z sobą, niedaleko już odojów. I to się działo roku 1741. Luboć nie chciałem iść, ale mię straszyli; z pistoletem się do mnie przymierzał,

i pałaszem ciął mię w łeb, gdzie i dotąd znak jest. Potém te owce zabiliśmy, spiekli i zjedli. I w krzakach leżeliśmy drugi dzień; aż ku wieczorowi wzięliśmy się i poszli do Łanczyna. I wziął Dobosz u żyda dwadzieścia talarów, i skórę, i bukłag wódki, i siedmioro chleba. Pieniądzmi temi nie dzielił się Dobosz, bo mówił, jak się więcéj nazbiera, wtenczas podzielę. We dnie leżeliśmy w krzakach; a na trzecią noc poszliśmy do Dobrotowa, i tam u żyda wzięli złotych pięć, i dziesięcioro chleba, i konewkę wódki, i siedm papusz tiutiunu. Było nas wszystkich ośmiu. Dwaj Dżemydżuki, jeden Fedor, a drugi Stefan; trzeci Iwan Bojko, któren sługiwał u dziekana z Kossowa, czwarty Śrebrnarczuk, który już stracony w Haliczu *); piąty Paweł Gaszturak z Jasienia, który służył u mytnika węgierskiego; szósty Iwan Koszak z Mikuliczyna; siódmy ja, a Dobosz ósmy. Dobosz nigdy nie nocował z nami, ale zawsze na boku. I poszliśmy w Czarnohory na połoniny, bo on się tam spodziewał kompanii z Douhopola i z Putyły, z Wołoszczyzny. I tam przez trzy dni zabawiliśmy się, gdzie się ja i rozchorował. I oni dla mnie jednę noc przenocowali. A potem Dżemydżuki, dwaj bracia, kazali mię zciąć; a Dobosz nie kazał. Mówił: „dajcie mu pokój, może jeszcze gdzie służyć.“ I napominał mię, abym nigdzie, ni przed kim nie spominał, żem z nimi był: „bo jak powiesz żeś z nami chodził, i powiesz o nas, to choćbyś w trzeciéj ziemi był, ja cię dostanę i rozsiekam.“

---

*) Śrebrnarczuk schwytany był w roku 1741 razem z Palejowym Fedorem. Strach padł na opryszków, iż całe gniazdo ich mogło być teraz wyśledzone; nie żałowali więc pieniędzy, aby temu zapobiedz. Interesowali się tém i przysiężni Jasienowscy, a podjął się dać radę temu Hryhor Daniluk „*perwyj brat*“ i ataman Jasienowski. Wiezionemu więc do Sądu Stanisławowskiego Śrebrnarczukowi uciął łeb w Haliczu Hryhor. Chciał tę przysługę zrobić i Fedorowi, ale ten skrył się.

I dał mi trzy tynfy i bochenek chleba i papuszę tiutiunu.“

W tymto 1741 roku, i z temiż, jak się zdaje pobratymami, których cząstkę tuśmy poznali, szedł Dobosz od granic Wołoszczyzny do Chorosny, i niedaleko Mołodyłowa i Otynii napadł dnia 4 października w Holoskowie na dom Andrzeja Karpińskiego, ojca poety. Opowiada to sam poeta w swoich pamiętnikach temi słowy:

„Zdarzenie osobliwsze w domu rodziców moich w tym dniu przytrafiło się. Kozłowski sąsiad i przyjaciel ojca mego, przestrzegł go kilką godzinami przed mojem urodzeniem, że w nocy, sławny na Pokuciu rozbójnik Olexa Doboszczuk dokazujący w tamtych stronach, razem z dwunastą swoich mołojców miał dla rabunku napaść na dom rodziców moich. Już moją matkę boleści rodzenia napadły, a ojciec dom, z bojaźni może zatracenia życia, porzuciwszy, z czem mógł na prędce, do bliskiego lasu schronił się, zostawiwszy rozporządzenie, ażeby okropnemu temu gościowi, z towarzyszami jego, chleb sér i gorzałka najobficiéj na stole rozstawione były. Może w godzinę po urodzeniu mojem przyszedł z swoimi Doboszczuk; matkę tylko moją leżącą, i babę, która mię odebrawszy, omyła, i na ręku trzymała, nikogo więcéj w całym domu nie zastał. Matka moja nic mówić nie mogła dla bólu i strachu, ale baba przystąpiwszy, ze mną na ręku, do Doboszczuka, oto (powiada) godzina, jak to się dziecię urodziło, miéj pamięć na Boga, na tę matkę jeszcze cierpiącą, i na to niemowlę; nie rób tu żadnéj przykrości, kiedy cię jak dobrego gościa przyjmujemy. Zmiękczyło to serce rozbójnika, i mołojcom swoim skromnie się obejść przykazawszy, do jedzenia i wódki, obficie dostarczonéj zasiadł. Babie potém dał trzy czerwone złote; a matki mojéj prosząc, ażeby nowonarodzonemu dziecięciu, na pamiątkę bytności jego

w tym czasie w domu naszym, Olexy (jak się i Doboszczuk nazywał) imię na chrzcie nadano, bez szkody najmniejszéj z swoimi odszedł.“

Bliższe szczegóły o sposobie werbowania opryszków i miejscu główném ich schadzki znachodzimy w zeznaniach Andrija Pyłypiaka, który był rodem z Pasiecznéj. Robił on je przed sądem w miesiącu październiku roku 1742, a niemożna ściśle oznaczyć, czy opowiedziane przezeń zdarzenie w tymże roku, czy też w poprzednim zaszło.

„Służyłem, powiada on w Trybuszanach w Węgierskiem państwie rok u wychrzty Wasyla, a u Borysa Iwanowego dziewięć lat miało się skończyć na poszczenie Makowiewo. Ale mnie wziął ztamtąd Hołowacz i związawszy wodził mię trzy dni z sobą w połoninie, i kazał mi przysięgać na strzelbie, że ich nie porzucę. I ten Hołowacz rozbójnik był samosiódmy tylko, kiedy mię wziął. I tak poczęli się do niego zchodzić to po dwa, to po trzy, to z téj, to z owéj góry, i naprzątało się nas za trzy dni czterdziestu trzech, koło wielkiéj góry nazwiskiem Stoha, przy granicy węgierskiéj i polskiéj. Miał nas brakować Dobosz: któregoby sobie podobał, toby go wziął; a którenby się nie podobał, to wybrakowawszy, byłby łeginiów przegnał od kupy. I tak przy téj górze lokowaliśmy się na nocleg po kilku. I tam ja z Hołowaczem samoczwart u jednego ognia nocowaliśmy. Braliśmy ser, ta owce jałowe, ta bili, piekli i jedli, gdzie nas pan Przyłuski z smolakami rozgromił na tym noclegu. I tom widział oczyma swojemi, że Hołowacza smolaki przysiedli byli, i nie wiem, czy go zabili, czy nie; tylko widziałem, że zbroje wszystkie zabrali od niego: rusznicę, pistolety i rohatynę.“

Stoha, jak była miejscem zebrania, tak też i miejscem, w ktorém się pobratymy pod jesień z sobą rozstawali. Tak opowiada Fedor Palejów: „Rozeszliśmy się koło

Stoby w Połoninach. Tam nam Dobosz powiedział: Kiedy się wyzimujemy, to się znowu zejdziemy. Gdzie zaś myśli zimować? tego żaden z nas, jeden drugiemu nie powiadał".

Dość ciekawą figurą, która według wszelkiego podobieństwa w bliższych z Doboszem stosunkach zostawała, jest Michajło Malarczuk, rodem z Rudki koło Kamieńca Podolskiego. „Ojciec mój (powiada on) zwał się Łesko Striłeć, był poddany pana Michałowskiego, smotryckiego starosty. Z młodości bawiłem się szkołami, byłem i w Kamieńcu rok w ruskiéj szkole. I tak za szkołami chodząc to sam to tam, dostałem się tu do Wierbiąża i stanąłem u malarza. I uczyłem się malarstwa, a potém wziąłem córkę u mielnika i zostałem mielnikiem. Chodziłem z rusznicą na kaczki i nadybałem dwóch opryszków, którzy mi rusznicę odebrali byli, ale potém oddali; a żydzi kołomyjscy udali mię przed smolakami, jakoby Doboszczuk miał być u mnie na chrzcinach, a smolacy oskoczyli mię i wzięli."

Artysta ten znał się nie tylko z opryszkami, ale i ze złodziejami, i z nimi zmówiwszy się, należał do okradzenia cerkwi wierbiązkiéj, za co téż był karany.

Jednym z najokropniejszych czynów Olexy Dobosza było zabicie Diduszki w roku 1743. Był to, ile dojść mogę, ten sam Diduszko, na imię Mikołaj, ataman z Douhopola, który około roku 1719 trzymał na siebie i karczmę tamże, a do najmajętniejszych się liczył. W owymże roku poznawano u niego talary zrabowane u Gdala, i z téj przyczyny stawał przed sądem Stanisławowskim; żadnego jednak uzasadnionego podejrzenia przeciw niemu nie wykryto. Służył u niego Semeń Wołoszczuk, który był rodem z pod Sehotu na Węgrzech, ze wsi Ługa, z kąd w czasie głodu i powietrza na Węgrzech, przeniósł się na Pokucie. Świadek naoczny tego zabójstwa, opowiada on je tak:

„Będąc ja na targu w Kossowie, zdybał się ze mną Kinderasz, mój wujko z za Góry, (to jest z Węgier), który sługiwał u Diduszka bez lat kilka, i teraz służy. I począł mi mówić, naraję ci służbę u Diduszka, bo on dobry człek. I jam taki ztamtąd poszedł do Diduszka, i przyjąłem służbę u Diduszka dwoma niedzielmi przodem, nim go zabił. I po zabiciu byłem dwie niedziele tamże u syna; jeszczem i kości pomagał wybierać z popiołu jak zgorzał Diduszko: bo spalili i ciało jego. Stało się to tak: Doiliśmy owce na wieczór przed zachodem słonka, i syn Diduszków doił owce z nami, na imię Iwan; aż przybiegłszy jeden, począł mówić: rzucajcie mléko z skopcami, a idźcie do izby. I uderzył Rabczuka Pawła, także sługę Diduszkowego najstarszego, który prząłał nabiał, i syna Diduszkowego porwał za barki, pytając gdzie ojciec? i blatem uderzył w głowę, który ledwie oczuniał w godzinę; on powiedział: nie wiem czy w mieście Kutach czy we wsi; i za to go uderzył mówiąc: Co ty bajesz, gdzie ci ojciec? albo to ja nie wiem? ja to od rana na was czatuję. I zagnał nas pięciu od koszary do izby, i wepchał nas pod ławę. I złapawszy dziewkę, jak uderzył ją, to musiała się przyznać że Diduszko u ognia gdzie owce strzygli. I tak oni jednego opryszka posłali, któren poszedłszy do niego mówił: Idź do Pana, Pan ci przyjechał z Kutów. Diduszko odpowiedział: to idź, albo mnie pan dziwny? nie mam czasu. On znowu mówił: Idź koniecznie. A Diduszko go począł łajać; a on wtedy blatem siekierką w łeb uderzył Diduszka, a Diduszko zatoczywszy się, porwał popod siły opryszka, krzyknął na sługę: nie daj mnie! a sługa porwał był za rękę opryszka, a opryszek znowu uderzył i sługę w kark. Sługa obaczywszy że źle, uciekł; A opryszek wziąwszy Diduszka, przyprowadził do chałupy. I jeno go przyprowadził, a Doboszczuk go wnet przywitał, łając nieuczciwemi słowy, mówiąc: *Cy tut ty*

pane Didu! alem ja tobie przysyłał znak czepełyk żebyś mi dał terch sera, a tyś powiedział, że moją głowę dasz do Stanisławowa. I uderzywszy go w piersi siekierką, blatem, mówił: *poznajesz ty mene Olexu? otoż rubaj moju hołowu!* Aleś ty zganiał wsi żeby mnie łapali, i obiecałeś Panom czapkę czerwonych, aby mnie złapali? Otóż ja ciebie złapał. I uderzył go drugi raz, a on padłszy na ziemię, zasnął. A jeden opryszek czarny, niski, przypadłszy z pistoletem, chciał jeszcze strzelić do Diduszka, ale nie dał Doboszczuk dla huku, bo byli związani z synem obydwa plecyma do kupy; i tak podjął obydwóch wysoko od ziemi jedną ręką, i mówił: Ot tak to wiąże Doboszczuk panie Diduszku! I już umarłego bił, ten co chciał strzelać, tak, że pogruchotał ręce, nogi i wszystkie kości. A potém Doboszczuk począł mówić do mego swata, a do syna Diduszkowego: Gdzie ci konie? mnie tu trzeba zaraz dać dwoje koni. Syn Diduszków powiedział, że gdzieś mają być w carynkach, to jest, w ogrodach. A Doboszczuk rzekł: Gdzie ci słudzy? posyłaj po konie! I krzyknął na mielnika, mówiąc: Idż po konie. Mielnik rzekł: Ja mielnik nie sługa. A on uderzył mielnika aż upadł. Mielniczka poczęła krzyczeć; on i mielniczkę uderzył że także upadła. Potem zawołał na mnie i na Pawła Rabczuka żebyśmy poszli po konie. I my poszedłszy za końmi, nie znależliśmy ich, bo w stajni były. On widząc, że nas niema z końmi kazał palić domostwo. Poszli palić stajnię, i tam znaleźli konie. I wziąwszy dwoje koni, oterchawszy, i syna wziąwszy Diduszkowego, poszli. A my obaczywszy ogień że zapalili, przybiegliśmy tam, i jużeśmy nie zastali nikogo. Gdyśmy jeszcze byli w chacie pod ławą, Dobosz napominał nie tylko syna, ale wszystkich: „żebyście za mną nie gonili, i nigdzie nic nie mówili, co ja tu był". A synowi mówił: „Jak ty będziesz atamanem, żebyś nie chodził za mną". Jak zapalili chatę, pogorzało tam i

moje odzienie; a potem we dwie niedziele dał mi Diduszków syn koszulę, chołosznie i czapkę, i jam poszedł od niego".

Po tylu dokazywaniach znalazł nakoniec i Dobosz swoją śmierć, wtenczas gdy się jéj najmniéj spodziewał. Zadał mu ją dobrze mu znany rodak jego z wielkiego Kosmacza, Stefan Dźwinka, któremu on takiż sam los jak Diduszkowi gotował. Kładę tu ten akt ciekawy w zupełności, tak jak go w spomnianych wyżéj xięgach znalazłem.

Działo się na ratuszu miejskim Stanisławowskim dnia 27 sierpnia roku 1745 przed obopólnych urzędów sławetnymi panami: Szymonem Gaczkowskim, wójtem jurysdykcyi polskiéj; Michałem Amirowiczem, wójtem jurysdykcyi ormiańskiéj; Semionem Nowosielskim, rajcą jurysdykcyi polskiéj; Konstantym Sołtanowiczem rajcą jurysdykcyi ormiańskiéj, Sewerynem Manugiewiczem, ławnikiem jurysdykcyi ormiańskiéj.

Z woli Jaśnie wielmożnego Józefa Potockiego, hetmana wielkiego koronnego, a pana naszego miłościwego, był stawiony przed obopólne urzędy, pracowity Stefan Dzwinczuk, dla wysłuchania indagacyi o zabicie Doboszczuka, opryszka.

Pytany zkąd jest rodem? odpowiedział, iż z dziadów, z pradziadów jest rodzic Kosmacki, poddany jaśnie wielmożnej chorążynéj koronnéj, a teraźniejszego dzierżawcy, jaśnie wielmożnego Instygatora koronnego, Pytany, jakim sposobem zabił Doboszczuka? odpowiedział, iż miał żonę z Krzyworówni, córkę Mieczownika, który siedzi teraz w więzieniu tu w Stanisławowie. Tedy ta żona miecznikowa córka, pomarła, a potomstwa żadnego nie zostało się po niej. Jam sobie inszą żonę pojął, a

Mieczowniczka, przeszła teszcza moja, upominała się o wiano, które mi dała była za córką. Jam onéj za swoje koszta zatrzymał parę wołów i krowę jedną; a ona zawziąwszy się za to na mnie, udała mię przed Doboszczukiem, że ja za nim chodzę, chcąc onego zabić; i on z tego miał zawziętość na mnie. Tedy przeszłego poniedziałku przyszedłem ja z robocizny z pola, wieczorem, a ojciec mój czynił mi relacyę, że Doboszczuk zabił człeka na Mikuliczynie, i powiedział którego. Jam się prawda zdziwił, że tego człeka zabił, i mówiłem, że musiał zdradą zejść na niego; a ojciec i mnie począł mówić, żebym się i ja nie bespieszył na swoją broń, za co i połajał mię, żem odpowiedział: Jak Pan Bóg da. Aż w tym momencie zaraz i pies zaczął utyskować, i oni zaraz przypadli do okien; a ja siedząc na chałupnym progu, skoczyłem, i zamknąłem sienne drzwi. Oni kazali się puścić do chałupy, a jam się nie odzywał, tylko żona moja i matka odzywały się do niego, niechcąc go puścić. Mówili, że nie wiemy kto ty jesteś, a męża nie ma w domu, gdzieś na kosowicy w polu. Oni rzucili się do drzwi, i najpierwéj on wziąwszy drąg, zaważywszy drzwi, trochę odważył, a potem sam sobą począł się cisnąć i leźć do sieni, a jam go wtenczas postrzelił. A on tylko mi załajał, i kolegom kazał: palcie chałupę! Oni poczęli krzesać ognia, nie mogli zaraz skrzesać; a potem on Doboszczuk kazał im, żeby zabrali z niego moderunek, mówiąc: „Jeszcze ja ztąd mogę pójść.“ Ci zebrawszy z niego moderunek, wziąwszy go z sobą, poszli w las; a mój pies jeszcze na onych utyskując, poszedł za nimi sobie w las. Ja obawiając się więcéj opryszków, uszedłem na wieś, szukając pomocy. Przypadłszy do jednego gospodarza i do drugiego, nie zastałem onych w domu, tylko białogłowy; gospodarze byli na kosowicy dworskiéj, i ataman z nimi. Tak ja, jako i mój ojciec i matka, przez całą

noc nie żebyśmy spali; aleśmy się po chwastach, po burzanach kryli. Jednakże przy tem poszedłem do karczmy, jeżeli nie zastanę dla swego sukursu ludzi; alem nie zastał, tylko trzech na warcie przydanéj aręndarzowi, jako jest zwyczaj tego; ci trzej ludzie od karczmy odstąpić nie mogli. A tymczasem Pan Bóg dnia szczęśliwego dał się doczekać, to jest 24 sierpnia roku teraźniejszego, a saméj uroczystości ś. Bartłomieja Apostoła i męczennika. Dzień szczęśliwy otworzywszy się, ludzie z gromady zszedłszy się, tudzież duchowni tamtejsi Kosmaccy i arędarz, szukaćeśmy po wsi, po sianożęciach, po chaszczach poczęli. Na odgłos psa mego trafiliśmy na to miejsce, na hony dobre ruskie odewsi. W chaszczu, pod drzewem smerekowym naleźliśmy jeszcze żywego Olexę Doboszczuka: w gugli zadubionéj, w sieraku takowymże, w koszuli w oliwie zatłuszczonej, i w smole umaczanéj, gałęziem przykrytego, i pieniędzy tynfów jedynaście przy nim. Pytałem się onego, coś ty miał za sprawę, coś miał za racyą na moje życie i na mój dom nachodzić; jeżeli cię kto nie namówił na mnie? Odpowiedział Doboszczuk: Czy mię kto namawiał czy nie namawiał, taka mi śmierć przyszła. Pytali się duchowni, co należy do chrześciańskiéj duszy: Potrzebujesz spowiedzi? i pragniesz przyjąć najświętszy Sakrament? Odpowiedział: *Już ja sakramentowawsia i spowidawsia w tot czas, w kotryj postupywem na toju dorohu.* Pytany o skarby, gdzieby się znajdowały? Odpowiedział: „W połoninie w Czornohorach, Bóg wie, ja wiem; ziemia to korzystować będzie, nie ludzie„. Moderunek zaś, czyli strzelbę jego, jako to: pistolety, czeszynkę jego, zabrali opryszkowie natenczas, kiedy był postrzelony, gdyż sam swoich pobratymów o to prosił, aby mu w jego słabości ulżenie uczynili; jakoż i zabrali. Pytany Doboszczuk, zkądby i kogo miał z sobą opryszków, powiedział: Jedyn Wasyl Bajurak

a drugi Paweł Orfeniuk, a ten ma być siostrzeniec jego. A nie powiedział z których wsiów, tylko z powieści ludzkiej, Stefan Dzwińczuk wyznaję, że Wasyl Bajurak ze wsi Dory, a Paweł Orfeniuk ze wsi Jamnéj być mają.

W tym czasie będąc konającym Doboszczuk we wsi Kosmaczu, nadjechał Jmćpan Kolendowski, gubernator Jabłonowski, i w prędkim momencie tenże Doboszczuk przy nim i przy ludziach gromady Kosmackiéj skonał. Po śmierci wzięto ciało na wóz, wieziono po wsiach, obwoływano i publikowano całemu pospólstwu, i w mieście Kołomyi, w ratuszu, toż ciało lokowano *)."

Bajurak i Martyńczuk.

Przerzedzone już znacznie kupy opryszków, rozpierzchły się zupełnie ze śmiercią Dobosza, i przez kilka następnych lat nie słychać było o żadnym rozboju w tych stronach. W roku 1750 pokusił się o nie na nowo Ihnat Bajurak, jeden z Doboszowych rozbitków. Wziąwszy z sobą dwóch Wasylów, z których jeden był synem jego, drugi siostrzeńcem, zwerbował jeszcze kilku innych, to z Węgier, to z Wołoszczyzny, i jako watah prowadził ich do ziemi węgierskiéj. Na drodze popili się okropnie, i kłótnie z sobą rozpoczęli. Kiedy Bajurak, gorzałką rozmarzony, w najlepsze sobie zasypia, pobratym jego Hryhor Martyńczuk, rodem z Jasienia węgierskiego, podmawia trzeźwiejszych towarzyszów, ogłasza się ich watahem i prowadzi do Węgier, opilca owego na drodze zostawiając. Przyszli do wsi Byczkowa na Węgrzech, niedaleko Sehotu, a był między niemi jeden Byczkowianin. Zdarzyło

*) Porównawszy szczegóły tu opowiedziane ze znaną pieśnią gminną o śmierci Dobosza, tudzież to, co lud o monastyrze Skicie rozpowiada, z pomnikami piśmiennemi, przekona się każdy, j k mało polegać można pod względem prawdziwości zdarzeń na podaniach i pieśniach ludu, nawet wtedy, gdy tą niemal spółczesne samym wypadkom.

się we dworze, że pan wybił był służącego, czyli jak powiadali opryszki, pokrzywdził, i ten czyhał tylko na zemstę. Skoro więc wieczorem podstąpili zbóje pod dwór, złączył się z nimi ów sługa, i o wszystkiem ich jak najdokładniéj zawiadomił. Było ich ośmiu. Zostawił Martyńczuk czterech na straży a samoczwart do dworu wpadłszy, zabił, jak pobratymi jego powiadają „jednego niemca starego, drugiego młodego, niemkinię jednę i dziecko.“ Zabrał potym pieniędzy czterysta bitych talarów, strzelb cztery, pistoletów par trzy, i dwie szpady, innemi rzeczami wzgardzając. Z paju dostało się każdemu po pięćdziesiąt talarów, a że to już było w jesieni, do domów się rozeszli. Bajurak tymczasem, po przebudzeniu się, opuszczonym się widząc, udał się na Wołoszczyznę, tam nowych sobie hultajów zebrawszy, przewiózł się czółném przez Czeremosz, i w Różnowie żyda, a w Pererowie dwór zrabował. Ruszył za nimi Przyłuski, połapał winnych, i odstawił do sądu. „Gdy zajechał zimujących w Douhopolu opryszków pan półkownik Przyłuski, opowiada Iwan Bojko, jeden z pobratymów Martyńczuka, mój gospodarz, na imię Mykita Kalinicz, na razu utaił mię był w słomie, a potém do lasu wyprowadził. Gdym wrócił z lasu, chciał mię golić, a to dla tego, żeby mię był zarznął, a pieniądze zabrał, o których wiedział, żem miał talarów bitych czterdzieści przy sobie. Nie dałem się mu golić, pomiarkowawszy, że w nocy nie na dobre mi to wyjdzie. Wtedy dopiero wydał mię pomieniony gospodarz, a tak nas zabrano i oddano do sekwestru Kuckiego.“

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Słówko o monografiach historycznych — Historya i romans — Kto ma prawo należeć do historyi? — Cmentarz powązkowski i Taniec umarłych — Pomysł o zebraniu starożytnych nagrobków — Wzory sztuki Średniowiecznéj w Polsce i zagadka: Jaki jest charakter polskiéj sztuki?

Zdawałoby się, biorąc rzeczy w logicznym porządku, że z dobrze poznanych i przetrawionych cząstek, można dopiero całość zupełną układać; z poznania drobnych sprężyn, i na pozór oderwanych faktów, z ocenienia działających w nich charakterów, wyprowadzać ogólne spostrzeżenia i wnioski odnoszące się do całych epok. Przynajmniej w pisaniu historyi warunek ten byćby powinien niezbędny; bo jakżeż można ręczyć za pewność wniosku, jak uznać trafność poglądu, jeżeli niema danych, jeżeli prócz gołego nazwiska człowieka, niebędziemy o nim więcéj wiedzieć jak że taki lub inny tytuł nosił, urząd piastował? jeżeli o jakim wypadku sądzić mamy li tylko z oficyalnej relacyi, a nie z wrażenia, i wpływu jaki mógł na społeczeństwie zrobić?

Tymczasem zazwyczaj dzieje się przeciwnie. Ogólne historye idą przed historyami pojedynczych narodów; te, poprzedzają dzieje osobnych okresów i panowań szczególnych; ostatnie zaś zwiastują dopiero obrazy historyczne pewnych głośniejszych traktatów, wojen i innych dziejowych zjawisk, a między tymi i monografie pojedynczych ludzi.

Wsteczne to napozór postępowanie, ma jednak swoją uzasadnioną przyczynę, swoją konieczność. Naród się bowiem pierwéj interesuje poznaniem ogólnych dziejów świata, którego jest cząstką, pierwej zwraca uwagę na koleje jakie przebył, pierwéj czerpie pojęcie i uczucie wielkości swych przeznaczeń, niż pyta o dokładność szczegółów, bo szczegóły albo mu są wiadome z żywo przechowującéj się tradycyi, albo też zapisane w aktach domowych, ukrywanych zazdrośnie. W późniejszych dopiero latach dziejowego życia narodu, kiedy pewne epoki odbiegły w głąb, kiedy się wiele tradycyjnych włókien porwało, rozpoczyna się na obrazie wielkiemi rysami oznaczonym, miniaturowa praca szczegółów: wypełniają się puste, lub nieokreślone miejsca, barwią się twarze, światło w cień zaziera, występują całe postacie ożywione i działające.

Tego rodzaju praca odpowiada zupełnie potrzebom dzisiejszéj badawczości usiłującéj wszystko wyprowadzić na widownię, aby odkryć najtajemniejsze sprężyny poruszające wypadkami i ludźmi, i o nich sąd potomny, sąd historyi wydawać. Nieoceniony jest to przywilej, niezmierna potęga, przed którą staje wszystko: wielkie i małe, rozumne i ciemne, szlachetne i podłe, zbrodnicze i cnotliwe, aby odebrało swoją nagrodę złą czy dobrą, a współczesnym na wszelkich stopniach hierarchii społecznéj, niosło ostrzeżenie i przykład. — Szczególniej co do bliższego poznajomienia się z osobami stojącemi bądź u steru władzy, bądź mającymi wpływ na sprawy kraju, zwyczajnymi lub wyjątkowymi, statystami, hetmanami, mężami kościoła, myślicielami i uczonymi — wiek dzisiejszy zrobił i robi wiele. Coraz wyłania się jaka postać z mroków dziejowych, któréj rysy uzupełnione i uwydatnione, a często i powiększone tym szkłem co patrzy *con amore* na swój przedmiot, przybliża nam odległe czasy i ledwo nieuobecnia.

Historyczne prace przyjąwszy u nas ten kierunek mają tę niepoślednią zasługę, że dzisiejsze pokolenia wiążą z umarłemi, zapomnianemi pokoleniami; ludzki węzeł uczuć, namiętności, czynów, pragnień, ofiar i cierpień, zadzierzga się na nowo, pasma duchowe splatają się, i co minęło, nie ginie, ale ożywia się w pamięci. — Ile zaś to podnosi moralną stronę, łatwo zrozumieć. Charakter wielki, niezłomny, jednego odlewu, ma zawsze coś sympatycznego, udzielającego się, i że tak powiem: zaraźliwego, w dobrem znaczeniu. Stary to pewnik jeszcze od czasów Plutarcha, od tego Plutarcha w którego żywotach nietyle podziwiam jego znajomość starożytności, w obyczajach, nawyknieniach i najskrytszych postępkach życia bohatyrów, ile wielkie uszanowanie dla nieszczęścia, i gorącą miłość cnoty — bo cnota i nieszczęście to główne przedmioty jego czci — po bogach. —

Monografia historyczna ma więc dziś podwójne znaczenie: moralne i scientyficzne; sama bowiem umiejętność zyskuje na tem, gdy w dramacie dziejowym pokazują się nam, nie grobowe tablice z gołem imieniem, ale potęgi dające się z każdéj strony obejrzeć.

Guizot rozumiejący zadanie historyka, bo sam i wiele mówił i zrobił w tym przedmiocie, niedarmo przywiązał niepoślednią wagę do monografii, powiadając: *des monographies étudiées avec soin me paraissent le moyen le plus sûr, pour faire faire à l' histoire de veritables progrès.*

Że monografie są widocznym postępem w nauce historyi, że wiele przyczyniają się do rozbudzenia dla niéj interesu powszechniejszego, możnaby to i u nas pokazać kilkoma przykładami.

Monografie M. Balińskiego, Szajnochy, Bartoszewicza, M. Dzieduszyckiego, który w swoim Zbigniewie Oleśnickim, i Skardze, zamknął prawie dwa wieki kościoła i

Rzeczypospolitéj, i zapaleniem tych dwóch pochodni rozjaśnił głębiej mroki przeszłości niż ktokolwiek przed nim uczynił; — monografie te mówię, nie tylko spoufaliły nas z przeszłością, ale wlały w nią interes rzetelniejszy, bo zasadzony na tym wrodzonym pociągu do śledzenia tajemnic natury ludzkiej, czy ze strony serca, czy charakteru, czy umysłu, czy fantazyi. Ukazanie jednej całkowitéj postaci, pociąga za sobą poznanie innych, a zatem i poznanie wszystkiego co je otaczało w spółczesnym świecie; ztąd przez ściślejsze badania poprzestające na mniejszym obrębie, zdobywają się pewniki, odsłania się *prawda*, ten najwyższy cel historyi, ta prawda co ma jeszcze tę własność, że bardziej ku sobie pociąga niż najartystyczniejsze zmyślenie.

W rzeczy saméj nic większego niedodaje uroku historyi, jak prawda wydobyta z pomroku czasów, zawikłań, nienawiści, namiętnych uprzedzeń — bo daje rzeczywistość taką, jaka była, jaka jest i będzie. Obok prawdy historycznéj, jakże bladym jest każdy romans! Dziwić się potrzeba, że smak publiczny nad historyę romans przenosi, jakby to w historyi nieznalazło się to wszystko co się mieści w romansie? W niej przecież spotykamy życie ludzkie, życie domowe, wewnętrzne, z najrozmaitszemi i najdramatyczniejszemi scenami, widzimy serce ludzkie z najżywszemi i najtkliwszemi namiętnościami, a wszystko skąpane w nieporównanym uroku, bo w uroku rzeczywistości. Podziwiam i unoszę się jak każdy inny, nad władzą wyobraźni i fantazyi władzą twórczą, wywodzącą z niczego postacie, które ożywia, barwi, każe im żyć i ruszać się, — rozsypującą skarby duszy po najzawilszych kolejach losu; lecz obok tych połóżmy osoby, co żyły rzeczywiście, co przeszły nie przez urojone rózgi losu, co wrzały gorączką krwi, namiętnością, co doznały radości i smutków, rozkoszy i cierpień robiących na nas zazwyczaj tak potę-

żne wrażenie — a przekonamy się że osoby takie pokazane zbliska, poufale, w świetle dnia, daleko silniéj przyciągną i głębiej utkwią w duszy, niż najokrzyczańsze utwory poetyczne i romansowe. Jeżeli istota żyjąca, to dzieło rąk bożych ukaże się nam w rysach przypominających boskie jéj pochodzenie, natenczas piękniejszą jest niż najzawołańszy płód wyobraźni człowieczéj. Pan Bóg bowiem największy podobnoś ze wszystkich poetów. — Romantyczność przygód, uczuć romansowość, charakterów idealność, spotyka się nieraz w rzeczywistości — dlaczegożby niemogła znaleźć miejsca pod piórem historyka? Dzieje namiętności ludzkiej dawniejsze są przecież niż oficialne traktaty, kongresy, manifesty, uniwersały, rozprawy sejmowe i t. d. w nich też bywa właściwe źródło tych publicznych objawów tak zazwyczaj suchych, a zapisywanych tak skrzętnie w rocznikach narodów.

Monografie, jak mówiłem, najwięcéj nastręczają sposobności odsłonienia stron wewnętrznych, psychicznych człowieka, przez co nietylko dostarczają historyi ogólnéj gotowych i zupełnych postaci i robią ją prawdziwym dramatem życia, ale nadto podnoszą czytelnika do téj wysokości moralnėj na jakiéj stał mąż będący tych studiów przedmiotem.

Z tego wynika pewna konieczność w wyborze osób mających niepospolite w historyi znaczenie, a sądem świata uznanych za coś wyższego, przodkującego społeczeństwu czynami poświęceń się, pracy, nauki, charakterem, męstwem, bystrością organizacyjną, wytrwałością nie dającą się złamać przeszkodom.

Widzimy w składzie towarzyskim miliony jednostek pełniących obowiązek włożony na nie pozycyą, stanem, majątkiem, powołaniem, pełniących źle lub dobrze — w to nie wchodzę — ale zawsze krążących w tym deptaku który zowiemy życiem powszedniem—zasługi ich

lub grzechy osądzi sędzia Najwyższy — w Niebie—, osądzą ich znowu po ludzku, krewni, znajomi, najbliżsi sąsiedzi—ale kraj cały, a jeszcze mniéj świat, nie może się nimi tak interesować, żeby aż potrzebował wiedzieć wszystkie szczegóły ich życia prywatnego, nie wychodzące po za obręb zwyczajności. Takie i tym podobne jednostki, choćby im powznoszono monumenta trwalsze od spiżu, nie miałyby nigdy prawa zajmować naszéj uwagi, chyba samemi monumentami, gdyby te miały wartość dzieł sztuki. — Dla téj przyczyny, mniemam dość naturalnéj, pisarze monografij historycznych wymijają zazwyczaj te jednostki co nie przerastają głową społecznéj rzeszy, co w niéj toną jak krople w morzu, a wysadzają takie, co były głośne za żywota, co zostawiły po sobie niezatarte ślady instytucyów, dzieł pisanych, malowanych, rzeźbionych, dobroczynnych zakładów, wynalazków, ulepszeń, co wreszcie życiem swojem przyłożyli się bądź do wielkości Rzeczypospolitéj, bądź do jéj upadku. Scena historyi—to wielka arena, a nie teatr maryonetek.

Dziwi to więc, kiedy u nas, w tak jeszcze niedoskonałéj gałęzi historycznéj, natrafiamy na produkcye monograficzne uwłaczające niejako temu rodzajowi. Czemuż zawsze z użyciem, chodzi u nas w parze nadużycie? Czemu mając zaledwo kilka monografij godnych tego nazwiska, wyraja się zaraz cały szereg monografij osób zupełnie, lub bardzo mało znanych narodowi, osób o których wprawdzie dało się napisać wiele, bo o kimże napisać coś nie można? ale, nie idzie zatém, aby na wielkiéj szali zasług, stały one wyżéj od tych, co nie znalazły swoich biografów, lub co mają szczęście, czy nieszczęście, spoczywać snem wiecznym gdzieindziéj jak na powązkowskim cmentarzu.

Chcę tu mówić o publikacyi znanego i zasłużonego pisarza naszego K. W. Wójcickiego, która drugi już rok

zeszytami wychodzi pod tytułem: *Cmentarz Powązkowski pod Warszawą.*

Dziennikarskie nekrologi tyczące się osób mniéj więcéj znanych w kołach towarzyskich a gasnących codziennie, dają się zupełnie usprawiedliwić — bo pamięć ich, choćby najjaskrawszym wieńcem pochwał nakryta, niema najczęściéj pretensyi do dłuższego trwania w pamięci narodu, jak żywot dwudziestoczterogodzinny zadrukowanego na wszystkie boki arkusza. Lecz aby dzieło osobne, aby pióro tak zasłużone poświęcać wspomnieniom tylu nieboszczyków, skazanych z natury swéj na zapomnienie,—nie widzę wyższéj przyczyny, chyba tę, że autor chciał nam dać przedstawienie średniowiecznego tańca umarłych, *danse Macabre,* gdzie śmierć z kosą zmiata głowy ukoronowane, umitrzone i utrefione, zarówno z nieczesanemi—chudego pachołka z senatorem, klechę z prałatem, żołnierza z hetmanem. Zapewne, widok to budujący i nauczający o marności rzeczy ludzkich obracających się w proch niwellującéj nicości — ale zdaje mi się, że nie o to szło szanownemu autorowi Powązkowskiego Cmentarza. Chciał on po prostu wziąść pochop do napisania żywotów tych osób, co spoczęły na Powązkach, a zasługami życia zarobiły sobie na pamięć u potomności.

Wszakżeż wyraźnie odstępuje od téj myśli, gdy powiada w przedmowie, że Cmentarz powązkowski jest jak księga zawsze otwarta, któréj pierwsze kartki on zaczyna, „a czas je daléj i obca już ręka zapisywać będzie“,— więc potrzeba rozumieć, że nie same wybrane żywoty zasłużonych osób, ale stek nekrologów, pisanych zapewne w żalu przez krewnych, przyjaciół, znajomych, znajdzie tu swoje pomieszczenie, zwyczajnie jak na cmentarzu.

Dogodny to jest pomysł dla serca a i dla wielu miłości własnych, ale nie bogacący literatury naszéj interesującemi i ważnemi biografiami.

Wiedząc tylko z posłuchu o téj publikacyi szanownego Wójcickiego, wyobrażałem sobie że on pochop weźmie do swoich żywotów z tych tylko grobów co kryją znamienitsze kości, i że kreśląc takie wspomnienia, da coś w rodzaju skończonych monografii. Tymczasem gdy mię doszły wydane dotąd zeszyty, przekonałem się że to jest zbiór nekrologów, gdzie między stekiem imion znanych na jednéj może ulicy, a dziś nie obchodzących nikogo chyba najbliższych potomków w prostéj linii (którzy jeśli mają pamięć serca, to im przypominać nie trzeba) zawadzi się tu i owdzie głośniejszy i zasłużeńszy nieboszczyk. Jakoż na paręset nazwisk kilka ledwo, jak: Malczewskiego, Żółkowskiego, Dmochowskiego Fr., Godebskiego, Majewskiego Skorochoda, Ludwika Osińskiego, Kruszyńskiego Jana, Krzyżanowskiego Adryana, Rakowieckiego i kilku Pijarów, może mieć dla ogółu czytelników żywszy interes; chociaż niewiem dla czego przy bogactwie biograficznych zasobów autora, znajdujemy zamiast pełnych żywotów tylko słabe wzmianki, i szczegółki dopełniające to, co już zkąd inąd ma być wiadome. Zamiast tedy takich ułamków jakie podane są o Malczewskim, Godebskim, Dmochowskim i o wielu innych, miło byłoby nam czytać doskonale wyczerpnięte żywoty. Natomiast autor innéj chwyta się metody; do lada wzmianki o jakiéj osobie (nie spoczywającéj na cmentarzu powązkowskim) dodaje długie przypiski, co wszystko tworzy prawdziwą mięszaninę, magazyn biograficzny, z którego zawsze można czerpać materyał, ale który nie tworzy umiejętnie i artystowsko pomyślanego i obrobionego dzieła.

O to mi właśnie idzie i na to kładę nacisk: że zamiast udatnéj całości, znalazłem mięszaninę biograficznych, nieprzetrawionych notat. — Chociaż z drugiéj strony nie mogę powiedzieć, żeby autor nie trzymał się pewnego planu; owszem trzyma się z ścisłością prawie do stron-

niczości posuniętą, a to szczególniéj z tego względu, że wyraźnie stroni od nagrobków tych osób co miały tytuły, zaszczyty, wysokie urzędy cywilne lub wojskowe, a nawet duchowne; za to szeroko rozwodzi się o Dziubińskim, Zakrzewskim teorbaniście, Widackim i tym podobnych; co zaś się tycze artystów dramatycznych i wszelkiego rodzaju muzykusów, tym już poświęca bardzo szczegółowe opisy i zatrzymuje się dłużej niż to wszystko warte.—Przyznam się jednak, że daleko więcéj zainteresowałaby mię biografia Prymasa Poniatowskiego, Stanisława, Antoniego, Franciszka Potockich, nie wchodzę pochwalna, czy gańiąca, ale zawsze odnośna do ludzi których, jak mówi Pasek: w kaszy zieść nie można. Niechcę przesądzać, lecz może być że autor nie miał materyałów do napisania o nich; chociaż na brak materyału względem innych nieboszczyków wcale narzekać nie może. Ta sprawiedliwość oddana cieniom byłaby rzeczywiście na swojém miejscu; surowo sądzić ich można, pomijać zaś lub niczem zbywać—nie godzi się.

Teraz jeżeli mi wolno jeszcze jedną zrobić uwagę — powiem, iż nie tyle może ze złéj chęci autora porodziły się te różne niestósowności, ile wola jego uległa źle obmyślonemu planowi który go wciągał w niepotrzebne gadaniny o dawno zapomnianych ludziach. — Obszerne wiadomości historyczne, obfitość studiów, mogły były naprowadzić szanownego Wójcickiego na pomysł szczęśliwszy, a odpowiadający dwóm zarazem celom. Komuż, jeżeli nie jemu przystało obdarzyć kraj zbiorem starych monumentów rozsypanych po kościołach ziemi naszéj? Byłaby to spuścizna wzięta wprost po Starowolskim, lecz podniesiona krytyką historyczną i uzupełniona środkami dzisiejszéj sztuki; co zaś do trudu zbierania napisów i rysunków, takowy wyrównywałby mozolnéj a mniéj wdzięcznéj pracy około spisywania żywotów powązkowskich nieboszczyków, których po większéj części można

było nie ruszać, gdy tak sobie spokojnie odpoczywali na łonie wieczności. Że dzieło podobne nie przedstawiałoby nadzwyczajnych trudności, wiemy ztąd, iż znaczna część grobowych pomników obrobioną lub spisaną została w monografiach różnych miast jak: Krakowa, Warszawy, Lwowa, Poznania, Tarnowa, Wilna, Przemyśla, oraz w wycieczkach przedsiębranych przez naszych archeologów.—Zapewne nie jeden napis może być mylnie podany, nie jedno wytłumaczenie fałszywe, a historyczny domysł płonny; lecz zawsze tyle jest zrobionego, że dodawszy poprawki, i to co opuszczonem zostało, łatwo dałaby się wspaniała całość ułożyć. — Zebranie podobnych materyałów nie podpadałoby nawet wielkim trudnościom; bo cóż łatwiejszego jak zobowiązać tu i owdzie z miejscem obeznane, a historycznéj nauce nie obce osoby, któreby wiernie kopiowały napisy kamieni grobowych, jeżeli napis jest z nowszych czasów, lub robiły odciski z nich, jeżeli kamień sięga 15go, 14go lub 13go wieku — lub nakoniec wzywały pomocy dobrych rysowników do zdjęcia monumentu, jeżeli tenże zasługuje na to pod względem sztuki. Archiwa radzieckie, kościelne, mogłyby nieraz przybyć w pomoc z niejedną historyczną skazówką tyczącą się nagrobka; tym sposobem zyskiwałyby się dla historyi publicznéj i familijnéj ciekawe, a pewne skazówki, przeciw którym nie śmiałby nikt dotknięty czy nieukontentowany niedostateczną pochwałą protestować, chyba archeolog lub historyk za pomyłkę lub niedokładność.— Pióro historyka miałoby także piękne pole rozwinąć swój lot ilekroć trąciłoby o święte lub wielkie prochy jakiego bohatyra narodu, a czytelnik znachodziłby jeszcze tę niezrównaną przyjemność, że pytałby dobrze odwzorowanych rysów śpiącego snem kamiennym bohatyra, o potwierdzenie tych dzieł i uczuć, jakie o nim zanotowała historya. Ta przeszłość narodu w monumentach, co znikają co-

dzień, co w większéj połowie znikły już ze świątnic — tworzyłaby rzec można, źródłowy dokument do historyi naszéj. Dotąd posługiwano się zazwyczaj Starowolskim, choć jego spis napełniony tylą myłkami przepisywaczy, choć w nim opuszczone są prawie wszystkie napisy gotyckie, których paleografi owcześni czytać już nie umieli, czy nie chcieli. Praca ta sama prosi się aby ją podjęto; i dziwię się, jakim sposobem z tą miłością do starożytnych zabytków tak dziś hucznie otrębywaną, tak exploatowaną na wszystkie boki, nikt się nie zabrał do niéj, nikt ją nie uznał za potrzebniejszą, za naglejszą, niż publikacyę *Wzorów sztuki średniowiecznéj;* które to wzory świadczą wprawdzie o bogactwie pradziadów, a nawet niekiedy o dobrym ich smaku, ale jeszcze nie dają świadectwa żeby wszystkie miały być owocem sztuki wylęgłéj na naszéj ziemi. — Kto potrafi zaręczyć że każda monstrancya, każdy kielich, każda broń, każdy naszyjnik, klejnot, rzeźba, obraz, zbroja, umieszczone tamże, były dziełem polskiego złotnika, płatnerza, rzeźbiarza, malarza, itp.? Niechcę tu bynajmniéj uwłaczać szlachetnemu pomysłowi wydawców *Wzorów sztuki średniowiecznej*, ale do tego zmierzam, że każde położenie ma swoje naglejsze potrzeby, że kto, z przeproszeniem, butów niema, niepowinien sprawiać sobie żółtych rękawiczek. Toż w stanie dzisiejszym naszej ogólnej krajowej kultury, powinniśmy unikać zbytkowych przedsiębiorstw, czyli takich, co przystoją li narodom rozwijającym się samodzielnie na prawach ciągłego doskonalenia się w administracyi, gospodarstwie, umiejętnościach, sztuce, przemyśle i fabrykach; przejmowanie bowiem ostatecznych rezultatów kultury od narodów wysoko stojących w cywilizacyi, i zaszczepianie ich na nieprzygotowanym do tego gruncie, przybiéra znaczenie kaprysu mody, pochlebiać może dumie narodowéj, ale nie czyni narodu bogatszym w rzetelną zdobycz wynikłą

z ciągłej pracy i usiłowań. Francuzi bardzo wiele dzieł poprzedniczo wydali, ozdobnych i nieozdobnych, zanim przyszło im na myśl publikować *Le moyen âge et la Renaissence;* u nas niebyło nic przygotowawczego, i od razu zdobyliśmy się na to samo, jakbyśmy chcieli pokazać światu: patrzcie i u nas są zabytki sztuki nieustępujące francuzkim, i u nas są artyści co je powtórzyć potrafią złotem i farbami chromolitografii! — Tymczasem zapomniano o tem że francuzi mając dzieła ściśle umiejętne w których obrobili i roztrząsnęli różne gałęzie sztuki w rozmaitych wiekowych przejawach, a wszystkie zabytki wprzód zdeterminowali, ocenili, zamknęli w porządny systemat wynikły z charakteru tych zabytków — dopiero pomyśleli o dziele więcej przystępnem dla tej massy czytelników co niepoświęca się wyłącznie archeologii, lub historyi sztuki, coby rada zakosztować owocu badań, bez współudziału w jego uprawie i pielęgnowaniu. Takiego rodzaju dziełem, jest właśnie *Le moyen âge* — które znowu porodziło nasze *Wzory sztuki średniowiecznej.* Ilekroć też rozmyślałem sam w sobie, a i drugich pytałem o zdanie, jaki cel jest tego zbiorowego i przepysznego dzieła; jaki wpływ mieć może na naszą kulturę, w czem przyczyni się do wyświecenia przeszłości; czy będzie kluczem do determinowania i oceniania zabytków starożytnych; czy nam da lepiej poznać życie domowe przodków, stan rzeźby, malarstwa, rzemiosł, fabryk? Nieumiałem sobie i mnie nieumiano coś więcej odpowiedzieć, jak tylko: że Wzory sztuki średniowiecznej, mogą się niezmiernie przydać naszym malarzom i pisarzom powieści będącym często w kłopocie jak ubrać swoich bohatyrów, na czem ich posadzić, jak uzbroić itp.

Przyznam się że dużo zachodu i kosztu dla tak małej dogodności, zwłaszcza że czy poecie czy malarzowi nie na wiele się przyda biegłość archeologiczna, jeżeli tak jeden jak drugi nie mają poczucia i znajomości wewnę-

trznego człowieka, jeżeli i jeden i drugi nie rozumieją ducha minionych wieków.

Takie to mniéj więcéj zdanie formowano sobie o celu i znaczeniu publikacyi *Wzorów* — gdyż samego ucieszénia wzroku, lub pochełpienia się bogactwem, nie mogę liczyć do celów.—Przyczyna jednak dla któréj nie umiemy sobie zdać sprawy z tych dawnych zabytków odkopiowanych z takim przepychem i sumiennością, tkwi, zdaniem mojém, nie w samém dziele, którego intencya była najzaszczytniejsza, ale w tém, że nikt po dziś dzień nie umie sobie odpowiedzieć na pytanie: jaką jest sztuka polska, i w czem jéj charakter odrębny?

Ambarasujące to pytanie jeden tylko Sobieszczański najwięcéj objaśnił przez zgromadzenie i z grubsza uporządkowanie wszelkich zabytków starożytnéj Polski tak w architekturze, jak rzeźbie, malarstwie, wyrobach, sprzętach, itp.—Dzieło jego—to ojczyste muzeum—w którém pokazuje co znalazł w naszéj ziemi — co zachowały podania i opisy — i dając przykład jak daléj iść należy, nie sili się rozwiązać zagadki — ale po prostu materyał archeologiczny gromadzi, ogląda i porównywa.— Gdyby jego przykładem daléj prowadzono tę pracę na skromny przedsięwziętą rozmiar, możebyśmy i doszli nakoniec tych głównych, a wyrazistych znamion sztuki polskiéj, którą zapowiadamy *a priori*, nie mając pewności czy były jakie osobne znamiona odróżniające sztukę polską od włoskiéj, niemieckiéj itp. Nie podlega bowiem najmniejszéj wątpliwości, że z nabytkami obcéj cywilizacyi przychodzącéj do nas z różnych stron, przychodził i popęd do sztuki — ale pytanie zawsze zostaje nierozstrzygnięte: czy na przedchrześciańskiéj płonce szczepione uczucia i pojęcia artystyczne, przybierały z czasem jaki słowiański charakter?

Gdyby szanowni wydawcy *Wzorów sztuki średniowiecznéj w Polsce* w dołączonych opisach do rycin, tłuma-

czyli każdy wzór, czyli zabytek sztuki, w sposób uczący nas, w czém są cechy sztuki polskiéj i gdzie ich upatrywać należy, i jaką ideję wyrażają, co symbolizują? natenczas niktby nieśmiał i nie potrzebował pytać o wyjaśnienie celu publikacyi; historyk każdy zabytek wiązałby zaraz z epoką jego powstania i miałby wyobrażenie o stopniu kultury—artysta zaś wierząc że pod tą formą wyrażał się duch narodu, rozmyślałby i tworzył sobie pojęcia o kierunkach narodowéj sztuki, które mogłyby niejako zastąpić tradycyą, tę tradycyą tak trudną do odszukania, iż niektórzy przypuszczają że jéj nigdy nie było. Przypadkowie tylko wpadłem na tę materyą i zatrzymałem się dłużéj, nie żeby ją wyczerpać do dna — lecz że mi dostarczała ważnego argumentu, o niestósowném przyswajaniu sobie ostatecznych wyników obcéj cywilizacyi i kultury — czyli o tych forsownych skokach, które mogą zdumiewać, ale rzetelnego postępu nie dają, raz że nie są wyrazem żadnéj potrzeby rzeczywistszéj, po drugie że tylko to nosi znamie własności narodu, co z niego wychodzi i na jego ziemi dojrzewa.

Poszło to jak mniemam, z potrąconego projektu o wydaniu nagrobków—który, acz się tak prosty wydaje a tak dostępny, że tylko poń rękę wyciągnąć—czemuż ciągle był wymijany dla jakichś wyrafinowanie szczytnych celów sztuki, których dotąd na horyzoncie naszym dopatrzyć się trudno?

Lucyan Siemieński.

PAŃSTWO I OPOZYCYA.

Dziwnym jakimś zbiegiem okoliczności, rzecby można fatalnością, zawsze prawie pisać wypada na tem miejscu o przedmiocie, sprawie lub kwestyi, któréj jeszcze ostateczny wypadek piszącemu nie jest znany. Wymagalności konieczne, materyalne, wydawnictwa pisma nie pozwalają oczekiwać wiadomości choćby nawet telegrafem przesyłanych. Tak było w roku przeszłym z konferencyami i traktatem paryskim; tak w tym roku ze sprawą neufchatelską, duńsko-niemiecką; tak niedawno z wyborami angielskiemi; tak i dziś nakoniec, gdy skreślić wypada charasterystykę ruchu jaki się we Francyi objawił, a skutek jego niewiadomy. Wprawdzie, jak dotąd przynajmniéj, wypadek prawie zawsze odpowiadał postawionym zasadom, a o te najwięcéj tu idzie. I bardzo naturalnie: bo skoro dane są premissy, konsekwencya płynie sama z siebie. Skutek odpowiada przyczynie. Gdyby zaś kiedy przeciwnie się zdarzyć miało, byłby to wyjątek dowodzący, albo nadzwyczajnego i nieprzewidzianego obrotu w rzeczach światowych, albo też mylności w rozumowaniu. O jedno i drugie zresztą nie trudno.

Od lat sześciu, powiedzieć można, nie było we Francyi żadnego objawu ruchu opozycyjnego. Do takich objawów liczyć nie można, tu i owdzie odkrytych pokątnych spiskowań, ani też rozruchów socyalistycznych w Angers i towarzystwa *Marianne*, ani wreszcie protestacyj wychodźców francuzkich bądź w Anglii bądź w Belgii. Opozycya krajowa, legalna, nader słaba schroniła się do kilku dzienników, pozostałych organów dawniejszych stronnictw. Tam nader ostrożnie przemawiała ona z ubolewaniem, że życie polityczne ustąpiło z Francyi, że naród już nie bierze ani chce brać udziału w sprawach obchodzących rzecz publiczną; przypisywała to bądź obawie grożącéj zawsze mary socyalizmu, upiorowi rzeczypospolitéj czerwonéj, bądź znużeniu i płynącéj z tego źródła obojętności, bądź utracie swobód parlamentarnych, bądź nakoniec instytucyom cesarstwa niedozwalającym opozycyi żadnego czynniejszego objawu. Najsilniejszym też symptomatem opozycyi krajowéj legalnéj, było jak dotąd we Francyi wstrzymanie się od wszelkiego udziału w rządzie ludzi znanych, którzy sobie pod przeszłemi rządami pewne stanowisko i powagę w kraju zdobyli, czy to piastując wysokie godności i urzędy, czy to zasiadając w izbie deputowanych czy w izbie parów, czy w akademii, czy też używając przewagi jaką daje ród starożytny i imie zasłużone, słowem to wszystko co nazywają teraz *znakomitościami*. Trzymanie się na ustroniu, zdala od Tuleryów, legistymistycznéj szlachty, dawnych ministrów, prefektów, deputowanych i uczonych, a to z małemi bardzo wyjątkami było najsilniejszą protestacyą przeciw cesarstwu. To było jedyną opozycyą we Francyi, jak widoczna całkiem bierną. Nie zbywało na ruchu finansowym, przemysłowym, spekulacyjnym; ruchu politycznego jaki dawniéj Francyę cechował, nie było. Owóż ruch taki, a przynajmniéj do tamtego podobny, opozycyjny, wywo-

łały ogłoszone na ten miesiąc wybory powszechne, w celu złożenia nowego zgromadzenia zwanego Ciałem prawodawczém.

Na ruch ten z podwójnego stanowiska zapatrywać się należy: ze względu na Francyę jako cesarstwo, i ze względu na systemat ogólnéj polityki państw europejskich.

Przedewszystkiem atoli, aby ruch ten zwłaszcza we Francyi dokładnie ocenić, przypomnieć wypada wyrazy cesarza Francuzów: „że zadaniem i powinnością państwa nietylko jest rządzić, ale oświecać i kierować.“ Wszelka więc inicyatywa należy wyłącznie do rządu. Stósownie do tego założenia działając, rząd francuski dał powiedzieć można inicyatywę do ruchu o jakim mowa, to jest rząd go wywołał, poddając go pewnym warunkom. Warunki te najlepiéj skreśliła mowa cesarska; mowa w języku parlamentarnym tronowa, wyrzeczona w marcu r. b. przy otwarciu ostatniéj sesyi przeszłego Ciała prawodawczego. Mowę tę przypomina okólnik ministeryalny zwołujący wybory i nie bez przyczyny na nią się powołuje.

„Gdy ta sesya jest ostatnią waszego prawodawstwa, mówił Napoleon III do deputowanych, pozwólcie abym wam podziękował za pomoc czynną i wylaną jakiéj użyczaliście mi od r. 1852. Ogłosiliście cesarstwo, wzięliście udział we wszystkich rozporządzeniach, które przywróciły porządek i pomyślność w kraju; popieraliście mnie energicznie podczas wojny; podzielaliście moją boleść podczas zarazy i głodu; podzielaliście moją radość gdy niebo dało mi chlubny pokój i ukochanego syna; wasz lojalny współudział pozwolił mi zaprowadzić we Francyi rząd oparty na woli i interesach ludu. Byłoto zadanie ciężkie do wykonania i prawdziwego wymagało patryotyzmu, zadanie mające na celu przyzwyczaić kraj do nowych instytucyj. Swawolę mownicy i namiętne za-

pasy parlamentarne wiodące za sobą upadek lub tworzenie ministerstw, zastąpić przez dyskusyę swobodną, ale poważną i spokojną; było to oddać wielką przysługę krajowi i wolności, bo wolność nie ma straszniejszych nieprzyjaciół nad uniesienia namiętne i gwałtowność w słowach."...

Z tego, za co monarcha dziękuje dawnemu zgromadzeniu łatwo wnosić czego sobie od nowego życzy. To stanowisko ciała prawodawczego raz jeszcze określone zostało niedawno temu w *Monitorze*, który zdając sprawę z czynności odbytych w przeszłym zgromadzeniu tak się wyraża:

„Ten obraz prac ostatniego Ciała prawodawczego, wystarczy na wskazanie praw jego do wdzięczności ogólnéj. Mniej czyniąc hałasu od tylu innych zgromadzeń obradujących, lepiej od nich wypełniło ono swój mandat, i znaczniejszy wzięło od nich udział w dobrem jakie przez epokę jego trwania dokonanem zostało. Ciało prawodawcze, obrane z niebezpiecznego przywileju tworzenia i zrzucania gabinetów, z przywileju zamieniania mownicy w piedestał dla ambicyi lub próżności, mogło obradować w ciszy, zdala od namiętności politycznych, w najzupełniejszéj niepodległości od rządu i od stronnictw. Tracąc prawo improwizowania, w pośród rozpraw, owych poprawek, które częstokroć wywracały całą budowę ustawy, Ciało prawodawcze nie utraciło prawa zmieniania lub odrzucania rozporządzeń na któreby przystać nie chciało; przeciwnie, nigdy prawo poprawiania ustawy nie było wykonanem z taką swobodą i z takim skutkiem, nigdy ustawy nie były tak głęboko rozbierane, nigdy nad ważnemi projektami nie objawiały się sprzeczne opinie z większą wolnością i większym talentem"....

Nie było podobno zbytecznem wspomnieć jakiem to zgromadzeniem według myśli cesarskiej winno być Cia-

ło prawodawcze. Do takiego przeto a nie innego Zgromadzenia ogłosił wybory z woli Cesarza minister spraw wewnętrznych we Francyi. Wybory powszechne, złożone z 9,521,220 zapisanych na listach elektoralnych wyborców, powołane są do wybrania 267 deputowanych, rachując jednego deputowanego na 35,000 wyborców. Rząd głośno i otwarcie podał listę swoich kandydatów, ułożoną prawie w całości, z małemi bardzo wyjątkami, z listy deputowanych których mandat sześcioletni się skończył. Obok tego każda kandydatura jest wolną, skoro tylko kandydat złoży w okręgu wyborczym w ratuszu dowód czyli podpis własnoręczny że kandydaturę przyjmuje. Zostawiając ową wolność wyborom, minister oświadcza w okólniku do prefektów departamentowych, iż nie wątpi że „wybory powszechne mianując kandydatów urzędowych, dowiodą raz jeszcze siły rządu jaki ustaliły, a niespostrzeżona mniejszość stronnictw nieprzyjaznych, jeźli ukazać się ośmieli, zniknie w téj ogromnéj manifestacyi ludowéj, gdzie dziewięć milionów wyborców odpowie na głos cesarski“...

Pomimo jednak tak wyraźnie określonych warunków Ciała prawodawczego, i wskazanego kierunku co do zwołanych wyborów, wolność zostawiona kandydaturom, wywołała ruch polityczny, mający raczéj cechę opozycyjną, aniżeli cechę agitacyi wyborczéj za jaką uchodzi. Ruch ten jestże agitacyą wyborczą taką jaka dawniéj we Francyi bywała? Jeżeli nią jest, przyznać wypada, że nader skromną. O ile zdaleka sądzić można, w klasach ludności dla których polityka więcéj jest przystępną, przebija głównie pewna ostrożność i niedowierzanie, jakby w obec nieznanego sobie żywiołu lub w obec zbyt łatwo przewidzianego wypadku. Rząd sam z początku zdawał się obawiać raczéj obojętności w przystąpieniu do wyborów ze strony ludu francuzkiego z powodu zupełnego zaufania w obecnym stanie rzeczy, ani-

żeli niebezpiecznego dla opozycyi w wyborach zapału. Trwoga powrotu anarchii towarzyszyła wyborom powszechnym ostatnim we Francyi, to jest r. 1852, i nie mało wpłynęła na ich wypadek. Dziś Francya obawia się mniej nierównie anarchii, a jeżeli się jeszcze czego obawia, nie zdaje sobie z tego dokładnie sprawy, nie dziw przeto, że się lud francuzki nie lada czem porusza, że nie elektryzują go wybory, jak przed sześcią laty. Agitacya zatem nie przechodzi po za pewne sfery, gdzie się toczą rozprawy nad znaczeniem wyborów, układają listy kandydatów, rozpisują odezwy do wyborców, ale to wszystko nie wydaje się być w wielkiej harmonii z usposobieniem ogólnem kraju. Ci nawet co tworzą agitacyą, a zwłaszcza cała Francya czuje aż nadto, że całkiem w innych niż dawniéj znajduje się warunkach. Pomimo usiłowań nikt nie wątpi o wypadku wyborów. Życie polityczne zmieniło się, z innych nawet składa się żywiołów. Z jednéj strony władza silnie scentralizowana, z drugiej dziewięć milionów wyborców bez żadnéj podstawy, prócz lat dwadzieścia jeden szczęśliwie przeżyłych. Wszystkie kandydatury są wolne: ale na czemże kandydatura nieurzędowa teraz opierać się może? Dawniej okręg wyborczy był niejako osobą moralną, która miała własną opinię, interesa zbiorowe i wybierała deputowanego, aby reprezentował tę opinię, i strzegł tych interesów. Wyborców zaś nie było tak wiele, aby wspólnie działać nie mogli. Teraz, wybory powszechne zamieniły okręgi wyborcze w olbrzymie zgromadzenia indywiduów, mających prawo głosowania jako jedyny prawie punkt styczności, jedyny między sobą związek. W tym samym okręgu wyborczym dzisiaj spotykają się często całkiem przeciwne interesa i opinie. Okręg wyborczy jest to masa indywiduów bez spójni naturalnéj: na takie masy rząd najlepiéj działać może wskazując kierunek; jest on naturalnym po-

średnikiem tych indywidualnych opinij i rozrzuconych interesów. Tu wyrazy cesarskie, że powinnością państwa jest oświecać i kierować, najwybitniej czuć się dają. Widoczna na pierwszy rzut oka, że w takich stósunkach, wyborców do kandydatów, kandydatury po za rządem stojące, mało bardzo szansy mieć mogą.

Dla tego też powiedzianem było wyżéj, że ów ruch jaki widać we Francyi ma więcéj cechę opozycyi aniżeli agitacyi wyborczéj. Owe sfery w jakich się on odbywa są to dawne stronnictwa, legitymistowskie, orleańskie i trzecie złożone z odcieni republikańskich, demokratycznych, socyalistowskich, stronnictwo, któreby rzeczywiście nazwać można rewolucyjnem. Wszystkie te stronnictwa mają jeden punkt wspólny, w prawdzie negacyjny, to jest, że nie są zachowawcze, że nie chcą obecnego stanu rzeczy. Tu zgoda: lecz na jakiekolwiek twierdzenie zgodziéby się nie mogły. Wszystkie atoli spostrzegły, że ogłoszone wybory podają im środek, nie do dopięcia celu, ale do okazania opozycyi. O wypadku wyborów na korzyść rządu żadne podobnoś ani chwili nie wątpiło; każde z nich przeszło zbyt długi szereg rozczarowań, aby się łudzić jeszcze mogło. Ale każde widziało w wyborach sposób dania znaku życia, przypomnienia się Francyi a może i Europie, okazania rządowi swego nieukontentowania, protestacyi. przeciw temu co jest — zgoła widziało sposób opozycyi. O opozycyi też nierównie więcéj myślało niżeli o zwycięstwie na wyborach, jak o tem postępowanie każdego z nich przekonywa.

Legitymiści chcieli korzystać z wyborów, aby rozszerzyć skalę opozycyi w jakiej się dotąd zamknęli. Nie biorąc udziału w rządzie, radzili, aby nie brać udziału w wyborach. Systemat ten miał za sobą pewne stronnicze korzyści: powiększyć całą siłą dobrowolnego wstrzymania się od wyborów obojętność, któréj rząd obawiać

się zdawał; obojętność te złożyć na rzecz opozycyi a tem samem ukryć słabość téj ostatniéj, jeżeli nie w oczach Francyi to w oczach Europy; sprowadzić protestacyę bierną wprawdzie i niemą, ale przemawiającą głośno swem ogromem; nakoniec uchylić się od wszelkich nieprzyjemności jakie z czynnéj walki z rządem wyniknąć mogły, bo przecież z prawa wolno korzystać lub nie, a dobrodziejstwa nikomu się nienarzucają. Postępowanie to zresztą wskazane było temu stronnictwu samą istotą rzeczy. Inaczej działać nie mogło. Do działania brakowało mu podstawy. W imieniu czyjemż, i jakich zasad przemawiałby do wyborców kandydat legitymistowski? Trąca się tu o dynastyę i formę rządu, i staje na polu nielegalnem. Koncesye w tym obozie są niepodobne a koalicye najtrudniejsze. Trzeba też oddać sprawiedliwość temu stronnictwu, że o nich nie myślało. Uznano wstrzymanie się od wyborów za wyraz oppozycyi legalnej, i na tem ograniczono się bez poświęcenia żadnéj zasady, aby powiększyć agitacyę wyborczą.

Lecz systemat wstrzymania się od wyborów ostać się nie mógł w obec loiki, a bardziéj jeszcze w obec ruchliwości znamionującéj inne stronnictwa. Inna rzecz wstrzymanie się od udziału w rządzie, a inna wstrzymanie się od udziału w sprawie publicznéj. W narodzie jednolitym, mającym samodzielne istnienie, udział w sprawie publicznéj jest obowiązkiem każdego mieszkańca. Nie może on i nie powinien zostawać obcy sprawie publicznéj, tak jak musi płacić podatek i winien szanować prawa. Powołany do udziału w sprawie publicznéj, powinien sumiennie odpowiedzieć: obojętność lub umyślne wstrzymanie się sięga wyżéj niż opozycya.

Stronnictwo orleańskie, obok tych loicznych zarzutów, widziało inne jeszcze powody, które go skłaniały do odrzucenia systematu wstrzymania się od wyborów. Doświadczenie polityczne i parlamentarne jakie bezsprzecz-

nie posiada, wskazywało mu, że jeżeli opozycya zechce policzyć na karb swój cyfrę wyborców wstrzymujących się od wotowania, rząd więcéj ma środków od niéj któremi dowieść potrafi, że ową nieobecność wyborców jedynie obojętności przypisać należy; obojętność zaś przemawia silniéj za zbytecznem dla rządu zaufaniem niż za opozycyą. Opozycya jeżeli chce aby rząd z nią się rachował, musi być czynną, inaczéj rząd może jéj nieuznać. Lubo więc Ciało prawodawcze obrane jest z parlamentarnéj barwy, jak o tem ze słów wyżéj cytowanych przekonać się można; lubo dostąpienie krzesła w tem zgromadzeniu nie uważa stronnictwo to ani za zaszczyt ani za korzyść; a nadto, pomimo że bardziéj niż inne może przekonanem było o nieochybnym wypadku wyborów, wszelako gdy tu nie chodziło tyle o wybory co o oznakę opozycyi, oświadczyło się za głosowaniem. Szło tylko o kandydatów a raczéj o podstawę na jakiejby oprzeć ich można, bez popadnięcia w nielegalność lub w zupełne zaparcie się swéj istoty, bo stronnictwo to jeżeli jest opozycyjne, więcéj jeszcze jest roztropne i ostrożne niż opozycyjne.

Wybawiło je z kłopotu trzecie stronnictwo, republikańskie, dostarczając i kandydatów i podstawy. Jeżeli stronnictwo orleańskie zna się na opozycyi parlamentarnéj, to stronnictwo republikańskie jest znów mistrzem we wszelkiéj opozycyjnéj agitacyi. Jeżeli pierwsze jest panem w izbie, to drugie jest panem ulicy, jest stronnictwem ruchu. Potępiało też z całéj siły systemat wstrzymania się od wyborów, jako niebędący wcale systematem opozycyjnym. Opozycya według niego winna być cyfrą a nie zerem: czynem tylko dowieść jéj można. Kto milczy, przystaje: ten więc co wstrzymuje się od wyborów czyni to samo co gdyby głosował za rządowym kandydatem, z tą różnicą że obowiązku swego nie dopełnia. Każdy przeto winien brać udział w wyborach

i głosować według sumienia. Zasadą owego głosowania jest wolność. Wszak cesarz Napoleon III nadając konstytucyą z 1852 oświadczył: „że wolność powinna uwieńczyć budowę.“ Kto więc z wyborców uznaje że to już nastąpiło, albo że chwila jeszcze do tego nie nadeszła, niech daje głos kandydatowi rządowemu, kto zaś sądzi że chwila obecna jest sposobna do nadania Francyi téj obiecanéj wolności, niech popiera swem wotum kandydata który się o tę wolność upominać będzie.

Programat ten dosyć śmiało postawiony, a dający się innemi słowy tak tłómaczyć, że kto zadowolniony z dzisiejszego stanu rzeczy, niech wotuje za rządem, a kto niezadowolniony niech staje w szeregach opozycyi, dogadzał stronnictwu orleańskiemu jako opozycyjnemu. Miał on podstawę legalną, bo nie mówił że kto jest w opozycyi nie jest za cesarstwem, tylko że jest za wolnością, a opierał się na słowach cesarskich. Programat ten podawał co więcéj podstawę do koalicyi. Stronnictwo orleańskie obstawało zawsze za tak zwanemi zasadami z r. 1789; w imieniu tychże samych zasad występowało republikańskie stronnictwo. Było więc wspólne pole, na którém koalicya tak różnych i przeciwnych stronnictw stanąć mogła w interesie opozycyi, a opozycya na tem polu tem bezpieczniejsza że stał na niém także rząd, gdyż cesarz wyraźnie oświadczył „że zasady r. 1789 są odtąd niezachwianemi podstawami społeczności francuzkiéj.“ Sama już ta koalicya, gdyby jednego jeszcze dowodu potrzeba było, posłużyćby zań mogła, że w całym tym ruchu nie chodzi o wybory ale tylko o demonstracyą opozycyi i to chwilową. Nie godzi się bowiem odmawiać tak dalece dobréj wiary stronnictwu orleańskiemu i posądzać je, aby miało na zawsze zawierać sojusz z stronnictwem z którém dotąd walczyło i którego zasady częstokroć wielce przewrotne i zgubne najuroczyściéj potępiało; aby miało jako kandydatów

popierać znanych stronników bądź rzeczypospolitéj czerwonéj, bądź kommunizmu, gdyby sądziło że reprezentacya opozycyi dostanie się w ich ręce. Lubo nie można pochwalać polityki stronnictwa orleańskiego, tłómaczy je aż do pewnego stopnia przekonanie jakie miało i które oświadczyło, że wypadek wyborów w każdym razie będzie na korzyść rządu. Chwilowy związek miał posłużyć tylko do zwiększenia opozycyjnéj demonstracyi. Fałszywe położenie w jakiem względem rewolucyi zostawało nawet w epoce swego panowania, skłaniało je nieraz do chwytania się fałszywych środków. Tak i tym razem.

Z powodu téj koalicyi, i z innych przyczyn nazwa kandydatów nieurzędowych przedstawiała także nie jakie trudności. „Kandydaci opozycyjni," zdawało się nazwą nieco za śmiałą w obec cesarstwa, — które się niedało ułudzić porównaniem opozycyi stronnictw francuzkich z opozycyą stronnictw angielskich, mianujących się „opozycyą Jéj król. Mości;" cesarstwa,— które ogłosiło stronnictwa opozycyjne wręcz i słusznie bardzo za „nieprzyjazne." Na nazwę „kandydatów demokratycznych" nie byłoby przystało stronnictwo orleańskie, a prócz tego rząd oparty na najobszerniejszéj demokratycznéj podstawie, to jest na wyborach powszechnych, i przyznający sobie tę cechę, nie byłby na to zezwolił. Demokratyczni kandydaci opozycyjni podający się do wyborów powszechnych, byliby w saméj rzeczy smieszną polityczną anomalią. Nadto demokracya nie pociąga za sobą koniecznie wolności: arystokratyczna Anglia nierównie więcéj używa wolności od demokratycznéj Francyi. Skoro zaś wolność miała być hasłem kandydatów opozycyjnych trzeba było znaleść stósowne miano. Użyto wyrazu „liberalny" który wiadomo jak dalece wolność reprezentuje, ale za to jest tak elastyczny, że wszystkie odcienia polityczne pokryć potrafi, i nikogo nie razi, dopóki go

kto światłem prawdy przeniknąć nie zechce. Wtedy znika ukazując na jawie to co ukrywał.

Nikt też dokładnie odgadnąć nie zdoła celów i zamiarów, jakie mieć mogą ostatecznie owi kandydaci liberalni których po większéj części z małym bardzo stronnictwa orleańskiego udziałem, postawiło stronnictwo ruchu. Działając zawsze w kierunku centralizacyjnym, i uważając że Francya jest w Paryżu, zostawiło ono opozycyą całego prawie kraju własnemu jak to mówią przemysłowi, i zajęło się przedewszystkiem stolicą. Tu wytężyło całe swoje siły, aby chociaż cząstkowe odnieść nad rządem zwycięstwo, a przynajmniéj wywołać jak największą i znaczącą agitacyę. Wszakże przypatrując się pilnie działaniu tego stronnictwa, które jest głównym jeżeli nie jedynym motorem całego ruchu, i wyłącznie prawie cechuje go swem piętnem, zdawałoby się że ono nie uznaje owéj zmiany jaka zaszła w organizacyi Francyi od lat sześciu, i że wszystko począwszy od usposobienia umysłów a skończywszy na materyalnych interesach, jest jeszcze w tym kraju na téj saméj stopie na jakiéj było za czasów rzeczypospolitéj. Idzie ono tą samą koleją co dawniéj, przemawia tym samym językiem, w tym samym kierunku, a jeżeli nie wypowiada tych samych zasad, to wyraźnie dla tego tylko że mu tego nie wolno. W liście swych kandydatów paryzkich zamieściło nie tylko wszystkie odcienia opinij republikańskich i socyalistowskich, ale nadto nie znalazło jak się zdaje, czy nie chciało znaleźć nowych osób do reprezentowania ich, i przedstawiło wyborcom w r. 1857 ludzi z r. 1848, bez podania nawet jakiejkolwiek rękojmi, że ludzie ci, w przypadku gdyby byli obrani na deputowanych do Ciała prawodawczego, złożą wymaganą przysięgę na posłuszeństwo konstytucyi i wierność dla cesarza. Odmowa przysięgi przez ludzi z r. 1848, takowa protestacya kilku kandydatów liberalnych, sprowadzając

nowe na zastąpienie ich wybory, miałażby być najwyższym rezultatem osiągnionym przez obecne opozycyjne zabiegi i hasłem do nowéj agitacyi?...

Dziwićby się istotnie wypadało takowéj taktyce. Wnosićby z niéj można że stronnictwo ruchu nie uznaje aby stanowisko rządu było dość korzystne i wpływ jego administracyjny na wybory powszechne dość silny, skoro chce mu jeszcze pomódz do zwycięstwa jakie prawdopodobnie otrzyma, przez nadanie temu zwycięztwu cechy, którąby je nietylko w oczach Francyi usprawiedliwiła, ale nawet w Europie oklaski zjednała. Pomagać można rządowi różnemi sposobami, nawet niechcąc i niewiedząc o tem. Ale pomaga mu stronnictwo ruchu niewątpliwie, stawiając sztandar, który Francyi nie doprowadził ani do sławy, ani do pomyślności a tém mniéj do wolności; pomaga mu wzywając wyborców do obrony zasad z 1789, na które rząd bynajmniéj nie uderza, które przeciwnie ogłasza; pomaga mu wywołując zastarzałe kłótnie i niechęci; pomaga mu zmuszając ludzi uczciwych, rozsądnych, będących za wolnością chociaż nie przybierających miana liberalnych i demokratów, a liczba ich nie mała, zmuszając ich do zapytania samych siebie na widok tych zużytych odezw i kandydatów: Wszakże to te same głosy, ci sami ludzi co niedawno byli u władzy? czy warto przywoływać ich do niéj znowu aby tak samo jak pierwéj działali?... Pomaga nareszcie rządowi stronnictwo ruchu przez brak jedności, brak zgody na jedną listę kandydatów, przez anarchią we własnym obozie objawiającą się namiętnie w rekryminacyach tak co do charakteru różnych kandydatów jako i co do dawniejszego ich postępowania.

Otóż w ogólnych rysach obraz ruchu jaki wywołały wybory, odnośnie do stronnictw, które go popierały. Co się tyczy rządu, ten w obec agitacyi wyborczéj zajął był stanowisko jakie przysługiwało każdemu stronnictwu.

Podał otwarcie swoją listę kandydatów, a wolność kandydatury ograniczył tylko o tyle że urzędnik płatny występujący jako kandydat opozycyjny utracał swoją posadę. Nie inaczéj byłoby działało każde stronnictwo. Lecz spostrzegłszy, że nie miał do czynienia z agitacyą wyborczą, ale że chodziło tylko o manifestacyą opozycyjną, i korzystając z kierunku w jakim poszła opozycya, kierunku potępionym przez większość Francyi, zaczął w końcu silniéj przemawiać i kłaść niejako warunki wyborom przynajmniéj co do znaczenia jakie w oczach jego miało głosowanie. Za pośrednictwem ministra i prefektów oświadczył „że cesarz aby mógł rządzić potrzebuje izby wybieralnéj, niepodległéj, ale wylanéj dla jego sprawy jako też dla nowych instytucyj; że z deputowanemi którży już złożyli dowody w tym względzie rząd będzie z łatwością odbywał swe czynności, lecz z deputowanemi innych czasów i innych zasad, nastąpiłoby zamięszanie i niepokój, następstwa zaś jednego i drugiego spadają przedewszystkiem na tych co pracują; że kandydaci opozycyjni, przeciwnicy uznani konstytucyi cesarskiéj żądają głosów od wyborców, aby tylko odmowną uczynić manifestacyą; że przeto kwestya wyborcza tak się stawia: głosować za kandydatem rządowym, jest to potwierdzić dawniejsze wybory powszechne i ułatwić wykonanie wielkich cesarza zamiarów; — głosować za kandydatem opozycyjnym jest puścić się na bezdroża za ludźmi nie mającymi w ogóle żadnéj dla ludu sympatyi, za ludźmi, którzy będąc u władzy okazali całą swą niedołężność, a nie mogą podnieść swego stronnictwa jak tylko sprowadzeniem nieszczęścia na ojczyznę....“ I znów w innéj odezwie: „Nie dość na tem aby wybory były powszechne i wolne, potrzeba aby były światłe. Rząd zastrzegł pierwszy warunek i dokonał skrupulatnie drugiego, nie powinien i nie może zaniedbywać trzeciego. „Wobec zaufania cesarskiego w ludzie,

wystąpiła do walki garstka indywiduów wyznawających niegdyś zasady republikańskie lub socyalistyczne. I czegoż chcą? jaki cel téj opozycyi? Czy wybory powszechne mają ogłosić rzeczpospolitę którą po trzykroć potępiły? Któż uwierzy aby ci ludzie złożyli przysięgę w imieniu konstytucyi na przypadek gdyby ich obrano deputowanemi? Nieusłucha ich ani Paryż ani Francya. Wybory powszechne będą liczne i dowiodą raz jeszcze nieprzyjaciołom cesarstwa owéj spójni jaka wiąże cesarza z ludem...."

Takie stanowisko rządu w obec opozycyi. Niemoże być zresztą inne przez wzgląd na wybory powszechne i wolność jaką im zostawiono. Zdaje się, że agitacya wyborcza tego tylko ostatecznie dokona, iż wybory będą liczniejsze, obojętność któréj się rząd obawiał mniejsza Przebudzenie życia politycznego na chwilę będzie całym skutkiem jaki osiągnie. Lecz jakkolwiek wybory według wszelkiego prawdopodobieństwa wypadną na korzyść rządu, pozostanie zawsze pytanie: jaki mógł mieć cel rząd francuzki wywołując ruch obecny, który się jednak w końcu, w niezupełnie podobno przewidzianym pojawił kierunku. Wywołał go zaś rząd nie przez zwołanie wyborów powszechnych w celu złożenia Ciała prawodawczego, bo tego wymagała konstytucya, ale dając wolność kandydaturom, którą ograniczyć było w jego mocy. Nie mówiąc o innych różnych sposobach jakie posiada rząd w państwie jak Cesarstwo francuzkie, dosyć wspomnieć, że ustawa wyborcza jest prostym cesarskim dekretem, dekretem więc cesarskim zmienioną a tém więcéj tłumaczoną być może.

I na powyższe pytanie znalešćby można odpowiedź w słowach cesarskich. Napoleon III. podczas wystawy paryzkiéj wyrzekł te pamiętne wyrazy: „Opinia publiczna zawsze w końcu zwycięża". Odnosiły się one wprawdzie wtedy do polityki zewnętrznéj, do potrzeby cu-

ropejskiego pokoju, ale trudno przypuścić, aby w myśli monarchy nie miały one zastósowania i w polityce wewnętrznéj. Być może bardzo, że wolność zostawiona kandydaturom, że wywołanie owego ruchu, było tylko kamieniem probierczym dla opinii publicznéj we Francyi. Jaki wpływ miały na usposobienie umysłów owe sześć lat Cesarstwa? owoż czego nie mogły tak dobitnie okazać same wybory powszechne, czyli ich rezultat, jak ów ruch opinii i stronnictw sprowadzony wolnością opozycyjnych manifestacyj. Tym sposobem jedynie odsłoniły się stronnictwa, i nie można powiedzieć aby to wypadło całkiem na ich korzyść. Ale z drugiej strony, rząd przy owéj auskultacyi wewnętrznego stanu Francyi, mógł odkryć symptomat nie bardzo pocieszający: to jest, iż w przekonaniu najruchliwszego, najczynniejszego, a może najniebezpieczniejszego dla Cesarstwa stronnictwa, usposobienie umysłów we Francyi a zwłaszcza w Paryżu nie zmieniło się do tyla, że opozycya ośmieliła się wywiesić sztandar z r. 1848 i wskazywać ludzi owéj epoki jako najgodniejszych zaufania publicznego. Jest to fakt, który pozostanie skazówką dla rządu, jakikolwiek będzie wypadek wyborów. Doświadczenie to nie przekona zapewne rządu, aby nadeszła chwila w której budowę wolnością uwieńczyć wypada; a odpowiedź na pytanie: czy opozycya we Francyi przysłużyła się sprawie wolności w któréj działać miała, wypada przeczą.

Zatrzymać się nieco dłużéj należało nad charakterystyką ruchu o którym mowa, ze względu na Francyę, aby go ocenić można z innego stanowiska, to jest zestanowiska systematu państw europejskich. Francya pod rządem Cesarza Napoleona III nie tylko jest państwem w Europie, w politycznem znaczeniu tego wyrazu, ale nadto jest państwem w Europie urządzonem ze wszystkich państw najściślej według teoryi idei państwa. Może Francya pod tym

względem służyć niejako innym za przykład, i jeżeli powiedzieć wolno, służy też za takowy poniekąd. Próba więc „parlamentaryzmu w państwie“ jaką przebyła, ma znaczenie nie tylko dla niéj ale w ogóle dla „państwa“. W doświadczeniu przeto dostarczonem przez ruch opozycyjny we Francyi, można upatrzeć niektóre skazówki, ku rozwiązaniu tego wielkiego i ważnego zadania: czy państwo może w swem organizmie posiadać opozycyą legalnie za pomocą wolnych wyborów reprezentowaną?.. Przypominać byłoby zbytecznem, że tylko o takiéj opozycyi mowa być może. Wszelka inna jest albo nielegalna, albo też od woli rządu zawisła, a przeto nie jest opozycyą, czyli odrębnym żywiołem.

Jakkolwiek idea państwa jest ogólną, jak wszystkie teorye, wszelako nie da się ona do każdego państwa równo zastósować, bo każde ma sobie właściwe stósonki, które w praktyce, aż do pewnego stopnia uwzględniać trzeba. Z góry też oświadczyć można, że nietylko w takich jedynie państwach opozycya reprezentacyjna istnieć by mogla, ale nawet, że w takich tylko państwach próby w tym względzie podejmowane być mogą, w których jak we Francyi, znajdują się dwa konieczne ku temu warunki: jednolitość wszystkich części składających państwo, i wybory powszechne. Pierwsza jest jedyną rękojmią wspólności podstawy, drugie jedyną rękojmią tożsamości narzędzia.

Idea państwa jeżeli przypuszcza jakową opozycyę, to tylko jedną, to jest społeczną. Aby więc opozycya być mogła w państwie, a być legalną, musi mieć koniecznie jedną z całem państwem podstawę. Brak jednolitości w składzie państwa sprowadzić musi różnicę podstaw, wywołać musi opozycye bądź narodowości, bądź inne, które wszystkie wyklucza idea państwa jako przeciwne swéj istocie, czyli państwu.

Skoro zaś jedna ma być podstawa opozycyi z państwem, toż samo winno być narzędzie jakiego i pierwsza i druga używają. Wybory będąc tem narzędziem muszą być powszechne. Wszelkie inne kazałyby się domniemywać różnych klas społeczności i stronnictw. Idea państwa nie przypuszcza ani jednych ani drugich. Absorbuje ona w sobie społeczność, reprezentuje ją, przeto wybory nie mogą być złożone tylko z jednostek, a wyborcami mogą być tylko indywidua składające państwo. Państwo nie uznaje żadnych przewag naturalnych w obec siebie, zastępuje wszystkie, przeto narzędziem wszelkiéj wolnéj reprezentacyi, jeżeli ją przypuszcza, może być tylko ogół wszystkich członków w państwie. Najwyższa władza i prawo będąc w ręku państwa, równość wszystkich w obliczu jego jest prostem następstwem.

Francya jak wiadomo posiada te dwa niezbędne warunki, i posiada je nawet w wysokim stopniu. Jest krajem jednolitym, ma wybory powszechne, a rząd francuski stósownie do wymagań idei państwa, stronnictwa opozycyjne nie uważał za takie ale za „garstkę ludzi“ a raczej „indywiduów“. Mogła więc śmiało Francya puścić się na próbę: czyli państwo zniesie opozycyą reprezentacyjną to jest niepodległą. Ale próba przyznać należy wypadła bardzo dla opozycyi niekorzystnie.

Chociaż bowiem opozycya z państwem była na jednéj podstawie, to jest chociaż opozycya z rządem były na jednem polu co do narodowości, nie była jednak z nim na jednem co do zasad. Walka co do zasad, nawet w jednolitém państwie, nawet społeczna, bo na polu wyborów powszechnych stoczona, trąca koniecznie o formę rządu. Idea państwa będąc najwyższą formą społeczności, dyskusyi nad formą rządu przypuścić nie może. To też rząd cesarski oświadczył, że „potrzebuje wybieralnej niepodległej izby, ale z deputowanemi wylanemi dla nowych instytucyj, a wprowadzenie deputowanych ma-

jących inne zasady, wprowadziłoby tylko zamięszanie i niepokój". Opozycya więc reprezentacyjna co do zasad nie zgadza się z państwem.

Pozostawało wprawdzie pole interesów, i znalazły się głosy które radziły opozycyi we Francyi obrać ten sztandar do walki wyborczej. Lecz w imieniu jakich interesów występywać mogła opozycya wynikła z łona wyborów na których wyborcy sami nic prócz jednostek nie reprezentują? Państwo absorbując w sobie wszystkie interesa tak moralne jak materyalne społeczności, nie może przypuścić opozycyi reprezentującej interesa, bo samo państwo jest najwyższym sędzią swoich interesów. Czyliż odnośnie do tego nie były wyrzeczone te przytoczone już poprzednio słowa: „że państwo nie tylko rządzić powinno, ale oświecać i kierować?"... W obec okólników żądających po wyborcach, aby głosowali na kandydatów rządowych, albowiem rząd zna najlepiej potrzeby i interesa mieszkańców, i zasługuje na wszelkie zaufanie, opozycya zdaje się uznała reprezentacyę przez siebie interesów w państwie za rzecz niepodobną i o nią się nie kusiła.

Trudno więc znaleść coby rzeczywiście opozycya legalna a niepodległa w państwie reprezentować mogła. Trudność ta jeszcze się powiększa, na wspomnienie iż niepodobna sobie wystawić opozycyi reprezentacyjnej tam gdzie nie ma odpowiedzialności wyraźnie określonej. Państwo ściśle biorąc jest ideą, jest istotą niewidomą mającą w naczelniku swym widomą głowę, a w rządzie widocznego swej władzy działacza, ale odpowiedzialności w politycznem znaczeniu tego wyrazu, niema w państwie. Ani Cesarz ani ministrowie we Francyi nie są odpowiedzialni. W takim stanie rzeczy za anomalię uważać się godzi ową izbę wybieralną i niepodległą, ale w której opozycya legalna ostać się nie zdoła. Państwo może więc mieć izbę skoro ją uzna za potrze-

bne dla siebie narzędzie, ale niepodległą ona być nie może. Jeżeli będzie wybieralną, to w wyborach trzymających się ściśle ducha państwa; jeżeli ma reprezentować interesa, to winna nigdy nie spuszczać z oka interesu państwa i inne do niego stósować. Będzie zapewne w możności wielkie oddać przysługi i stać się użyteczną, ale niepodległą być nie może tylko o tyle, o ile na to państwo zezwoli.

Te są w krótkości wnioski, jakie wyciągnąćby się dało z ruchu objawionego we Francyi z powodu zwołanych wyborów powszechnych, a uważanego ze stanowiska systematu państw europejskich.

Przed dwoma miesiącami, na tem samem miejscu, pod napisem „Państwo i *Selfgovernment*“ mowa była o wyborach angielskich. Nie bez korzyści może byłoby porównanie, jakie znaczenie mają 800,000 wyborców angielskich i 9,500,000 wyborców francuzkich; jaka różnica między reprezentacyą *selfgovernmentu* i opozycyą Jej Królewskiej Mości, a reprezentacyą i opozycyą w Cesarstwie Francuzkiem. Porównanie to potwierdziłoby, spodziewać się wolno, uwagi powyższe nad stosunkiem między państwem i opozycyą.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w czerwcu.

Patrzę przez okno na rozpieczone bruki uliczne, na wąską wstęgę błękitnego nieba, na tych ludzi codzień widzianych — i samn iewiem jaka czarowna symfonia zaprawna wonią bzów, konwalii, kwiecistych jabłoni, symfonia, w której słowiki prym wiodą, ciągle mię zalatuje i wabi na ukwiecone łąki, w orzeźwiający cień lasu, lub pachnące łany kwitnących ozimin.

Z początkiem czerwca trudno już dosiedzieć w Krakowie — i tylko ten siedzi, kto musi.

Kiedy bowiem ostatni dźwięk karnawałowego smyczka skona w salonie, kiedy wystawa Towarzystwa sztuk pięknych zabije w pakę ostatni swój obraz, Wrocławskie Saxy ostatnią sprzedadzą mantylę, kiedy nakoniec kaznodzieje wielkopostni i majowego nabożeństwa wytkną i wyprostują nam całą trudną a wzniosłą drogę zbawienia — niema już co lepszego robić w Krakowie, tylko go pożegnać. Żegnają go też i ci i owi rozlatując się do wiejskich zagród i pałaców, do gwarnych wód a nawet do najgwarniejszych stolic — wszystko ciągnie za życiem, za słońcem. — O spieszcie! śpieszcie! choćby tylko na to, żeby wytchnąć sercu i myśli!

Pomimo téj ucieczki z zimowych leży, miał Kraków w początku czerwca coś, co niejednego zatrzymało na miejscu. Była to uroczystość dziwnéj rzadkości — zakładano kamień węgielny na dom stawiać się mający dla Towarzystwa Naukowego! Kamień węgielny w Krakowie — to niesłychany wypadek! kto kiedy słyszał o czem podobnem w téj metropolii ruin? kto się mógł spodziewać, żeby tam budowano z nowego, gdzie poprzestawano zawsze na saméj restauracyi starych gratów? A jednak tak jest, i dla tego zapisujemy ten wypadek w kronice. Jeżeli bowiem dom dla Towarzystwa naukowego wymagał stósownych sal, stósownych składów na zbiory ksiąg i starożytności, jeżeli jeszcze do niego przyłączy się Galerya Dąmbskich i wystawa — na tenczas niepodobna było znaleść tych wszystkich dogodności w jakiej ruinie, choćby pałacu Wielopolskich, który imponujący swemi murami na zewnątrz, przedstawiał najniedogodniejszy rozkład wewnętrzny. Dla téj przyczyny Dom Tow. naukowego, będzie miał odrębny i właściwy charakter odpowiedni swemu przeznaczeniu.

Na uroczystości téj połączonéj z nabożeństwem w kościele XX. Marków, a celebrowanéj przez xiędza Biskupa Łętowskiego widzieliśmy nietylko najwyższe władze krajowe, członków Towarzystwa, ale i liczną publiczność. Najuroczystszym jednak i najpoważniejszym epizodem była mowa xiędza Biskupa miana przy ołtarzu w kościele. Gdyby nic więcéj nie utkwiło w pamięci tylko te jego słowa: „starożytnych języków nauka jest piękną, lecz swego tylko rozwija rozum narodu; jak ciało po którem krew niekrąży zamiera, tak kraj pozbawiony mowy swojéj, martwym leży“ — jużby uroczystość ta należała do najpiękniejszych chwil godnych zapisania w kronice Krakowa, a razem do najpomyślniejszych wróżb dla tego gmachu, którego duszą jest sędziwy prezes Towarzystwa, Franciszek Wężyk.

Kto wie, czy ten pomysł wzniesienia Domu nowego z fundamentów, nie jest zarazem symbolem odnowienia się Towarzystwa naukowego, które wyłamując się ze zbyt może ciasnych form dawniejszych, poczuje się do życia i zacznie rozlewać błogie promienie światła tym językiem, który się zbliża do pojęcia ludu; „bo jeżeli kościół — jak się wyraził dostojny Biskup — czego

chciał, tego lud nauczył, o prawdach wiecznych — czemużby ciało świeckie niemiało nauczyć tego, co służy do doczesnego dobra"— Trafnie i głęboko wytknięty program i cel!
Zwykły obrzęd włożenia do puszki aktu założenia, i błogosławieństwa kościelnego dopełnionego na kamieniu węgielnym — zakończył tę piękną chwilę.

Winniśmy tu jednak zrobić małe postrzeżenie, że aktowi temu towarzyszyła tylko publiczność wyższych warstw społeczeństwa — Lud, za którym tak wzniośle przemówił dostojny pasterz, może nawet niewiedział co się święci, a przynajmniej policzył to do rzędu zwykłych formalności — bo wcale niewidać go było — a może też, i to najpewniejsza — wiedziony przeczuciem zniszczenia świata przez kometę, uważał, swoim prostym rozumem, za rzecz niemającą najmniejszej logiki, aby wtenczas budować, kiedy ma nastąpić zburzenie świata.

Pokazuje się, że ciągle trzeba i za siebie i za niego budować — inaczéj fatalna trwoga przed kometami różnego rodzaju, niedałaby mu wybrnąć z odwiecznéj ciemnej bierności.

Ależ bo ta Kometa niemało napędziła strachu! niewiem prawdziwego, czy udanego. Powiadają, że na wsiach gmin tylko o niej radził — a i po przejściu jéj szczęśliwem, jeszcze nieprzestawał radzić, z tą tylko różnicą, że sam zaczął mieć kometyczne zachcenia, które znowu niepotrzebnym strachem napełniły tych, co mają niejakie wyobrażenie o podobnych efemerydach.

Jakaż szkoda! że ta burza uraganiczna co w wilią feralnego dnia przyjścia komety, porwała wszystkie śmiecia i kurzawy z ulic i pokręciwszy niemi w powietrzu, i wybiwszy z kilka set szyb i zerwawszy niemało kapeluszów, aby potem lunąć rzęsistem deszczem — niezachowała się na dzień 13 czerwca. — Strach byłby się przynajmniej wypłacił, a tymczasem strachano się — niewiedzieć dla czego.

Odtąd, po długiej posuszy — zapewne skutkiem komety — bo czegóż jej nieprzypisują, choć ta pajęczyna powietrzna Bogu ducha winna? — odtąd, zaczęły się dla nas, słoty i zimna, że tak powiem *watowane* i *kożuchowe*, a dla reszty Galicyi ogromne grady, które jak się zaczęły od Rzeszowa, tak się skończyły, gdzieś na

granicach Pokucia, pustosząc najchlebniejsze okolice. Otóż i katastrofa! ale pocieszają nas ekonomiści, twierdząc, że grady nigdy niesprowadzają drożyzny i głodu. Posyłamy tę ekonomiczną pociechę dotkniętym tą klęską—aby się pocieszyli, jeśli niemieli przezorności asekurować pól swoich.

Po tem zjawisku napowietrznem które się dało uczuć naszej planecie, coraz głębsza osiada cisza w Krakowie, przerywana tylko ruchem przelatujących podróżnych, co przenocowawszy w hotelu, zwiedziwszy lub pozdrowiwszy katedrę Wawelu, kościół maryacki, mogiłę Kościuszki, pędzą dalej szukać zdrowia, zabawy, ciekawych widoków, i wszystkich sposobów wypróżnienia worka. Można jednak powiedzieć na pochwałę podróżnych—nie! na pochwałę naszych lekarzy, że w roku tym, przeciw dawnemu zwyczajowi, najwięcej ordynują wody krajowe: Szczawnicę i Krynicę, o których cały świat mówił z uwielbieniem, jak o cnotliwej ale szpetnej kobiecie, ale każdy stronił od nich, przenosząc łatwość dostania się i utrzymania, taniość i wykwintność wygód w wodach czeskich, szląskich, nadreńskich. — Tymczasem jak na dziś niema już wymówki: bo tak właściciel Szczawnicy, jak c. k. Rząd właściciel Krynicy postarali się aby miejsca te kąpielne zaopatrzyć we wszystkie wygody, drogi zrobić dostępnemi, komunikacyę regularną i łatwą. — Słyszymy też że mnóstwo osób wybiera się do Szczawnic i do Krynicy—im więcej, tem lepiej, bo pieniądz jaki tam zostanie, spowoduje i zachęci właścicieli do nowych nakładów i ulepszeń, ściągnie dobrych restauratorów, wszelkiego rodzaju kupców, i zamieni pobyt w tych romantycznych górach na coś tak powabnego jak każde miejsce kąpielne za granicą, wyjąwszy taki Homburg, Bad-Baden, Wiesbaden, Spaa którym nigdy nie sprosta; tam bowiem panuje wszechwładna pani mająca najliczniejszych czcicieli — *ruleta!* Mnie się zdaje, że gdyby w Swoszowicach, gdzie trzeba z pistoletu strzelać aby się kogo dowołać, gdzie woda leje się z sufitu a przez rury iść niechce, gdyby w Swoszowicach zasiadła na swym zielonym tronie *Ruleta*, zaraz z całego świata zlecieliby się chorzy,—i, dla sąsiednich krajów nieznane Swoszowice stałyby się bardzo przyjemnemi, *fashionnables* wodami.

Jestto jedna z tajemnic dających moc uzdrawiającą tym źródłom, zapewne na téj psychologicznéj zasadzie, że rozbudzona namiętność — czasem uzdrawia.

Czemże tu skończyć tę pogadankę? chyba wyścigami. Jakto? Kraków ma wyścigi?! — Bynajmniej — toby się sprzeciwiało jego powadze i ciszy. — Kraków jest tylko dalekim spektatorem wyścigów Lwowskich, Warszawskich, Berlińskich itd. pozwala debatować u siebie o resach i treningu, wyprowadza ztąd korzyści lub szkody, uważa to za spekulacyę lub próżną zabawę — ale dla tego sam piechotą chodzi lub jeździ fiakierskiemi szkapami, co podług mnie, najwymowniejszą jest protestacyą przeciw anglomanii *vollbluttów*, do których od razu skoczyliśmy, omijając wszystkie szczeble pośrednie. Kwiat wybujałéj cywilizacyi tak się nam bardzo podoba, że zawsze wolimy uskubnąć go na cudzym gruncie, niż pielęgnując powolną pracą, zrobić go czemś więcéj, niż rzadkim exemplarzem treibhauzowym.

Wiedeń w czerwcu.

Gdyby nie uroczystość orderu Maryi-Teresy, która zatrzymała wielu dotąd w mieście, możnaby śmiało powiedzieć, że cały świat wolny i zamożny już się przeniósł za mury, i żyje w bliższych lub dalszych wiejskich ustroniach. I słusznie, gdyż życie w mieście w téj porze roku, jest męczarnią. Upały już dochodzą do 30°. Pył ciągły, przy gwałtownych wiatrach na jakich tu nie zbywa, nieznośny i dla zdrowia szkodliwy. Zmiany powietrza częstsze jeszcze i przykrzejsze niż w zimie. W jednym i tym samym dniu, mamy nieraz kilka zwrotów ciepła i zimna. Wszakże przy częstszych jak gdzieindziéj i tu prawie do zwyczajnych należących katarowych, piersiowych i nerwowych chorobach, stan ogólny zdrowia w czasie najgwałtowniejszych epidemij, jak cholera i tyfus, był zawsze prawie stósunkowo lepszy w Wiedniu, jak w innych stolicach i wielkich miastach. Doktorowie przypisują to z jednéj strony właśnie tym gwałtownym wiatrom, z drugiéj, téj wzorowéj czystości i schludności,

którą się odznacza na ulicach i po wielkich zakładach publicznych stolica cesarstwa.

Okolice Wiednia mają też samą zaletę co do budowy i utrzymania domów, i liczyć się mogą pod względem naturalnych swych wdzięków, do najpiękniejszych w Europie. Rozmaitość obrazów i ich ugrupowanie pod względem wygody i przyjemności uderzają tu każdego na pierwszy rzut oka. Przy rolnictwie na dawnych, po większéj części, stojącém jeszcze podstawach, ziemia żyzna, plon obfity i bujny: przy ogrodnictwie dość zaniedbaném drzewa piękne i kwiatów zapas nie mały. Lasy w innych krajach tak w pobliżu miast rzadkie, tu zajmują jeszcze swe odwieczne rozległe przestrzenie. Nie braknie strumieni i zdrojów, i woda studzienna jest w ogólności wyborna. Zresztą całe te, tak rozmaite i powabne obrazy są oprawione po większéj części, w przepyszne, z gór pierwotnych złożone, ramy. Nie trzeba więc szukać daleko, żeby na lato, przyjemny i pokrzepiający znaleźć po za miastem przytułek. I dla tego wyjąwszy tych co mają posiadłości na prowincyi, lub co chcą podróżować, reszta ludności wiedeńskiéj, spędza zwykle, tę porę roku, w przyległych okolicach. Cena mieszkań wszakże znacznie się zwiększyła, i trudności wynikające z tego powodu nie jedną rodzinę zmusiły poprzestać na ogrodach w które Wiedeń, jest dotąd tak zamożny i na niedzielnych, lub świątecznych na wieś wycieczkach.

Cokolwiek bądź widok stolicy, w tym miesiącu był z powodu uroczystości orderu Maryi-Teresy nie zwykle ożywiony i pod wielu względami zupełnie nowy. Obowiązek lub grzeczność sprowadziły naprzód znaczną liczbę wojskowych tak z rozmaitych prowincyj jak z krajów zagranicznych: ciekawość pomnożyła tę liczbę tłumem przybyszów ze wszystkich stron świata. Uroczystość pod tym względem była świetną i okazałą. Pod względem swéj urzędowéj wystawy, miała nadto urok rzadki i nadzwyczajny. Wieczorem 17go przy rozpoczęciu jéj muzyką zebraną z siedmiu rozmaitych pułków na placu w Burgu przed oknami NN. Państwa, trudno się było przecisnąć wśród zbitéj jakby w jednę nieruchomą massę, publiczności. Okna pałacu były otwarte, tak że całe świetne towarzystwo zaproszone na herbatę u cesarstwa,

doskonale widzieć było można. Znajdowali się w tèj liczbie wszyscy Arcyksiążęta i Arcyksiężniczki, dwaj Książęta Bawarscy, hr. Syrakuzy brat króla neapolitańskiego, i kawalerowie orderu Maryi-Teresy. Za każdem ukazaniem się NN. Państwa w oknach, okrzyk ogólny niósł im z tysiąca piersi, najszczersze pozdrowienia. Muzyka grała przeszło dwie godziny: poczém przeciągnęła przez różne ulice, zatrzymując się przed domami w których mieszkali wysocy dygnitarze orderu, jako to arcyksiąże Jan, viceadmirał angielski Moresby-Fairfax i marszałkowie Austryi, książe Windischgrätz, hr. Nugent, i hr. Wimpfen. Pierwszy ten pochód skończył się na placu Hof przy ministeryum wojny. Drugi z rana dnia 18 odbył się przy odgłosie dział po całém mieście z odpowiedniemi dla każdego z kawalerów orderu, honorami. O godzinie 9 odbyła się msza wojskowa i wielka parada na *Glacis* w przytomności N. Pana otoczonego świtą niezwykłéj okazałości, gdyż znajdowali się w niéj wszyscy kawalerowie krajowi i zagraniczni, krzyża Maryi-Teresy. O godzinie 3 cały ten orszak obiadował u N. Pana w sali pałacu Schönbrunn, u którego stóp w ogrodzie były urządzone stoły dla wszystkich reprezentantów, oficerów i żołnierzy, całego wojska. Wieczorem dano w operze przedstawienie *gala* złożone z 3ch żywych obrazów i sztuki Schillera *Wallensteins Lager*. Widok teatru był zachwycający. Loże i parter błyszczały mundurami i tysiącami zdobiących je orderów. Entuzyazm przy każdym obrazie które przedstawiały: *utworzenie Orderu, Bitwę pod Aspern* i *Teraźniejsze wojsko austryackie;* trudny do opisania. Cesarz opuścił salę po ostatnim obrazie. Reszta pozostała do końca, aż do 10 godziny.

Prolog napisany wierszem przez p. Halm (Münch Bellinghausen) zachwycił świetnych swych słuchaczów, wzniosłością patryotycznych myśli i uczuć. Cesarz obdarzył poetę krzyżem Leopolda. Pani Rettich która go deklamowała, otrzymała bogatą bransoletkę. P. Eckert dyrektor orkiestry i autor uwertury którą się przedstawienie rozpoczęło, zaszczycony został pierścieniem z cyfrą cesarską w dyamentach.

Z całéj téj świetnéj publiczności, już się rozjechało wielu: inni pośpieszą za nimi w domowe strony. Pozostanie wieczna i chlubna pamiątka.

Teatra które dla zmuszonéj żyć w mieście publiczności, główną są rozrywką, są prawie wszystkie każdego wieczoru, pełne. Opera włoska trzyma między nimi ciągle pierwsze miejsce. Wybór dzieł i ich wyborne pod względem artystycznym przedstawienie, usprawiedliwiają tę pochopność publiczności. Do najlepszych w tym miesiącu, należą *Don-Giovanni*, *Nozze di Figaro*, *Cenerentola*, i *Trovatore*. Wykonanie dwóch pierwszych zwłaszcza, było wyborne. Panie *Medori Chatou-Demeur*, *Leśniewska* i *Lotti della Santa* utrzymały w nich godnie swą artystyczną sławę. Pan Bettini w operach Verdego, i pani Brambilla w *Cenerentola* zaspokoili wszystkie oczekiwania. P. Bettini znany jest w Petersburgu, gdzie przepędził dwie zimy. Ma głos silny, przyjemny i wysokie wykształcenie. Jest to najlepszy z tenorów teraźniejszych. Wyjeżdża ztąd do Wenecyi, a potem do Madrytu gdzie zawezwaną jest także na sześć miesięcy pani Medori.

Drugiem niemniéj zajmującém zjawiskiem teatralném, jest kompania dramatyczna włoska w teatrze na Wideniu. Pan Rossi jéj naczelnik, jest aktorem dramatycznym, niepospolitych zdolności. Ma zapał, natchnienie, wprawę, i naukę. Pan Gattinelli w rolach komicznych, uderza rzadkiemi zdolnościami. Panna de Martini prócz piękności i dobrego tonu ma talent niepospolity i wiele uczucia. Panna Gattinelli, jest na dobréj drodze i ma świetną przed sobą przyszłość. Inni członkowie kompanii odpowiadają wymagalnościom przywiązanym do całości i dokładności każdego przedstawienia. Wybór sztuk był trafny. Publiczność coraz liczniejsza, obsypuje każdego wieczora ulubionych aktorów, oklaskami i kwiatami.

W Carltheater pan Davison zajmuje sam jeden uwagę i przychylność licznych widzów, szkoda że się zniżył do ról podrzędnych.

W innych teatrach, nic godnego wspomnienia. Nowa tancerka w Josephstadt's teatrze, hiszpanka rodem, podoba się o tyle, o ile taniec narodowy podobać się może.

W teatrze letnim na przedmieściu w *Fünfhausen* gra licha i płody słabe. Lecz przyjemność oddychania wolném powietrzem zwabia i tam nie mało publiczności.

P. Dommayer widzi w swym małym ogródku cały świat wiedeński, który lubi Hitzing i muzykę p. Strauss.

W tych dniach odprawił on swą zwykłą fetę, tak nazwany *Rosen-Fest* przy sztucznem oświetleniu.

W ogrodzie *Volks-Garten* są dwa co tydzień muzykalne wieczory.

Berlin w czerwcu.

Zamierzyłem w kronice bieżącego miesiąca przedstawić czytelnikowi architektoniczny widok stolicy pruskiéj. Nie znalazłbym do tego stósowniejszéj chwili. Jest to pora, w któréj grzyby rosną, a w tym samym czasie każdego roku nowe budowle w Berlinie jak grzyby z ziemi wychodzą. W jednym roku się zaczynają i wykończają. Wiosną stają mury i kładzie się dach, latem dom schnie, jesienią urządza się wewnętrznie, zimą, kto ma zdrowe płuca i nie lęka się rumatyzmów, może w nim zamieszkać z taką wygodą, jak W. Książe Meklembursko-Schweryński w swoim nowym pałacu. Znajdzie w nim kamienne schody, podwoje mahoniem wykładane, parkietowane posadzki, tapetowane ściany, podwójne okna z wielkiemi kryształowemi szybami, balkony na ulicę; znajdzie oświetlenie gazem, ogrzewanie gazem, kuchnią do gotowania gazem; znajdzie wodę płynącą na wszystkich piętrach, a na płaskim cynkowym, łupkowym, papowym lub filcowym dachu wieżę z wyględami, lub pawilon szklanny, do używania pysznego widoku— na dachy.

Nie myślę jednak, mój miły czytelniku, paść ciekawych oczu twoich podobnym widokiem. Nie prowadzę cię ani na najwyższą tutejszą wieżę kościoła ś. Piotra, ani na trochę niższą kościoła Panny Maryi, ani na kopułę zamku królewskiego. Byłby to zawsze widok na dachy. Gdy chcesz oglądać piękny las, park, ogród, nie wchodzisz na wierzchołek najwyższego drzewa. Tak samo, patrząc z wysokości, nie poznasz prawdziwéj fizyonomii miasta. Perspektywa lotu ptaszego ma swoje zalety i powaby, gdy chcemy rozpoznać topograficzne położenie miejsca, przejrzeć od razu całe panorama okolicy, pochwycić ogólny obraz miasta i wydatniejsze rysy. Istotnego charakteru architektoniki miasta nie poznasz

jednak z takiego obrazu. Będzie on cię wtedy tylko zajmował, gdy go zapełnisz szczegółami, którymeś się pojedyńczo i z bliska przypatrzył.

Nie myśl jednak, abym, leniąc się wprowadzić cię na najwyższą wieżę, miał dla tego większą ochotę oprowadzać cię, chodząc gęsiego, po ulicach berlińskich i wzywać cię do gapienia się nad każdą, którą ci pokażę, osobliwością. To rzecz wcale niepotrzebna, jak się o tém zaraz przekonasz; nudna, dla mnie, dawnego mieszkańca Berlina, który od kilkunastu lat mam po kilkanaście kroć na rok niewypowiedzianą przyjemność pokazywania przejezdnym rodakom i rodaczkom osobliwości miejskich, zawsze tych samych; uciążliwa, z powodu ulicznego pyłu, nie dozwalającego otworzyć oczu,—plagi, któréj Mojżesz nie znał, gdy zmuszał Faraona do wypuszczenia żydów z Egiptu. Niepotrzebna zaś w tym razie dla tego, bo już w zeszłym roku, na samym początku kroniki, oprowadzałem czytelnika po ulicach berlińskich, wskazując znakomitsze budowle, chcąc go zaraz przy wstępie obeznać trochę bliżéj z miejscem, z którego i o którem zabierałem się do pisania szczegółowo. Do tego się opisu odwołuję. Co prócz tego godném jest wspomnienia, mianowicie pod historyczno-estetycznym względem, o budowniczym wzroście stolicy pruskiéj, to zamykam w następujących szczegółach i uwagach.

Berlin jest miastem nowém. Pozna to na pierwszy rzut oka kto do niego przybywa. Ulice długie, proste, szerokie, przecinające się w prostym kącie; domy, z nielicznym wyjątkiem, podobne jeden do drugiego, jak cegła do cegły, z któréj są stawiane, stawiane widać na prędce, jakby tylko dla jednego pokolenia, dla tymczasowego zamieszkania, o jednym, o dwóch, o trzech piętrach, wedle chwilowéj potrzeby, po większéj części bez stylu, kształtem koszarowym, bez schodów i przystawek na ulicę, bez okazałych wjazdów, bram i drzwi, bez ozdób nad oknami, bez wspaniałych gzymsów, bez kunsztownych facyat i śmiałych szczytów, zewnętrznie pospolicie blado-żółtym kolorem pociągnione; w masie tych mniej więcéj jednakiego kształtu domów widoczny brak wielkich, okazałych, wiekiem i osobliwością stylu uderzających pałaców; brak podobny starych, wspaniałych,

z wielkim mozołem i większą sztuką budowanych przez długie lata kościołów, które z daleka zatrzymują oko przechodnia.

Wśród innych, ogromniejszych topograficznych warunków, na kolosalniejsze rozmiary, i z większemi widokami i planami w przyszłość, stawiane Nowy York i Petersburg, nie wiele się podobno co do wewnętrznego budowy swojéj charakteru i wejrzenia różnią od Berlina. Wszystkie są miastami nowszych czasów. Żadne z nich „nie rosło powoli z postępami wieków“, ani ich „jakieś bóstwo wzniosło“. Wola ludzka stworzyła je i wybudowała wedle planu, który zimny rozum nakreślił. Amerykańską stolicę wolność, przemysł i handel, rosyjską samowładztwo i duch wojenno-zaborczy, pruską jedno i drugie, głównie zaś skrzętność, rządność i dorobkowość mieszkańców i panujących stworzyły i wybudowały. Stąd owa regularność zakładu, jaką lubią przemysł i wojskowość, owa prostolinijność i przestronność ulic, owa jednostajność kształtu kamienic; stąd zarazem podobieństwo ich i całych części miasta do siebie, a w skutku tego wielka, że nie powiem nudna, monotonność widoku, zwłaszcza, jeżeli miasto pobudowane jest, jak się to ma z Berlinem, na równéj jak stół płaszczyznie, nie urozmaiconéj ani wielką wodą, ani wzgórzami, ani ogrodami lub alejami w obrębie murów; gdy nadto braknie mu wielkich wolnych placów z wspaniałemi kościołami lub publicznemi gmachami, któreby przerywały jednostajność widoku; gdy wreszcie i okrążająca miasto okolica, pozbawiona ze wszech miar piękności przyrodzonéj, nie przydaje mu żadnego powabu.

A jednak Berlin piękném jest miastem. Mówi to każdy kto do niego przybywa, i ja tak mówię, chociaż styl i smak jego architektury, mianowicie co do domów, mieszkalnych starszéj nieco daty, nie zadowoli estetyka. Co goszczącego w niém po raz pierwszy cudzoziemca najwięcéj ujmuje, to jest właśnie owa, o któréj dopiero co mówiłem, rzadka gdzieindziéj, zwłaszcza w starych miastach, regularność jego budowy. Oko podróżnika nie zatrzymuje się na szczegółach, lecz gubi w długich, prostych, pod sznurem wyciągnionych, zdaje się nie mających końca, liniach ulic. Dawniejsze przepisy budownicze były w tym względzie tak surowe, że nawet bal-

konu nie było wolno przyczepić do domu, aby się linia ulicy nie łamała. Dzisiaj od surowości téj odstąpiono, i nowo stawiane domy miewają pospolicie i balkony i występy na narożnikach i po bokach, niekiedy przez wszystkie piętra. Ale broń Boże, aby wytknięta nowa, lub przedłużona stara ulica, miała wyjść z kierunku prostéj linii. Jeden z takich przypadków, zaszły przed kilku laty, ściągnął gniew monarchy, wielkiego miłośnika i znawcy budownictwa, na komisyą budowniczą i na prezesa policyi, który dał konsens do popełnienia takiego barbarzyństwa. Wszystkie ważniejsze przedsiębiorstwa budownicze idą teraz zawsze do potwierdzenia królewskiego.

Istnieją także policyjne przepisy co do wysokości budujących się domów. Nie wolno budować więcéj nad cztéry piętra, licząc w to piętro dolne czyli parter, oprócz mieszkań sklepowych i poddaszych. Téj wysokości bywają wszystkie nowsze domy, i w nowszych częściach miasta i ulicach panuje też z tego powodu w liniach gzymsów i dachów wielka symetrya, zwłaszcza, że dachy dają się teraz po większéj części płaskie. Taka symetrya rozmiarów każdego domu z osobna i w połączeniu z drugiemi czyni, że nowe części miasta i ulice o wiele piękniéj się oku przedstawiają niż dawniejsze, z wyjątkiem jedynéj ulicy Pod lipami, która domami swemi, tak we względzie stylu i smaku architektonicznego w ogóle, jak i we względzie wewnętrznego ich rozkładu, w znacznéj bardzo części, nie dorównywa ulicom nowym, ma jednak inne rzadkie zalety: nadzwyczajną szerokość, czterorzędną lipowych drzew aleją w środku, dwie drogi dla powozów, dwie dla jeźdźców, szerokie chodniki po dwóch stronach, ujście jednym końcem na wielki plac Fryderyka i domu opery, na którym się znajdują najwspanialsze gmachy a w przeźroczu zamek królewski, ujście drugim końcem na plac Paryski z Bramą Brandenburską, prowadzącą bezpośrednio do parku Thiergarten, — zalety, które ulicę Pod lipami z przylegającemi do niéj placami, publicznemi gmachami, posągami, hotelami i sklepami, kładą słusznie w pierwszym rzędzie ozdób stolicy. Z niéj biorą zwykle podróżni, tam najwięcéj stawając, pierwszy sąd swój o piękności miasta, a rzuciwszy okiem na ogromną re-

gularną sieć sąsiednich ulic, wyciągniętych jak szeregi wojska, utwierdzają się w sądzie swoim co do ogółu obrazu, nie troszcząc się o szczegóły.

Szczegóły zaś te licznych bardzo domów w starych ulicach nader dotkliwie obrażają oko. Domy te, dawno stawiane, nie odpowiadają ani smakowi ani potrzebie wieku. Zrzucają się więc częściowo rok w rok aż do fundamentu i stawiają nowe, albo o dwa i trzy piętra, podnoszą się dawniejsze w górę. Piękność ulicy wcale na tém nie zyskuje. Ginie wszelka proporcya, symetrya i harmonia w wyższych częściach domów. Tu ogromny dom czteropiętrowy sterczy jak wieża ponad jednopiętrowym, tam dach płaski przytyka do śpiczastego, owdzie ogromne okna, balkony, występy, płaskorzeźby, figury nowego domu przeglądają dumnie obok małych okienek i gołych ścian nędznego domostwa z pruskiego muru. Widok to bardzo niespokojny i brzydki dla estetycznego oka. To, zachowując powyższe porównanie, jakby kształtny olbrzym stał w szeregu wojska obok karła. .Tego się w nowych częściach miasta i w nowo przebitych ulicach nie postrzega. Pięćdziesiąt przynajmniéj lat będzie jeszcze potrzeba, aby się wewnętrzne miasto, budujące się dziś w górę, nie mając miejsca na wzdłuż ani na szerz, w zewnętrznym kształcie domów wyrównało. Wtedy dopiero będzie piękne. Tyczy się to szczególnie tak zwanego Friedrich-Wilhelmstadt, którem nazwiskiem obejmuję części leżące po obu stronach ulicy Lip.

Berlin opasany jest naokoło murem, nie dla obrony, lecz dla większéj kontroli poboru podatku konsumpcyjnego. Każdy wjazd do miasta ma pewien rodzaj budowy, mający przedstawiać bramę. Są to jednak po większéj części proste zwyczajne rogatki z domkami dla poborców. Jedyna brama brandenburska, z pamiętną Wiktoryą na szczycie, naśladowanie propyleów ateńskich, zasługuje na architektoniczną uwagę.

Mur opasujący miasto, nader szeroko obwiedziony, bo zamykający wewnątrz pola, które jeszcze przed kilku laty były obsiewane i dotychczas w znacznéj części zasadzają się ziemniakami, miał także być niejako ostatnią granicą, wśród któréj miastu budować się było wolno. Wzrost przemysłu nowszego czasu, mianowicie drogi że-

lazne, przemogły jednak ten przepis policyjny. Miasto wyłamało się całą potęgą za mur, mianowicie ku zachodowi, w kierunku biegu słońca i ognisk cywilizacyi, w którym budowała się od wieków większa część miast europejskich: Warszawa, Kraków, Poznań, Gdańsk, Szczecin, Hamburg, Wrocław, Drezno, Kolonia, Frankfurt it.d. Pomiędzy dworcami dróg żelaznych poczdamskiéj i lipskiéj, w stronie południowéj Thiergarten, powstała cała nowa część miasta, Cöthener-vorstadt, przepysznie wybudowana, która coraz daléj się rozciąga, opasując z jednéj strony Thiergarten, aż ku ogrodowi zoologicznemu. Z drugiéj strony parku i rzeki, począwszy od dworca drogi żelaznéj hamburskiéj, wzrosło i wyciągnęło się aż ku Charlottenburgowi, przez ogromne gmachy publiczne, jako więzienie pensylwańskie i koszary ułańskie, oraz przez liczne zakłady fabryczne, Borsiga, Szumana i inne, przedmieście moabitskie; tak że Thiergarten, zapełniający się nadto na skrajach i końcach swych coraz większą liczbą will i mieszkań letnich, stać się może z czasem ogrodem wśród miasta leżącym.

Spekulacya budownicza zwróciła się głównie w tę stronę stolicy, i co rok powstają tam nowe projekta to do zabudowania wolnych miejsc letniemi pałacami, to do przebijania nowych ulic pomiędzy ogrodami. Gdyby od woli spekulantów zależało, wycięliby wszystkie drzewa, zniszczyli ogrody, poprzerzynaliby zyskane miejsca ulicami i wybudowaliby je dom przy domie, jak w środku miasta, gdzie nie widać żadnego drzewa, chyba młode szczepki akacyj, zasadzane od parę lat ponad rynsztokami ulic. Ale panujący król nie pozwala na takowe barbarzyństwo, i każda nowo otwierająca się ulica musi być zabudowana osobno leżącemi domami, w kształcie willi, z przyległemi ogródkami. Tam dziś wysadza się sztuka budownicza na wznoszenie budowli najrozmaitszego stylu i kształtu. Grecki, rzymski, włoski, mianowicie florencki styl przemaga, ale trafia się i szwajcarski i normandzki, a nawet i maurytański.

Aby tę nową część miasta ożywić, zarazem aby ułatwić żeglugę, doznającą w przeprawie przez mosty i śluzy miejskie na właściwéj rzece i jéj odnogach zbyt wiele przeszkód, nadto, aby spekulacyą budowniczą zwrócić na wspomnianą wyżéj obszerną pustą przestrzeń leżącą

w obrębie opasującego miasto muru od strony wschodnio-południowéj, zowiącą się Koepnikerfeld; rząd kazał przez tę niezabudowaną część miasta poprowadzić spławny, obszerny, cymbrowany, w pewnych odstępach w przestronne porty rozlewający się kanał, który przerzynając w dalszym biegu zewnątrz muru miasta całą południowo-zachodnią przestrzeń Thiergartenu aż ku Charlottenburgowi, łączy górną Sprewę z dolną, dostarcza strumieniom i sadzawkom parku płynącéj wody, i ma niezadługo stać się linią poboru cła konsumpcyjnego. Wtedy część niepotrzebna muru ma być zwalona, i nowe części miasta mają połączyć się bezpośrednio z staremi, czego spekulacya niecierpliwie wygląda, bo to jéj otworzy pole do robienia nowych projektów.

Kanał spławny, o którym mówię, sprawił niespodziewany skutek. Na całéj długości jego powstały długie rzędy najpyszniejszych domów. Koepnikerfeld zostało porznięte na ulice, których znaczna część już jest zabudowana. Domy jak najwspanialsze, myślećby można, że przeznaczone na mieszkanie dla najzamożniejszéj klasy ludności, którą stósunki i zatrudnienia zmuszają do mieszkania, chociaż mniéj wspaniale, w innych częściach miasta. Tam rząd zbudował, kilka lat temu, przepyszny szpital, zostający pod opieką królowéj, a posługiwany przez protestanckie siostry miłosierdzia, zwany Bethania, prawdziwy gmach klasztorny, z kościołem, kurytarzami, z mnóstwem sal i pokojów, z ogrodem, i z wszystkiém co do najlepiéj urządzonego szpitala należeć może, — wzór budynków tego rodzaju. Tam także stanął, wewnętrznie jeszcze niedokonany, prześlicznéj budowy nowy katolicki kościół ś. Michała. Tam w niewielkiéj odległości od niego wystawiono nową bazylikę protestancką. Ta od środka życia stołecznego nieco odległa część miasta liczyć się kiedyś będzie do najokazalszych.

Nie mówię o innych częściach i przedmieściach, na ćwierć, na pół mili za miastem, w kierunku wielkich gościńców, rozciągających się. Wszędzie w nowych budynkach widać i styl i smak wykwintniejszy, a przytém do klimatu i potrzeb miejscowych więcéj zastósowany. Ciągłém budowaniem i przebudowywaniem wewnątrz i zewnątrz miasta, fizyonomia Berlina nie tylko się nie starzeje, ale raczéj rok w rok odmładza. Z pierwszych

jéj rysów, które nie sięgają daléj jak końca wieku XVII i początku XVIII, czyli panowania Fryderyka Wilhelma, zwanego Wielkim Kurfirstem, i dwóch pierwszych królów pruskich, Fryderyka I i Fryderyka Wilhelma I, mało się co pozostało. Najznakomitszemi dziełami budowniczemi z dawniejszych czasów są: Klosterkirche z 1290 r., Marienkirche z 1383 r. Nikolaikirche z XV wieku, Lagerhaus, dziś pracownia Raucha, dawniéj mieszkanie Kurfirstów brandenburskich, część zamku królewskiego od strony rzeki, marstall czyli koniusznia przy szerokiéj ulicy, szczątki starego berlińskiego ratusza i kilka domów z wysokiemi szczytami w starém mieście. Wszakże i dziś jeszcze budowle te nie są bez powagi wśród późniejszych, w większéj części dorywczo, bez stylu i bez okazałości stawianych.

Historyą budownictwa berlińskiego podzielić można na trzy epoki. Pierwsza odznacza się panowaniem pierwszych królów pruskich, za których żyli sławni budowniczy: Nehring, Jean de Bodt, którzy wystawili arsenał, jedno z największych dzieł architektonicznych w Berlinie, i Schlueter, razem rzeźbiarz (patrz korespondencyą o rzeźbiarstwie) i architekt-twórca zamku królewskiego. Druga epoka oznaczona jest panowaniem Fryderyka II, zwanego Wielkim, za którego żyli budowniczy: Knobelsdorf, Jan i Fryderyk Baumann, ojciec i syn, Karol Gontard i Chrystyan Unger. Oni zbudowali dom opery, kościół katolicki, wieże kościelne na placu żandarmowym, uniwersytet, kościół katedralny, i inne gmachy, dotychczas odznaczające się stylem swym, już greckim, już włoskim, już francuskim. Trzecią epokę obejmuje panowanie Fryderyka Wilhelma III i Fryderyka Wilhelma IV obecnie rządzącego. Za nich żył sławniejszy nad wszystkich budowniczy Schinkel. On jest twórcą znacznéj części gmachów, będących dziś ozdobą Berlina. Do nich liczą się: Schauspielhaus, czyli teatr dramatyczny, muzeum, w którém jest galerya obrazów, akademia budownicza, Werdersche Kirche i inne.

Między znakomitszymi żyjącemi budowniczymi berlińskiemi mieszczą się Langhans, Strack, który dyrygował budową kilku pałaców książęcych, Stueler, trudniący się budową dotąd nie zupełnie skończonego nowego muzeum, najwspanialszego z nowszych gmachów, Hitzig i Tietz,

budowniczy piękniejszych domów prywatnych, i inni. Rozpoczęta za panującego króla budowa nowéj katedry protestanckiéj, która miała być arcydziełem sztuki budowniczéj w Prusiech, i zdobić ją miały freski Corneliusa, przerwaną została wypadkami 1848 r., i niesłychać bynajmniéj, aby miano zamiar daléj ją prowadzić. Czas nasz nie ma pieniędzy na budowanie kościołów. Przemysł, drogi żelazne, armie stojące, twierdze, pochłaniają wszystkie dochody i zasoby. Wszakże w nowszych latach stanęło w Berlinie samym około 20 nowych kościołów i kaplic. Prawda, że między niemi znajdują się i takie, które dowcip gminu nazywa „Polka-kirchen.“

Na tém kończę obraz architektoniczny stolicy pruskiéj, a z nim i drugi większy oddział kroniki, skreślonéj wedle zmysłu wzroku. Wypadnie mi w porządku rzeczy skreślić w następnym liście świat zmysłu powonienia, funkcyonującego przez organ nosa. Lękam się naprzód dotykać tak delikatnego zmysłu. Proszę czytelników zaopatrzyć się wcześnie w tabakę, czytelniczki w parfumy. Przyjętego obowiązku dopełnić muszę.

Paryż w czerwcu.

Czerwiec, wonny miesiąc róż i akacyj, pod którego ciepłemi skrzydły natura—jeszcze zanim weszły w modę wystawy, bo od czasów Adama i Ewy—zwykła zastawiać na zielonych kobiercach powszechną expozycyą kwiatów, został także wyznaczony przez paryzkie Towarzystwo rolnicze jako termin ogrodniczych popisów. Pałac przemysłu na chwilę w ogród zmieniony stał się schadzką wszystkich przybywających cudzoziemców i odjeżdżających paryżanów—oazą, z któréj pierwsi powezmą wysokie pojęcie o francuzkiéj kulturze ogrodowéj, drudzy wywiozą wonne wspomnienie rodzinnego miasta. Róże, azalee, rododendrony, piwonije, gwoździki itd., są obecnie niewinnym przedmiotem rozmowy na obiadach, herbatach i wizytach pożegnalnych — przedmiotem czyniącym miłą dywersyą w zwyczajnéj o przywarach bliźniego konwersacyi.

Spiewajmyż więc i my idealne dzieła Flory, oraz soczystsze od nich Vertumna wyroby — wystawa bowiem ogrodnicza łączy *utile dulci*, karmi ducha i ciało—składa się z kwiatów, owoców i jarzyn.

Na murawie która zastąpiła podłogę w przemysłowym pałacu, znajdziesz rozrzucone w przyjemnym nieładzie, róże, kartofle, rododendrony, pomidory, azalee, kapustę, tuberozy, kalafiory itp. — co krok napotkasz tu równie niedobrane jak między ludźmi, a żyjące z sobą w zgodzie pary — na przykład, konwaliją z burakiem, marchew z jasminem, cebulę z ananasem, czosnek z poziomką, a liliją candidę z szabelbonem.

Żywą tę mozaikę kontrastów, przecina czysty strumień wody, który na jednym końcu sali wytryska ze skały, a na drugim utworzywszy małe jeziorko, znika. Drewniane ściany nawy, zakrywa nieprzejrzany szpaler zieloności utworzony z cyprysów, jodeł i sosien, które człowiekowi posiadającemu trochę dobréj woli, czynią zupełne złudzenie lasu, na którego połoninę Rusałki i Dziwożony naniosły kwiecia umalowanego cudnemi barwy, ku większéj pokusie śmiertelników. Przy każdéj takiéj piramidzie kwiatów stanąwszy, patrzysz rychło-li z gęstwiny wyjrzy jedna z owych białych zwodnic powietrznych, lubiących tańcować kołem w srebrnym promieniu księżyca, który przebiwszy drżące z brzozowych liści żaluzye, pada na wonne dywany z wrzosu i konwalij, którymi ich sale balowe wysłane.

Zabobonna bojaźń moja powiększyła się jeszcze skorom ujrzał niedaleko siebie cały kląb *Belladony*, zwanéj w języku czarów Mandragorą, któréj moc cudowna słynęła jeszcze w starożytności. Roślina ta rodem z gór Libanu, jest tém na Wschodzie, czém paproć dla naszego ludu, wielmożną czarownicą dzierżącą w swéj mocy szczęście i rozpacz człowieka. Alchemiści średnio-wieczni po całych nocach szukali tego drogiego ziela które miało rozwiązać zagadkę filozoficznego kamienia; wedle bowiem świadectwa arabów, mandragora o pewnych godzinach bliskich poranku, za dotknięciem przemieniała w złoto wszystkie metale. Nie śmiano atoli korzystać z jéj szczodroty, gdyż obok tak cudownéj własności, miała i tę, iż zabijała śmiałka który się doń bez dopełnienia pewnych formalności przybliżał. — Starożytni

pisarze wspominają często tę czarowną plantę. Pythagoras który studiował własności roślin w księgach Zoroastra, powiada, iż skoro noc nadeszła, Mandragora świeciła zdala jak pochodnia i przyciągała do siebie wędrowców, a za ich zbliżeniem się znikała zostawiając podróżnego po ciemku na manowcach gdzie zazwyczaj nieubłagana śmierć nań czyhała. Kto umiał zerwać Mandragorę, dla tego niebo stało otworem, ten nie spotkał już na ziemi niepodobieństwa. Ale biada zuchwałemu co zbliżył się doń bez ceremonii! Wtedy krzak gniewny wnet go w sploty długich liści pochwyciwszy, różowemi kwiatami z ust życie wypijał, i dopóty całował ciskając w oczy oślepiających błyskawic strugi, aż zacałował na śmierć....

Nie mając od Zoroastra antidotum na takie napady, pojmujesz z jakim strachem od owego zaczarowanego kląbu odskoczyłem..... ale cóż, chcąc uniknąć Scylli wpadłem w Charybdę — oglądam się, i widzę tuż obok siebie *Callitią* czyli Sardeńską trawę, ziele nie przyjemniejszych od Mandragory własności; jeden listek jego wrzucony do wody, zamraża całą studnią, a zjedzony, tenże sam na człowieka czyni skutek manifestujący się na zewnątrz szyderskim śmiechem trwającym przez resztę życia. Jeżli nie wierzysz, odsyłam cię do Virgilego który w 7éj eglodze czyni także alluzye do tego szyderskiego ziółka. Od sardeńskiéj trawy poszedł przymiotnik *sardoniczny* używany na wyrażenie szatańskiego śmiechu.

Szyderstwa bojąc się jak ognia, przeszedłem szybko, ale z czarnoksięzkiego laboratoryum Flory wyjść jeszcze nie mogłem. Uszedłszy parę kroków po żwirowéj ścieszce, napotkałem znowu znajomą czarodziejkę rodem z Indyi, nazwiskiem *Archimenida*. Widok jéj ucieszył mnie i ukoił. Jestto jedna z najzacniejszych obywatelek roślinnego państwa. Wysłała ją na ziemię Themis sprawiedliwa, z missyą pomagania ludziom do wykrywania zbrodni. *Archimenida* polecenie boskie lepiéj pełniąc od ludzi, nie zaufała rozumowi, i sprawiedliwości oddała własne serce: dosyć żeby zbrodniarz ukąsił tego serca kawałek, wnet żelaznym snem zdjęty, głośno zbrodnię swoją spowiada.

Rozmyślając nad poświęceniem téj biednéj rośliny co dla dobra ogółu mordercom daje z serca swego jedzenie—zbliżyłem się do krzaku *Dictamna* co powiewając kitami czerwonych tajemną wonią przesiąkłych kwiatów, stał samotny przy drodze.—Szlachetny ten krzew, w prostéj linii potomek owego krzaka w którym Mojżesz usłyszał głos Pana, jedynych w roślinném państwie używa przywilejów; natura wieczystym obdarzyła go szczęściem: nie dozwoliła mu być sierotą.—Jeżeli świętokradzka ręka wyrwie go z rodzinnéj łąki ogrzanéj słońcem promienném, i przeniesie do lodowatych ogrodów północy, *Dictamnus* zabiera z sobą ojczyste do oddychania powietrze, extrakt woni pokrewnych kwiatów i traw przyjaznych z którémi na jednym wyrósł pagórku.—Jak wykwintna pani w pachnącéj miazmie swego salonu, tak on wszędzie gdzie go posadzisz, pływa w swéj zapalnéj atmosferze — i jeżeli tylko zawistna dłoń jaka, nie przytknie doń ognia, który to tropikowe powietrze jak minę prochu zapala — *Dictamnus* żyje wiecznie szczęśliwy, co wiosnę w nowe strojąc się bukiety.

Obok Bożego krzaka, spostrzegłem skromnie stojącą w kąciku figlarkę *Vesicarią*, plantę bez kwiatu i woni, która mszcząc się za nizki stopień jaki w hierarchii roślinnéj zajmuje, wynalazła sposób czynienia śmiesznym króla przyrody, człowieka Kto zje jéj listek, żeby był brzydki jak grzech śmiertelny, mieć siebie będzie za najpiękniejszego w świecie.—Jakkolwiek to roślina smaczna, zdaniem mojem, nie warto jéj uprawiać, mianowicie tam gdzie są herbowne i bogate panie — czyż im mężczyzni *Vesicaryi* nie zastąpią?

Kiedym mniemał żem już wyszedł z ciemnego tajemniczych roślin szpaleru na jasne pole gdzie wabiąc kolorem i pieszcząc zapachem mrugały na mnie róże—spotkałem się oko w oko z najstraszniejszym wrogiem płci naszéj, srebrno-listną *Euforbiją;* przelękniony, jak Dante przed zjawiskiem Gorgony odwróciłem głowę, bo kwiat to stokroć gorszy niż głowa Meduzy, mający moc zmieniania człowieka nie w kamień, ale w rozżarzony węgiel — posiadający sztukę ujarzmiania serc najdzikszych. Jeżeli niebaczny wypijesz wodę w któréj kwiat ten kąpał swój kielich tajemniczy zapisany hieroglifa-

mi — czy ta co ci ten napój sporządziła będzie piękną jak anioł, czy jak świat starą czarownicą, uczujesz się natychmiast szalenie w niéj zakochany, uczujesz że dla niéj gotów jesteś zapomnieć obowiązków, żyć bez honoru, bez czci i wiary....

Niebezpiecznie było zostać tu dłużéj; chcąc co prędzéj uciec od Circe, przyśpieszyłem kroku, ale ta, gniewna że mi nic zrobić nie może, pod stopy moje zgubną rzuciła zasadzkę: oledwiem nie nadepnął na pełzające w trawie *Eringium*, którego dość nogą dotknąć ażeby oszaleć z miłości — dowodem Safona, co dla tego tylko że trąciła koturnem to złe ziele, rozżarzone w sercu płomienie aż w morzu gasić musiała. — Na szczęście i „mnie matka kąpała w mleku, i mnie nauczyła czarów siła" wyszedłem więc cało z zasadzki — ale niechcąc kusić czarta, widząc że tu złych rzeczy doigrać się można, postanowiłem bądź co bądź wyjść z téj apteczki czarownic. Biegłem więc jak Farys pomijając palmy zielono-włose, i nie zatrzymałem się aż pod dobroczynną girlandą szerokolistnéj greckiéj *Arystolochii*, któréj chłodne dotknięcie goi rany—o czem już nie od Zoroastra lecz z własnego dowiedziałem się doświadczenia.

Tutaj stałem najdłużéj błogosławiąc dobroczynność natury. Ale któż kiedy przestaje na tém co posiada? Drabina żądań ludzkich bez końca: nie czując bólu, chciałem jeszcze zapomnieć.... i począłem, obok szatańskich filtrów, upatrywać wody letejskiéj, niestety napróżno, bo to napój nieznany w ogrodach Armidy. Więc markotny jak dziecko któremu księżyca z wiadra nie dano, zaniechałem dalszéj wędrówki psychologicznéj po państwach flory, i zająłem się wyłącznie hortykulturą.

Największem bogactwem ogrodnictwa francuzkiego są róże i azalee. W tych dwóch gatunkach kwiatów żaden kraj mu nie dorównał. Nigdzie róża w tak misterne nie układa się fałdy, nigdzie w tak krasne nie stroi sukienki ani tak wonnych nie używa pachnideł jak na żyznéj ziemi Franków. Sławne zarośla różanne Smyrny i Sofii, złożone tylko z jednego gatunku który w końcu nuży oko swą jednostajnością, muszą ustąpić pierwszeństwa rabatom paryzkich ogrodów; tam wszystkie róże podobne sobie jak dwie krople rosy, nie pełne i blade —tu z każdego krzaku inny choć pokrewny kwiat wy-

rasta—a czasem z jednego pnia kilka odmiennych centifolii wytryska; któż nie przyzna że od najpiękniejszéj róży piękniejszy róż bukiet?

Azalea wszędzie szczodra, nigdzie gęstszym nie pokrywa się kwiatem jak nad brzegami Sekwany. Ogrodnicy paryzcy korzystając z dziwnéj uległości téj rośliny, na wzór szpalerów wersalskich, przeróżne nadają jéj kształty: z krzaczków tworzą stogi, obeliski, kolumny, piramidy, tryumfalne łuki i parasole chińskie — a wszystko tak zręcznie, iż nie tylko krzewy nie wydają się wymuszone i nie przypominają wystrzyżonych rekrutów, ale są powabniejsze od tych które ubiera natura.

Jako dowód ile rzeczywistego wdzięku mieć muszą te rośliny powiem ci, iż przed jednym z takich parasoli uwitych z blado-różowéj pełnéj azalei, dziewczynka jakaś modro-oka, jakby uderzona przypomnieniem raju, uklękła składając ręce do modlitwy. Jak niegdyś ptaki malowaném winogronom Zeuxisa, tak tutaj dziecko złożyło hołd połączonéj ze sztuką naturze. Nie jest-że to najwymowniejszy dowód wartości dzieła?...

Najpiękniejsza kollekcya róż znajdowała się w długich żłóbkach mchem wysłanych. Na tém miękkiem posłaniu pokładziono rzędami róże urwane, do których szypułki przyczepiono nazwisko i rodowody. Z tego zbioru gdzie wybór nader był trudny, najpyszniejszym wydał mi się, karmazynowy w pąsowych obszlegach *Jenerał Jaqueminot.* Cała gamma szkarłatu z któréj ta róża się składa, tak promiennym przyobleka ją blaskiem, iż patrzeć nań potrzeba jak na rubinowego koh-i-noora, oczy ręką przysłoniwszy—inaczéj wzrok by wyjadła.— Po téj, zajął mnie najwięcéj ale już jako osobliwość tylko, *Król Bawarski.* Pozwalając sobie licencyi poetyki, nazwałbym go czarnym — mówiąc atoli potocznie, między nami, wyznam, iż jest tylko ciemno-karmazynowy — co nie przeszkadza, że na palecie Flory jest ze wszystkich najciemniejszym kwiatem.— *Gloire de Dijon* czuło-paliowa, ma także prawo zasiąść w pierwszym rzędzie — ogromem, wonią i dystynkcyą przewyższa wszystkie centifolije w tem dostojnem zgromadzeniu, co jest rzeczą nie małą, bo np. *la Reine Mathilde* bladoróżowa, ma ćwierć łokcia średnicy.

Nie skończyłbym chcąc wymieniać wszystkie te róże kwitnące na mchowem posłaniu — dodam więc tylko że najmniéj piękna mogłaby być królową naszych północnych ogrodów.

Kląb roślin tropikowych zajmował najwięcéj znawców i zdumiewał profanów — składał się bowiem z samych kaprysów natury, która w tych strefach widocznie upojona żarem słonecznym, pozwala sobie szalonych wybryków, chce wyskoczyć po za zakreślone sobie granice i kształtować się na wzór jestestw organicznych. Czarodziejka, naśladownictwo posunęła tak wysoko, że nawet człowieka nieraz oszuka. I tak, *Saccolabium Guttatum* wydaje ci się kollekcyą najkraśniejszych motylków trzymających się nożkami długiego kłosa—*Cypripedium Barbatum* naśladuje formą i kolorem słowika—*Cattleya Amethystea* polnego konika, tak zwaną *panienkę* z gazowemi skrzydły — bez listna, delikatna jak pasmo nici a wielkim obsypana kwiatem *Phalenopsis Grandiflorum* wydaje się być fruwającem stadem białych gołębi.

Ale dosyć łaciny i dosyć opisów nieprzystępnych pióru piękności. Ażebyś mnie mógł zrozumieć, musiałbym wezwać pędzla na pomoc, a i wtedy jeszcze, chcąc być jasnym, trzebaby ukraść Florze paletę. Pomijając więc kwiaty dla tego że ich malować nie umiem, a owoce i jarzyny dla tego że ich nie kosztowałem, a choćbym i kosztował to się o gustach nie dyskutuje, dodam tylko reassumując wrażenia, iż na wystawie kwiatów też same co w literaturze i sztuce przebijają dążności. Jak tam, tak i tu spostrzegasz dwa wyraźne kierunki które cię zarówno na scenie i na wystawie sztuk pięknych rażą: ubieganie się za jaskrawością kolorów kosztem ducha, czyli kosztem mniéj krzyczących a więcej wartych kwiatków co umieją składać ofiarę — zapach bowiem jest ofiarą kwiatu—powtóre, zupełny brak fantazyi, czy poezyi, jeżeli zechcesz—brak aspiracyi ku dotąd nie wcielonym ideałom co to jak mrówki kłóją i niepokoją myślicieli.

Ogrodnicy widocznie zasnęli twardym snem tradycyi i już nie szukają niebieskiéj georginy! Nie dawno jeszcze widzieli wszystko przez niebieskie okulary: umalowanie kwiatu na niebiesko, nadanie mu koloru w który najskąpsza natura, było ideałem ogrodnika tak jak ideałem

pedagoga wpojenie rzadkich przymiotów w człowieka; do dopięcia tego celu dążyli uznojeni przez niepodobieństwa i utopie, pomagając sobie chemią, fizyką, pracując nieustannie nad wynalezieniem nowych środków kultury. Jak poeci idealnéj kochanki, publicyści idealnego rządu, ogrodnicy szukali idealnego kwiatu, mistycznéj róży niebieskiéj, niebieskiéj kamelii lub niebieskiego maku; sztuka ścigała się wtedy o twórczość z naturą — zadaniem jéj było wszczepienie niebieskiego koloru w ziemskie kwiaty. — Dzisiaj wszystkie te szczytne dążności ustały. Ogrodnicy stali się realistami; utraciwszy odwagę do walki, wygodnie przystali na *status quo;* nie rywalizują już z naturą, ani konspirują przeciw niéj — już nie marzą wybrednie o niebieskich makach, georginach czarnych i zielonych gwoździkach — lubią róże jakie są: ładne i wiotkie... i na takich zasnęli...

Niestety! na wystawie ogrodniczéj przekonałem się, że chociaż wynaleźliśmy maszynę parową, i telegrafy elektryczne, chociaż jeszcze wynajdziemy zapewne kierunek balonów, maszynę do pisania książek, a może i maszynę do myślenia — nie naszemu pokoleniu dano wynaleść różę niebieską!

Londyn w czerwcu.

Anglia pod względem na wyższą uprawę ziemi, często porównywaną bywa do ogrodu, porównanie to zgadza się z rzeczywistością. Nigdy jednakże postać Anglii nie wydaje się piękniej jak czerwcu. Niema tu tak rozległych jak u was łanów, niema właściwie pola; lecz spojrzawszy z wysokości na okolicę, widzisz ją rozesłaną przed oczyma jako szachownicę, poprzecinaną jak daleko wźrok zasięga zieleniejącemi rzędami żywych płotów. Różnica w tem tylko, że na téj szachownicy naokoło niema podziałów powierzchni na kwadraty ani na jakiebądź regularne w prostych liniach rozmiary, które przestrzegane są od miernictwa innych krajów w rozmierzaniu gruntów. Jednakowość i regularność takowa, jako wbrew przeciwna zasadom estetyki, ujmowałaby wiele piękności widokom; Anglicy więc jako

mający więcéj zamiłowania w sielskości i bardziej wydoskonalony smak, odrzucają z niej wszelką jednostajność i nudzącą monotonią. Ustrzegli się monotonii w swych parkach nie strzygąc ich drzew w szpalery, niechcą jéj też mieć na polach. Rozmaitość, jako bliższa i zgodniejsza z przyrodą jest ich zasadą. Wydobywając swe grunta ze stanu natury i dzikości nadali im postać obszernego ogrodu, nieczyniąc przyrodzie gwałtu, tylko ją upiękniając. Nic też niemoże być piękniejszego nad taki krajobraz. Podziały, na które jest poprzecinany, wyglądają zpośród przegradzających je żywych płotów i drzew jak pólka a nie pola, i one podobniejsze do grzęd lub kwater ogrodowych, a nie do niw ani łanów. Pólka te są rozmaitej wielkości i kształtu, wynoszące zwykle od jednego do trzech morgów polskiéj miary, rzadko więcéj. Ani drogi nie idą przez nie prosto jakby wystrzelone; lecz podług natury gruntu dozwalają sobie zakrętów, załamań; a z obu stron znowu uprzyjemniają je rzędy żywego płotu, i miejscami wyższe drzewa, więzy, klony, dęby, akacye. Głogów co niemiara, dorastających w wysokie rozłożyste drzewa, a pod koniec maja i bieżącego miesiąca okryte były kwieciem, jak grubym śniegiem, napełniającém wonią powietrze i gościńce. Płotów z żerdzi mało ujrzysz, tu i owdzie tylko widzi podróżny wrota przypominające mu wrota wiosek polskich, a prowadzące do owych poodgradzanych płotami żywemi zagród (enclosures). Tu na jednych ujrzy pszenicę wyłuszczającą się w kłosy; na drugich zieleniący się jęczmień lub owies; na innych zasadzone są różnego rodzaju warzywa: ziemniaki, kapusta, turnips, rubarbar. Na innych jeszcze pasą się klacze ze źrebiętami, śliczne mleczne krowy, trzody tłustych jak pączki owiec z jagniętami a każde w oddzielnych zagrodach, z bujną trawą, któreby niejeden z gospodarzy waszych na siano pozazdrościł. Lecz to właśnie rasy bydła naprawia, bo mu paszy nieskąpią. Dnie i noce bydło tam zostaje, nie pędzą go do obór i chlewów. Wolno trzody na pastwisku chodzą; nikt ich nie dogląda. Pastuchów niema i niepotrzeba. Pasterskie wieki, i pastuszków przegrywających na fujarkach przy trzodach, minęły; nieprzeminęła przecie sielskość. Trwa

ona wciąż, a widok jéj tém wdzięczniejszy i milszy, że objawiający się pod udoskonaloną formą.

Powiedziawszy te kilka słów o przyrodzie, jak się ona tu w czerwcu objawia, niech w dalszym ciągu zwrócę waszą uwagę na sfery wyższych udoskonaleń i ich postępu. Powyższe zarysy nie są bez związku z niemi. Mieliśmy wyścigi w Epsom i w Ascot. Ostatnie raczyła królowa zaszczycić swą obecnością. Dzień drugi tych wyścigów był pogodny, więc było mnóstwo niezliczone ludu, jak zawsze gdzie królowa bywa, był tam cały jéj dwór, ministrowie a z nimi Lord Palmerston konno, i prawie całe ciało dyplomatyczne. Po skończonych wyścigach tego dnia, N. Pani trzymając się zwyczaju zaprowadzonego przez królów jéj poprzedników, dawała wielką ucztę w zamku Windsorskim na którą 80 znakomitszych osób było zaproszonych. W ich liczbie znajdował się Książe Fryderyk Pruski. Przybył też niedawno Arcyksiąże Maksymilian. Przy końcu tego miesiąca królowa z dostojną swą rodziną i dworem udaje się do Manchester na wielką wystawę sztuk pięknych, i ci książęta mają jéj towarzyszyć. Towarzyszyli jéj także dnia 17 b. m. do kryształowego pałacu na sławną muzykalną fetę, która na cześć Haendla była daną. Wykonywane było wtedy wielkie tego kompozytora *Oratorium* „Judasz Machabeusz“. Dwoma dniami pierwéj wykonane było *Oratorium*: „Mesyasz“, będące otwarciem téj uroczystéj fety muzykalnéj. Mnóstwo osób wielkiego świata, jak łatwo domyślić się można, zgromadziło się na słuchanie tego arcydzieła kompozycyi Haendla; a w liczbie téj, przepełniającej cały gmach Pałacu, znajdował się... Kto? Baron Rotszyld. Rotszyld — i na Mesyaszu! Na téj wielkiéj muzykalnéj epopei, jak ją zowią, Nowego Testamentu! Prawdziwie nie jednemu, widząc go tam, musiało przyjść na myśl, że on jeśli się nienawrócił to już jest na drodze do nawrócenia. I znowu jaki osobliwy i dziwny zbieg okoliczności. Tegoż samego wieczora w parlamencie, ów *bill* o zmianę przysięgi tak aby ją mogli Izraelici składać, i być przypuszczonymi do zasiadania w parlamencie, pomimo opozycyi stawionéj od niektórych członków, przeszedł ostatecznie wielką większością przez Izbę niższą. Los jego teraz zawisł od Izby wyższéj. Agituje ciągle przeciw

niemu książe Norfolk wraz z stronnikami swojemi. Lord Palmerston wiele dokaże — bo to jego wniosek, jeśli go i przez Izbę Lordów przeprowadzi.

Lecz zboczyłem od fety. W poniedziałek 15 czerwca wykonany był „Mesyasz“; w następną środę: „Judasz Machabeusz“; a w piątek: „Izrael w Egipcie“. Do wykonania ich zjechało się niemniéj jak 2,500 najsławniejszych artystów, śpiewaków, śpiewaczek, i grających na różnych instrumentach. Nic niezaniedbano coby się przyczynić mogło do wykonania na najobszerniejszą skalę owych Oratoryów, i sprawienia najsilniejszego wrażenia na słuchaczach.

Organy na ten cel umyślnie nowe były zrobione i nawet bęben osobny, mający od 6 do 7 stóp średnicy, który za lekkiem dotknięciem wydaje głęboki ton najgrubszej dudy pedałowej w organach, a za uderzeniem mocném, podobny do wystrzału działowego. Wyobraźcie więc sobie gradacyą głosu od słowiczego *solo* jak Klary Nowelli — od głębokiego *soprano* jak panny Dolby wraz z kilku głosami innych — od nich do głosu z chorów z dwutysięcy osób — a przytem brzmienie instrumentacyi rzniętéj i dętéj różnego rodzaju i siły — przy uroczystych diapazach organów, i takim huku bębna o jakim wspomniałem — a pojmiecie jaka była tego stopniowania muzyki objętość, i jakie musiała sprawić wrażenie. Zwracam tu uwagę jedynie na część dynamiczną tej muzyki, bo opis estetycznéj jéj strony niepodobny, taką po raz pierwszy słyszano; można było ją czuć, zachwycić się, a nie w słowach wyrazić. Ów „setny Psalm“, który tak silne zrobił wrażenie przy inauguracyi krzyształowego Pałacu r. 1854, był tu z nierównie większym jeszcze efektem oddany. W jednym z jego wierszy połączyło się razem 2000 głosów ludzkich. Na samych próbach poprzedniego tygodnia bywało po 6000 osób. Dochód z tych prób doszedł do 4,000 fst. wszystkie wydatki już nim zostały pokryte. Dochody z saméj fety były czystym zyskiem.

Przedsiębiorstwo więc to artystyczne, na tak olbrzymią skalę, jakiej niebyło nigdy przykładu, przedziwnie się udało, i dodatkowym będzie funduszem na wzbogacenie Pałacu.

Powiedziawszy tyle o téj wielkiéj uroczystości muzycznéj, nie od rzeczy będzie, kiedy dołączę tu kilka słów o życiu tego, ku którego czci ona była sporządzona. Wyszły o nim w tych dniach dwa dzieła biograficzne: jedno napisane przez p. Schölcher, w przekładzie z francuzkiego, a drugie pani Bray po angielsku. Pierwsze dzieło jest wyborne: osnuł je autor na historycznych starannie zebranych dokumentach i pisał *con amore*. Według niego, Jerzy Fryderyk Haendel urodził się w Halli dnia 23 lutego r. 1685, a nie dnia 24 lutego r. 1684, jak przez omyłkę jest wyryto na jego pomniku w kościele opactwa westminsterskiego. Od lat dziecinnych objawiał się w nim nadzwyczajny pociąg i talent do muzyki, co niepodobało się podstarzałemu jego ojcu Drowi Haendel, który miał 63 lat wieku jak się mu syn urodził. Zamiast więc rozwijać w synie wrodzoną skłonność, ojciec starał się wszelkiemi sposobami ją przytłumić, tak dalece, że nie pozwolił mieć w domu żadnego muzykalnego instrumentu, — mawiając, że niechciał by syn jego brzdąkaniem zabawiał próżniacki świat. Wstręt ten ojca do muzyki obszedł syn użyciem fortelu; utrzymywał bowiem skrycie klawikord z przytłumionym cichem tonem, na którego klawiszach rozpoznawał harmonią tonow. Na szczęście znalazł on opiekuna w księciu Sasko-Weisenfeldzkim, który przypadkiem poznawszy niepospolity talent i usposobienie małego chłopczyny do muzyki, wymawiał ojcu to jego dla syna okrucieństwo i tyranią; otrzymał w końcu od niego, żeby mu niebronił brać lekcye od pewnego Sackau, organisty przy jednym z kościołów w Halli. Jerzy Haendel niemiał wówczas więcéj jak 9 lat. Organista przyuczał go do kompozycyi kantat, do pisania co tydzień jednéj, co młody Jerzy czynił przez trzy lata, i wielce się w tym rodzaju kompozycyi wydoskonalił. Nakoniec uczciwy organista wyznał, ze szczerością czyniącą mu zaszczyt, iż niewiedział już czegoby go więcéj miał nauczyć, ile że uczeń przewyższył go samego; radził przytem by młodego Haendla wysłano do Berlina, aby się u lepszych mistrzów daléj doskonalił. Ojciec usłuchał rady i Haendel w dwunastym roku wysłany był do Berlina. Tu zastał Bonocini i Attilio, kompozytorów włoskich. Ostatni zapoznawszy się z nim będąc człowiekiem szlache-

tnego charakteru, uznał go za cudo nieporównanego talentu, gdy przeciwnie pierwszy przez zazdrość wszelkich mu zalet odmawiał. Roku 1697 ojciec mu odumarł, zostawiając go w niedostatku i matkę. Osierocony i rzucony w świat bez sposobu do życia, udał się do Hamburga, gdzie zaangażował się do opery. Tu ułożył „Almirę, królowę Kastylii“, którą tam przedstawiono; ona była pierwszem jego dramatycznem dziełem, i wiele mu sławy przyniosła, tak dalece że książe ówczesny Toskanii powoływał go do Florencyi; Haendel jednak wolał zostać przy teatrze, aniżeli być policzonym do rzędu kucharzy i lokajów, jakto zwyczajem wtenczas było muzykantów uważać. Dopiero r. 1706 miał Haendel przyjemność zwiedzić Włochy.

Podczas pobytu swego we Florencyi skomponował on sławną swą operę „Rodrigo“, za którą od W. księcia otrzymał w darze kosztowny serwis i sto cekinów. Zwiedził potem Wiedeń, i Wenecyą, gdzie jego „Agrypina“ przyjętą była z zapałem w tamecznym teatrze. Z Wenecyi udał się do Rzymu, gdzie jego geniusz muzyczny znalazł uznanie od kardynałów, książąt, i wyższego duchowieństwa: zawdzięczając im tę uprzejmość, Haendel acz był augsburgskiego wyznania, ułożył ów wspaniały „Magnificat“ który został później wcielony do dojrzalszego jego utworu: „Izrael w Egipcie“. Odwiedził on był jeszcze raz Niemcy, Hallę i Hanower; a dopiero od roku 1710 osiadł w Londynie, miejscu największego powodzenia jego i wiekopomnéj sławy. W Londynie zastał on wtedy wzmagający się gust do muzyki włoskiéj, która wbrew ostrym przycinkom w pismach Addisona i Steela nieprzestała się ustalać i dotąd stanowi największy powab teraźniejszéj opery w stolicy angielskiéj. Tu Haendel miał wiele do zwalczenia. Pierwszym muzycznym jego utworem, przez który najwięcéj dał się poznać; była muzyka do „Rinaldo“ z Tassa, opery przedstawionéj na Haymarket teatrze; sama sprzedaż jéj przyniosła wtedy drukarzowi 1500 fst. Nie mając z ogłoszenia tej muzyki żadnego zysku, jakto często autorom się zdarza, Haendel w gniewie napisał następujący ucinkowy list do wydawcy: „Panie! ponieważ ze słuszności tak wypada, abyśmy oba stali na równi, więc napisz nową operę, a mnie dasz ją do przedawania“.

Następnie skomponował Haendel, na uroczystość zawarcia pokoju w Utrecht „Te Deum“ i „Jubilate“. Znalazł potem protektora w Lordzie Barlington, w którego domu przez cały rok bawił i miał sposobność widywania się tam z poetami: Pope i Gay; — podobnież w wielkiem był zachowaniu u księcia Chandos, dla którego prywatnéj kaplicy skomponował dwa „Te Deum“, i wzniosłych 12 hymnów, znanych jako „Chandos Anthems“. Jego „Mękę“ *(Passion)* „Ester“ dwa wielkie oratoria, do tej saméj epoki odnieść należy. Na wzmiankę i to zasługuje, że Haendel był nadwornym kapelmistrzem Jerzego I jak z Elektora hanowerskiego został królem angielskim; był późniéj członkiem akademii muzyki przez tego króla ustanowionéj, a r. 1720 objął dyrektorstwo Teatru Włoskiego. Dyrektorstwo to naraziło go na wielkie kabały i przykrości od aktorów teatru francuzkiego, który wówczas protegowany był przez znaczną część arystokracyi angielskiej. Ucierpiał przeto niezmiernie na zdrowiu; dotknięty paraliżem zmuszony był roku 1737 szukać wytchnienia i ulgi w kąpielach w Akwizgranie. Za powrotem jako spółdyrektor Haymarket teatru napisał operę „Pharamond“; po niej wkrótce drugą „Xerxes“; — obie jednak niepowiodły mu się na przedstawieniu. Roku 1738 napisał oratorium „Saul“: z niego dotąd przy pogrzebach wojskowych grają sławny żałobny marsz, zwany *Deaud March*, nieporównanéj piękności i kiedy dobrze wykonany przez muzykę wojskową, sprawia głębokie wrażenie. Najsławniejszym jednak z utworów jego jest: „Mesyasz“. Ułożył był Haendel to oratorium z szlachetnéj pobudki, bo na rzecz dłużników w celu uwolnienia ich z więzień; a późniéj ekzekwowane było także kilka razy za jego życia, na rzecz Szpitalu podrzutków w Londynie. Największe ono wszędzie miało powodzenie; a Haendel przez porównanie nazywany był Michałem Angelo muzyki. Gdziekolwiek Mesyasz egzekwowany, brakło zawsze miejsca dla tłumu słuchaczów. Podczas jednéj z takowych okoliczności, w celu zyskania miejsca dla większéj liczby słuchaczów damy tamtoczesne upraszane było w porozlepianych wszędzie afiszach, aby choć na jeden ten raz raczyły nieprzychodzić w rogówkach, i niezmniejszać datków dobroczynnych, odejmując szerokością rogówek

miejsca dla większéj liczby osób. Na jeden tylko wieczór o tę grzeczność je proszono, bo jakkolwiek rogówki są ozdobne, gmach był za mały i najmniej sto osób nie mogłoby znaleść umieszczenia. I dziwna rzecz do wierzenia, że damy jak mówią, usłuchały tej rady, — przyszły bez rogówek, które od tylu lat zarzucone były jako barbarzyńska ozdoba, a odrodziły się na nowo za naszych czasów w niemniej poczwarnych krynolinach. Folgując krótkości — bo i pora abym sam nienadużył miejsca w waszéj *Kronice* — dodaję jeszcze to, że Haendel na kilka lat przed śmiercią ociemniał. Umarł r. 1759, w porze kiedy dosięgał największego wzięcia i sławy w swoim zawodzie. Obchód jego pamiątki bieżącego roku, tak nadzwyczajny i świetny, jest prawdziwym hołdem dla jego geniuszu i zasługi. Ponieważ zaś setna rocznica przypada dopiero roku 1859, tegoroczny obchód ma być tylko próbą i przygotowaniem do świetniejszego jeszcze obchodu, który Towarzystwo filharmoniczne podejmuje się na cześć jego za dwa lata odbyć.

Jużem pokrótce wam doniósł o śmierci Duglasa Jerrolda. Literatura angielska straciła w nim jednego z najpopularniejszych pisarzy i wielkiego humorystę. Urodził się roku 1802 w Sheerness gdzie ojciec jego był dyrektorem teatru; a że to miasto jest jedno z portowych marynarki angielskiéj, młody D. Jerrold zaciągnął się wbrew życzeniu rodziców do służby morskiéj, i był przyjęty na miczmana czyli kadeta. Dzielił on w tém błąd właściwy dzieciom angielskim z których każde przepada za żeglarką. Niedługo wszakże bo w rok jeden sprzykrzyło się mu twarde jednostajne życie na okręcie, i porzucił tę służbę. Zapytany od ojca: czem chce być: odpowiedział, że chce zostać drukarzem. Życzeniu jego tak skromnemu nie trudno było zadość uczynić. Ojciec znalazł dla niego w Londynie drukarnię gdzie przyjęto go na zecera. Tu o ile mu czasu pozostawało od mechanicznéj mozolnéj roboty przy kaszcie, poświęcał wieczorami na czytanie najcelniejszych autorów angielskich, a szczególniéj Szekspira. Był z nim razem w nauce w drukarni inny młodzieniec, nazwiskiem Blanchard, równego z nim wieku i jednakowych skłonności; z nim tedy spędzał wolny czas na zgłębianiu i rozbieraniu zalet wielkich pisarzy, przejmując się ich duchem. Odtąd

zawiązała się między obydwoma niezmienna przyjaźń trwająca późniéj przez wszystkie koleje ich życia. Obydwa słynęli jako pisarze. Pierwsza próba piśmiennictwa Jerrolda odnosi się do następnéj okoliczności. Zjawiła się była wówczas po pierwszy raz na teatrach londyńskich opera „Freyschütz“ i wiele o niéj było mowy. Jerrold rozciekawiony poszedł wraz z towarzyszem i przyjacielem swoim na teatr by widzieć jéj reprezentacyą. Osnowa całéj téj opery łącznie z mistyczną swą muzyką takie wrażenie zrobiły na umyśle Jerrolda, że wróciwszy do mieszkania swego, zamiast pójść do spoczynku by rano wstać do roboty, siadł do pióra i napisał jéj rozbiór. Już był brzask dnia gdy skończył; pospieszył więc co rychléj wrzucić swe pismo do puszki wydawcy dziennika, do którego on właśnie był używany jako zecer. Z porankiem praca zwyczajna nad dziennikiem się rozpoczęła; lecz jakie było jego zadziwienie i oraz radość, gdy mu przyniesiono od wydawcy własny jego bezimienny rękopism do składania, do następnego numeru dziennika. Artykuł jego z wielkiém zajęciem był czytany, tak się bowiem odznaczał oryginalnością myśli jak świeżością stylu. Jerrold wszakże zachowywał swe incognito, tak dalece że aż kiedy wydawca wyraźnie ogłosił zapytanie do swych korespondentów: ktoby z nich był pisarzem krytyki? dopiero wtedy Jerrold stawił się przed nim przyznając się do jego autorstwa. Od tego czasu używany był do wcale innych i właściwszych mu zatrudnień, niż układanie czcionek. Nabywszy stopniowo większéj wprawy i śmiałości w pisaniu, dał się nie długo potem poznać jako autor dramatyczny. Pierwszém utworem jego w tym trudnym zawodzie był dramat „Czarnooka Zuzanna“ (*Black-eyed Susan*), którego treść z życia i obyczajów żeglarzy była wzięta; i do dziś dnia uchodzi on za najpopularniejszy ze sztuk tego rodzaju. Pisał go niemając jak 21 lat, i tak trafnie umiał w nim skreślić charakter i zwyczaje majtków, że nie żal iż rok spędził na miczmaństwie w służbie morskiéj jakkolwiek nie miał do niéj powołania. Dramat ten miał 300 prawie bez przerwy reprezentacyj; autor wszakże nie otrzymał jak 70 fst. za rękopism. Drugim niemniéj popularnym jego dramatem była: „Opłata Czynszu“ (*Rent*

Day) rozrzewniająca do łez widzów. Pomiędzy ulotniejszemi jego pismami, a jest ich niezliczone mnóstwo, są następne: „Głowy Ludu“ (*Heads of the People*) „Prawnik przyjmujący zastaw“ (*Pawnbroker*). „Ludzie z charakterem“ (*Men of character*). „Dzieje Pióra, „Bańki dzienne“ (*Baubbles of the Day*) „Kocie łapki“ (*Catspaw*), „Serce ze Złota (*Heart of Gold*), i wiele innych które po części drukowane były w *Blackwoods Magazine*, a po większéj części we własnych jego czasopismach, których kilka był sam zawiązał, i pismami swemi istnienie im zabezpieczył. Tyczyły się one prawie wyłącznie socyalnych kwestyj, które umiał z rzadkim dowcipem i z głęboką znajomością przywar i wad społeczeństwa obrabiać. Najzabawniejszemi z takich humorystycznych powieści, a mogącemi rozweselić największego hipochondryka, były tak zwane: „Caudle Lectures,“ czyli zafirankowe lekcye żony mężowi pod pantoflem będącemu. Czasopisma, które mu zawiązanie swe były winny, są następujące: *Iluminowany magazyn*; w nim ogłoszony był „Clovernook“ uchodzący za najlepszą jego powieść; *Shilling magazine* przez który dał początek do wydawania tanich a teraz tak rozmnożonych pism peryodycznych. W tym czasopiśmie znajduje się jego przez kilka numerów ciągnąca się powieść: „St Giles's and St James's“ obraz dwóch dzielnic londyńskich, jednéj najnędzniejszéj, drugiéj najokazalszéj i modnéj — kontrast ubóstwa w obec bogactwa. *Tygodnik Loyda* (*Lloyd's Weekly Newspaper*), którego do ostatnich chwil życia był głównym wydawcą. Lecz gdzie najwydatniéj dowcipem swym słynął, to w *Punchu*, do którego zawiązania pierwszą podał myśl, i ciągle go z Henrykiem Mayhew zięciem swym zasilał. On pisał do niego roczny kalendarz, pełen humorystycznego dowcipu w jakim czytelnicy angielscy mają upodobanie. On też obmyślił dla tego pisma jenialnego rytownika, p. Leech, który tekst jego drzeworytami objaśnia. Pisarz ten znakomity, jakiemu równego po Swifcie i Sydney Smith angielska literatura z dowcipu niemiała, odznaczał się także nadzwyczajną pracowitością, przy któréj jedynie mógł na tyle przedsiębiorstw literackich wystarczyć. Za młodocianego wieku, i przy całodziennéj pracy w drukarni wstawał często o trzeciéj z rana dla czytania kla-

syków rzymskich Liwiusza, Wirgilego; późniéj upodobanie miał szczególne w zgłębianiu Zendawesty i Eddy skandynawskiéj Niezmierny w ten sposób przyswoił sobie zapas różnorodnéj wiadomości, bez przewodnika bo go niemiał, ale sam własną siłą i z własnego popędu. Zapasy te różnorodne i tak nabyte, przydały mu się w piśmiennictwie zaostrzając dowcip, wyrabiając wzorowy smak. Obfitość miał pióra i pisał wiele, ale to wszystko porozrzucane po różnych czasopismach i dziennikach, a bezimienne, że większa tego część zostanie nieznaną bo nigdy nie może być zebrana. Szczodrą ręką rozrzucał bogactwa swego geniuszu. Przytém znany też był ze szlachetności uczuć; niecierpiał ucisku zkądkolwiek on pochodził, a przyjacielem był uciśnionych. Mówią o nim: że jeśli dostał mu się kiedy szyling, *sixpence* (połowa) szła na potrzebnych. Przyjaciół miał wielu, czcicieli jego geniuszu jeszcze więcéj. Umarł w 56 wieku swego, w poniedziałek 15 czerwca odprowadzono śmiertelne zwłoki jego na cmentarz w Norwood.

Duglas Jerrold niezostawił po sobie majątku, i nie mógł go zostawić przy tylu kosztownych przedsięwzięciach literackich którym dawał początek, i przy zwykłéj sobie szczodrobliwości. Przyjaciele jego literaccy, — a miał ich wielu — zawiązali się zatem w komitet w celu zabezpieczenia dostatecznego funduszu dla pozostałéj jego rodziny. Sposób w jaki się wzięli do zebrania go jest nowy, i dla tego zastanowienia godny. Do komitetu tego należą Sir Bulwer Lytton, Sir Joseph Paxton, i pp. Dickens, Thakeray, W. Russell, Albert Smith, Karol Knoght, John Foster it.d. Ci więc ogłosili przez dzienniki, że urządzą różne zabawy, naukowe i teatralne dla publiczności, aby zebrać takowy fundusz „na pamiątkę dla familii zgasłego.“ Tak brzmi obwieszczenie. I tak według programu, będzie naprzód dany wielki koncert przez artystów londyńskich; Dickens ofiarował się z czytaniem dla publiczności swéj powieści: *Christmas Carol*; W. Russell występuje z opowiadaniem wypadków krymskiéj wojny; a Thakeray z lekturą o kaznodziejach i kaznodziejstwie w dnie tygodniowe. Nowy dramat: „Zamarzłe głębiny“ ma być przedstawiony przez amatorów pod dyrekcyą Dickensa; podobnież na teatrze Haymarket,

cztery sztuki dramatyczne samego Jerrolda mają być na ten cel dane. Na każdą z nich już dzień wyznaczony. Ani wątpić, że publiczność tutejsza, przez pamięć na tak ulubionego pisarza jakim był Duglas Jerrold; odpowie godnie wezwaniu komitetu, występującego w tak szlachetnym zamiarze.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Z nowości literackich czy naukowych, niepodobna nam nic wymienić, coby nie było dalszym ciągiem zaczętych już publikacyi. Przyczyny tego milczenia pras drukarskich potrzeba szukać w porze pięknego lata, które pracowników wabi na świeże powietrze wiejskie dla nabrania świeżych sił do pracy. Dla tego powiemy tylko że publikacya *Czytelni Domowéj*, Księgarza Wildta, wydałą romans *Dred* który skończył się z ósmym zeszytem. Teraz mają być wydane podróże Mungo Parka po Afryce, ale nie te, cośmy je dziećmi czytali, tylko w nowem przerobieniu. Znany i z takim powodzeniem piszący swoje *Obrazki ludowe* W. Wielogłowski, napisał pogawędkę dla ludu o *Komecie;* będzie to rzecz wcale odpowiednia chwili, zwłaszcza gdy pod widmo komety, inne podszywają się widma. Tytuł tego dziełka równie humorystyczny, jak inne tego rodzaju pisma W. Wielogłowskiego, brzmi w ten sposób: *Historya o Komecie, albo o téj gwiaździe co miała światem gonić, a napisał o niéj taki, co Kalendarz na każdy rok funduje.* Tegoż autora wyjdzie z drukarni Czasu: *Żywot panny de Lamorous* zwanéj dobrą Matką, założycielki i pierwszéj przełożonéj w Bordeaux. Oprócz tych prac taż drukarnia zajęta jest Rocznikami Tow. Naukowego Krakowskiego, oraz Zdaniem Sprawy z czynności Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych za rok $185^6/_7$. Ponieważ to obchodzi miejscowego autora powiemy słówko o dziełku wyszłém w Warszawie pod tytułem: *Ikonografia* (z Archeologii ogólnéj) *przez Józefa Łepkowskie-*

go czł. Tow. Nauk. Krak. z Oddz. Archeologicznego.

Zgromadzenie Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie zwróciło uwagę wielu szczególniéj na malarstwo. W téj dziedzinie artyzmu przedewszystkiém zajmują nas obrazy religijne, plastyka chrześciańska; już to dla tego, ponieważ stanowią przedmiot najgodniejszy i najwznioślejszy zajęcia naszego, jak również iż takich obrazów największa, rzekłbym codzienna, w społeczeństwie chrześciańskiem istnieje potrzeba; nietylko bowiem kościoły nasze, lecz i prywatne domy w religijnych obrazach swą znajdują ozdobę. Był czas, kiedy za nadto wielką dowolnością malarze religijnych obrazów powodowali się w swych wytworach, kiedy nie baczono w téj mierze na tradycyę koscioła, na podanie pierwszych jego wieków, ale każdy jak mniemał, tak malował, szukając wzoru w własném natchnieniu, nito Kwaker, który w uprzedzeniu, iż Duch święty bezpośrednio nań działa, nie widzi potrzeby zastanawiać się nad tém, co się Duchowi świętemu przed nim lub prócz niego działać podobało.

Uważali to w ogóle światli pobożni i gorszyli się tem badacze starożytności, jako chrześcianie z przekonania, a oraz z potrzeby, gdyż cała starożytna cywilizacya nasza szatą chrystyanizmu jest przyodziana, rozważali tradycyę plastyki chrześciańskiéj malarstwem i rzeźbiarstwem szczególniéj wyrażanéj, i spisywali ją jako pamiętnik i poradnik dla wszystkich malarstwem religijnem zajętych, lub temuż oddanych i poświęcających się. Uczony, artysta, pleban poszukujący dla swego kościoła obrazów, znajdą w takiem dziele potrzebne dla siebie skazówki, a przeto pożytek takiéj książki za nieznaczną cenę do nabycia będącéj, jest tak widoczny, że mówić o tém byłoby zbytecznie.

Przeto wdzięczni jesteśmy panu Łepkowskiemu za przysługę, którą nam oddał tą swoją pracą i życzymy mu aby rodacy tak ocenili to jege pismo, jak rzeczywiście na to zasługuje.

Przemyśl. Wydawcy *Biblioteki Polskiéj* o wiele wyższéj poprawnością, czcionkami i papierem, od zeszytów wydawanych dawniéj w Sanoku, obdarzyli nas teraz wybornemi sielankami Szymonowicza mieszczącemi się w jednym zeszycie. Jest to jeden z najpiękniejszych pomników naszego języka. Niebawem ukończony będzie druk dzieł Jana Kochanowskiego i Modrzewskiego, do których dołączywszy Szymonowicza, mamy trzech najznamienitszych reprezentantów złotego wieku piśmiennictwa.

Lwów. Donoszą nam że w téj stolicy co do dzieł wychodzących lub mających wychodzić, zupełna stagnacya. Z drukarni Zakładu Ossolińskich, wyszedł właśnie pierwszy zeszyt 3go tomu: *Rysu dziejów Narodu Polskiego* przez Henryka Schmita obejmujący pogląd na stosunki społeczne i religijne Europy w 14 i 15 wieku, przytem zarys dziejów litewskich i pruskich aż do połączenia się ich z Polską.—Następnie w téjże drukarni przedrukowują się: *Pamiętniki historyczne* z czasów panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego, z niektóremi odmianami i dodatkiem kilkudziesięciu dokumentów. Słownika Lindego, tom IIIci niebawem opuści prasę.

Poznań. Drukiem i nakładem L. Merzbacha wyszła ważna praca Kazimierza Szulca pod napisem: *O głównych wyobrażeniach i uroczystościach bałwochwalczych naszego ludu.* Bro-

szura ta napisana jest z powodu prac Lelewela: Bałwochwalstwo Słowian i R. Berwińskiego: Studia nad literaturą ludową. — Trafna jego uwaga którą pracę swą zawiązał, odpowiadając Berwińskiemu na jego zanegowanie całkowite wszelkich pierwotnych wyobrażeń ludu. — „Lud prosty nie jest ani jedynym reprezentantem narodowości, prawdy i cnoty, ani też igraszką każdoczasowych wyobrażeń duchowieństwa, szlachty i uczonych, jak twierdzi Berwiński, ale przyjmując pojęcia nowsze, zachowuje zarazem troskliwość, choć często bezmyślnie, równie jak swój język, tak zwyczaje i wyobrażenia dawniejsze, starożytne, pierwotne, przez długie, długie wieki, przez cały ciąg swego istnienia i bytu.“ — W téjże drukarni wydała pani Paulina Wilkońska drugą pomnożoną edycyę: *Snopka Literackiego*, gdzie znajdujemy wyborny artykuł o Światowości w stosunku do obyczajów uważanéj p. Józefa Gołuchowskiego; kilka pięknych poezyj Syrokomli, kilka humorystycznych szkiców śp. Aug. Wilkońskiego, o Przeczuciach Józefa Kromera, Stefan i Paweł Potoccy przez Jul. Bartoszewicza i piękny wiersz: *Morze* i *Poeta* p. X. Łętowskiego. Taż autorka wydała dwie nowe powieści ze świata dzisiejszego: *Irena* w 2 tomach, i *Pani Podkomorzyna*. Znany romans Andersona: *Improwizator* wyszedł tamże w 2 tomach w dobrym przekładzie Hieronima Feldmanowskiego.

Warszawa. Treść Bibliot. Warszawskiéj na miesiąc czerwiec jest następująca:

Faust, tragedya Göthego. Przekład z niemieckiego przez J. Z... — Konstanty Świdziński i jego wieczysta fundacya, przez Juliana Bartoszewicza.—Jezuici w Kaliszu (1581—1773). Szkic historyczny, skreślił Cesar Biernacki. —Kronika literacka i artystyczna. —Thiersa piętnasty tom konsulatu i cesarstwa.—Etudes et lectures sur les sciences d'observation przez Babineta.—Pamiętniki Guizota. — Teatra, Camma, tragedya włoska Montabellego.—Koncerta. — Wystawa obrazów Delarocha. —Rolnicza ludność w Polsce od XV do XVI wieku przez T. Xcia L.....—Wiadomość o kotach dzikich na Podolu, poprzedzana uwagami o miejscu, jakie zajmować winny w systemacie zoologicznym koty nasze domowe z niektóremi odmianami swemi, p. Gustawa Belkę. — Podług jakich praw urządzane być powinny, stosunki majątkowe pomiędzy cudzoziemcami, bez umowy przedślubnéj w związki małżeńskie wchodzącemi, przez Antoniego Wrotnowskiego. *Poezya*. Urywek z powieści p. t.: „Tomiło“, przez Wincentego Korotyńskiego. *Kronika literacka*. Wycieczki po stokach galicyjskich i węgierskich Tatrów, przez Dra Tripplina. Warszawa. 1856. Przez Kazimierza Kalinkę.—Zapiski o południowéj Rusi, przez Erazma Izopalskiego.—Czas, dodatek miesięczny za m. marzec r. b. Poezye Wincentego Pola: Nowe, poprawne i powiększone wydanie. 4 tomy. Wiedeń. 1856.—Historya prawodawstw słowiańskich W. A. Maciejowskiego, wydanie drugie. 1857. *Rozmaitości*. Ksiądz Nihodem Kamieński. Wspomnienie przez Adama Słowikowskiego.

Bibl. Warsz. pisze pod Warszawą. Życzenia nasze, jakie objawiliśmy co do wydania w edycyi zupełnéj wszystkich pism Józefa Korzeniowskiego, wkrótce spełnionemi ujrzymy. Zasłużona firma księgarni Józefa Zawadzkiego podejmuje ten nakład. Pierwszych kilka tomów obejmie wy-

łącznie same prace dramatyczne: każdy tom sumiennego druku do 500 stronnic wyniesie. W zbiór ten oprócz znanych przybędą jeszcze trzy nowe i nieznane dramata. Całkowity zbiór, wraz z powieściami wyniesie do dwudziestu tomów.

— Nakładem téjże Księgarni drukuje się już „Żywot Stanisława Żółkiewskiego“ przez zmarłego w saméj sile wieku Seweryna Gołębiowskiego. Badacz ten korzystał wiele w téj pracy z mało znanych pomników rękopiśmiennych, któremi wielce ubogacił swoję monografią.

— Znany poeta Aleksander Groza ułożył książkę do nabożeństwa p. n. „Ołtarzyk Berdyczowski“, który został wydrukowany w Kijowie u J. Zawadzkiego, nakładem OO. Karmelitów Berdyczowskich. Oprócz zasobu i doboru modlitw i pieśni nabożnych, są: „Gorzkie żale“, które lud nasz tak lubi, a są przytém bez zepsucia ich prostoty umiejętnie poprawione. Nadto zbogacił nasz poeta książkę swoję godzinkami o N. Pannie Berdyczowskiéj, Częstochowskiéj i o ś. Kazimierzu. Na końcu umieszczone są zajmujące opisy dwóch koronacyj Najświętszéj Panny Berdyczowskiéj. Cena nadzwyczaj niska: książka licząca do tysiąca stronnic, oprawna w półskórek kosztuje złp. 5.

— Młody literat p. Leopold Hubert nie ustaje w chwalebném usiłowaniu przyswojenia literaturze naszéj *Historyi państwa Ottomańskiego* p. Hammera, i już dwa tomy tego 18 tomowego dzieła, wraz z przypisami w nich zawierającemi się wytłumaczył. P. Hubert tém mianowicie pobudzony został do podjęcia tego pracowitego przekładu, że znalazł w rzeczoném dziele mnóstwo wiadomości o dawnych stosunkach Polski z mocarstwami obcemi.

— „Czytelnia Niedzielna“ pod redakcyą pani Aleksandry Petrów, coraz większe znajduje upowszechnienie, czego dowodem powiększająca się codziennie liczba prenumeratorów. Dobór artykułów, staranność redakcyi, nadają temu pismu wysoką wartość i współczucie czytelników. Przywiedziem tu list dwóch chłopków Wasyla Berynda i Antoniego Nockiego ze wsi Tomaszówki na Podolu pisanego pod datą 16 lutego r. b. do redakcyi Czytelni Niedzielnéj. „Poczciwe pismo wasze, tyle ogólnego współczucia obudzające, i tak w całym kraju rozpowszechnione, doszło i do naszego rodzinnego sioła na Podolu. My synowie biednego ludu wiejskiego, po znojnych i ciężkich pracach rolnych, z niewypowiedzianą chciwością, z uczuciem rzewnéj dla was wdzięczności odczytujemy każdy numer Czytelni; a ileż moralnéj korzyści, osłody w smutnéj doli naszéj, nadziei i lepszéj otuchy, każdy taki numer przynosi naszemu sercu! Cześć wam i waszym współpracownikom za tę miłość braterską dla młodszéj braci w Chrystusie, za wszystkie trudy około polepszenia i oświecenia ich serc, ich umysłów: niech was Bóg błogosławi, niech wspiera wasze dążenia święte i szlachetne, i wynagrodzi dojściem do celu. Oby duch miłości Chrystusowéj ogrzał wszystkie serca, stopił lody zobojętnienia i połączył w jedną rodzinę społeczność naszę. Przyjmcie łaskawie podziękowanie nasze płynące z szczerego chłopskiego serca i wysłuchajcie prośby. Pragnąc odbierać Czytelnią Niedzielną w biegnącym roku, upraszamy redakcyi przysyłać nam numera jéj pod adresem: „Wasiliu Fedorowu Beryndie krestyaninu sioła To-

maszówki w podolskoj gubernii w M. Jarmolincy", w dwóch egzemplarzach a w jednéj kopercie. Należność zaś rsr. 6 załączamy.

Wasyl Berynda,
Antoni Nocki.

— Edward Kotłubaj wydał dzieło p. n. „Galerya Nieświeżska portretów Radziwiłłowskich", z drzeworytami Michała Starkmana. Dzieła tego wyszedł pierwszy zeszyt: sześć zeszytów, a druku od 35 do 40 arkuszy całość będzie składać. Drzeworyty wcale udatne: druk drobny i ścisły, życiorysy obszerne, stawiają tę publikacyą w rzędzie ważniejszych i przynoszących obfitą dla dziejów naszych pomoc. Zeszyt ten zacząwszy od najdawniejszych czasów, kończy się na Mikołaju Radziwille Rudym (Rufus).

— Znany z tylu prac ważnych i uczonych Alex. hr. Przeździecki, przygotowywa do druku: „Listy Jagiellonek". Jestto zbiór listów sióstr Zygmunta Augusta, które nasz badacz w archiwach zagranicznych odszukał, a dopełnić je zamyśla korrespondencyami, jakie się jeszcze w naszym kraju wynajdą. Szczególniéj wiele znalazłoby się listów Anny Jagiellonki: drukowane nawet, naszém zdaniem należałoby do tego szacownego zbioru wciągnąć, aby zbiór ten uzupełnić. Postać Anny, późniejszéj małżonki Stefana Batorego należy do pięknych figur historycznych i wszelkie po niéj pomniki godzi się troskliwie zebrać i uzupełnić. Ambroży Grabowski ogłosił kilka jéj listów; Dziennik warszawski z redakcyi J. K. Ordyńca, również jak Dziennik warszawski redakcyi Juliana Bartoszewicza. Archiwum Komisyi rządowéj przychodów i skarbu posiada te oryginały. Zebraniem w jednę całość tak nieznanych, jak rozproszonych po zapomnianych już pismach peryodycznych, danąby była wielka pomoc dla badacza, któryby postać Anny Jagiellonki to jako niezamężnéj, to jako małżonki wielkiego króla i wreszcie jako wdowy chciał odmalować na tle właściwego wieku. Trzy jéj siostry już poza tą wyniosłą postacią stoją, jakkolwiek nieobojętne dla nas. Oprócz tych listów hr. Przeździecki przygotowaje zbiór bull papiezkich dotyczących Polski: wiele zdobył niedrukowanych wcale. Zamierza do tego zbioru wcielić i drukowane, ażeby całością zupełną ubogacić naszę literaturę historyczną. Piękna to myśl obyśmy jak najrychléj ujrzeli ją urzeczywistnioną przez ogłoszenie drukiem.

— Nakładem S. H. Merzbacha: „Pamiętniki historyczne:" rękopism śp. Świeckiego, wydawany i mający być poprawiany co do dat i sprostowań koniecznych przez H. Lewestama, przeszedł teraz pod redakcyą Juliana Bartoszewicza. Dzieło to zyska teraz bardzo wiele, bo nietylko będziemy mieli rękojmią w poprawie wielu uchybień samego autora, ale spodziewamy się z bogatego zapasu notat naszego badacza, wiele dodatków ważnych i sprostowań.

— Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych w N. 124, pisząc o Zabawach przyjemnych i pożytecznych panny Józefy Śmigielskiéj, taki ustęp zamieściła: „Czyż rozrywki pani Hoffmanowéj, wtedy, gdy wychodziły, znalazły takie ocenienie jak dzisiaj? Słyszeliśmy niedawno z ust wiarogodnych, że nawet w początkach swego zawodu, ta autorka wystawioną była na szyderstwa. Mówiono, że kiedy już ma taką nieszczęsną manię pisania, to żeby przynajmniéj, papier który zaczerni pod cztery klucze scho-

wała, zamiast go dawać do druku.“ Jakkolwiek pojedynczego zdania, przywiedzionego zaprzeczać trudno: co do wiadomości podanéj zaprotestować musimy, „Rozrywki dla dzieci:“ znalazły do razu jak najprzychylniejsze przyjęcie i współczucie, a następnie i rozgłos w kraju całym: gdy równocześnie poważne pismo naukowe i odznaczające się doborem artykułów „Dziennik warszawski,“ nie mógł opędzić kosztów tylko druku i papieru, i w ostatku zeszedł do osiemnastu prenumeratorów, Rozrywki ciągle miały do kilkuset prenumeratorów.

— Rozrywek dla młodocianego wieku p. Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj wyszedł zeszyt 15, czyli ostatni piątego tomu. Stósownie do prospektu, serya ta téj zajmującéj i pełnéj wartości publikacyi ukończoną została. Redaktorka przygotowała nowe zasoby do drugiéj seryi, a księgarz Henryk Natanson podejmuje nakład. Przychylne przyjęcie jakie to pismo w krótkim czasie znalazło, powinno być zapowiedzią chętnego przyjęcia i upowszechnienia mającéj wyjść seryi, która podobnież jak pierwsza składać się będzie z pięciu tomów ścisłego druku, w ozdobném wydaniu.

— Hr. Seweryn Uruski wydaje obszerne dzieło w 4 czy 5 tomach pod napisem: *Kwestya włościańska.* O warunkach prenumeraty donosi broszura wydana już przez tegoż autora pod napisem: Polemika o kwestyi włościańskiéj.

Wilno. Księgarz Ass ogłosił nową seryę *Pism prozą i wierszem* przez autorkę: W Imie Boże! Dziełko to składa się ze czterech powiastek prozą i kilku wierszyków Ozdobą dzieła, jak mówi korrespondencya *Kroniki* jest powiastka: *Marylka.* Tenże sam wydawca drukuje: 1. Pamiętniki historyczne, służące do wyjaśnienia spraw publicznych w Polsce w 16 wieku z dzienników domowych familii Obuchowiczów i Czudowskich. Ze wstępem i przypisami Michała Balińskiego. 2. Irlandya, jéj początek, historya i ówczesne położenie, przez panów de Charannes de la Giraudiere i Huillard - Breholles, tłumaczone z francuzkiego z przedmową M. Balińskiego. 3. Wycieczki po Litwie Syrokomli.— Zawadzki ma w druku *Podróż kobiety do Spilberga; Krewnych* Korzeniowskiego. *Studia i przekłady* Wacława Przybylskiego. Wydał zaś w tych czasach: *Małe i prawdziwe opowiadania* przez autorkę w Imie Boże! i *Chwile stracone* przez Juliana Horaina. Władysław Jankowski tłumaczy z francuzkiego dzieło biskupa Dupanloup o Edukacyi. Ruben Rafałowicz otrzymał od Triplina z Warszawy manuskrypt drugiego tomu *Lunatyków.*

Petersburg. M. Wolff wydał *Plejadę Polską.* Plejada ta zawiera: 1. Wiesława, sielankę krakowską Kazimierza Brodzińskiego. Rysunki M. Fredry, J. Kossaka, L. Straszyńskiego. 2. Jan Bielecki poemat Juliusza Słowackiego. Drzeworyty rysunku Juliusza Kossaka, rytowane przez pp. Pisan, Laveille, Sotain. 3. Luli niemowlęcu Iwoni, wiersz J. Bohdana Zaleskiego. Drzeworyty rysunku Leona Straszyńskiego, rytowane przez pp. Laveille i Sotain. 4. Wiązanie Anielce, wiersz Edwarda Wasilewskiego. Drzeworyty rysunku L Straszyńskiego rytowane przez pp. Laveille i Pisan. 5. Lirnik wioskowy, sielanka Władysława Syrokomli. Drzeworyty rysunku Franciszka Kostrzewskiego, rytowane przez pp. Pisan i Sotain. 6. Przygody JP. Benedykta Winnickiego, Wincentego Pola. Drzeworyty rysunku

Leona Straszyńskiego, rytowane przez pp. Laveille, Pisan i Hohenfelden. 7. Wesele, łzy przez Antoniego Odyńca. Drzeworyty rysunku Maksymiliana hr. Fredry, rytowane przez pp. Hohenfelden i Cui. 8. Sierota, legenda X. Ignacego Hołowińskiego. Drzeworyty rysunku Leona Straszyńskiego, rytowane przez pp. Freund i Hohenfelden. 9. Sobótka, powieść Seweryna Goszczyńskiego. Drzeworyty rysunku Leona Straszyńskiego, rytowane przez pp. Laveille, Pisan i Sotain. Tom jeden, cena złp. 50.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowied.— Antoni Czapliński Rząd. Druk.

SPIS PRZEDMIOTOW

w zeszycie czerwcowym zawartych.

Przedpłata na **Dodatek miesięczny** „Czasu“ wraz z dziennikiem:

dla miejscowych	rocznie 26,	półrocznie 13,	kwartalnie 7	złr. mk.
zamiejscowych wraz z przesyłką	„ 30,	„ 15,	„ 8	„ „

Dodatku miesięcznego *osobno* prenumerować nie można.

Dodatek miesięczny wychodzi w zeszytach od 12 do 15 arkuszy druku z dniem ostatnim każdego miesiąca.

☞ Dla zagranicznych pojedynczy zeszyt **Dodatku miesięcznego** sprzedaje się w Biórze Administracyi „Czasu“ po złr. 2 mk.

Egzemplarzy *gratis* Dodatku miesięcznego nie daje się.